



SYLWIA CZUBKOWSKA

Chińczycy trzymają nas mocno

Pierwsze śledztwo o tym,
jak Chiny kolonizują Europę,
w tym Polskę

SYLWIA CZUBKOWSKA

Chińczycy trzymają nas mocno

Pierwszy reportaż o tym,
jak Chiny kolonizują Europę,
w tym Polskę

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2022

*Tacie. Szkoda, że już nie przeczytasz
Mamie i Braciom, za cierpliwość i wsparcie*

WSTĘP

Na naszych oczach spełnia się przepowiednia Napoleona, który miał ostrzegać, że „kiedy Chiny się obudzą, świat zadrży”. Wszystko wskazuje na to, że nie tylko się obudziły, ale właśnie mocno się przeciągają po długim i mocno dla nich koszmarnym śnie. A to ich przeciąganie się dotyka kawałka Europy, w którym przyszło nam żyć.

Gości, którzy wjeżdżają do Belgradu od wschodu, poza słynną Wschodnią Bramą, zwaną też Zepter Tower, wita billboard z „Bratem Xi”. A przynajmniej witał jeszcze w połowie 2021 roku, między drugą a trzecią falą pandemii. Kilka miesięcy wcześniej bałkańska stolica tak jak większość Europy tkwiła w lockdownie, ale dodatkowo zalały ją czerwone plakaty z przywódcą Chin i z podziękowaniami dla Państwa Środka za to, że pomagało Serbii, oferując maseczki, a potem szczepionki.

Latem, gdy cykady zagłuszają ruch uliczny, a XIX-wieczne kamieniczki w upale przypominają kolonialną zabudowę, centrum Podgoricy staje się zaskakująco podobne do starego Szanghaju. Ścieżka rowerowa dumnie oznaczona jako ufundowana przez chińską ambasadę w stolicy Czarnogóry wydaje się zatem więcej niż na miejscu.

Aleję Pekińską w Wielkim Kamieniu, technoparku położonym kilkadziesiąt kilometrów od Mińska, także zasponsorowały Chiny. Zresztą jak wszystkie ulice w tej miejscowości, a więc opisano ją podwójnie: po rosyjsku i po chińsku. Niełatwo tam trafić. Nie tylko z powodu praktycznego odcięcia Białorusi od Europy Zachodniej z chwilą, gdy reżim Łukaszenki najpierw ponownie sfałszował wybory, a następnie już otwarcie przyłączył się do Władimira Putina w ataku na Ukrainę. Wielki Kamień od początku obecności Chińczyków nie był szczególnie otwarty na obcych.

W Budapeszcie niemal *vis-à-vis* Ministerstwa Finansów znajduje się Bank of China. Może to być oczywiście przypadek, jakby specjalnie wyreżyserowany pod krytyczne oko reporterów. Tyle że w kwietniu 2020 roku węgierski minister finansów Mihály Varga ogłosił, że jego rząd właśnie od tego banku dostanie potężną pożyczkę na budowę szybkiej kolei Budapeszt–Belgrad. Pożyczkę pod inwestycję, która według szacunków ekspertów zwróci się za jakieś... 2500 lat¹. Nic dziwnego, że pomnik palatyna Węgier Józefa Antoniego Habsburga, który przecież na początku XIX wieku wprowadził do tego kraju kolej, patrzy na siedzibę banku zimnym wzrokiem. Takich śladów chińskich inwestycji – albo dopiero rozbudzonych na nie nadziei – można od Bałtyku do Morza Czarnego odnaleźć znacznie więcej, niżby wynikało z czystego rachunku ekonomicznego.

Gdy spojrzymy na suche dane, to Chiny nie wyglądają na szczególnie ważnego partnera tego kawałka Europy. Owszem, wartość wymiany handlowej między Polską a Chinami w 2021 roku wyniosła ponad 42 mld dol., a to spory skok, bo aż o ponad jedną trzecią więcej niż rok wcześniej. Bez mała o jedną trzecią wzrósł też sam eksport. W całej Europie Środkowo-Wschodniej (łącznie z Białorusią, ważnym punktem na mapie chińskich przedsięwzięć) wartość wymiany handlowej z Chinami sięgnęła już niemal 142 mld dol. Dużo?

Uświadomienie sobie, że z Chin do samych tylko Niemiec i w drugą stronę popłynęły towary o wartości aż 235 mld dol., działa jak zimny prysznic. Czy zatem Europa Środkowa jest dla Pekinu ważnym partnerem gospodarczym, czy może zaledwie etapem planu realizowanego na znacznie szerszą skalę?

Przez większość historii Chiny były najpotężniejszym państwem na świecie. Dokładnie takim, jakim się same widziały – Państwem Środka, wokół którego krążyły wszystkie inne. XIX wiek, kolonializm i wojny opiumowe rzuciły jednak tego giganta na kolana. Upokorzone przez mocarstwa zachodnie, zmuszone do przyjęcia narzuconych reguł handlu, pogrążyły się w dekadach politycznego chaosu, krwawej wojny z Japonią i jeszcze bardziej krwawej wojny domowej i totalitarnych rządów Mao.

Ale stulecie upokorzeń dobiegło końca i Chiny na każdym polu starają się odzyskać pozycję globalnego mocarstwa. Legendarna myśl chińskiego stratega wojskowości Sun Tzu głosi: „Kto wie, kiedy może walczyć, a kiedy nie może, odniesie zwycięstwo”². Chińczycy nie chcą podbić świata, lecz go zdominować. Nie tyle przewagą militarną, ile gospodarczą.

Są oczywiście regiony świata znacznie bardziej kluczowe dla Chin, gdzie obecność inwestycji Państwa Środka jest znacznie wyraźniejsza i gdzie chińskiemu kapitałowi znacznie łatwiej działać, choćby dlatego, że żyją tam liczne chińskie społeczności.

Tyle że ta skromna obecność Chin w Europie Środkowej jest tylko złudzeniem. Złudzenie zniknie, gdy na chińską ekspansję przestaniemy patrzeć z perspektywy pojedynczych państw i przyjrzymy się całemu regionowi. Gdy zamiast skupiać się na bezpośrednich inwestycjach i spektakularnych przejęciach, prześledzimy, jak chińskie działania wpływają na lokalną politykę, konsumpcję i aspiracje kawałka Europy położonego między bogatym Zachodem a ambitnym Wschodem. Wtedy zauważymy, jak ta układanka kilkunastu państw, sięgająca od Bałkanów aż do Bałtyku i zamieszкана przez blisko 130 milionów ludzi, może być dla rosnącej potęgi Chin ważna. Gdy się patrzy z szerszej perspektywy, wyraźniej widać, że między Warszawą a Zagrzebiem rozciąga się szerokie pole do ekspansji technologiczno-gospodarczo-politycznej i właśnie się zderza z globalnymi ambicjami Chińskiej Republiki Ludowej.

Tylko z jakim konkretnie obszarem mamy do czynienia? W końcu Europa Środkowa od zawsze jest konstruktem dosyć płynnym. Raz zamykającym się na samym centrum, Grupa Wyszehradzka plus Bałtowie, raz określanym jako wszystko, co między Niemcami a Rosją. Czasem wlicza się do niej Bałkany, a czasem traktuje się je jako zupełnie odrębną część Europy. A to wchodzi w jej skład Białoruś i Ukraina, a to – jak w planach Chin – oba te państwa znajdują się poza układem 16 + 1, albo też nagle – jako siedemnasty gracz – pojawia się Grecja.

Skoro trudno o jasną definicję, postanowiłam pójść śladem Milana Kundery, który w latach 80. w eseju *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*

napisał, że „nie jest państwem, lecz kulturą, losem”³. Wtedy tym wspólnym losem było między innymi przymusowe wcielenie do bloku sowieckiego. Dzisiaj jest nim funkcjonowanie w dziwnej polityczno-gospodarczo-historycznej hybrydzie wschodniej autokracji i zachodniej demokracji – przedmurza Zachodu lub Wschodu, zależy, z której strony patrzeć.

Uświadomiliśmy to sobie mocniej, gdy Rosja zaatakowała Ukrainę. Kiedy dosłownie cztery dni po rozpoczęciu inwazji spacerowałam po Rydze z łotewskim analitykiem Mārisem Andžānsem, do zaplanowanej rozmowy o Chinach cały czas wplątywała się nam Rosja. Wreszcie Łotysz podsumował: „Niedźwiedzia mamy tutaj, pod granicą, smok jest daleko i wydaje się problemem na później. Ale co, jeśli niedźwiedź jest ze smokiem dogadany i naprawdę mamy do czynienia z ich wspólnym działaniem?”. Andžāns ujął w ten sposób zagrożenie, które spędza sen z powiek wielu Europejczyków. O osi Moskwa–Pekin i układzie Dragonbear (smokoniedźwiedzia) mówią już otwarcie dyplomaci, politycy i analitycy z całego Zachodu. A skoro związki Chin i Rosji są tak oczywiste, życie na przedmurzu jeszcze bardziej się komplikuje. Jeden z najlepszych w Polsce analityków Chin Michał Bogusz z Ośrodka Studiów Wschodnich jak mantrę powtarza, że przedmurze z definicji znajduje się po niewłaściwej – czytaj: narażonej na przykrości – stronie muru.

Postarajmy się zrozumieć, z jakich cegieł jest zbudowany ten mur, zidentyfikujmy, gdzie ma mocne, a gdzie słabsze fragmenty, a przede wszystkim: przed czym konkretnie i kogo ma chronić. Ta książka nie ma na celu straszyć Chinami. Wręcz przeciwnie. Im głębiej wchodzi się w temat chińskiej ekspansji (tego, co dwójka hiszpańskich dziennikarzy śledczych opisała jako „nieuchronny podbój świata po chińsku”⁴), tym częściej dostrzegamy w niej odbicie naszych własnych ambicji, łączącą nas z Chińczykami pewnego rodzaju wspólną doświadczeń. Apetyt na sukces, potrzeba szybkiego odrobienia strat i doświadczenia rozwiniętego Zachodu, pretensje za historyczne krzywdy. W Chinach – za sto lat kolonialnego upokorzenia, w naszej części Europy – za Jałtę. W tym sensie

opowieść o „podboju Europy Środkowej po chińsku” jest także opowieścią o nas, naszej historii i naszych aspiracjach.

Europejczycy lubią myśleć o Chinach w kategoriach egzotyki. Widzieć w nich hybrydę pradawnego imperium, starożytnej kultury i komunistycznej ortodoksji. Taka wizja Chin samym chińskim decydom i biznesmenom pasuje. Nam jednak bardziej niż na stereotypach powinno zależeć na zrozumieniu procesów, jakim już jesteśmy poddawani.

Kluczowa data to 15 września 2008 roku. W najnowszej historii świata ma znaczenie większe, niż skłonni jej byliśmy w owym czasie przyznawać. To wtedy upadł bank Lehman Brothers i zaczął się kryzys gospodarczy, którego konsekwencje ponosimy właściwie do dziś. Nie tylko ekonomiczne, lecz także – właściwie przede wszystkim – polityczno-społeczne. To ten kryzys wyniósł do władzy silne ruchy antyestablishmentowe, które zaowocowały wyborem Donalda Trumpa, brexitem, a w naszej części Europy – wygraną Prawa i Sprawiedliwości oraz utrwaleniem władzy Viktora Orbána na Węgrzech. Dziś też jasno widać, że osłabienie gospodarcze zachodniego świata wspomogło impet rozwojowy Chin, w którego wyniku Państwo Środka wyrasta na naszych oczach na supermocarstwo.

A jako supermocarstwo ma bardzo konkretne interesy nie tylko na bogatym Zachodzie, ale też w Polsce, Czechach, na Litwie, Węgrzech, w Chorwacji czy Serbii. Poprzez skuteczne pobudzanie wschodnioeuropejskich apetytów, po cichu, jak przyczajony tygrys, zmienia oblicze naszego świata. I niczym ukryty smok samo ma znacznie większe apetyty, niż mogłoby się nam dzisiaj wydawać.

Liczba publikacji, analiz, reportaży, śledztw dotyczących wpływów Chin szybko rośnie. Nic dziwnego: trudno dziś o ciekawszy temat niż strategiczne plany Chińskiej Republiki Ludowej. To, że losy Chin odegrają kluczową rolę w losach świata, przeczuwamy od dawna, jak w tym ponadstuletnim dialogu z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego, gdzie na pytanie, co tam w polityce, pada sakramentalne: „Chińczycy trzymają się mocno”. Dziś już nie trzymają się mocno – dziś mocno trzymają cały świat. Narzucają tempo rozwoju, wskazują kluczowe kierunki, podsuwają narracje. Ale przede wszystkim – nie ma co

ukrywać – sprawiają, że stary globalny układ sił właśnie przechodzi do lamusa. Choć mamy tego świadomość, to wciąż mało uwagi przyciągają działania Chin w Europie Środkowej, która jest ich bramą do Zachodu.

W 2009 roku, gdy ówczesny przywódca Chin Hu Jintao przybył oficjalnie w odwiedziny na Słowację, przed pałacem prezydenckim w Bratysławie doszło do starcia między aktywistami protestującymi przeciwko wizycie – w imię ofiar chińskiego reżimu – a przedstawicielami chińskiej diaspory w kraju gospodarza. W 2008 roku na warszawskiej Woli – mimo sprzeciwów ambasady Chin – jednemu z rond próbowano nadać imię Wolnego Tybetu. W 2011 roku do Czech na zaproszenie byłego prezydenta Václava Havla przyleciał Dalajlama. Dekadę temu takie gesty krytyki wobec komunistycznego reżimu w Chinach były w naszej części Europy na porządku dziennym. Czyż mogło być inaczej w państwach, które same przeszły przez tragedie komunizmu i długotrwały proces wychodzenia z autorytaryzmu?

Ostatnia dekada wiele jednak zmieniła. W Chinach do władzy doszedł Xi Jinping i zaczął nie tylko odwrót od polityki Deng Xiaopinga, czyli słynnych 24 znaków, które głosiły między innymi, aby nie podnosić głowy, czekać na swój czas i cierpliwie zdobywać zaufanie. Zamiast tego Chiny krok po kroku zaczęły pokazywać, że są zbyt silne i zbyt ambitne, by nadal to ukrywać. Xi stopniowo wzmacnia też własną pozycję, czego efektem będzie zapewne kolejny mandat od partii na kolejną kadencję i coraz bardziej jednoosobowe i radykalne rządy, których Chiny nie widziały od czasu Mao Zedonga.

Ostatnia dekada to także budowanie koncepcji Nowego Jedwabnego Szlaku, którego Europa Środkowa stała się ważnym elementem. Wizyty Xi Jinpinga w kolejnych państwach regionu w latach 2016–2017 rozbudziły nadzieje na wielkie inwestycje, przepływ technologii i zastrzyk gotówki z Państwa Środka. Nagle Chiny z siermiężnego komunistycznego reżimu przeobraziły się w oczach kolejnych polityków i biznesmenów w inwestora mogącego stanowić alternatywę dla Stanów Zjednoczonych czy Unii Europejskiej. Rondo Wolnego Tybetu

w Warszawie po cichu stało się więc już tylko rondem Tybetu. Smok obiecał wielkie inwestycje, więc lepiej go nie drażnić.

W ostatnich latach tymczasem do gry weszły dwie ważne zmienne: pandemia i Rosja. Obawa przed agresywną Rosją skłaniała kolejne państwa do ponownego zacieśnienia związków ze Stanami Zjednoczonymi. Waszyngton nie mówi „nie”, ale wymaga jednoznacznego odsunięcia się od Chin. I tu w europejskim przedmurzu doszło do wyłomu. Gdy Litwa czy Czechy zaczęły dokładać cegieł do muru, Serbia i Węgry postąpiły wręcz przeciwnie: uznały, że czas na wielką zmianę i warto szerzej otworzyć drzwi na inwestycje z Chin. A to podejście wpłynęło na decyzje związane z pandemią i przyjmowaniem pomocy z Państwa Środka.

W ciągu niecałych dwóch lat pracy nad tą książką nasz region kilkakrotnie dokonywał mniejszych i większych pivotów. Koncepcje współpracy z Chinami pojawiały się i gasły. Wykorzystywano je do szachowania USA, Unii Europejskiej lub do podkreślania własnej niezależności. Zmieniały się rządy w poszczególnych państwach, zmieniały koncepcje polityki zagranicznej. Co więcej, nabierał kształtów nowy dwubiegunowy układ globalnych sił.

Owszem, niektórzy analitycy uważają, że i Chiny, i Rosja, czyli imperia, których ogromne ambicje obserwujemy i odczuwamy na własnej skórze, tak naprawdę są przegrane. Przegrały, bo działają w paradygmacie, który już nie istnieje, a to, co teraz obserwujemy, to ich ostatnie podrygi, które potrwać może – bagatela – 30 lub 40 lat. I że same Chiny i Rosja nawet nie rozumieją tego, że przegrały, ponieważ mentalnie tkwią w przeszłym świecie i dopóki mogą, narzucają związane z nim wyobrażenia innym.

Przegrały? Przecież Rosja, atakując Ukrainę, doprowadziła do najpoważniejszego kryzysu w światowym *status quo*, a Chiny napędzane ambicją zostania największą światową potęgą przed 2050 rokiem działają coraz bardziej ekspansywnie.

Ale skoro takie wrażenie robią na nas chińskie mądrości, to odwołajmy się po raz kolejny do Sun Tzu i jego *Sztuki wojny*. W części poświęconej strategii pisał:

„Gdziekolwiek armia atakuje, jest jak kamień w jajku”⁵. Czyli na tyle Chiny mogą wpływać na sytuację i wygrywać, na ile im na to pozwolimy.

Oto historie, które wspólnie tłumaczą, dlaczego na chińską ekspansję powinniśmy patrzeć nie jak na egzotyczne wydarzenia z drugiego końca świata, lecz jak na naszą własną rzeczywistość. Przynajmniej w perspektywie 30–40 lat. Są to historie Weijinga „Staszka” W., byłego dyrektora Huawei zatrzymanego w Polsce pod zarzutem szpiegostwa; chińskiego „cara propagandy”, który został doradcą prezydenta Czech; budapeszteńskiego oddziału uczelni, która wyparła uniwersytet George’a Sorosa; pand, na które czeka zoo w Zamościu, oraz małego miasta w Serbii, które po raz pierwszy w swojej tysiącletniej historii stanęło w obliczu bankructwa.

ROZDZIAŁ 1

TELEFONY OD FAŁSZYWEGO PRZYJACIELA, CZYLI HUAWEI, 5G I WIELKA AFERA SZPIEGOWSKA

Stawiaj swoje wojska w pozycji, z której nie ma ucieczki i raczej umrą, niż zdołają się wycofać. Jeżeli nie ma ucieczki od śmierci, zarówno oficerowie, jak i prości żołnierze dają z siebie wszystko¹.

Weijing Wang, w Polsce zwany Staszkiem, przed warszawskim sądem okręgowym 1 czerwca 2021 roku stanął wymierzony. Dwadzieścia sześć miesięcy w areszcie tymczasowym nie miało na niego najlepszego wpływu. Obok niego na ławie oskarżonych zasiadł Piotr D., który w areszcie spędził tylko sześć miesięcy, ale też nie wyglądał na okaz dobrego samopoczucia. Gdy Weijing odczytywał napisane własnoręcznie w zeszycie kilkanaście stron wyjaśnień dla sądu, głos mu drżał. Wyraźnie słyhać było, że ma problem z czytaniem po polsku i że targają nim potężne emocje.

To był pierwszy raz od zatrzymania obu mężczyzn i postawienia im poważnych zarzutów, kiedy można było posłuchać ich wyjaśnień. Szybko się okazało, że opinia publiczna ich nie pozna. Od razu na pierwszej rozprawie na wniosek prokuratury sąd utajnił proces i dlatego nie mogę nawet napisać, co Wang zawarł w swojej mowie. Można jedynie ujawnić, że poprosił, aby media podawały jego pełne dane i publikowały jego zdjęcia bez zamazywania twarzy.

Celem procesu jest zbadanie, czy Weijing „Staszek” Wang, były dyrektor w Huawei, oraz Piotr D., były oficer Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, brali

udział w działalności obcego wywiadu, która mogła wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej.

Obaj mężczyźni zostali zatrzymani w styczniu 2019 roku. Przez dwa dni informacja nie przedostała się do mediów, ale kiedy już została ujawniona, sprawa z miejsca rozlała się poza granice Polski. Nic dziwnego, od początku było wiadomo, że to nie jest zwykłe oskarżenie o szpiegostwo – jeżeli w ogóle takie oskarżenie może być zwykłe – a raczej sprawa, w której kontekstem jest coraz bardziej zaogniająca się sytuacja na linii Stany Zjednoczone – Chiny.

Pamiętam reakcje ludzi ze środowiska związanego z telekomunikacją na aresztowanie tej dwójki: wielkie niedowierzanie. Bo jak Staszek i Piotruś mogliby pracować dla obcego wywiadu? Owszem, znali się ze wszystkimi, każdemu pomogli, załatwili, skontaktowali, z kim trzeba, ale po pierwsze, ta branża nie jest za duża, a po drugie, oni po prostu mieli takie charaktery. „To nie są zarzuty o jakąś banalną korupcję, bo one – przepraszam, że to powiem – nikogo by nie zaskoczyły. Nie dlatego, że konkretnie w stosunku do nich mam takie podejrzenia, tylko dlatego, że inwestycje, wokół których działali, są, no cóż, korupcjogenne. Ale jednak szpiegostwo to jest zupełnie inny kaliber” – mówił mi w styczniu 2019 roku jeden z ekspertów od cyfryzacji pracujący dla kluczowych polskich instytucji. Dziś, po trzech latach wciąż trudno mu w te zarzuty uwierzyć i dodaje: „Choć gdy spojrzymy na to, co już wiemy z akt sprawy, to widać, że obaj albo działali nieświadomie i głupio, albo świadomie, lecz nie spodziewali się, że tak delikatne, nieekspansywne ruchy mogą wzbudzić zainteresowanie naszych służb”.

Te delikatne, nieekspansywne ruchy, o których wiemy, są zawarte w nieujawnionych 110 tomach akt sprawy. Sąd tuż przed pierwszą rozprawą dał mi do nich na kilka dni dostęp i to, co wyłania się z materiału dowodowego, z uwzględnionych w nim zeznań oskarżonych, świadków, ale i z korespondencji między D. a Wangiem układa się w dwa możliwe scenariusze.

Pierwszy to ten, o którym mówią D. i Wang. Mamy więc dwójkę kolegów, którzy poznali się w 2016 roku. Weijing od dobrych kilku lat mieszkał w Polsce, choć tak naprawdę Staszkiem został już w Chinach. Przybrał polskie imię, gdy

pracował w firmie zajmującej się importem kosmetyków i bursztynowej biżuterii z Polski, potem przeniósł się do konsulatu w Gdańsku. W 2011 roku, po prawie pięciu latach spędzonych w naszym kraju, wyjechał do Chin z planami uruchomienia swojego biznesu. Niespodziewanie jednak wrócił do Polski i podjął pracę w coraz prężniej rozpychającym się na rynku Huawei, jako menedżer ds. PR. Tak właśnie poznał Piotra D., wtedy pracownika Urzędu Komunikacji Elektronicznej ze sporym doświadczeniem w branży telekomunikacyjnej i rozeznanem w naszym sektorze publicznym.

D. jest przeciwieństwem spokojnego Wanga. Kiedy w 2006 roku zjawił się w gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, od razu było wiadomo, że nie jest zwykłym urzędnikiem. Miał trzy fakultety: medycynę na Akademii Medycznej w Warszawie, telekomunikację na Epitech w Nicei oraz zarządzanie bezpieczeństwem państwa w Akademii Obrony Narodowej w Warszawie. Przebojowy, ambitny, towarzyski. Kiedy się po raz pierwszy osobiście spotykamy przed salą sądową, czyli w sytuacji więcej niż niekomfortowej, szybko skraca dystans, sam proponuje kawę, nie ma w nim grama rezerwy czy choćby oficjalności. I to mimo tak trudnego momentu.

Nic dziwnego, że kiedy pod koniec 2009 roku stracił pracę w MSW, szybko trafił w znacznie ciekawsze miejsce – do ABW, i to od razu na zastępcę dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Teleinformatycznego i Informacji. Tam dostał poświadczenie bezpieczeństwa dające dostęp do informacji ściśle tajnych przez pięć lat, a do poufnych aż przez dziesięć. Odpowiadał za wdrożenie systemu łączności specjalnej w czasie polskiej prezydencji w UE w 2011 roku. W połowie roku 2012 został oddelegowany do pracy w Urzędzie Komunikacji Elektronicznej, czyli instytucji, która reguluje rynek telekomunikacyjny.

Jako oficer ABW Piotr D. został doradcą szefowej UKE Magdaleny Gaj, a w 2014 roku – szefem tamtejszego departamentu kontroli i nadzoru. To ostatnie to kluczowe stanowisko z dostępem do wielu poufnych informacji. Gaj marzyła się kariera w Międzynarodowym Związku Telekomunikacyjnym (ITU). Latała na konferencje i sympozja zagraniczne tak zapamiętała, że współpracownicy określają

jej urzędowanie jako „Magda Travel”. Jeździła także na spotkania do Pekinu i Szanghaju, na które zabierała dwie osoby: dyrektora departamentu rozwoju infrastruktury oraz swojego doradcę. Dyrektorem była Marzena Śliz, doradcą Piotr D.

Po zakończeniu kadencji Gaj w UKE D. także odszedł z urzędu i wrócił do ABW. Nie ukrywał jednak, że ma już dosyć pracy w sektorze publicznym. I wtedy poznał się z ambitnym dyrektorem z Huawei. Obaj na tyle się polubili, że Wang wręcz zarekomendował D. do pracy w Huawei, przedstawiając go nie tylko jako eksperta, lecz także człowieka o „miłym charakterze”, jak pisał w jednej z wiadomości, które można odnaleźć w aktach sprawy. Chińska firma szukała wtedy ludzi z doświadczeniem w administracji publicznej. Ale Piotr D. pracy nie dostał. Powód? Po rozmowach jednak go nie polubiono. Polubiono za to rekrutowaną w tym samym czasie koleżankę D. z UKE, czyli wspomnianą Marzenę Śliz – i to ona została zatrudniona jako dyrektor *public affairs*. Zamiast w Huawei Piotr D. znalazł zatrudnienie w Orange, ważnym telekomie.

Mimo niepomysłnej rekrutacji D. i W. nie zerwali kontaktów. Wręcz przeciwnie – zaczęli się coraz częściej towarzysko spotykać i sporo korespondować. W aktach sprawy zgromadzono pełno wydruków esemesów i korespondencji z komunikatorów obu mężczyzn z plotkami o kolejnych urzędnikach i politykach: z MSWiA, z Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej, z policji. Żadne wielkie tajemnice, raczej sprawy pobieżne, czasem jakiś żart, plotka.

Do tego doszły coraz częstsze prywatne kontakty, rodzinne grille, pomoc w znalezieniu dobrego lekarza dla żony czy dzieci. I wreszcie wakacje. Szczególnie jedne zainteresowały śledczych: wspólny rodzinny wyjazd Wanga i D. na dziesięć dni do Chin w sierpniu 2018 roku. Obie rodziny odwiedziły Pekin, Xi’an, Szanghaj, Hangzhou. Pojechali bez pośrednictwa agencji turystycznej, bo jak tłumaczą, tak było wygodniej. Koszt wycieczki rodziny D. – 25 tys. zł – pokrył Staszek, ale Piotr miał je zwrócić w trzech częściach: 12 tys. w gotówce, 8 tys. przelewem i jeszcze 5 tys. w gotówce.

Tę relację można odczytywać jako typowo koleżeńską albo tak, jak to widzi prokuratura. A według niej Weijing Wang dokonywał „rozpoznania administracji publicznej i budował strefy wpływu dla zapewnienia swojemu pracodawcy, czyli Huawei, dostępu do informacji wrażliwej”. Dążył do tego, jak uważają śledczy, poprzez „rozbudowywanie siatki kontaktów i powiązań, nawiązywanie relacji towarzyskich”. Piotrowi D. zarzuca się zaś, że od grudnia 2016 roku działał dla wywiadu ChRL. Kiedy Wang jako oficer wywiadu ChRL miał wykonywać zadania wywiadowcze polegające na rozpoznaniu możliwości Huawei jako dostawcy urządzeń do strategicznej infrastruktury, Piotr D. miał mu „przedstawić swoją atrakcyjność wywiadowczą jako źródła informacji” wprost z kancelarii premiera, UKE, Ministerstwa Cyfryzacji, MSWiA, policji oraz samorządów. D. miał powiadamiać o zmianach w strukturze ministerstw, zapewniać dostęp do ważnych urzędników, a nawet ministrów. Miał także zasugerować możliwość wywierania wpływu na te osoby, przez co „wykreował reakcję oficera wywiadu w postaci zaoferowania mu atrakcyjnego stanowiska pracy w Huawei”.

A to i tak najdrobniejszy i najłatwiejszy do wytłumaczenia aspekt afery szpiegowskiej wokół Huawei – afery, która od początku 2019 roku wisi nie tylko nad obu oskarżonymi, nad reputacją chińskiego potentata telekomunikacyjnego, próbami uruchomienia sieci 5G w Polsce, lecz także nad coraz bardziej napiętymi stosunkami Stanów Zjednoczonych i Chin.

Długi marsz z Shenzhen w świat

Tak naprawdę pomysł na tę książkę wziął się właśnie od sprawy z Huawei. Jej kontekst polityczny, geopolityczny i technologiczny okazał się nawet ciekawszy niż same opowieści o kontaktach Staszka i D. Ciekawszy niż brzmiała niczym ze szpiegowskiego filmu opowieść o tym, jak Wang i D. spotykali się na parkingu jednego z centrów handlowych, by rzekomo... wymienić się ekologicznymi ziemniakami. A nawet ciekawszy niż to, że Huawei tak bardzo chciał rekrutować

ludzi związanych z polityką, że sami oskarżeni pisali do siebie w korespondencji jako o „zespole MSW”.

Ważniejsze okazały się obserwowanie i badanie zmian nastrojów oraz decyzji wokół chińskich inwestycji i politycznych wpływów, które w świetle afery szpiegowskiej wydały się nagle bardzo realne. Prowadziły mnie one przez tysiące kilometrów, przez dziesiątki rozmów z politykami, ekspertami, dyplomatami, lobbystami, przedsiębiorcami, którym z dnia na dzień otwierały się oczy i którzy zaczęli patrzeć na chińskie biznesy, ich wpływy i ambicje w naszym kawałku świata przez zupełnie inny pryzmat.

Im bardziej Hu Xijin, ówczesny naczelny „Global Timesa”, czyli anglojęzycznego organu prasowego Komunistycznej Partii Chin, po aresztowaniach Wanga i D. kpił na Twitterze: „Czy jest w Polsce cokolwiek, co warto byłoby ukraść? Polski departament bezpieczeństwa narodowego chyba sobie schlebia”, tym bardziej było widać, że te zatrzymania miały zboleć właśnie Pekin. Bardziej nawet niż sam Huawei.

Choć także pobieżny przegląd historii Huawei – cała opowieść o tej firmie jest zbyt złożona, by ją tu przytoczyć – skłania do zastanowienia, czy faktycznie Chiny i Huawei to odrębne byty. Na pewno jednak historia tego przedsiębiorstwa jest pouczająca zarówno w kwestii przemian, jakie nastąpiły w ChRL, jak i tego, co się dzieje na linii kontaktów Chin z Zachodem.

Ojcem Huawei jest urodzony pod koniec II wojny światowej Ren Zhengfei. Już samo to, że jest o jakieś pokolenie starszy o Jacka Ma, Ponego Ma i Lei Juna, czyli twórców chińskich potęg technologicznych Alibaby, Tencentu i Xiaomi, powodowało, że jego ścieżka do zbudowania giganta telekomunikacyjnego wyglądała z gruntu inaczej. Ren, mający techniczne wykształcenie, przez lata pracował dla jednego z lokalnych instytutów badawczych. Ale karierę rozkręciła mu dopiero służba w Ludowej Armii Wyzwolenia – został inżynierem w jednostce zajmującej się badaniami z zakresu technologii telekomunikacyjnych. Był już w wieku średnim, gdy jego ambicje założenia własnej firmy idealnie wstrzeliły się

w nową politykę Chin. Te w erze Denga Xiaopinga zwróciły się i ku reformom, i ku nowym technologiom.

Symbolem nowej ery jest miasto Shenzhen, które jeszcze pod koniec lat 70. było niewielkim, liczącym ledwie kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców portem rybackim. W 1980 roku utworzono tam pierwszą w Chinach specjalną strefę ekonomiczną. Takie strefy to nie był chiński wynalazek, sięgnięto po wzór znany choćby z Korei Południowej czy z Tajwanu. Ale to i tak jak na Chiny Ludowe był potężny eksperyment. W końcu przecież Deng, rocznik 1904, i jego towarzysze z politbiura nie byli narwanymi innowatorami. Przeżyli Wielki Marsz, rewolucję kulturalną i wszelkie ideologiczne szaleństwa czasów Mao, więc ostatecznie, czego chcieli, to dopuścić do głosu kolejną ideologię – tym razem burżuazyjnego kapitalizmu. Matt Sheehan, wieloletni korespondent w Chinach, w książce *The Transpacific Experiment* [Eksperyment transpacyficzny] porównującej technologiczny boom w Dolinie Krzemowej i w Chinach podkreśla, jak ogromne było zapóźnienie Chin w technologicznym wyścigu: „Kiedy Steve Jobs w garażu w Cupertino wymyślał marketing dla wczesnych komputerów Apple’a, chińscy liderzy wciąż drążyli zagadnienie, czy pozwolić rolnikom na sprzedaż wyhodowanych przez siebie warzyw dla zysku”².

Dlatego właśnie zachowawczo wybrano Shenzhen, miasteczko na uboczu, w cieniu Hongkongu – a i tak dodatkowo otoczono je długą na ponad 100 km zaporą z drutu kolczastego.

Wśród pierwszych beneficjentów nowych swobód był założony 1987 roku Huawei. Jego „kapitał zakładowy” był więcej niż skromny: sześcioro pracowników i 24 tys. juanów³ (jakieś 5 tys. dol.). Ale wystarczyło, by firma zaczęła rosnąć, i to dosłownie wraz z Shenzhen, bo byli rolnicy zabrali się do budowania. Na mikrodziałeczkach o powierzchni 100 metrów kwadratowych w latach 80. stawiali budynki liczące dwa–trzy piętra, w latach 90. – wysokie na sześć do ośmiu kondygnacji, a później ich miejsce zajęły drapacze chmur. W ciągu czterech dekad wyrosła metropolia, która liczy dziś niemal 15 mln mieszkańców i bywa nazywana

azjatycką Doliną Krzemową. Oprócz Huawei powstały tam także Xiaomi oraz Tencent, właściciel WeChata i światowy potentat branży gier.

Ale aby taka technologiczno-przemysłowa rewolucja była w ogóle możliwa, potrzebna była specjalna zgoda Pekinu. Huawei, którego nazwę tłumaczy się jako „wspaniały”, ale jednocześnie jako „chiński”, wraz z innymi 85 firmami technologicznymi dostał gwałt od władz na to, by działać jako „przedsiębiorstwo społeczne”⁴. To był spory wyłom w zasadach scentralizowanej gospodarki. Ren Zhengfei po odejściu z armii wyjechał do Shenzhen i zaczął tam pracę dla firmy elektronicznej podlegającej pod Nanyo Corporation, jedną z największych SOE (*state-owned enterprise*) – firm należących do państwa. I dopiero wtedy postanowił rzucić się na głęboką wodę własnego przedsiębiorstwa. Choć – jak zauważa Yun Wen – analityk z Kanady, autor niezwykle szczegółowej książki o historii Huawei – Ren nie był zwykłym, powiedzielibyśmy dziś, startuperem. Wręcz przeciwnie, należał do grupy „czerwonych kapitalistów”, cieszył się uprzywilejowaną pozycją, bo znajomości z lokalnymi oficjelami i koledzy z wojska już na starcie zapewnili mu pierwsze kontrakty.

Ale wejście na rynki światowe i do globalnego biznesu telekomunikacyjnego to był długi marsz. Firma musiała najpierw zawalczyć o utrzymanie się w samych Chinach, gdzie dominującą pozycję miały SOE. W takiej sytuacji Ren postawił na nisze, rynki, którymi wielkie państwowe firmy nie były zainteresowane. Takim rynkiem byli klienci z interioru. Huawei skupił się na mniejszych miastach i na bardziej ubogich prowincjach, oferując ich mieszkańcom nie tylko sprzęt do budowy sieci telefonicznych, lecz także pomoc techniczną. Rozsyłał wszędzie tam swoich ludzi, budując sprawne łańcuchy dostaw, dzięki czemu w 1995 roku firma była największym dostawcą sprzętu w chińskich prowincjach. Dwa lata później została oficjalnie uznana przez rząd za „narodowego czempiona”, czyli firmę o znaczącym wkładzie w rozwój gospodarki.

To był moment, gdy państwo zaczęło w zdecydowany sposób wspierać lokalnych dostawców sprzętu telekomunikacyjnego. Zakończyły się preferencyjne stawki dla importowanych urządzeń, między innymi od szwedzkiego Ericssona.

Równolegle zaczęto subsydiować chińskie firmy, w tym Huawei. Za tą zmianą stało spotkanie, jakie nowy przywódca Chin Jiang Zemin odbył z Renem. Przedsiębiorca w oficjalnym przemówieniu, jakie wtedy wygłosił, mówił tak: „Technologia telekomunikacyjna to element bezpieczeństwa narodowego. Jeżeli naród nie ma swojego własnego sprzętu, to tak, jakby nie miał armii”⁵. Te słowa cytuje Wen w swojej książce. Nie znajdziemy ich za to w książce, jaką polski oddział Huawei rozdał na Boże Narodzenie 2019 roku polskim dziennikarzom. W liczącym ponad 500 stron tomie *Własnymi słowami* zebrano wywiady, w których Ren udowadnia, jak bardzo Huawei jest niszczone przez Stany Zjednoczone w imię obrony amerykańskiego rynku.

Gdy państwo roztoczyło parasol nad chińskimi firmami telekomunikacyjnymi, Huawei mógł rozwijać kolejne technologie, zaczynając od linii stacjonarnych, przez GSM, po G2. Kiedy w tej ostatniej napotkał problem z kontraktami krajowymi, bo okazało się, że dysponuje za małym kapitałem, otworzył się na współpracę z zagranicą, szczególnie na rynkach rozwijających się. Wkroczył do Afryki, Ameryki Południowej, na Bliski Wschód i do Rosji, gdzie przy wsparciu Pekinu tylko w 2001 roku osiągnął sprzedaż przekraczającą 100 mln dol.⁶ Ale przełom nastąpił dopiero pięć lat później, kiedy Huawei wyprodukował miniaturowy i – jak na ówczesne warunki – bardzo szybki modem HSDPA USB. Zachwylił nim operatorów i konsumentów w kilkudziesięciu krajach.

Dzięki wsparciu, a raczej specjalnym ścieżkom kredytowym w państwowych bankach, w tym w China Development Bank, Huawei ze szczególnym impetem wkroczył do Afryki. Zyski ze świata przydały się w 2010 roku, gdy zaczęto wdrażać sieć 3G. Przedsiębiorstwo miało już środki, by zdobyć ponad 30 proc. chińskiego rynku. Co więcej, w 2009 roku firma Rena zaczęła prace badawcze nad technologią 5G. To był potężny skok do przodu. Pamiętajmy, że był to świat przed rewolucją powszechnego, szybkiego internetu LTE, który umożliwił działanie urządzeniom mobilnym z prawdziwego zdarzenia. Steve Jobs zaś dopiero co zaprezentował pierwsze iPhone’y. Nawet same Chiny czekały jeszcze na

ogłoszenie planu Made in China 2025, który między innymi właśnie 5G wskazał jako technologię kluczową dla rozwoju całego kraju.

Tak szybka inwestycja w 5G była możliwa dzięki temu, że Huawei wszedł do Europy. Strategia, jaką zastosował w tym celu Ren, odwoływała się do koncepcji znanej jeszcze z czasów Mao, a opisaney w eseju z 1937 roku *W sprawie sprzeczności*. Sprowadzała się ona w wielkim skrócie do skupiania się na jednej kluczowej operacji⁷. Skoro 90 proc. europejskiego rynku było w rękach kilku paneuropejskich operatorów: Vodafone, Orange, T-Mobile i Telefoniki, Huawei zaczął od nawiązania ścisłej współpracy z jednym z nich. Padło na Vodafone, dzięki czemu chińska firma pojawiła się ze swoim sprzętem od razu w 21 państwach, w tym w Hiszpanii (gdzie dostarczyła sprzęt do 70 proc. sieci), Grecji, Rumunii i na Węgrzech.

Wtedy po urządzeniu prężnej spółki z Shenzhen zaczęli się coraz chętniej zgłaszać mniejsi operatorzy, jak choćby czwarty telekom w Polsce, czyli P4, operator sieci Play. Wystartował w 2007 roku, a już dwa lata później zaciągnął w China Development Bank 490 mln euro pożyczki – w ogromnej mierze na rozbudowę infrastruktury, do której to Huawei dostarczył sprzęt.

Tak dokapitalizowana firma mogła zacząć coraz więcej inwestować. Także w smartfony. Owszem, pierwszy model – z 2003 roku – okazał się niewypałem, ale kiedy Huawei podpisał globalną umowę z T-Mobile i wprowadził na rynek swój premierowy smartfon z systemem Android, spotkał się ze znacznie cieplejszym przyjęciem.

Przełomem pod wieloma względami okazał się jednak rok 2013. To wtedy zaprezentowano pierwszy model z serii Mate, który wkrótce stał się flagowym produktem Huawei. Wówczas wprowadzono tańszą submarkę Honor. Wtedy też ta chińska firma została drugim największym, po szwedzkim Ericssonie, producentem sprzętu do budowy sieci.

I wtedy też zaczęły się nad nią zbierać z dnia na dzień coraz ciemniejsze chmury.

Zimno, zimniej, 5G

Piętnastego listopada 2012 roku, po zakończeniu XVIII Zjazdu Komunistycznej Partii Chin w Wielkiej Hali Ludowej, wyszedł do dziennikarzy nowo wybrany sekretarz generalny: Xi Jinping. Pewny siebie, pełen wigoru, uśmiechnięty. Był to pierwszy sekretarz urodzony już w komunistycznych Chinach. Mówił o tym, że podjął się wielkiego zobowiązania wobec wielkiego narodu. Na koniec dodał: „To ludzie są autorami historii. To masy są prawdziwymi bohaterami i źródłem siły. Mamy świadomość, że możliwości jednostki są ograniczone, ale tak długo, jak pozostaniemy zjednoczeni, nie będzie trudności, której nie przezwyciężymy”⁸.

Już wtedy można było wyczuć nadciągającą zmianę. Sinolog i były ambasador w Chinach Bogdan Góralczyk całą swoją książkę zatytułowaną *Wielki renesans* poświęcił „głębszym procesom zachodzącym w chińskiej zbiorowej mentalności”. Kluczowe było to, że kryzys 2008 roku „uświadomił chińskim przywódcom, iż sytuacja międzynarodowa gruntownie się zmieniła. W ich, jak zwykle trzeźwej, ocenie dotychczasowy hegemon, USA, stracił swój status jedynowładcy, przynajmniej w sensie gospodarczym i finansowym. Świat szybko ponownie stawał się wielobiegunowy, rosła bowiem rola tzw. wschodzących rynków (*emerging markets*), począwszy od Chin, które jeszcze do tej cezurzy dosyć powszechnie określano jednym terminem: Trzeci Świat”⁹.

Głośny plan Made in China 2025, zakładający, że Chiny dokonają wielkiego skoku cywilizacyjnego i gospodarczego dzięki nowym technologiom, ogłoszono dopiero w 2017 roku. Ale od samego początku rządów Xi Jinpinga nie było tajemnicą, że siłą napędową tego nowego „wielkiego renesansu” – jak ten kiedyś, możliwy dzięki wynalazkowi druku, prochu i nawigacji – będzie sztuczna inteligencja, robotyka, internet rzeczy, pojazdy autonomiczne oraz właśnie sieć piątej generacji. Choć Chiny powtarzają jak mantrę koncepcję pokojowego wzrostu, to ich przywódcy doskonale zdali sobie sprawę, że strategiczny cel, jakim jest osiągnięcie do 2049 roku (na stulecie ChRL) pozycji pierwszego mocarstwa świata, wymaga zrzucenia z tej pozycji Stanów Zjednoczonych. A tego nie uda się

zrobić bez ich pokonania na polu gospodarczym, technologicznym, kulturowym i wojskowym.

Henry Kissinger, były sekretarz stanu USA, który stał za nawiązaniem kontaktów z Chinami podczas prezydentury Nixona, w potężnej książce *O Chinach* (wydanej w 2011 roku) do najnowszych wydarzeń odnosi się ledwie na ostatnich 50 stronach, ale nie pozostawia złudzeń: Państwo Środka dąży do globalnej przewagi taktycznej. A ta, jak pisze Kissinger, ma oznaczać „nadejście złotego wieku azjatyckiej prosperity, w której chińskie towary, kultura i wartości będą wyznaczać światowe standardy”¹⁰.

I ta diagnoza właśnie około dekady temu zaczęła przenikać do świadomości Zachodu. Berliński think tank Instytut Badań nad Chinami Mercator (MERCIS) powstał właśnie w 2012 roku¹¹ i szybko zdiagnozował, że Pekinowi zależy na „zbudowaniu supermocarstwa technologicznego”, w czym kluczową rolę odgrywa zastąpienie obcych technologii własnymi. Przy czym „własne” w rzeczywistości oznacza: będące pod kontrolą rządu. Bo – co nie jest tajemnicą – nawet „przedsiębiorstwa społeczne” w Chinach nie korzystają z pełnej swobody działalności.

Michał Bogusz z Ośrodka Studiów Wschodnich na początku 2021 roku w ogóle nie był tym zaskoczony. Mówił mi wtedy tak: „Chińskie big techy partia hodowała jak w szklarni. A że był to początek XXI wieku, czyli czas boomu gospodarczego w Chinach i łatwego dostępu do kapitału, to można było rzeczywiście sporo zdziałać”¹². Tyle że za takie wsparcie firmy były zobowiązane okazywać wdzięczność i posłuszeństwo. Zarówno swoim partyjnym patronom, jak i szerzej – władzy. Dlatego Ren Zhengfei zapytany przez „Time”, czy jest członkiem partii, potwierdził bez wahania i dodał: „Członkiem partii można zostać, jeżeli ma się wiarę i uczestniczy się w sesjach szkoleniowych. (...) Mam poczucie lojalności – wobec moich klientów. Jeśli chodzi o Komunistyczną Partię Chin, jest ona lojalna wobec Chińczyków”¹³.

Moment, w którym Xi zaczął już otwarcie mówić o chińskich ambicjach, był też momentem, gdy Zachód, czyli głównie Stany Zjednoczone, zaczął się bliżej

przyglądać biznesowym i technologicznym czempionom Państwa Środka. Właśnie w 2012 roku komisja ds. wywiadu Izby Reprezentantów po raz pierwszy zaczęła ostrzegać amerykańskie firmy przed robieniem interesów z Huawei. Powód: podejrzenie o powiązania z chińskimi służbami. Spora część branży technologicznej wyśmiała przygotowany wtedy raport jako niesolidny i pozbawiony twardych dowodów.

Ale alarmujące sygnały służby kolejnych państw wysyłały już wcześniej. Australia w 2011 roku wykluczyła Huawei z możliwości brania udziału w przetargach na krajową infrastrukturę sieciową, powołując się na względy bezpieczeństwa narodowego. Indie – największy konkurent Chin w Azji – podjęły bezprecedensową decyzję o skontrolowaniu chińskiego sprzętu telekomunikacyjnego, w tym modemów Huawei, pod kątem obecności programów monitorujących transmisję danych. Po tej kontroli Delhi zaprosiło do współpracy tylko firmy z Izraela, Kanady i USA.

Czeski senator Pavel Fischer mówi, że w jego ojczyźnie właśnie w tym momencie, gdy Huawei pojawił się jako dostawca infrastruktury, zaczęły się niektórym politykom i ekspertom zapalać czerwone lampki. W Polsce jesienią 2011 roku „Dziennik Gazeta Prawna”¹⁴ opisał tajemnicze przekazanie sprzętu od Huawei do Centrum Projektów Informatycznych MSWiA. Tajemnicze, bo samo ministerstwo nie do końca wiedziało, na jakich odbyło się to zasadach. CPI to była ważna jednostka zajmująca się organizacją przetargów na wykonanie najważniejszych w państwie systemów informatycznych. Dopiero po ujawnieniu tej informacji resort spraw wewnętrznych zaczął sprawdzać, co też jego urzędnicy dostali i od kogo.

Chwilę później pojawił się kolejny raport, tym razem przygotowany dla parlamentu brytyjskiego, w którym ostrzegano, że „domniemane związki Huawei z chińskim państwem budzą niepokój i każą zadać sobie pytanie, czy intencje firmy mają naturę ściśle biznesową, czy też są bardziej polityczne”. „The Sunday Times”¹⁵, korzystając ze źródeł w MI5, opisał stosowaną przez Chińczyków taktykę prezentów. Wiele darowanych – na przykład biznesmenom ze

strategicznych koncernów przy okazji targów – komputerów było zainfekowanych programami szpiegowskimi. Nie wskazywano bezpośrednio na Huawei, ale nie było już wtedy innego równie popularnego dostawcy sprzętu z Chin.

Chcąc uciąć te spekulacje, Huawei zgodził się na stworzenie w Wielkiej Brytanii specjalnego ośrodka, w którym tamtejsze władze będą mogły sprawdzać jego oprogramowanie pod kątem tzw. *back doors*, czyli ścieżki, która pozwala się dostać do systemu choćby służbom specjalnym.

Wszystkie te obawy, sygnały od służb, analizy podkreślające, że Huawei tylko wygląda na firmę jak każda inna, po dojściu do władzy Donalda Trumpa wręcz eksplodowały. Nowy prezydent USA rozpoczął wojnę celną z Chinami i szybko ogromną część protekcjonistycznych działań przeorientował na ograniczanie wpływów chińskich firm. A Huawei stał się ich symbolicznym uosobieniem. W czasie gdy chiński gigant świętował już globalne sukcesy – w 2017 roku sprzedał na całym świecie 153 mln smartfonów, co dało mu 11 proc. udziału w globalnym rynku, a na swoim macierzystym stał się niekwestionowanym liderem – służby USA podjęły kampanię kontrolowania firmy i wyciągania jej kolejnych brudów.

Między lutym 2018 a lutym 2019 roku na Huawei spadał istny grad ciosów. Dyrektor FBI Chris Wray oficjalnie ostrzegał przed zakupem telefonów tej firmy. Pentagon zakazał ich nabywania do amerykańskich baz wojskowych. Stany Zjednoczone z hukiem wyeliminowały Huawei najpierw z budowy tamtejszej sieci 5G, a następnie – pod wpływem wspólnych apeli służb specjalnych (CIA, FBI i NSA) – z listy dostawców sprzętu dla instytucji publicznych. Federalna Komisja Łączności zaproponowała blokowanie każdego operatora, który używa infrastruktury pochodzącej od tej chińskiej firmy.

Australia zapowiedziała, że wykluczy Huawei z budowy sieci 5G. Wielka Brytania ogłosiła, że nie tylko podejmie podobne kroki w stosunku do 5G, lecz także zażąda od swoich telekomów wyczyszczenia już postawionej sieci 4G ze sprzętu tej firmy. Wreszcie pod koniec 2018 roku w Kanadzie została zatrzymana Meng Wanzhou, wiceprezes firmy i córka Rena. Powód: oskarżenie, że firma

łamała embargo i sprzedawała sprzęt Iranowi. A jakby tego było mało, ze współpracy z Huawei wycofali się tymczasem AT&T, największy operator w Stanach, oraz sieć sklepów Best Buy.

Ale choć ciosy wymierzano w tempie godnym kina kung-fu, firma wciąż miała się nadzwyczaj dobrze i przeskakiwała w globalnej sprzedaży Apple'a, stając się drugim (po koreańskim Samsungu) największym producentem smartfonów. A w coraz śmieiej nadciągającej technologii 5G nie miała sobie równych. Był to już moment, gdy nowa generacja sieci rozgrzewała nie tylko biznes telekomunikacyjny. Wizja, że dzięki superszybkemu i wysokoprzepustowemu internetowi pojawią się inteligentne miasta z prawdziwego zdarzenia, że drogami pojadą autonomiczne samochody, a przemysł przejmą roboty, stała się pożywką dla masowych wyobrażeń o rychłej cyfrowej rewolucji. Firmy związane z telekomunikacją obiecywały, że 5G to kwestia kilku miesięcy, niezbędny sprzęt jest już przecież gotowy. I stacje, i routery, a nawet telefony. W ogromnej części właśnie od Huawei, bo oferowały najlepszą jakość w relacji do ceny.

A że cena, zwłaszcza w Europie Środkowej, nadal czyni cuda, to tam właśnie trwał w najlepsze triumfalny marsz tej firmy przez kolejne państwa. Na Węgrzech Huawei zbudował sobie w 2009 roku centrum dostaw urządzeń sieciowych i montażu, a w 2018 – hub odpowiedzialny za działania w chmurze. Rok później zapowiedziano rozbudowę centrum dostaw i inwestycję rzędu 5 mld dol. Sprzęt tej firmy wykorzystano też do budowy systemu ratunkowego, a w 2015 roku węgierska państwowa firma informatyczna wraz z Huawei wygrała przetarg na wdrożenie specjalnej infrastruktury sieciowej (LTE 450 MHz) dla instytucji publicznych, służb ratowniczych, placówek oświatowych, służby zdrowia oraz państwowych firm.

W Belgradzie w tym czasie kupowano kamery do projektu *safe city*. Także w Chorwacji, przy okazji spotkania premierów Li Keqiang i Andreja Plenkovicia, podpisano z Huawei memorandum na dostawę sprzętu do budowy infrastruktury *smart city*, inteligentnego miasta przyszłości. W Rumunii większość infrastruktury sieci 3G i 4G zbudowano na sprzęcie Huawei. Identycznie jak w Polsce. Choć

żaden operator nie chce podać dokładnych danych, to eksperci nie mają wątpliwości: do budowy 60–70 proc. polskiej sieci szerokopasmowej użyto sprzętu z Shenzhen.

Do końca 2018 roku atmosfera wokół Huawei była tak entuzjastyczna, że szef gabinetu politycznego premiera Marek Suski z zachwytem zapowiadał, że Huawei ma otworzyć centrum naukowo-techniczne gdzieś w okolicach Warszawy. Co więcej, firma została oficjalnym partnerem Porozumienia na rzecz Strategii 5G dla Polski.

Tymczasem w Czechach tuż przed Bożym Narodzeniem 2018 Krajowa Agencja Bezpieczeństwa i Cyberbezpieczeństwa Republiki Czeskiej (Národní úřad pro kybernetickou a informační bezpečnost – NÚKIB) – tamtejszy kontrwywiad – ku wściekłości prezydenta Miloša Zemana opublikowała oficjalny komunikat, w którym ostrzegała operatorów telekomunikacyjnych przed współpracą z Huawei i ZTE przy realizacji inwestycji 5G. Jakby tego było mało, *de facto* zakazała używania sprzętu tej firmy w infrastrukturze krytycznej. A przecież ledwie rok wcześniej Zeman, prezes czeskiego Huawei oraz CEO firmy Czechinvest podpisali umowę, zgodnie z którą Huawei miał w najbliższych latach zainwestować w Czechach 8,5 mld dol.

Suma wszystkich gier i gierek

W takiej właśnie atmosferze doszło do aresztowania Staszka Wanga i Piotra D.

I każdy mógł je odczytać tak, jak mu było wygodnie. Ambasada Chin i wszyscy lobbujący za inwestycjami z Chin widzieli w nim oczywisty dowód na to, że „Polska chodzi na pasku USA”. Ostrzegający przed narastającą rolą Państwa Środka – przykład mechanizmów jego działania i metod, jakich używa się w celu budowy „technologicznego supermocarstwa”.

To, że Stany Zjednoczone naciskały na sojuszników, w tym Polskę, by Huawei zablokować, było widoczne gołym okiem. Przecież zapadła decyzja o wpisaniu tej

firmy na tzw. czarną listę. Oznaczało to odcięcie jej od wszelkich dostaw i usług amerykańskich firm. Sytuacja była tak poważna, że nawet chińska firma SIMC, produkująca procesory, ale z wykorzystaniem amerykańskich rozwiązań, nie dostała zgody rządu USA na dostarczanie swoich produktów do Huawei. Przede wszystkim jednak Huawei został odcięty od Google, czyli systemu operacyjnego Android, najpopularniejszego oprogramowania dla smartfonów.

Już w połowie 2021 roku ruszył Harmony – system operacyjny, który ma zastąpić Androida. Trudniej szło firmie przekonywanie twórców popularnych aplikacji, by zdecydowali się na niego przesiąść. Biznesmen Stefan Batory, twórca iTaxi, a później popularnej aplikacji do rezerwowania usług Booksy, opowiadał mi, jak Huawei próbował jego firmę namawiać do wejścia na Harmony. „Musieliśmy jednak zrezygnować, bo automatycznie oznaczałoby to wyrzucenie nas z rynku amerykańskiego. Oczywiście nieobecność na Harmony oznacza utratę klientów korzystających z Huawei, tyle że dla nas kluczowy jest jednak iOS, z którego korzysta około 80 proc. naszych klientów” – zdradza Batory i dodaje, że Chińczycy próbowali czarować, że mają wypracowaną specjalną ścieżkę do obejścia amerykańskiego bana, ale nie chciał nawet eksperymentować z takimi metodami.

Kiedy centrala firmy mierzyła się z koniecznością ekspresowego stworzenia własnego systemu operacyjnego, w Polsce, po oskarżeniach o szpiegostwo, Huawei stał się gorącym kartoflem. Politycy co chwilę zmieniali zdanie, co z nim zrobić. A to zarzekali się, że potrzeba audytu, żeby sprawdzić, jak bardzo kraj jest uzależniony od tej firmy, i zapowiadali zmiany w prawie, które miały go wykluczyć z budowy sieci 5G. Za chwilę jednak się wycofywali i mówili już tylko o zapewnieniu bezpieczeństwa aukcji i czekaniu na wyniki śledztwa.

W podobny stan rozedrgania wprowadził się cały region, a właściwie cała Europa. Decyzje zmieniały się jak w kalejdoskopie. Gdy jedno państwo ogłaszało, że ograniczy zakusy Huawei, to władze kolejnego podkreślały, że nie widzą najmniejszego problemu we współpracy z chińską firmą. Wszyscy kombinowali, jak tu zjeść ciastko i mieć ciastko.

Latem 2020 roku do Europy Środkowej wyruszył z misją Mike Pompeo, nazywany „antychińskim jastrzębiem Trumpa”. Oficjalnie podróż sekretarza stanu miała się toczyć wokół zwiększenia liczby amerykańskich żołnierzy na wschodniej flance NATO, ale nie było tajemnicą, że kluczowe było lobbowanie w sprawie sieci 5G. Administracja Trumpa właśnie ogłosiła program Clean Network, zakładający oczyszczenie sieci z chińskiego sprzętu i oprogramowania, i próbowała do niego wciągnąć swoich sojuszników. Ale szło to opornie i właściwie tylko Albania i Rumunia z miejsca zdecydowały się przyłączyć do memorandum. Andreea Brînză, wiceszefowa Rumuńskiego Instytutu Analiz Azja–Pacyfik, uważa, że jej krajem kierował „czynnik rosyjski”¹⁶, czyli konieczność utrzymania amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa z obawy przed zagrożeniem ze strony Rosji. Dokładnie takie same uzasadnienia było słycać z Litwy, Łotwy i Estonii.

Ale już Czechy wcale nie paliły się iść na rękę Pompeo i Trumpowi. I to mimo że ich służby były przecież stanowczo na nie w stosunku do inwestycji z Huawei. Nastroje w Pradze ochłodziła reakcja Chin na raport NÚKIB. Na „efekt Dalajlamy” – czyli dyplomatyczne oburzenie Pekinu za każdym razem, gdy poruszany jest temat wolnego Tybetu – wszyscy byli już przygotowani, ale reakcje Pekinu w związku z technologią 5G były poważnym zaskoczeniem. „5G było poddane silnym atakom w Czechach” – mówi senator Pavel Fischer. „Lobbingsowym i dyplomatycznym. Wrogość, z jaką zareagowały Chiny, była naprawdę zaskakująca” – dodaje.

Premier Andrej Babiš tuż po informacji od służb o Huawei spotkał się z ambasadorem Chin. Ten po tym spotkaniu publicznie ogłosił, że Babiš przyznał, że opinia czeskiego wywiadu była „błędem”. Szef rządu jednak bardzo ostro zareagował i zaprzeczył: „Nigdy nie powiedziałem, że rząd zobowiązał się do naprawienia błędów popełnionych w związku z alarmem służb. To, co zrobił ambasador ChRL, jest niesłychane i nie do zaakceptowania”.

Huawei też przestał się patyczkować. W Czechach zagroził, że za wykluczenie go z przetargu resortu finansów na stworzenie portalu Moje daně, wartego pół miliarda koron (około 19,5 mln euro), firma będzie się domagała nie tylko

unieważnienia tego postępowania, ale wręcz „rozważy wszystkie opcje”, w tym wystąpienie do międzynarodowego arbitrażu z wnioskiem o astronomiczne odszkodowanie.

Przede wszystkim jednak firma Rena Zhengfeia zdecydowała się na lobbingsowy kontratak na wszelkich rynkach. Frank Jüris z think tanku zajmującego się polityką zagraniczną Eesti Välispoliitika Instituut podkreśla, że świadomość społeczna Estończyków wzrosła – bardziej nawet niż pod wpływem oskarżeń o związki z chińskimi władzami – po tym, jak Huawei zatrudnił agencję PR Powerhouse, w której pracują byli ministrowie. „Przecież były polityk, jeden z zatrudnionych tam eksministrów, uczestniczył w posiedzeniu za zamkniętymi drzwiami w parlamencie i w nim przemawiał, miał dostęp do informacji dotyczących bezpieczeństwa, które naprawdę powinny być zarezerwowane dla wybranych urzędników. To było bardzo niepokojące i dzięki mediom stało się szerzej znane. Sieć 5G nagle opuściła wyspecjalizowaną niszę i wyszła na niwę otwartych polityczno-społecznych dyskusji” – mówi mi Jüris, ale dodaje, że tym bardziej skłoniło to Estonię do usztywnienia kursu i zbanowania chińskiej firmy.

W Polsce w tym czasie wokół 5G zaczęły się dziać coraz dziwniejsze historie. Aby móc uruchomić sieć kolejnej generacji, potrzebne jest uwolnienie do niej nowych częstotliwości. Zapadła więc decyzja, że na 5G zostaną przeznaczone trzy niezagospodarowane pasma 700 MHz, 3,4–3,8 GHz i 26 GHz. Ale tylko to drugie nadawało się do szerokiego zastosowania, bo pozwala podłączyć wiele urządzeń w tym samym czasie, i to na gęsto zabudowanych obszarach. Oczywiście nawet częstotliwości nie są z gumy, więc by każdy z operatorów miał do nich dostęp, Urząd Komunikacji Elektronicznej ogłosił aukcję na cztery specjalne bloki o troszkę innych parametrach, czyli po jednym dla każdego operatora. Aukcję, bo operatorzy mieli proponować stawki opłat według własnego uznania, ogłoszono pod koniec 2019 roku. Miała być rozstrzygnięta w połowie kolejnego roku, by telekomy mogły podjąć inwestycje (wciąż nie wiadomo było, czy będą mogły korzystać z Huawei) i uruchomić 5G już w roku 2021.

Niespodziewanie w kwietniu 2020 roku, w środku nocy, na przyspieszonych obradach Sejmu w czasie pierwszego lockdownu, gdy procedowano zmiany w prawie wprowadzające tzw. tarczę antycovidową chroniącą przedsiębiorców, jeden z posłów PiS zgłosił poprawkę, która... wyrzuciła aukcję (wraz z ówczesnym szefem UKE) do kosza. Nocna zmiana wprowadziła wszystkich w osłupienie. Jakie było uzasadnienie poprawki, która przeszła głosami posłów PiS? Aukcja na 5G nie jest wystarczająco dobrze zabezpieczona od strony cyberbezpieczeństwa i nie spełnia pod tym kątem wymogów Komisji Europejskiej. Najpierw trzeba znowelizować ustawę o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa, a potem ogłosić aukcję raz jeszcze.

Specjalna nowelizacja pojawiła się dosyć szybko. A w niej zapis, że działające przy Radzie Ministrów Kolegium ds. Cyberbezpieczeństwa „może przeprowadzić (...) ocenę ryzyka dostawcy sprzętu i oprogramowania istotnego dla cyberbezpieczeństwa podmiotów krajowego systemu”¹⁷. O Chinach czy Huawei nie padło ani słowo, ale sygnał był jasny: oto furka do ewentualnego wykluczenia firmy.

Kiedy jednak projekt nowelizacji wyciekł, w polskich mediach posypały się zgoła odmienne tytuły: „Polski rząd szykuje ban na TikToka”, „TikTok na celowniku Ministerstwa Cyfryzacji”. Napisała o tym Wirtualna Polska¹⁸, jeden z największych portali informacyjnych, dokumenty „ujawnił” także tygodnik „Wprost”¹⁹. Dlaczego media nagle pisały o TikToku, a nie o Huawei? Za tymi publikacjami stała agencja PR byłego kontrowersyjnego polityka związanego z prawicą, która je kolportowała, tłumacząc dziennikarzom, że w nowym prawie jest ukryty haczyk, który może każdą chińską usługę, nawet niewinną, wyrzucić z rynku.

Mgła informacyjna spotęgowała zamieszanie. Równocześnie Huawei alarmował, że wykluczenie go będzie wielką ekonomiczną stratą dla Polski – rzędu nawet 44 mld zł²⁰. Wyliczyła to na zlecenie chińskiej firmy międzynarodowa kancelaria prawna Dentons i firma analityczna Audytel, a media chętnie tę kwotę podchwyciły.

Staszek Wang zaś już od dwóch lat siedział w areszcie i pisał do swojej żony przez pracowników ambasady i obrońcę: „Twoje wątłe ramię musi wziąć na siebie cały ten ciężar, nie można zniszczyć życia osoby, która ma słońce w sercu”.

Wycieczki, restauracje, pochlebstwa

Z jednym z ekspertów doradzających polskim urzędnikom w kwestii bezpieczeństwa cyfryzacji umawiam się na kawę w hotelu Victoria. Miejsce jest wygodne, bo ledwie pięć minut od gmachu resortu cyfryzacji, ale zarazem trochę symboliczne. W PRL-u Victoria była wyspą luksusu, która przyciągała każdego, kto miał kontakty i pieniądze. Dlatego cały hotel był naszpikowany podsłuchami: były w pokojach, w restauracji, na korytarzach. „Chyba nikt nie jest zaskoczony tym, że służby wciąż interesują się Polską i w ogóle naszym regionem. Ale muszę przyznać, że stawiałbym na te rosyjskie, białoruskie. Co do Chin, to latami byliśmy dla nich za mali, za mało interesujący, nieważni” – mówi mój rozmówca.

Sprawy związane ze szpiegostwem nie są w Europie Środkowej na porządku dziennym – o ile nie są to zarzuty związane z działaniami na rzecz Rosji. Tym bardziej zaskakiwała sprawa Wanga oraz D. Jednakże w tym samym czasie wątki związane z działaniem chińskiego wywiadu i z próbami zwerbowania ekspertów z Europy zaczęły się mnożyć.

W Tallinie wszystko rozegrano po cichu, ekspresowo i z niemal chirurgiczną precyzją. W marcu 2021 roku tamtejszy sąd skazał naukowca specjalizującego się w badaniach morskich na trzy lata więzienia za zaangażowanie w działalność wywiadowczą przeciwko ojczyźnie i na rzecz Chińskiej Republiki Ludowej. Sprawa była tajna, ale wyrok nie.

Okazało się, że chodziło o 57-letniego Tarmo Kõutsa zatrzymanego ledwie pół roku wcześniej, bez udziału mediów. Prokuratura szybko przygotowała akt oskarżenia. Zresztą – jak podał Aleksander Toots²¹, zastępca dyrektora KaPO (Kaitsepolitseiamet), czyli estońskiego wywiadu – naukowiec przyznał się do winy,

ale zapewniał, że przekazał jedynie swoje spostrzeżenia i anegdoty na temat swojej pracy, a nie żadne „poufne informacje wojskowe”. Do werbunku doszło w 2018 roku na terenie Chin, przeprowadziło go chińskie Biuro Wywiadu Departamentu Sztabu Połączonego Centralnej Komisji Wojskowej – jak nazywa się tamtejsza agencja wywiadu wojskowego. Chinom zależało na Kõutsie, bo miał być tzw. głównym źródłem na kluczowym stanowisku z dostępem do informacji poufnych.

Estoński naukowiec, choć nie brylował w mediach ani nie miał bliskich znajomych wśród polityków, mógł być cennym narybkiem. Przez osiem lat, do 2014 roku, był członkiem komitetu naukowego Ministerstwa Obrony, a w latach 2006–2012 członkiem komitetu naukowego Centrum Badań i Eksperymentów Morskich NATO.

Prokurator Inna Omblar powiedziała estońskim mediom, że chiński wywiad jest zainteresowany osobami, które posiadają informacje dotyczące bezpieczeństwa Republiki Estońskiej, Unii Europejskiej i jej partnerów, ale nie może zdradzić, co konkretnie Tarmo Kõuts przekazał chińskiemu wywiadowi. Ujawniono za to, że skonfiskowano mu 17 tys. euro, które miał otrzymać za wypełnione zadania. Metodami na przekonanie go do współpracy było finansowanie wycieczek oraz eleganckich posiłków w restauracjach z gwiazdkami Michelin.

Podobnych spraw w Europie ujawniono w ostatnich latach kilka. W kwietniu 2018 roku funkcjonariusz chińskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego Zhang Hui został aresztowany w Belgii za pomoc w hakowaniu amerykańskich wykonawców obrony powietrznej i kosmicznej. Ledwie kilka miesięcy później belgijska służba bezpieczeństwa wszczęła śledztwo w sprawie działań Centrum UE–Azja w związku z ich powiązaniem z dwoma zidentyfikowanymi oficerami chińskiego wywiadu. Jeden z nich działał pod przykrywką dziennikarza.

Związany ze służbami ekspert, z którym rozmawiam w Victorii, zwraca mi uwagę nie tylko na to, że chińska aktywność nasiliła się, odkąd do władzy doszedł Trump i rozpętał handlową oraz technologiczną wojnę z Chinami, lecz także na chiński *modus operandi*. Do werbunków często dochodzi podczas wycieczek do

Chin finansowanych przez think tanki, używane do osłony całej akcji. Do współpracy wciąga się ludzi, którzy mają poczucie osobistego niedoceniaenia, przynętą są stypendia, ciekawe wyjazdy, lepsze towarzystwo.

Podobnie portalowi Insider mówiło źródło powiązane ze służbami w Belgii: „Sieć budowano od około pięciu lat. Po raz pierwszy zobaczyliśmy gigantyczny wzrost aktywności w Brukseli, ponieważ było oczywiste, że chińska misja UE była wykorzystywana jako przykrywka. W 2019 roku stało się jasne, że Chińczycy przekierowali aż 250 oficerów wywiadu do różnych misji w obrębie UE i jej uczelni”²².

Działania tych ludzi łączy podobny cel. Pisał o nim na początku 2021 roku estoński wywiad Välisluureamet. W dotyczącym Chin rozdziale podkreślono, że w obliczu narastającej konfrontacji z Zachodem głównym celem Pekinu jest stworzenie podziału między Stanami Zjednoczonymi a Europą. Największe zagrożenie wiąże się jednak z zainteresowaniem Pekinu strategicznymi połączeniami infrastrukturalnymi w rodzaju podmorskiego tunelu Tallin–Helsinki oraz ekspansją chińskich technologii.

W raportach litewskich służb wątki dotyczące Chin pojawiają się od kilku lat i z roku na rok jest ich coraz więcej; w tym z 2021 roku można przeczytać, że Chiny i Rosja, pod przykrywką tropienia kontaktów osób zarażonych COVID-19, rozszerzają zakres śledzenia mieszkańców Litwy i przybyszów z zagranicy oraz starają się polepszyć własny wizerunek. Na Łotwie już w 2020 roku Biuro Ochrony Konstytucji (SAB) wymieniło Chiny na równi z Moskwą jako główne zagrożenie cybernetyczne dla NATO i Unii Europejskiej.

Māris Andžāns, dyrektor Centrum Studiów Geopolitycznych w Rydze, nie ma wątpliwości: „Oczywiście, że dziś wszyscy patrzymy na Moskwę, trudno w takich państwach jak moje nie widzieć w Rosji głównego, wręcz śmiertelnego zagrożenia”. Spotykamy się ledwie cztery dni po tym, jak Rosja zaatakowała Ukrainę, i cała Ryga, w której przecież wciąż około 40 proc. mieszkańców to Rosjanie, jest oflagowana na niebiesko-żółto. „Ale każdy, kto patrzy odrobinę szerzej i zwraca uwagę na powiązania globalne, wie, że Pekin jest częścią układu,

któremu zależy na obaleniu obecnego *status quo*. Tak jak Rosja postrzega Ukrainę oraz kraje bałtyckie, widząc w nich swoją strefę wpływów, tak Chiny patrzą na Tajwan, lecz nie tylko. Na Łotwie, Litwie i w Estonii dosyć szybko zauważyliśmy te powiązania i uzależnienie naszego bezpieczeństwa również od ambicji Chin i sposobu, w jaki je będą realizować. Mam wręcz wrażenie, że ta świadomość pojawiła się u nas szybciej niż w innych większych krajach regionu” – dodaje Andžāns.

W takim przekonaniu utwierdza kolejny, datowany już na rok 2022, raport estońskich służb, w którym zaalarmowały, że ambasada Chin w Tallinie zgromadziła adresy e-mailowe obywateli i mieszkańców Estonii, aby wykorzystać je w swoich najnowszych działaniach propagandowych. Co więcej, zaczęła namierzać konkretne osoby, których aktywność jest postrzegana jako zagrażająca Pekinowi. Estoński wywiad wyjaśnia, że przykładem takiej taktyki są bezprecedensowe sankcje, jakie Pekin nałożył na cztery organizacje w państwach członkowskich UE oraz na dziesięć konkretnych osób: pięciu europosłów, trzech posłów parlamentów krajowych oraz dwóch ekspertów w dziedzinie Chin.

Ale co ważne: w żadnej z tych spraw nie pojawił się nawet poboczny wątek wskazujący na Huawei.

Przedmiot sporu

Ponad trzy lata od zatrzymania Staszka Wanga i Piotra D. ich proces wciąż się toczy. Wang tuż po zatrzymaniu został z Huawei zwolniony. Choć firma podkreślała, że nie wierzy w jego winę, dodawała również, że nie może sobie pozwolić na to, by pracował w niej człowiek z zarzutami, bo to psuje jej wizerunek. Z D. też umowy o pracę rozwiązały i Orange, i Wojskowa Akademia Techniczna, gdzie wykładał. Piotr D. próbuje sobie jakoś układać życie zawodowe i dlatego, choć podkreśla swoją niewinność, prosi, aby nie podawać jego nazwiska w mediach. Wanga oficjalnie utrzymuje żona.

W Stanach Zjednoczonych Donald Trump przegrał wybory. Ale administracja Joe Bidena wcale nie wycofała się z działań wobec Huawei ani nie złagodziła polityki wobec Chin. Przeniosła za to ich największą moc rażenia na obszar państw Pacyfiku, które czują wyraźną presję Państwa Środka.

Po niemal trzech latach z aresztu domowego w Kanadzie została wypuszczona wiceprezes Huawei Meng Wanzhou i triumfalnie wróciła do Chin. W odpowiedzi Chiny wypuścili dwóch Kanadyjczyków, Michaela Spavora i Michaela Kovriga, którzy od grudnia 2018 roku byli więzieni w ChRL pod zarzutem szpiegostwa. Zatrzymano ich zaraz po zaaresztowaniu córki założyciela Huawei Rena Zhengfeia.

Huawei w wyniku kolejnych sankcji nakładanych przez Stany Zjednoczone odnotował wyraźny spadek przychodów. W 2021 roku sięgnęły niecałych 100 mld dol. – a to o ponad jedną czwartą mniej niż rok wcześniej. To pierwszy taki roczny spadek przychodów od 2002 roku, od kiedy Huawei zaczął publicznie przedstawiać swoje raporty finansowe. Najwięcej – aż połowę – stracił na sprzedaży smartfonów. Sprzedaż sprzętu telekomunikacyjnego też wygenerowała straty, choć mniejsze: 7 proc. – i to mimo że firma się pochwaliła podpisaniem 3 tys. kontraktów komercyjnych na przemysłowe zastosowania 5G. Ale w Europie Środkowej tylko Węgry i Serbia zdecydowały się bez wahania na te umowy.

W Polsce przedstawiono już trzy wersje nowego prawa, które ma zapewnić budowanej sieci 5G bezpieczeństwo. Mniej więcej co kwartał najwyższy urzędnik odpowiedzialny za cyfryzację (w międzyczasie skasowano samo ministerstwo) zapowiada, że już za chwilę zostanie uchwalone. Bez wspomnienia z nazwy o Huawei.

Gdy piszę te słowa, mijają już dwa lata, odkąd wyrzucono do kosza aukcję 5G i usunięto szefa UKE. Następcę urzędnika powołano, ale aukcji wciąż nie ma i nawet jeśli przed opublikowaniem tych słów nowelizacja zostanie przyjęta, to bardzo możliwe, że i tak konkursu na sprzedaż częstotliwości nie uda się rozstrzygnąć w 2022 roku.

Nie ma ani wyroku w sprawie Wang, ani sieci 5G. Ren Zhengfei, założyciel Huawei, na jedno z pytań podczas konferencji w styczniu 2019 roku enigmatycznie

odpowiedział: „Jesteśmy niczym ziarenko sezamu, które utknęło w samym środku sporu między dwoma wielkimi mocarstwami”.

* * *

Zachodowi trudno to zrozumieć, ale w Chinach normą jest założenie, że każdy obywatel – nawet osoba prywatna – może być osobowym źródłem informacji, a nawet więcej: każdy ma obowiązek dzielić się obserwacjami z władzą. Ta sama zasada dotyczy zresztą firm. Państwu podlegają wszystkie – nawet te prywatne, nawet wielkie i silne korporacje. I to nie tylko dlatego, że muszą w nich działać komórki partii komunistycznej, ale ponieważ państwo funkcjonuje w skomplikowanej pajęczynie układów między partyjnymi politykami, lokalnymi decydentami i biznesem. Stąd właśnie wielka, globalna debata o roli Huawei i o tym, jak silnie ów technologiczny gigant jest związany ze służbami i z partią komunistyczną. Czy jest tylko lojalny, czy może już współodpowiada za realizowane przez państwo cele? I nie jest to wcale odległa debata – jej polem stało się niespodziewanie nasze własne podwórko.

ROZDZIAŁ 2

WSZYSCY LUDZIE PAŃSTWA ŚRODKA, CZYLI JAK DZIAŁAJĄ TYLNE DRZWI MIĘDZY POLITYKĄ A BIZNESEM

Podporządkuj sobie panów feudalnych, pokazując im potencjalne szkody, jakich mogą doznać; przysparzaj im pracy, zajmując licznymi sprawami, i skłaniaj ich, by gonili za korzyściami¹.

Historia Ye Jianminga jest niczym gotowy scenariusz na niezły polityczny serial, zarówno o mechanizmach władzy, jak i o międzynarodowej ekspansji. Ale także o tym, jak za pomocą kilku inwestycji wpłynąć na niemal całe społeczeństwo i przekonać je do zmiany priorytetów. Nie mówiąc już o tym, że akcja filmu o Ye Jianmingu rozgrywałaby się na fotogenicznych ulicach Pragi. Gdy zapytać czeskich polityków i ekspertów o tego chińskiego przedsiębiorcę, który nagle został doradcą prezydenta Miloša Zemana, wszyscy zgodnie powtarzają, że nie rozumieją, jak mogło dojść do takiej sytuacji.

Legenda, jaką w Czechach zbudował wokół siebie, głosiła, że jeszcze w latach 90. był prostym strażnikiem leśnym. W wieku zaledwie 20 lat nabył na aukcji akcje naftowe od pewnego biznesmena z jego rodzinnej prowincji, który musiał tam zwinąć swoje interesy. Jak, od kogo i za co? Tego Ye Jianming nigdy nie zdradził. Za to przekonywał, że tylko swoją pracą doprowadził do tego, aby w ciągu dwóch dekad stanąć na czele imperium biznesowego wycenianego na 44 mld dol.

Kilka lat później wszelki ślad po Ye zagaśniał i do dziś nie wiadomo, co się właściwie z nim stało. Ostatnie ślady pochodzą z jesieni 2018 roku, gdy – według

śledztwa chińskiej prokuratury – Ye Jianming miał korumpować jednego z sekretarzy Partii Komunistycznej z prowincji Gansu. Jedno wszak jest pewne: w apogeum swojej aktywności firma Ye CEFC China Energy była tak ściśle powiązana z chińskim rządem, że trudno było właściwie cele jednego i drugiego od siebie oddzielić. A ponadto miała w Czechach na tyle duże wpływy, by wywierać presję na decyzje najważniejszych polityków w państwie.

Ye przybył do Czech z od razu szeroko otwartym portfelem. Latem 2015 roku jako prezes CEFC zainwestował w najstarszy klub piłkarski w Czechach, czyli Slavię Praha. Za trochę ponad 78 mln dol. kupił niemal 80 proc. udziałów w browarze Pivovary Lobkowicz Group. Kupił też udziały w grupie lotniczej Travel Service (ówczesnie drugiej największej w kraju), w wydawnictwach Medea Group i Empresa Media oraz w banku inwestycyjnym J&T Finance Group. A na deser jeszcze dwa budynki w Pradze, jeden pod europejską siedzibę firmy, drugi, neorenesansowy – jako inwestycję.

Wyglądało to na zakupowy szal, szczególnie że przecież energetyczna spółka Ye nie miała nic wspólnego z żadnym z tych biznesów. Zakupy jednak były na tyle udane, że inwestor w 2016 roku zajął drugie miejsce na publikowanej przez magazyn „Fortune” liście 40 Under 402, czyli czterdziestu ludzi sukcesu przed czterdziestką.

Ten sukces nie byłby jednak możliwy, gdyby nie duża polityczna zmiana w Czechach.

Był nią wybór Miloša Zemana na prezydenta w 2013 roku, i to w pierwszych w tym kraju bezpośrednich wyborach prezydenckich. Po erze dwóch Václavów: Havla i Klause, którzy urząd prezydencki sprawowali po 10 lat, ale byli wybierani przez parlament, prezydentura Zemana miała przynieść powiew nowości. I przyniosła. Przy czym dosyć szybko się okazało, że był to powiew ze Wschodu, i to Dalekiego.

Zeman od pierwszych miesięcy podkreślał, że chce poprawić kontakty z Pekinem. W całym regionie klimat sprzyjał zbliżeniu z Chinami.

Ale jednak tylko Zeman, spośród wszystkich głów państw w Europie, zdecydował się na wyjazd do Pekinu w 2015 roku na rocznicę końca II wojny światowej, którą Chiny obchodziły z wielką pompą. Wyjazd okazał się przełomowy, bo to w jego trakcie Ye wyczuł okazję do wejścia nad Wełtawę. „Inwestycje podjęte przez CEFC nie miały większego ekonomicznego sensu dla firmy specjalizującej się w energetyce. To jasne, że miały raczej wymiar polityczny” – słyszę od Kateřiny Procházkovej z projektu Sinopsis, który analizuje wpływy Chin w regionie. „Dzięki nim Ye po cichu został mianowany specjalnym doradcą Zemana. Chinom zaś pozwoliło to wysłać wyraźny sygnał, że zyskali sojusznika w środku Unii Europejskiej, a ich Inicjatywa Pasa i Szlaku działa sprawnie i w zasadzie nie ma dla niej alternatywy”.

Oficjalnie Ye został ogłoszony prezydenckim doradcą dopiero pół roku po faktycznym mianowaniu. Gdy media zaczęły donosić o bliskich związkach młodego, rzutkiego biznesmena z politykami u szczytów władzy, zainteresowała się nim profesor Olga Lemonová z Uniwersytetu Karola – kim faktycznie jest? jakie interesy robi w Szanghaju? Skontaktowała się tam ze swoimi znajomymi naukowcami i... okazało się, że nie ma o Ye żadnych pewnych informacji. Wszystko, czego można było się dowiedzieć, pochodziło z jego firmy i jej strony internetowej, która nie wyglądała zbyt poważnie. „To już wzbudziło we mnie spore obawy, napisałam o nich list do ówczesnego premiera Bohuslava Sobotki. Nigdy się jednak nie doczekałam odpowiedzi”.

Także Laban Yu, szef badań nad Chinami w amerykańskim banku inwestycyjnym Jefferies Group, zaczął być bombardowany przez dziennikarzy pytaniami o tajemniczego giganta energetyki, który tak nagle przeprowadził desant na mały kraj w środku Europy. Po latach Yu mówił CNN, że tak naprawdę CEFC China Energy „wzięło się znikąd”³, ale i tak powtarzano wszędzie, że firma posiada globalny portfel nieruchomości o wartości 3,2 mld dol., w tym apartament w Trump World Tower na Manhattanie, że zatrudnia aż 50 tys. osób na całym świecie i zajmuje 222. miejsce na liście Fortune Global 500 i że w 2015 roku osiągnęła 40 mld dol. przychodu.

To robiło wrażenie, ale nie dawało odpowiedzi na pytania, skąd wziął się taki majątek. „Ani Ye, ani Zeman nie czuli się zobligowani, by wyjaśnić łączącą ich relację” – wspomina Procházková. Zresztą pytań było tak dużo, że właśnie pod ich wpływem sinolodzy z Uniwersytetu Karola zdecydowali się powołać projekt Sinopsis, w którym działa Procházková. Kolejne służby i media coraz głośniej ostrzegały przed Ye, sprawa obrastała kontrowersjami i legendami. Według jednej z nich Ye był jednym z *princelings*⁴ – partyjnych książąt. Tak nazywano dzieci ojców założycieli Chińskiej Republiki Ludowej, którzy wykorzystywali swoją władzę do gromadzenia ogromnego bogactwa i do dziś pełnią prominentne funkcje zarówno w państwowych przedsiębiorstwach, jak i w polityce. (Xi Jinping też nie wziął się znikąd – jest synem byłego wicepremiera i gubernatora prowincji Guangdong).

Wedle tej wersji dziadkiem Ye Jianminga był Ye Jianying, wysokiej rangi urzędnik partii. W oficjalnych dokumentach finansowych CEFC China Energy pojawiała się informacja, że Ye junior w latach 2003–2005 był zastępcą sekretarza generalnego Chińskiego Stowarzyszenia Przyjaznych Kontaktów z Zagranicą (China Association for International Friendly Contact). CAIFC to niezwykle ważna instytucja dla chińskiego wywiadu. Według Amerykanów „odgrywa podwójną rolę: gromadzi dane wywiadowcze oraz prowadzi kampanie propagandowe i zarządza wizerunkiem”⁵. To CAIFC stoi także za sponsorowaniem wyjazdów do Chin biznesmenom, byłym politykom i wojskowym z całego świata. Jej wiceszefową jest Deng Rong, córka Deng Xiaopinga, przywódcy Chin, który po erze Mao otworzył kraj i dokonał potężnych reform gospodarczo-politycznych.

Ale tak naprawdę nie było żadnych namacalnych dowodów na tak ścisłe związki Ye z CAIFC. Wyglądało wręcz, że to samemu biznesmenowi bardziej zależało na stworzeniu takiego wrażenia i podkreśleniu, jak ściśle jest powiązany z władzami Państwa Środka. Tak bardzo, że nawet logo CEFC przypominało logo CAIFC. To, co budziło konsternację dziennikarzy i analityków, czyli powiązania z władzami Chin, w wielu miejscach z automatu otwierało Ye drzwi. Traktowano go jako wysłannika Pekinu i nie kwestionowano wysokich koneksji. Do tego

stopnia, że Komitet Chińskiego Funduszu Energetycznego (China Energy Fund Committee), fundacja działająca przy CEFC, zdobył status doradczy w branży energetycznej przy ONZ. Na jego czele stanął Patrick Ho Chi-ping, okulista z Hongkongu, który zrobił błyskotliwą karierę polityczną w resorcie spraw wewnętrznych tamtejszego rządu – i który jeszcze się pojawi w tej historii.

ONZ z zasady nie dopuszcza tak wysoko prywatnych instytucji. Skoro więc fundacja Ye dostała błogosławieństwo, dla rynku był to jasny sygnał, że warto z Ye robić interesy. Stąd do nowych kontaktów i kontraktów już tylko krok. I to o wiele większych niż te w Czechach. W Dubaju Ye nabył pola naftowe za 900 mln dol., w Kazachstanie za 860 mln dol. kupił udziały w spółce naftowej. Za każdym razem miały to być zakupy w ramach inwestycji z oficjalnej rządowej Inicjatywy Pasa i Szlaku. We wrześniu 2017 roku CEFC China Energy ogłosiła swoją najbardziej prestiżową inwestycję: firma miała kupić 14 proc. udziałów w rosyjskim gigancie naftowym Rosneft za 9 mld dol.

I w tym właśnie momencie imperium Ye zaczęło się rozpadać jak domek z kart. W listopadzie 2017 roku agenci FBI aresztowali szefa fundacji, Patricka Ho, którego oskarżono o pranie brudnych pieniędzy i zaoferowanie wartych 3 mln dol. łapówek ówczesnemu prezydentowi Czadu, oraz ministrowi spraw zagranicznych Ugandy, który właśnie w tym czasie robił karierę w strukturach ONZ. Według amerykańskiej prokuratury (co potwierdził wyrok sądu), Ho miał te pieniądze wręczać w imieniu CEFC. Efekt był taki, że firma z naruszoną opinią nie zebrała wśród inwestorów obiecanych 9 mld dol. na zakup udziałów w Rosnefcie. Co więcej, zainteresowali się nią chińscy dziennikarze z serwisu Caixin. Z ich śledztwa⁶, ujawnionego wiosną 2018 roku, wynikało, że cała finansowa struktura tego „giganta energetyki” opierała się na pożyczkach zaciągniętych, by spłacać poprzednie kredyty. Dosłownie kilka dni później, tuż przed rozpoczęciem obchodów chińskiego Nowego Roku, Ye zniknął. Hongkoński dziennik „South China Morning Post”⁷ podawał, że zatrzymania Ye dokonano na osobiste polecenie stojącego na czele państwa Xi Jinpinga.

Czeski rząd wysłał specjalną delegację do Pekinu, aby poznać kulisy sprawy. W delegacji, oprócz wysokich urzędników z kancelarii prezydenta, był szef Slavii Praga. Po ich powrocie prezydent Zeman, który ogłosił, że Ye, chociaż toczy się przeciwko niemu dochodzenie, i tak pozostanie na stanowisku jego doradcy. Potem prezydent miesiącami upierał się, że utrzymuje z nim „przyjacielski kontakt” i Ye wciąż mu doradza. Choć jakie porady płynęły z nieujawnionego miejsca, w którym Ye przebywa, właściwie do dzisiaj nie sprecyzował.

Senator Pavel Fischer: „To była prywatna decyzja Zemana, by dopuścić Ye do siebie, Chińczyk nie miał poświadczenia bezpieczeństwa wydanego przez służby. Nasz prezydent okazał się totalnie oderwany od rzeczywistości i ciągle tylko powtarzał bajki o wielkich chińskich inwestycjach, które ten doradca miał przyciągnąć, a które nigdy nie nadeszły”.

Dalsze losy CEFC są znane: zarząd nad firmą objął fundusz inwestycyjny należący do władz miejskich Szanghaju, wkrótce jednak ogłoszono bankructwo firmy. Co nieco wiadomo także o Patricku Ho: po skazaniu przez amerykański sąd na trzy lata więzienia w 2021 roku został deportowany do Hongkongu. Informacji o przyjacielu i doradcy Zemana natomiast brak.

Nie ma też do dziś jasności, jaką konkretnie rolę Ye odegrał w Czechach ani dlaczego nagle zniknął. Jedną z teorii rozważaną przez ekspertów z czeskiego Sinopsis głosi, że firma popadła w niełaskę w momencie, w którym zarzuty o międzynarodowe łapownictwo mogłyby obciążyć chińską Partię Komunistyczną. Potraktowano ją zatem jak w tej chińskiej maksymie: należy porzucić żołnierza w celu ratowania generała⁸.

Ale nawet po tajemniczym zniknięciu Ye i krachu CEFC firma posiadała w Czechach siłę polityczną. Ludzie polityki, biznesu i public relations powiązani z tą historią pozostali w grze, a nawet zaczęli nadawać coraz wyraźniejszy kurs polityce międzynarodowej całego państwa.

„Media pisały o Ye, ale tak naprawdę nie było wokół tej historii szczególnie dużego skandalu”, mówi senator Marek Hilšer. „Dziwi się pani? Proszę pamiętać, że najważniejsze osoby w państwie były silnie powiązane z inwestycjami

w Chinach. Nie tylko prezydent, ale i premier, przy okazji biznesmen i właściciel mediów Andrej Babiš i wtedy jeszcze żyjący najbogatszy Czech Petr Kellner. Wszystko dodatkowo oplotła sieć układów biznesowych, lobbingu i PR-owców specjalnie wynajmowanych do wyciszenia sprawy.

Biznes, który koroduje

„Ogromną część wpływów na świecie, także w naszym regionie, Chiny zdobywają za pośrednictwem wielkich firm. Czasem mocno powiązanych z partią i z władzami, czasem słabiej. Ale gdy tylko coś pójdzie nie tak, partia może się od nich odciąć. Bo to przecież decyzje, działania, błędy prywatnej firmy” – tłumaczy Jakub Jakóbowski, analityk z Ośrodka Studiów Wschodnich.

Zjawisko to ma nawet już swoją nazwę: „korodujący kapitał”⁹. Chodzi o zewnętrzne źródła finansowania, którym brakuje przejrzystości. Mogą być bardzo pociągające, bo oferują duże zastrzyki gotówki czy technologii. Ale najpierw ułatwiają sobie wejście na nowy rynek, wykorzystując wszelkie luki w zarządzaniu i w systemie prawnym oraz brak polityczno-biznesowej transparentności. Później, aby zwiększyć skuteczność, kupują pomoc lokalnych decydentów, polityków, biznesmenów, liderów opinii. Przeciwnieństwem takiego modelu jest „kapitał konstruktywny”, oparty na przejrzystych przepływach finansowych, przestrzeganiu reguł wolnego rynku i biznesowej odpowiedzialności. Nie jest szczególnym zaskoczeniem, że dziś to wpływy z Rosji i Chin niosą największe ryzyko korozji systemu.

Większe zaskoczenie budzą sytuacje podobne do tej, jaka się wydarzyła w Rumunii w 2020 roku, gdy ówczesny premier Florin Cîțu z Partii Narodowo-Liberalnej nagle ogłosił, że jego kraj ma zamiar „trzymać Chiny na dystans”, i wcale nie miało to oznaczać wielkiego zbliżenia ze Stanami Zjednoczonymi. „Mamy nieco inną orientację i inne cele”, ogłosił Cîțu, gdy niespodziewanie jego rząd zakończył negocjacje z potężną państwową firmą China Nuclear Power Corporation (CGN) dotyczące budowy elektrowni jądrowej w mieście Cernavodă.

Premier nie ukrywał, że podjął decyzję z obawy przed wpływem Chin na infrastrukturę krytyczną oraz świadomy bezsilności Rumunii w ustaleniu powiązań chińskiej firmy z władzami w Pekinie.

To zaskakująca otwartość, bo politycy są ostatnimi osobami skłonnymi przyznać, że czegoś nie wiedzą albo że ich państwo czemuś nie podoła. Szczególnie politycy z opcji, które zaczęły mocno dochodzić do głosu w Europie Środkowej. Trudno znaleźć wiele wspólnych ideologicznie punktów między rządami Fideszu i Viktora Orbána na Węgrzech, Aleksandra Vučića w Serbii, PiS-u w Polsce, Miloša Zemana i Andreja Babiša w Czechach czy słowackiego SMER-u. Poza tym, że łączy je silna krytyka Unii Europejskiej, antyestablishmentowe hasła, mieszanka liberalizmu gospodarczego z zapowiedziami większej ochrony własnego rynku – a wszystko podlane sosem populizmu.

Ivan Krastev, bułgarski politolog, wskazuje, że to szersze zjawisko związane z buntem przeciwko naśladowaniu Zachodu. „Dziś widzimy, że «wiek imitacji», czyli ostatnie 30 lat, dobiegł końca. Europa Środkowo-Wschodnia, która po 1989 roku chciała zbudować u siebie zachodnie instytucje i naśladować europejski styl życia, pogrążyła się w antyzachodnim resentymencie. Populiści mówią bardzo wyraźnie: «Nie chcemy już nikogo małpować. Chcemy być tylko sobą». (...) Europa Środkowo-Wschodnia z własnej woli uczyła się od Zachodu, jak zorganizować gospodarkę, pozbyć się korupcji i budować instytucje polityczne. Problem w tym, że imitatorzy zawsze mają poczucie niższości” – mówił w wywiadzie, jakiego udzielił polskiej edycji „Newsweeka”¹⁰ w 2019 roku, czyli jeszcze przed wybuchem pandemii, ale też przed serią wyborów w kolejnych państwach regionu. Wyborów, które pokazały, że może I wiek imitacji już minął, ale za to zaczął się wiek podejmowania decyzji, czy chce się być Zachodem.

W te buntownicze nastroje i potrzebę redefinicji kapitał – finansowy i polityczny – z Chin wpisał się idealnie. „Oczywiście trudno porównywać sytuację Serbii i Polski, trudno nawet porównywać sytuację państw byłej Jugosławii, bo Słowenia znalazła się w zupełnie innym położeniu niż Czarnogóra. Ale jedno jest wspólne: ogromne ambicje, jakie przyświecają całemu regionowi, który wciąż

nadgania zapóźnienia”, mówi serbski analityk Vuk Vuksanović, od lat pracujący dla London School of Economics. Właśnie w tych ambicjach upatruje głównej przyczyny, za sprawą której Chinom udało się łatwo rozbudzić nadzieje w wielu zakątkach naszego regionu.

Vuksanović tłumaczy to na przykładzie własnego państwa i wpływów, jakie zaczął tam zdobywać Huawei. „Oficjalne wytłumaczenie prezydenta Serbii Aleksandra Vučića od lat brzmi tak samo: Serbia używa Chin, by poprawić swoją infrastrukturę, a gospodarkę uczynić bardziej nowoczesną i konkurencyjną. Skoro sprzęt od Huawei w zderzeniu z produktami firm z Doliny Krzemowej czy nawet europejskimi naprawdę jest tańszy, to korzystanie z niego na przykład przy budowie sieci 5G jest rozsądną decyzją, która pozwoli danemu państwu dołączyć do innych rozwiniętych gospodarek XXI wieku. Przecież to jest okazja, z której wstyd byłoby nie skorzystać. Takie same argumenty – o ekonomicznej racjonalności – są podbijane w mediach większości państw, gdzie ta firma zaczęła mocno działać” – dodaje analityk.

Obrotowe drzwi do polityki i mediów

Narrację „ekonomicznego sprytu” rozbiły działania Stanów Zjednoczonych, które za kadencji Donalda Trumpa z tępienia firmy Huawei uczyniły symbol walki z agresywną ekspansją i potęgą Chin. Ale co dociera do opinii publicznej na Zachodzie, niekoniecznie działa w miejscach takich jak Afryka, Ameryka Południowa czy Azja Środkowa. I w tym kontekście właśnie wschód Europy stał się bardzo przydatny dla Chin. Przyjęcie przez kraje regionu techgiganta Huawei stało się dowodem na to, że działania USA są podyktowane tylko i wyłącznie politycznymi argumentami, a sama firma jest kozłem ofiarnym narastającej zimnej wojny technologicznej między mocarstwami.

Wtedy też Huawei zaczął intensywnie działać na dwóch płaszczyznach. Ekonomicznie podkreślając korzyści wynikające z wpuszczenia go na własny

rynek oraz ogromnych strat w przeciwnym razie. Ludzko, czyli korzystając z bezpośrednich kontaktów.

W 2019 roku Estonia była coraz bliżej decyzji co do przyszłości swojej sieci 5G i coraz więcej było znaków, że ten bałtycki kraj ostatecznie przyjmie rozporządzenie, które skutecznie wykluczy Huawei z dostaw sprzętu do budowy sieci nowej generacji. Zgodnie z projektem ówczesnego rządowego dekretu Urząd Ochrony Konsumentów i Regulacji Technicznych (Tarbijakaitse ja Tehnilise Järelevalve Amet – TTJA) przed wydaniem zgody na dostawy sprzętu do budowy infrastruktury krytycznej (a taką jest sieć 5G) musiałby zasięgnąć opinii estońskiej agencji wywiadu. Gdyby któraś z tych agencji bezpieczeństwa uznała sprzęt do obsługi 5G za podatny na ataki lub zidentyfikowała wbudowane w nim tzw. *back doors* (czyli podatności na przejęcie), zgody by nie było. Czyli nie było dosłownego zapisu na Huawei, ale tak skonstruowane przepisy miały jeden cel: wykluczyć tę konkretną firmę.

Niespodziewanie jednak estońskie Ministerstwo Sprawiedliwości uznało, że te przepisy są niezgodne z konstytucją. Aby można je było wdrożyć, konieczna jest zmiana ustawy o łączności elektronicznej. Ta decyzja dała Huawei przynajmniej kilka dodatkowych miesięcy na walkę. I firma dobrze ten czas wykorzystwała. Chiński gigant telekomunikacyjny wynajął Powerhouse, firmę PR specjalizującą się też w lobbingu.

Powerhouse'em kieruje doświadczony lobbysta Janeka Mäggi, który do kwietnia 2019 roku był ministrem administracji publicznej. Mäggi kandydował również do parlamentu w wyborach w 2019 roku, ale nie został wybrany i w rezultacie wrócił do Powerhouse, którego był współzałożycielem. Razem z nim pracuje w tej firmie dwóch innych byłych ministrów. Marko Pomerants piastował wiele stanowisk, w tym szefa MSW. W 2017 roku stracił tekę ministra środowiska po przetarasowaniach partyjnych. Trzecią postacią politycznej wagi ciężkiej w Powerhouse jest socjaldemokrata Andres Anvelt, który do 2018 roku był ministrem spraw wewnętrznych.

To, że Huawei powszechnie stara się korzystać z mechanizmu *revolving door*, czyli drzwi obrotowych między polityką a biznesem, pokazała już afera szpiegowska w Polsce.

Jedną z okoliczności, która zaalarmowała śledczych, była praktyka zatrudniania przez chińskiego potentata kolejnych specjalistów związanych z ważnymi urządzeniami. Z najbardziej ewidentnym przykładem, czyli Marzeną Śliz, była dyrektorką z Urzędu Komunikacji Elektronicznej, która wprost stamtąd przeszła na pozycję dyrektorki ds. public affairs w Huawei. A że za takie rekrutacje miał być odpowiedzialny Wailing „Staszek” Wang, to oczy prokuratury zwróciły się w stronę jego działań i kontaktów.

Na Węgrzech, jak opisywał śledczy serwis Direkt36¹¹, obrotowe drzwi przez lata kręciły się w obie strony. Jeden z regionalnych menedżerów ds. sprzedaży w Huawei przez siedem lat pracował w resortach administracji i sprawiedliwości, oprócz niego dla chińskiej firmy pracują były szef Narodowej Administracji Podatkowej i ważny urzędnik z departamentu emigracyjnego. Ekspertka w węgierskim MSZ odpowiedzialna za raporty na temat chińskiej technologii i Huawei była przez tę firmę wcześniej przez rok zatrudniona; jej pracownikiem był także doradca ds. Chin w Narodowym Banku Węgier.

W Estonii Pomerants na przełomie 2019 i 2020 roku skupił się na tym, by Tallin jednak zostawił otwarte drzwi dla Huawei. Jak wynika ze śledztwa dziennikarzy Re:Baltica¹², PR-owcy włożyli w to sporo pracy. Załatwili Huawei liczne spotkania z politykami partii Isamaa (Ojczyzna), w tym z ministrem spraw zagranicznych Urmasem Reinsalu i z ministrem sprawiedliwości Raivo Aegiem. Pomerants przepytany przez dziennikarzy zapewniał, że jedynie pomaga Huawei organizować komunikację, by mogli mówić o sytuacji z własnego punktu widzenia, a na stronie agencji dodawał, że tak naprawdę chińskiemu gigantowi „tłumaczył, jak działa Estonia”¹³.

Te same argumenty przez ostatnie trzy lata słyszałam wielokrotnie od Ryszarda Hordyńskiego, dyrektora ds. strategii i komunikacji w polskim oddziale Huawei. Hordyński do chińskiej firmy przyszedł niemal wprost z rządu, i to w ledwie ponad

miesiąc po wybuchu afery szpiegowskiej. Wcześniej był wiceszefem Aplikacji Krytycznych, ważnej komórki zajmującej się cyfryzacją przy Ministerstwie Finansów, oraz pełnomocnikiem ministra finansów ds. informatyzacji, a potem doradcą w Ministerstwie Cyfryzacji.

Im bardziej polscy politycy byli niechętni, by pokazywać się w towarzystwie menedżerów Huawei, tym więcej tej firmy było wszędzie indziej. Trudno nawet policzyć kampanie, fundacje, konkursy, działania charytatywne czy edukacyjne, przy których pojawiła się ta firma jako partner. Zawsze chętna, pomocna i na końcu konferencji albo briefingu wystawiająca jednego ze swoich menedżerów do zdjęcia z potężnym czekiem. Efekt to powtarzana po cichu mantra: „Ten Huawei nie jest taki zły”. Nietrudno się domyślić, że wiele instytucji mających chińską spółkę za sponsora bardzo by chciało utrzymać taki porządek. Tylko z tyłu czai się pytanie: czy to wypada?

Równie wyraźnie Huawei zaznaczył w ostatnich latach swoją obecność w mediach. Może dziś już nie tak spektakularnie jak przed wybuchem pandemii, kiedy na jedną ze swoich konferencji w Londynie wyczarterował cały samolot, aby zabrać dziennikarzy z Polski, ale zdecydowanie, bo przystąpił do ofensywy, przedstawiając wyliczenia dotyczące strat, jakie poniesie Polska, jeśli wykluczy firmę z budowy sieci 5G. I tylko nieliczne redakcje drażniły, skąd konkretnie się wzięły te kalkulacje.

Huawei był jako „TOP Employer 2021” bohaterem dużego tekstu sponsorowanego – wizualnie przypominającego tekst redakcyjny – w ogólnopolskim dzienniku. Reklamę opublikowano pięć dni po przedstawieniu przez polski rząd kolejnej wersji ustawy, mającej docelowo zablokować Huawei, i po zapowiedzi przyspieszenia prac nad tymi przepisami.

Równolegle pojawiły się w mediach społecznościowych publikacje pokazujące zagrożenia dla konsumentów wynikające z wykluczenia Huawei z polskiego rynku. Od jednego z youtuberów dostałam brief nagrań w tym temacie. A w nim oprócz wyliczeń, ile Polska nie straci na wykluczeniu Huawei i jak duży wkład w rozwój polskiej gospodarki ma ta firma, zdjęcia i opisy działań charytatywnych, takich jak

„Partner i mentor podczas hackathonu HackYeah, którego uczestnicy opracowywali rozwiązania przydatne w zwalczaniu pandemii COVID-19”. Wciąż można obejrzeć takie filmiki, jak choćby nagranie jednego z influencerów technologicznych. Promowane jest ono miniaturką zdjęcia z kartką, na której widnieje napis „Rachunek za telefon 999 zł”. Potem przez 8 minut influencer przekonuje, że za wykluczenie Huawei „zapłacimy my, czyli klienci” i że „już niedługo nadejdzie koniec korzystnych ofert abonamentowych i prepaidowych”. Inny z filmów z tego cyklu nagle zniknął z YouTube w marcu 2022 roku. Pod dawnym adresem znajdziemy już tylko informację, że nagranie jest „prywatne”.

Mechanizm korzystania z działań PR w połączeniu z kontaktami politycznymi diagnozuje Ivana Karásková, założycielka środkowoeuropejskiej sieci analityków China Observers in Central and Eastern Europe (CHOICE). Jej organizacja odkryła, że w 2019 roku jedna z ambasad Chin wynajęła agencję PR do publikacji artykułów w mediach¹⁴. „Chiny zaczęły się chować za agencjami PR, bo tradycyjne media nie chciały publikować propagandy wychodzącej z ambasad, a informacje od PR-owców mogły wyglądać bardziej obiektywnie” – mówi analityczka.

Sprawa, którą porusza Karásková, dotyczy jej ojczystych Czech. Ambasada Chin w Pradze w 2019 roku zatrudniała agencję PR do „racjonalizacji dyskusji o Chinach”, a sfinansowała to spółka Home Credit należąca do Petra Kellnera, który sporą część swoich biznesów oparł na chińskim rynku. Zatrudniono PR C&B Reputation Management. Dziennikarze serwisu Aktualne.cz donieśli, że firma Petra Kellnera, najbogatszego Czecha, zapłaciła agencji za 2 tys. godzin pracy polegającej na „poprawie wizerunku chińskiego reżimu komunistycznego w Czechach”¹⁵. PR C&B Reputation Management miała już zresztą odpowiednie doświadczenie, bo pracowała wcześniej dla Czeskiej Partii Socjaldemokratycznej (ČSSD).

Co więcej, agencja sfinansowała też powołanie specjalnego think tanku Sinoskop – Instytut na rzecz Współczesnych Chin (Sinoskop – Institut pro současnou Čínu), którego kierownictwo objął Vit Vojta, wieloletni tłumacz

czeskiego prezydenta Zemana. Dzięki Sinoskopowi Vojta zaczął się regularnie pojawiać w mediach jako niezależny ekspert od Chin, by nawoływać Europę do budowy wspólnego europejsko-azjatyckiego rynku¹⁶.

Chiny nie porzuciły jednak taktyki wywierania tradycyjnego wpływu na media, takiego jak wykupywanie tekstów czy inspirowanie materiałów powielających oficjalną chińską narrację. Na Łotwie konsternację wywołały wywiady, które się ukazały w portalu nra.lv należącym do dziennika „Neatkarīgā Rīta Avīze”. Jak zauważył łotewski dziennikarz śledczy Zintis Znotins, w stosunkowo krótkim czasie portal opublikował dwa wywiady z Liang Jianquanem, ambasadorem Chin na Łotwie. Pierwszy 10 lutego¹⁷, a drugi 9 czerwca¹⁸. „To może się wydawać niczym nadzwyczajnym, ponieważ do zadań ambasadorów należy rozmawianie z mediami. Pierwszy wywiad nosił tytuł «Trudności ujawniają prawdziwą przyjaźń», podczas gdy tytuł drugiego brzmiał: «Hongkong to wewnętrzna sprawa Chin». Ale przyjrzyjmy się ich treści” – pisze Znotins¹⁹ i podkreśla, że oba materiały były przepełnione propagandową narracją Chin, która nie została skontrolowana przez redakcję.

Bliźniaczo podobnie wygląda pisanie o Chinach w polskim „Dzienniku Trybuna”, czyli w pewnym sensie spadkobiercy „Trybuny Ludu”, oficjalnego organu prasowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dziś gazeta dryfuje na pograniczu niszowości i śmierci medialnej, ale się nie poddaje. I regularnie publikuje wywiady z chińskimi dyplomatami, relacje z wyjazdów dziennikarskich do Państwa Środka oraz publicystykę z tytułami w rodzaju: *Stabilność relacji Chiny–UE lekarstwem na niestabilność świata*²⁰. Efektem był list, którym redakcja pochwaliła się na swoich łamach: „China Media Group pragnie wzmocnić praktyczną współpracę z nami, skonsolidować tradycyjną przyjaźń między dwoma krajami poprzez bliższą wymianę międzyludzką oraz promować dalszy rozwój wszechstronnego partnerstwa strategicznego między Chinami i Polską” – pisał Shen Haixiong, prezes i redaktor naczelny China Media Group. China Media Group to państwowy koncern bezpośrednio podlegający pod Departament Propagandy Chińskiej Partii Komunistycznej.

„Dziennik Trybuna” może i nie ma dziś żadnego wpływu na politykę, ale w chińskich elitach politycznych panuje przekonanie, że w długiej perspektywie przecież wszystko może się jeszcze odbić od dna.

Na rządzonych przez Orbána Węgrzech narrację prochińską kształtują głównie media związane z prorządową Środkowoeuropejską Fundacją Prasy i Mediów (Közép-Európai Sajtó és Média Alapítvány), czyli potężną KESMA. W grudniu 2018 roku Viktor Orbán podpisał dekret, na mocy którego 476 prorządowych redakcji zrzeszono w ramach jednej instytucji. Oligarchowie po prostu zrzekli się posiadanych mediów na rzecz KESMY, a w zamian zaczęło je mocno subsydiować państwo. Wręcz je utrzymywać. Portal POLITICO²¹ donosił na przykład, że będący częścią fundacji magazyn „Figyelő” w 2018 roku aż 74 proc. swoich całkowitych przychodów reklamowych czerpał z materiałów sponsorowanych przez państwo. W efekcie tak silnej konsolidacji mediów w rękach rządu Orbána to już nie Chiny czy ich potężne firmy wpływają na narracje. Na Węgrzech instrukcje płyną bezpośrednio od władzy.

Tamás Matura, profesor z Uniwersytetu Korwina w Budapeszcie i analityk we wspomnianym CHOICE, zauważa w raporcie o chińskich wpływach w mediach w Europie Środkowej: „Media prorządowe rzadko chwala same Chiny. Zamiast tego chwala sukcesy węgierskiej polityki zagranicznej w nawiązywaniu bliższych relacji z Chinami (...). Więzy z Chinami są przedstawiane jako dobre dla Węgier”²².

Treści do takich materiałów przygotowuje choćby Instytut Studiów Europejskich w Budapeszcie, w całości zarządzany przez Chińską Akademię Nauk Społecznych, co czyni go pierwszym chińskim think tankiem w Europie. Kierujący nim Feng Zhongping w przeszłości był wiceprzewodniczącym CICIR, czyli China Institutes of Contemporary International Relations, jednego z najstarszych i najbardziej wpływowych instytutów badawczych w Chinach, podlegającego bezpośrednio pod Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego.

Ale nawet sytuacja na Węgrzech błędnie przy sile chińskiej ofensywy w mediach czeskich.

Oligarchia budowana na chińskich zyskach

Siedziba Sinopsis, czeskiej organizacji pozarządowej zajmującej się analizą wpływów chińskich, mieści się na Malej Stranie, niemal u stóp zamku na Hradczanach.

Kateřina Procházková, która w Sinopsisie działa od kilku lat, tłumaczy, skąd wziął się ten instytut. „Działamy w obrębie fundacji AcaMedia, utworzonej przez naukowców, początkowo głównie z Wydziału Sinologii Uniwersytetu Karola, oraz ludzi mediów, bo zależy nam na jak najszerzej publikacji wyników naszych analiz i śledztw”.

Ta formuła organizacyjna jest niezbędna do zrozumienia, co stało się w Czechach. A chodzi o próby wpływania na media podejmowane nie tylko przez polityków (za pośrednictwem Zemana), ale też ludzi biznesu, ze strony firm powiązanych z Chinami. Za tymi drugimi stało oczywiście CEFC. Gdy firma Ye Jianminga kupiła udziały w Médea Group i Empresa Media, będących właścicielami tygodnika „Týden”, nagle przestały się w nim ukazywać artykuły na tematy drażliwe dla Pekinu. Następnie firma energetyczna próbowała zainwestować w największą stację telewizyjną na Słowacji – TV Markiza – i wykupiła duży pakiet udziałów w słowackim holdingu Penta wydającym prasę krajową i prowadzącym duży serwis informacyjny.

Po zatrzymaniu Ye Chińczycy zniknęli z TV Markiza. Ich udziały odkupił czeski oligarcha Petr Kellner, który okazał się związany z Chinami jeszcze mocniej. Kellner do 2021 roku, kiedy zginął w wypadku lotniczym, był czeskim przedsiębiorcą i numerem jeden na liście najbogatszych ludzi w kraju. Wartość jego majątku, szacowana na 17,5 mld dol., sytuowała go na 110. miejscu w globalnym rankingu „Forbesa” za 2020 rok. A ogromną część tego majątku zdobył dzięki prowadzonym już od 2007 roku interesom w Chinach. Należał do niego telekomunikacyjny gigant PPF, który kontroluje dwóch największych operatorów komórkowych w Czechach. W 2014 roku należący do Kellnera Home Credit otrzymał licencję, która pozwoliła mu oferować pożyczki na terenie całych Chin.

To Kellner w 2015 roku swoim prywatnym samolotem przetransportował Zemana na spotkanie z Xi Jinpingiem, a cztery lata później towarzyszył prezydentowi w jego kolejnej wizycie w Chinach. Wtedy czeski biznesmen podpisał deklarację dotyczącą współpracy z koncernem Huawei w ramach budowy w Czechach sieci internetowej 5G. Koncern PPF był też wśród głównych sponsorów dużych dorocznych czesko-chińskich forów biznesowych, które służyły propagowaniu współpracy obu krajów. To wreszcie należący do niego Home Credit stał za wynajęciem PR-owców, którzy mieli poprawić wizerunek chińskiego reżimu. I to Kellner w 2020 roku przejął najpopularniejszą czeską prywatną telewizję TV Nova.

„Nie jest już tajemnicą, że presja, której doświadczali zarówno czescy politycy, jak i media, w ogromnej mierze pochodziła z lobbystycznego kręgu skupionego wokół biznesmenów działających w Chinach” – podkreśla Procházková.

Lobby, o którym mówi, to poza Kellnerem między innymi Jaroslav Tvrdík, były minister obrony narodowej i prezes Slavii Praha, który stał nie tylko za inwestycją w ten klub przez CEFC, ale też za zainstalowaniem Ye w roli doradcy Zemana. Co więcej, został wiceprezesem CEFC na Czechy. To on też był członkiem delegacji, która w Chinach badała zatrzymanie Ye Jianminga.

O Tvrdíku słyszę od czeskich polityków i ekspertów, że bywa nazywany „Luftjarda”, od Luftwaffe, co z jednej strony jest przypomnieniem jego krótkiego i nieudanego epizodu jako szefa Czech Airlines, z drugiej zaś wynika stąd, że – jak mówią – „tam gdzie się pojawia, tam lecą pieniądze, choć nigdy jego”. Dziś jest prezesem Czesko-Chińskiej Izby Handlowej.

Kiedy dosłownie kilka dni przed wybuchem pandemii w Europie Tvrdík poleciał do Chin razem z szefem kancelarii prezydenta Vratislavem Mynářem, kierowana przez niego Izba opłaciła politykowi lot. Oficjalny powód: panowie chcieli siedzieć obok siebie w samolocie. Oficjalny powód wycieczki: przekazanie Chinom 4,5 tony wyrobów medycznych do walki z koronawirusem.

Dwa tygodnie później Tvrdík był odpowiedzialny za zorganizowanie kolejnego transferu: tym razem zakupu sprzętu medycznego z Chin, niezbędnego Czechom

po wybuchu pandemii. Sprzętu, który idealnie wpasował się w „dyplomację maseczkową”. Tvrđík wszędzie zapewniał, że ani on, ani kierowana przez niego Izba nie zarobiła na tym ani korony. Za to chętnie krytykował NATO²³ i kraje Europy²⁴ za nieskuteczność i brak wsparcia.

Senator Marek Hilšer zapytany o to, jak wielu polityków ma powiązania z Chinami czy raczej z chińskimi biznesami w Czechach, tylko wzdycha. I wylicza: „Były premier Petr Nečas, założyciel Stowarzyszenia Rozwoju Infrastruktury i Technologii Nowego Jedwabnego Szlaku, którego celem jest zbliżenie czeskiego i azjatyckiego biznesu. Z ostatnio głośniejszych – Jakub Kulhánek, który w 2021 roku niespodziewanie został ministrem spraw zagranicznych, a wcześniej był doradcą w CEFC. Można by też wskazywać na związki byłego premiera Andreja Babiša, ale akurat on na biznesach w Chinach stracił spore fundusze. Raczej więc oportunistycznie chciał utrzymywać dobre kontakty z prezydentem i po prostu przymykał oko na te wszystkie działania”.

Model wpływania na elity polityczne za pośrednictwem konkretnych polityków funkcjonuje jeszcze wyraźniej w Serbii. Przykładów można szukać od samej góry. Obecny prezydent i wieloletni premier Aleksandar Vučić jest bohaterem nagrania, liczącego ponad 2 mln odsłon na YouTube²⁵, na którym w rytmie techno łamanym mandaryńskim stara się przemawiać do Chińczyków i „brata Xi”.

Pajęczyna polityków wciągniętych w ten lobbing jest jednak znacznie gęstsza. Wplątał się w nią oczywiście Tomislav Nikolić, były prezydent, za którego rządów Serbia nawiązała bliskie kontakty z Chińską Republiką Ludową. Chinom tak na nich zależało, że przełknęły nawet kuriozalną rozmowę Nikolicia z premierem ChRL Li Keqiangiem. Nikolić bez cienia skrępowania przytoczył wtedy opowieść o tym, jak to „200 lat temu żył w Serbii mądry, ale niepiśmienny człowiek, który był prorokiem i choć nigdy nie słyszał o Chinach, głosił: «Przyjdą ludzie ze Wschodu, zółci ludzie, i będą rządzić światem. Będą pić wodę z rzeki Morawy»”²⁶. Premierowi Chin nawet nie drgnęła powieka.

Dziś eksprezydent kieruje Biurem Krajowej Rady Koordynacji Współpracy z Federacją Rosyjską i z Chińską Republiką Ludową.

Eksperci od silnych Chin

W Polsce dostęp do ucha elit politycznych też najlepiej zdobywa się za pomocą odpowiednich pośredników. Sławomir Izdebski, były senator Samoobrony, a dziś prezes OPZZ Rolników i Organizacji Rolniczych, jesienią 2021 roku na konferencji pod Ministerstwem Rolnictwa grzmiał: „Docierają do nas sygnały mówiące, że Polska zamierza wyprzeć z rynku chińską sieć Huawei. Absolutnie jest to dla mnie niedopuszczalne. Absolutnie nie możemy dopuścić do konfliktu z Chinami. Polska jest jednym z większych eksporterów produktów rolno-spożywczych do Chin, Chiny z kolei są największym rynkiem na świecie, bez którego Polska nie jest w stanie żyć. Musimy zrobić wszystko, by te zakusy zostały zniszczone w zarodku, byśmy mogli dalej prowadzić wymianę handlową”.

Interpelację w podobnym tonie, pełną obaw o polskie rolnictwo, na którym za Huawei mogą się zemścić Chiny, napisał poseł Jakub Kulesza, przewodniczący koła poselskiego Konfederacji. Odpowiedź polskiego Ministerstwa Rolnictwa, która przysłała kilka tygodni później, była i zwięzła, i trzeźwiąca: nie ma o co się martwić, bo prawie nic do Chin i tak nie sprzedajemy. „Polski eksport produktów rolno-spożywczych do Chin w 2020 roku osiągnął równowartość ponad 201 mln euro, co stanowi 0,61 proc. całego eksportu towarów rolno-spożywczych z Polski. Jednocześnie w 2020 roku Chińska Republika Ludowa wyeksportowała do Polski towary rolno-spożywcze o równowartości ponad 415 mln euro, co stanowi 0,64 proc. całego eksportu towarów rolno-spożywczych z Chin”²⁷ – wyliczał resort.

Profesor Olga Lomová z praskiego Uniwersytetu Karola, choć o Sławomirze Izdebskim nigdy nie słyszała, doskonale zna ten model działania. „To te głosy, które podkreślają, że nie wolno rozzłościć Chin, że to ogromny rynek, że to wielkie szanse, ale też że Chiny mogą się za wszelkie niedogodności i krytykę zemścić” – tłumaczy sinolożka i dodaje, że jak najbardziej rozumie potrzebę chronienia prywatnego biznesu, tyle że tacy „lobbyści sprawy chińskiej” często wykraczają poza własne kompetencje. Zaczynają mówić o chińskiej specyfice rządów,

o chińskim modelu socjalizmu, o tym, że tam prawa człowieka oznaczają co innego niż w Europie. Często wręcz cytują oficjalną chińską propagandę i materiały jakby wprost podsunęte przez ambasadę Chin”. Przykładem jest publicystyka Leszka Ślęzyka, który prowadzi portal Chiny24, udziela się mocno na LinkedIn i wypowiada się o Chinach w mediach, przekonując, że z doświadczeniem przedsiębiorcy od ponad 25 lat współpracującego z Państwem Środka ma na ten kraj znacznie bardziej racjonalne spojrzenie. Jako rozsądny obserwator i analityk w wydanej w 2021 roku książce *Chiny według Leszka Ślęzyka* w rozdziale *Dlaczego Chiny są niemiłe, czyli Ujgurzy, Hongkong i cenzura w internecie* wyklada koncepcję państwa jako organizacji przymusowej i rozważa, czy w ogóle można je oceniać w kategorii dobra lub zła. Wreszcie, by wytłumaczyć „specyfikę Chin”, porównuje Xinjiang do Śląska i Mazur, protesty z lat 2019 i 2020 przeciwko coraz silniejszej kontroli Pekinu w Hongkongu – do ruchu „żółtych kamizelek” we Francji, a zakazany w Chinach Falun Gong – do japońskiej sekty Najwyższa Prawda (Aum Shinrikyō), która w 1995 roku dokonała zamachu w tokijskim metrze.

Wreszcie pisze tak: „Ale i my bronilibyśmy przecież dziś generała Jaruzelskiego, nawet jeśli robił rzeczy czasami nam niemiłe, gdyby za jego sprawą Polska w 30 lat dogoniła pod każdym niemal względem Niemcy. Zrozummy to, próbując oceniać Chiny współczesne, współczesnych Chińczyków. Czy ktoś wyrzucałby Jaruzelskiemu stan wojenny, lata służby Związkowi Radzieckiemu, gdyby Warszawa miała dziś status Londynu, Paryża, Berlina? Gdyby w Polsce była i największa w Europie giełda, najprężniejszy przemysł samochodowy, i europejska Dolina Krzemowa wypluwająca z siebie najnowocześniejsze technologie i gdyby dla polskich wycieczek przyjeżdżających na przykład do Mediolanu rezerwowano na wyłączność całe domy towarowe (...). Czy w takich okolicznościach pozwolilibyśmy komukolwiek wieszać psy na generale? Czy słuchalibyśmy opowieści niegdysiejszych opozycjonistów o wolności, siedząc w madryckiej knajpie, ale przeglądając w polskim smartfonie z polskimi aplikacjami raporty z firmy w Polsce o kolejnych zamówieniach z całego świata?”²⁸.

Egzotyczny objaw niszowej publicystyki? Tyle że Ślazyk regularnie występuje w ogólnopolskich mediach, gdzie roztacza swoje wizje. W wywiadzie, którego udzielił „Gazecie Wyborczej” w niecały miesiąc po zaatakowaniu Ukrainy przez Rosję, mówił: „Stany Zjednoczone wręcz namaściły Chiny do roli imperium zła. W przekazie o Chinach dominują cierpienia Ujgurów, deptana demokracja Hongkongu, okupacja Tybetu. Niebezpieczne i podstępne Chiny obkładane są sankcjami, chińskie firmy trafiają na czarną listę podmiotów zagrażających bezpieczeństwu narodowemu USA. A teraz wywołują oburzenie, bo nie potępiają Rosji, nie stają po stronie Ameryki. To tak, jakby bić kogoś po twarzy, a potem – zamiast wyciągnąć do niego rękę, bo przecież przyświeca szczytny cel, jak wsparcie Ukrainy – wymagać lojalności, nie przestając okładać”²⁹.

Czeska sinolożka Lomová opowiada, że sama była kilka razy w mediach konfrontowana właśnie z takimi przedsiębiorcami z chińskim doświadczeniem biznesowym. Ona była przedstawiana jako idealistka, teoretyczka, oni jako pragmatyczni realiści. „Poucniają ludzi naprawdę badających i znających ten kraj, bo sami kilka razy byli w Chinach na jakiejś biznesowej wycieczce po fabrykach czy innych przedsiębiorstwach. I to jest po prostu straszna hipokryzja twierdzić, że prawa człowieka gdzieś mogą obowiązywać, a gdzie indziej już nie, że zgoda na taką sytuację jest przejawem realizmu” – mówi czeska sinolożka.

Ale faktycznie uderzenie w tony *Realpolitik* i wspomnianie o kosztach gospodarczych najskuteczniej wpływa na zmianę opinii o Chinach. Doskonale widać to na Litwie, która mocno oberwała za otwarcie biura handlowego Tajwanu. Choć wymaga podkreślenia, że takie kroki naprawdę działają na Pekin jak płachta na byka – dlatego też są niezwykle rzadkie – podważają bowiem kluczową dla Chin koncepcję jedności państwa. Odezwa lidera opozycyjnego Związku Rolników i Zielonych Ramūnasa Karbauskisa, który alarmował, że „konfrontacyjna polityka zagraniczna” szkodzi interesom Litwy, padła na podatny grunt. W badaniu opinii publicznej przeprowadzonym w grudniu 2021 roku tylko 13 proc. obywateli poparło politykę rządu, a 60 proc. uznało, że niepotrzebnie drażni się Chiny.

W Polsce w takim tonie wypowiada się Grzegorz Kołodko, dwukrotny minister finansów i profesor ekonomii, obecnie wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego, który w swojej książce *Czy Chiny zbawią świat?* przekonuje, że „Chin nie trzeba się bać, trzeba na nie liczyć. Świata wprawdzie nie zbawią, ale pomóc w tym, by się nie wywrócił, mogą”³⁰. Jako wzór sprawnego korzystania z potencjału Chin podaje Węgry i przypomina, jak tamtejszy szef MSZ Péter Szijjártó w 2017 roku witał na lotnisku swojego chińskiego odpowiednika, zapewniając, że ten region świata doskonale wie, iż Chiny odgrywają w światowym porządku kluczową rolę. Kołodko z zachwytem konkluduje: „Wykazał polityczną odwagę jak na ministra spraw zagranicznych kraju członkowskiego UE i NATO, bo to stanowisko zgoła odmienne niż prezentowane zarówno przez niektórych eurokratów, jak i przede wszystkim przez nowego «wielkiego brata» zza oceanu”³¹.

Publicystyka Kołodki została świetnie przyjęta w Chinach. W 2020 roku autor został wyróżniony Special China Book Award za chińskie wydanie książki pytającej w tytule, czy Chiny zbawią świat.

Czechy a sprawa chińska

Z senatorem Pavlem Fischerem siedzimy pod ogromnym portretem Tomáša Masaryka. Ojciec niepodległej Czechosłowacji spogląda na nas nieruchomym, poważnym wzrokiem. Równie poważny jest i Fischer, gdy na pytanie o to, dlaczego zajął się tematem kontaktów z Chinami, odpowiada bez zastanowienia: „Pierwsze kroki w polityce stawiałem u Václava Havla, a Havel kwestię praw człowieka stawiał bardzo wysoko. Stąd jego spotkania i przyjaźń z Dalajlamą. Wtedy też zaobserwowałem, jak ostro na to reagowały Chiny. Ale jednocześnie szanowały jego postawę i nigdy nie pozwoliły sobie na takie zastraszanie, jakim potraktowano chociażby senatora Jaroslava Kubereę w 2020 roku, gdy ten zapowiedział oficjalną wizytę w Tajwanie. Reakcją były nie tylko naciski dyplomatyczne, ale także groźby, że skutkiem takiej wizyty będzie gospodarczy

bojkot Czech ze strony Chin. To pokazuje, jak działają Chiny i jak mocno ich działania zależą od naszej postawy i stanowczości” – mówi Fischer, który od połowy lat 90. do końca urzędowania Havla pracował w jego kancelarii i kierował departamentem prawnym. Potem był między innymi ambasadorem we Francji, kandydatem na prezydenta (w 2017 roku zajął trzecie miejsce), zasiadał też w czeskim Senacie.

Kiedy w 2019 roku okazało się, że należące do Petra Kellnera Home Credit wynajęło agencję PR do poprawy wizerunku Chin, na jej celowniku znalazł się i Fischer, a to ze względu na jego pozycję szefa senackiej komisji ds. międzynarodowych, bezpieczeństwa i obrony. Właśnie dlatego, że uważa się go za kontynuatora polityki Havla. W Czechach spuścizna po tym dysydencie i pierwszym prezydencie Czech wcale nie jest dla całego narodu i polityków świętością. Wręcz przeciwnie, od lat stanowi przedmiot politycznego sporu, a jego stałym elementem jest powtarzanie, że zorientowana na obronę praw człowieka idealistyczna polityka Havla kosztowała kraj utratę wielkich rynków Rosji czy Chin.

Rzeczywiście, Havla po raz pierwszy zaatakowano za „prowokowanie” Chin już w 1990 roku. Stało się to, kiedy na Hradczany zaproszono duchowego przywódcę Tybetańczyków, czyli wspomnianego Dalajlamę, który dla Pekinu jest po prostu wrogiem. A skoro przywódca Tybetańczyków z Havlem się zaprzyjaźnił i przyjeżdżał potem do Pragi jeszcze kilka razy, to za każdym razem psuło to Chinom krew i wzbudzało dyplomatyczne protesty, a te politycznie wykorzystywała antyhavłowska opozycja.

W efekcie kwestia stosunków z Chinami stała się jedną z najgorętszych spraw politycznych roztrząsanych w mediach i jedną z głównych osi sporu dzielących społeczeństwo. Tyle że za prezydentury Zemana wahadło przechyliło się w drugą stronę i Czechy już nie tylko nie zapraszały Dalajlamy, ale wprost stały się podwórką chińskiego lobbingu i uzależniania oligarchów od Chin.

Senator Fischer uważnie dobiera słowa, ale nie ukrywa się za nazbyt dyplomatycznym językiem. „Gdy spojrzemy na to, jak silną pozycję mają Chiny

w Afryce, na Bałkanach Zachodnich, w niektórych stolicach Europy, to jasno widać, że ich wpływy wciąż rosną. Problemem jest to, że w imię krótkoterminowych zysków zgadzamy się na biznesy, których długofalowe skutki często nas przerastają” – mówi.

Rozmawiamy trzy miesiące po ukonstytuowaniu się nowego rządu Petra Fiali, czyli po odsunięciu od władzy Andreja Babiša. Fiala od początku urzędowania jasno pokazywał, że czas na zmiany także w dziedzinie spraw międzynarodowych, na co najmocniejszym dowodem było powołanie na szefa dyplomacji – wbrew prezydentowi Zemanowi – Jana Lipavskiego z Partii Piratów, zwolennika ostrego kursu wobec Rosji i Chin.

Właśnie zaczęły się XXIV Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Pekinie. W gabinecie senatora – podobnie jak w wielu miejscach Pragi – wiszą plakaty niejakiego Badiuca. Ten anonimowy artysta zwany „chińskim Banksym” stworzył cykl grafik krytykujących Chiny za łamanie praw człowieka. Fischer nawiązuje do tej sytuacji, mówiąc, że choć nie ma wątpliwości, że prześladowanie Ujgurów – muzułmańskiej mniejszości etnicznej w Chinach – to zbrodnia, dziś mamy do czynienia z sytuacją, w której działania Chin dotyczą już praw człowieka globalnie. „Czwartego lutego, w dniu rozpoczęcia olimpiady, Chiny i Rosja podpisały porozumienie, które jest kluczowe dla zrozumienia, z jak krytyczną sytuacją mamy do czynienia. Znalazł się w niej zapis dotyczący praw człowieka, a konkretnie tego, że to te państwa zdecydują, jak ma wyglądać ich przestrzeganie. To nie jest już uniwersalny koncept praw człowieka, który wypracowaliśmy przez dekady, uznając, że powinniśmy go przestrzegać. Nagle się okazuje, że Moskwa i Pekin mają tu swoją własną koncepcję” – podkreśla czeski polityk.

Słowa Fischera dokładnie dwa tygodnie później nabiorą konkretnej grozy. Dwudziestego czwartego lutego Rosja atakuje Ukrainę pod pretekstem jej „denazyfikacji” i ochrony mieszkańców przed „nazistowskim rządem”, a wspomnianą umowę z 4 lutego, w której Chiny i Rosja wyznały sobie „bezgraniczną przyjaźń”, ocenia się już powszechnie jako potwierdzenie funkcjonowania osi Pekin–Moskwa.

Na razie mamy jednak początek lutego i zdaniem czeskiego polityka Ukraina i jej losy służą tak naprawdę do odwrócenia uwagi Zachodu od tego, co Pekin będzie chciał zrobić z Tajwanem. „To jest wprowadzona przez Chiny ręka w rękę z Rosją ogromna zmiana w międzynarodowym porządku. Ona dziś już dotyczy nas wszystkich. I moim oraz innych polityków zadaniem jest jasne komunikowanie obywatelom, że mamy wybór. Wciąż jeszcze mamy szansę zdecydować, czy będziemy walczyć o naszą suwerenność, o naszą wizję odpowiedzialnych wolności opartych na społeczeństwie obywatelskim. To oczywiście będzie miało swój koszt i to koszt spory, o czym społeczeństwa muszą być poinformowane”.

Czechy te koszty zdecydowały się już ponosić. Jesienią 2021 roku Zeman został przekonany do podpisania dokumentu wykluczającego Chiny i Rosję z przetargu na dostawę paliwa do elektrowni atomowej Dukovany. Na polu bitwy zostały tylko firmy z Francji, Korei Południowej i Stanów Zjednoczonych. Ostatecznie wybrano amerykańską Westinghouse i francuską Framatome. Pewnie z Chinami i Rosjanami byłoby taniej i pewnie to tylko kwestia czasu, aż znajdzie się jakiś polityk, lobbysta czy PR-owiec, który postara się określić, jak duże straty dla gospodarki niesie to posunięcie.

* * *

Doradca prezydenta, lokalny działacz związkowy, influencer głoszący niezwykle popularne publicystyczne tezy. W orbitę zainteresowań Chin trafiają – czy wręcz są w jej kierunku popychani – ludzie na bardzo różnych stanowiskach i o różnej sile wpływów. Jedni mają dostęp do ucha najważniejszych polityków, inni działają raczej oddolnie, angażując się w biznes albo po prostu kreując nastroje polityczne. Tak samo jak w innych lobbingsach, kierowanych ze Stanów Zjednoczonych, Rosji, Izraela... Co więc tak bardzo wyróżnia działania Chin? Głównie to, że rzadko kiedy kierują nimi jasne intencje, od razu widoczne i proste do wskazania. A także to, jak bardzo są skuteczne mimo często topornych metod.

ROZDZIAŁ 3

DYPLOMACJA Z PANDAMI

W porządku oczekuj nieuporządkowanych. W spokoju oczekuj tych niosących zgiełk. Oto droga kontroli umysłu¹.

Zamojskie zoo już zacierało ręce. A może nawet bardziej zacierał je prezydent Zamościa Andrzej Wnuk, młody samorządowiec popierany przez Prawo i Sprawiedliwość. W 2014 roku udało mu się pokonać w walce o prezydenturę wieloletniego prezydenta o arystokratycznym rodowodzie, Marcina Zamoyskiego. Wnuk zamarzył sobie, że też wypracuje własną miejską legendę. Więc gdy w 2018 roku cały kraj szykował się do celebrowania stulecia odzyskania niepodległości, Zamość też miał pomysł: zostanie pierwszym miastem w Polsce, w którym zamieszkają pandy wielkie.

Do planu włączyła się posłanka Beata Mazurek (też z PiS). To podobno dzięki nawiązanym przez nią kontaktom doszło do współpracy Zamościa z miastem Ya'an, gdzie hodowane są te zwierzęta. Zamość podpisał z Ya'an listy intencyjne, zaczął szykować się do budowy specjalnego pawilonu dla pand i organizować zwierzętom odpowiednią karmę, czyli stały dostęp do liści bambusa.

Na etapie starań Wnuk chętnie opowiadał o nich mediom i podkreślał analogie z Finlandią, która z okazji swojego stulecia niepodległości także dostała podobny prezent od Chin. Polska rocznica jednak minęła, a o pandach jakoś ucichło. Dopiero Grzegorz Garbuz, dyrektor zamojskiego zoo, wyjaśnił mi: „Niestety wybuch pandemii i zmiana możliwości finansowych zakończyła definitywnie nasze starania o pozyskanie pandy wielkiej do naszego ogrodu”. Gdy zaskoczona tym e-mailem zaczęłam dopytywać, bo przecież pandy miały być prezentem, Garbuz

dopowiedział: „Wszystkie pandy na świecie są własnością rządu Chin, a ten rzadko ich użycza za darmo. Najczęściej jest to umowa na 10-letnią dzierżawę w cenie 1 mln dolarów za rok za sztukę. Dodatkowo jest wiele kosztownych wizyt delegacji chińskich przy uzgadnianiu warunków. Pandemia przerwała rozmowy władz naszego miasta na temat bezpłatnego przekazania pand i nie sądzę, by mogły zostać wznowione, a na standardowe warunki nas nie stać”.

Kiedy o losach chińskich pand dla polskiego zoo opowiadam Alicji Bachulskiej, analityczce z Ośrodka Badań Azji, jest rozbawiona. „Przecież to sztandarowy przykład dyplomacji pandowej. Chiny od dekad stosują pandy jako jedną z kart przetargowych w swoich działaniach dyplomatycznych. To nie tylko symbol tego państwa, ale też jego cenny zasób. Rzeczywiście niemal każde zoo na świecie chciałoby je mieć – a mogą je zdobyć, tylko jeśli je dostaną lub wypożyczą od Chin. A zatem chińscy dyplomaci często proponują te zwierzęta kolejnym państwom, z którymi chcieliby zacieśnić stosunki. Pandy to takie ocieplacze atmosfery” – tłumaczy Bachulska.

I to już od wieluset lat, bo pandy były tradycyjnym podarunkiem wysyłanym na japońskie dwory. Ale współczesną pandową dyplomację wskrzeszono w latach 50. XX wieku, w samym środku budowania komunistycznych Chin. Justyna Szczudlik z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych pisała, że za twórców tego pomysłu uznaje się Mao Zedonga i premiera Zhou Enlaia²: „Początek datuje się na lata 1957–1959, kiedy Chiny podarowały pierwsze zwierzęta Związkowi Radzieckiemu. W latach 60. otrzymała je między innymi Korea Północna. Wówczas stosowano zasadę przekazywania pand krajom socjalistycznym, co korespondowało z prowadzoną przez ChRL polityką «oparcia się na jednej stronie», czyli na ZSRR. Pandy służyły zatem potwierdzaniu bliskości ideologicznej i wzmacnianiu relacji w obozie socjalistycznym”.

Kiedy jednak Chiny wdały się w spór ideologiczny z ZSRR i oparły swoją politykę zagraniczną między innymi na strategii „zjednoczonego frontu”, który zakładał współpracę z USA, Japonią i państwami europejskimi przeciw ZSRR, dyplomację pandową przestawiono na nowe tory. Najgłośniejsza była historia pand

Ling-Ling i Hsing-Hsing, osobników ofiarowanych przez Mao prezydentowi Richardowi Nixonowi w 1972 roku. Dar miał ładunek symboliczny – misie w Ameryce przywitała Pat Nixon, żona prezydenta – i metaforyczny, bo faktycznie oznaczał otwarcie Chińskiej Republiki Ludowej na normalizację stosunków z Zachodem. Wkrótce pandami Chiny obdarowały sąsiednią Japonię, potem Francję, która jako pierwsza w Europie Zachodniej nawiązała stosunki z ChRL. Kolejne osobniki przekazano Wielkiej Brytanii, Portugalii oraz RFN (w 1980 roku, po wizycie kanclerza Helmuta Schmidta w Chinach). Łącznie w latach 1958–1982 ChRL wystawiła paszporty 23 pandom, które wysłała do 9 krajów.

Jak to w dyplomacji, ważne są szczegóły, a przekazywaniu pand towarzyszy wiele rytuałów i symboli, które mówią sporo o tym, co się właściwie dzieje na linii Chiny–obdarowywane państwo. Szczególnie że odkąd do władzy doszedł w 1982 roku Deng Xiaoping, ideologiczny cel obudowano bardziej pragmatycznymi przesłankami. Zwierzęta przestano rozdawać, a zaczęto wypożyczać, wprowadzono zobowiązanie, że potomstwo oddanych pod opiekę pand należy do Chin i tam należy je przekazać po odchowaniu, a przede wszystkim za udostępnienie zwierząt – o czym wspominał szef zamojskiego zoo – się płaci, i to niemało.

Jedno się nie zmieniło: przekazanie pand to zawsze jasny sygnał, że Chinom zależy na zbliżeniu i poprawie stosunków z danym państwem.

W tym kontekście fakt, że do Zamościa na 100-lecie polskiej niepodległości żadna panda nie dotarła, mógł wróżyć poważne zmiany w podejściu Chin do Polski, a może i do całego regionu. Regionu, który przecież przez lata miał na Zachodzie opinię chińskiego konia trojańskiego w Europie, bo za pożyczki i inwestycje był gotów na każdą uległość wobec Państwa Środka.

Chiny + 16

Chiny – 1,4 mld mieszkańców. Europa Środkowa – około dziesięciu razy mniej. To oczywiście porównanie populacji jest tak naprawdę lejtymotywnym wszelkich dyplomatycznych kontaktów między Państwem Środka a środkiem Europy.

Choć oficjalnie inicjatywę 16 + 1 zainaugurowano w Warszawie w 2012 roku, podjęto ją wcześniej i stanowczo nie w Polsce. Tak naprawdę początkiem był kryzys w Stanach Zjednoczonych (wciąż brakuje ładnej, medialnej nazwy dla recesji, która pod koniec pierwszej dekady XXI wieku rozlała się po świecie). Możemy tu przyjąć, że jego światowym symbolem był upadek amerykańskiego banku Lehman Brothers. Podobnie jak symbolem w Europie była niemalże upadłość Grecji.

Grecki domek z kart runął w 2010 roku, kiedy pod wpływem globalnego kryzysu inwestorzy zaczęli uważniej analizować, komu pożyczają pieniądze. Gdyby nie 340 mld euro pomocy (równowartość 140 proc. PKB), które Grecy otrzymali od Unii Europejskiej, Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Europejskiego Banku Centralnego i prywatnych inwestorów, państwo będące kolebką europejskiej kultury stałoby się całkiem niewypłacalne. Tyle że już wcześniej potrzebowało pomocy, i to poważnej. Tak desperacko, że w 2008 roku, kiedy wybuchł światowy kryzys finansowy, Ateny na 35 lat wydzierżawiły chińskiemu koncernowi COSCO, powiązanemu z tamtejszym rządem, dwa doki w Pireusie. Port nie tylko historycznie symbolicznym, lecz także współcześnie odgrywającym istotną rolę w całym basenie Morza Śródziemnego, drugim najważniejszym po Walencji.

Dla Grecji jednak Pireus, czy raczej pieniądze, jakie za niego można było dostać, stanowił ratunek. A przynajmniej tak to postrzegały ówczesne rządy, czyli Koalicja Radykalnej Lewicy (tzw. Syriza), która w 2015 roku wygrała wybory. Rząd Aleksisa Tsiprasa zaczął lawirować, z jednej strony przeciwstawiając się Brukseli, a przede wszystkim drakońskim wymaganiom fiskalnym tzw. Trojki, czyli wspomnianego MFW, EBC i Komisji Europejskiej, z drugiej starając się o kolejne wsparcie finansowe. Grecja czuła się poniżona, niesłusznie oskarżona o rozpasanie, korupcję i lenistwo, przez które miała na siebie sprowadzić problemy.

Szczególnie że prym w wywieraniu presji oraz odmawianiu dalszej pomocy wiodły Niemcy, kraj, któremu Grecja pół wieku wcześniej darowała płacenie powojennych reparacji. A teraz zamiast pomóc, zaczął jej dokręcać śrubę.

W takiej atmosferze „ubożenia, frustracji i grania na historycznych urazach” – jak to opisują hiszpańscy dziennikarze śledczy Juan Pablo Cardenal i Heriberto Araújo w *Nieuchronnym podboju świata po chińsku* – pojawiły się nagle Chiny z perspektywą wielkiej alternatywy. „Panowało przekonanie, że Pekin mógłby w każdej chwili wyratować grecką gospodarkę z twardych rąk Trojki, nawet minimalną częścią ogromnych zasobów pieniężnych, jakimi dysponuje (...). Pojawiła się więź emocjonalna. – Chiny nie oceniają Grecji po tym, co się teraz dzieje, ale po tym, co się działo na przestrzeni całej historii. Czują się z Grecją związane, bo oba te kraje to ośrodki starożytnej cywilizacji”³ – cytowali pewnego greckiego dyplomatę autorzy książki napisanej tuż po głębokim załamaniu gospodarczym, gdy wszystkie te emocje były jeszcze w Grecji bardzo żywe.

I właśnie przy takich nastrojach Grecja zdecydowała się w ciągu kilku miesięcy od powstania nowego rządu odsprzedać wielkiemu państwowemu przedsiębiorstwu COSCO większość udziałów w porcie w Pireusie. Dla Chin inwestycja stanowiła kluczowy element globalnej Inicjatywy Pasa i Szlaku – po rozbudowie port w Pireusie miał się stać hubem, przez który do całej Europy trafiać będą chińskie towary, dostarczone tam wcześniej na statkach przez Kanał Sueski.

„To była sprytna strategia. Potraktować «czarną owcę» Europy z szacunkiem i podkreślać, jak ważna w historii Greków jest duma, po to, żeby wzbudzić poczucie solidarności między państwami, które przecież nie mogłyby się od siebie bardziej różnić”⁴ – zauważa Joanna Chiu w książce *China Unbound* [Chiny bez ograniczeń]. Ta dziennikarka przez lata opisująca Chiny dla „The Economist”, „BBC World” i „The Guardian” bardzo świadomie podkreśla, że przecież Grecja to kolebka demokracji, a jednak na partnera wybrała rządzone autorytarnie Chiny i szybko – o czym będzie dalej – zaczęła grać tak, jak jej nowy partner sobie zażyczył. To był moment brzemienny w skutki: Chiny odebrały wyraźny sygnał, że na styku zachodniej Europy i Azji jest obszar, na który warto pilnie zwrócić

uwagę. Zaś na samych Chińczykach zrobiło wrażenie to, że państwa środkowoeuropejskie wyszły obronną ręką z kryzysu w 2008 roku, który tak pogrążył choćby Grecję. Michał Lubina w analizie dla Ośrodka Myśli Politycznej *Pokraczne wejście smoka. Chiny i format 1 + 16/17* pisał o tym momencie tak: „Pekinowi marzyło się zdobycie przyczółku w UE, miejsca, gdzie łatwiej będzie wygrywać przetargi, no i nowych rynków dla swojej strategii wyjścia na zewnątrz (*zou chu qu*). Chińskim elitom wydawało się również, że dzięki państwom Europy Środkowo-Wschodniej Chiny zdołają poprawić swój wizerunek w UE (kupowanie politycznej dobrej woli jest jednym ze stałych, acz ukrytych celów Pekinu)”⁵.

To nie przypadek, że do umowy 16 + 1 doszło dopiero na początku drugiej dekady XXI wieku. „Wszystkie inne regiony już w międzynarodowych strategiach Chin były ujęte. A w chińskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych Europa Środkowa podchodziła pod ten sam departament co Rosja, co wyraźnie pokazuje, jak była postrzegana” – podkreśla Alicja Bachulska.

Tworząc nowy format współpracy, Pekin nie miał specjalnego planu. Wręcz przeciwnie, wyraźnie kierował się doświadczeniem, jakie wyniósł z inwestycji w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Tam model kilkunastu małych państw o dosyć słabych gospodarkach, z którymi wszelkie interesy można załatwiać niejako hurtowo podczas jednego szczytu rocznie, sprawdzał się bardzo dobrze. Skoro w Afryce to się powiodło, to czemu nie miałyby też działać w byłym europejskim bloku wschodnim?

W tym układzie decydujący był sinocentryzm. Tak silny, że prawidłowa nazwa formatu powinna brzmieć właściwie 1 + 16. To Chiny zawsze były siłą przewodnią, zawsze były w centrum, a reszta państw miała wokół nich krążyć po różnych orbitach, czasem dalszych, czasem bliższych, niczym na niebie. A raczej pod niebem, bo tak właśnie tłumaczy się termin *tianxia* używany do opisanie chińskiej wizji reszty świata.

Polscy sinolodzy Dominik Mierzejewski i Bartosz Kowalski w jednej ze swoich książek tak tłumaczą ten dosyć trudny do zrozumienia dla Europejczyków koncept: „*Tianxia* służy jako narzędzie definiowania grupy jako konstruktu

kulturowego, a nie wspólnoty politycznej. Krytyczną cechą tego poglądu było to, że kultura i ludzie byli zjednoczeni, a za nimi podążała jednolita polityka, tworząc państwo, gdzie «wszystko jest pod wspólnym niebem»⁶. Skoro więc państwo jest tylko pochodną wspólnych interesów, to Państwo Środka można rozciągać ponad jego granice – na wszystko, co pod niebem.

Drugim zaś filarem układu z Europą Środkową było założenie, że cały ten obszar – i Grupę Wyszehradzką, i Bałkany, i Bałtów – Chiny mogą traktować podobnie jak kraje Trzeciego Świata. Do tego stopnia, że już na samym początku Xi Jinping podciągał inicjatywę pod współpracę Państwa Środka z „globalnym Południem”. Wycofał się z tego, gdyż wytłumaczono mu, że dla wschodniej Europy to stanowczo nie jest komplement.

„Dla Chin 16 + 1 to był bardzo pragmatyczny sposób na obejście Brukseli. Tak zresztą całkiem wprost usłyszałem od Cui Hongjiana z CIIS. On się wręcz chwalił, że «szesnastka» była jego osobistym pomysłem zaproponowanym partii właśnie po to, by załatwić w Europie to, czego nie dało się załatwić poprzez Unię” – mówi mi podczas nieformalnego spotkania dyrektor jednego z ważnych europejskich think tanków zajmujących się geopolityką. Cui Hongjian, o którym wspomniał, to dyrektor Departamentu Studiów Europejskich w China Institute of International Studies (Chińskim Instytucie Studiów Międzynarodowych) podlegającym bezpośrednio pod MSZ. A zatem postać dosyć w relacjach Chiny–Europa istotna.

Gdy w 2019 roku kontakty Polski i Chin stały na ostrzu noża po wybuchu afery szpiegowskiej wokół Huawei, ambasada ChRL zorganizowała dosyć dziwne spotkania dla dziennikarzy. W eleganckich salach hotelu Bristol na rozmowę z wąską grupą dziennikarzy przybyło kilku chińskich dyplomatów i ekspertów. Wśród nich także Cui Hongjian. Z miejsca usłyszeliśmy, że to nie jest wywiad, tylko dyskusja, dzięki której można przedstawić mediom „chiński punkt widzenia”. Ton rozmowie w dużej mierze nadawał Cui, który zresztą Polskę nieźle znał; był tu kilkakrotnie. Co chińscy dyplomaci mieli do przekazania? Głównie to, że Chiny nie są konkurencją dla Stanów Zjednoczonych, a jedynie chcą uzupełniać światową gospodarkę. W tym uzupełnieniu Polska może być dla nich ważnym partnerem, bo

przecież ma tańszych pracowników niż Niemcy. Dyplomaci nie zrozumieli, gdy usłyszeli, że argument o „taniej sile roboczej” nie jest już dla Polski pociągający. Albo udawali, że nie rozumieją.

Zresztą od początku 16 + 1 mocno się opierało na udawaniu. Chiny udawały, że coś więcej o państwach Europy Środkowo-Wschodniej wiedzą. Europa udawała, że ma konkretny plan na współpracę z Chinami. Lubina we wspomnianej analizie pisze tak: „Amerykański socjolog Salvatore Babones z Uniwersytetu w Sydney komentował dosadnie: «jeśli chiński biznesmen dowie się, że Polska jest znana z jabłek, a Łotwa z drzew, to będzie postęp»”⁷.

Gdy w 2012 roku na pierwszy założycielski szczyt 16 + 1 do Warszawy przyjechała chińska delegacja biznesowa, na spotkanie z nią przybył tłumek polskich biznesmenów, zwabionych wizją robienia interesów z Chinami. Chińczycy przedstawili swoje oferty: fabryki chemiczne, produkcja plastiku, inwestycje w przemysł ciężki. Zasadniczo brudny i obciążający środowisko plan. Jeden ze skonfundowanych Polaków odparł, że przecież jesteśmy w Unii Europejskiej i nie możemy sobie na takie inwestycje pozwolić. Ta odpowiedź wyraźnie zaskoczyła Chińczyków, którzy właśnie wrócili z Iraku i Mozambiku, bo tam podobne pomysły wzbudziły entuzjazm. „Nie było zrozumienia z obu stron. Chiny nie znały się na Europie Środkowej, a Europa nie znała się na Chinach” – mówi Bachulska.

Przyspieszenie nastąpiło, gdy w 2013 roku Chiny ogłosiły projekt Nowego Jedwabnego Szlaku, czyli słynnej Inicjatywy Pasa i Szlaku. Państwo Środka ponownie trochę bardziej się zainteresowało Europą Środkową. Było to widać chociażby w listopadzie 2015 roku na szczycie w Suzhou, gdzie przyjęto plan współpracy do 2020 roku, zakładający między innymi stworzenie nowego banku dla Europy Środkowo-Wschodniej, rozwój infrastruktury, logistyki, przemysłu oraz rolnictwa. Przede wszystkim jednak przywódca Chin Xi Jinping przygotował się do wielkiej podróży po Europie Środkowej.

„Na Łotwę nie dotarł. Do nas trafiła wtedy tylko delegacja z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Od samego początku wyraźnie akcentowano różnice

w traktowaniu poszczególnych państw nawet w obrębie jednej umowy” – mówi Māris Andžāns, dyrektor Centrum Studiów Geopolitycznych w Rydze, i tylko wzrusza ramionami.

„Polska leży w sercu Europy, tam gdzie Jedwabny Szlak z Chin do Europy przecina się ze Szlakiem Bursztynowym, który wiedzie z południa na północ” – mówił prezydentowi Andrzejowi Dudzie Xi Jinping w czerwcu 2016 roku. W budujących słowach podkreślał, że Polska ma „unikatową przewagę geopolityczną” i może odegrać „bardzo dużą rolę” we flagowym chińskim projekcie infrastrukturalnym na kolejne trzy dekady – Inicjatywie Pasa i Szlaku. Polski prezydent nie pozostał dłużny, wyrażając nadzieję, że „Polska stanie się dla Chin bramą do Europy” oraz że może ona w tym celu reprezentować jako największe państwo i główny partner handlowy Chin w regionie całą Europę Środkowo-Wschodnią.

Ale choć wszystkie te słowa brzmiały doniośle, to i tak symbolem tej wizyty stały się zdjęcia Xi Jinpinga jedzącego polskie jabłka. Polscy rolnicy wciąż boleśnie odczuwali wówczas skutki rosyjskiego embarga na te owoce, więc ich eksport do Chin miał się stać ratunkiem dla sadownictwa. Paweł Kocon z Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa zachwycał się: „Zastanawialiśmy się, co pokazać jako nasze dobro narodowe. Na imprezie, na której byli obecni prezydenci Xi Jinping i Andrzej Duda, postawiliśmy na polskie jabłka. Namówiliśmy naszego prezydenta, aby przekazał jabłko prezydentowi Chin, żeby ten ugryzł i spróbował. Zdjęcia prezydentów z jabłkami obiegały cały świat, przede wszystkim Polskę i Chiny. W ciągu tygodnia dostaliśmy z Chin całą masę e-maili o treści: «Poprosimy dokładnie te jabłka, które jadł Xi Jinping». To przykład nowoczesnych i sprytnych działań, które chcemy realizować”.

I faktycznie w listopadzie 2016 roku 453 sady oraz 135 pakowni z Polski uzyskało wpis do rejestru podmiotów, które mogą produkować i przygotowywać jabłka na rynek chiński. Jabłkowa dyplomacja w praktyce przyniosła jednak dosyć skromny plon. Według danych GUS od 2016 do końca 2019 roku do Chin wysłaliśmy niecałe 2 tys. ton jabłek o łącznej wartości około 5,5 mln zł.

W kolejnych dwóch latach po wybuchu pandemii nawet ten skromny eksport praktycznie umarł.

Ale przyjazd Xi do kilku środkowoeuropejskich państw i tak był wyjątkowy. Na większość szczytów 16 + 1 przylatywał premier Li Keqiang odpowiedzialny za gospodarkę krajową, a nie Xi zajmujący się polityką zewnętrzną. Takie czysto ekonomiczne ujęcie współpracy opierało się też na przekonaniu, że aby zdobyć mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej, wystarczy przed nimi roztoczyć perspektywę grantów, pożyczek i inwestycji. I trzeba przyznać, że dyplomacja oparta na inwestycyjnych impulsach mocno rezonowała. Polskie firmy liczyły, że uda im się wejść do biedniejszych prowincji chińskich, takich jak Syczuan, Ningxia, Gansu czy Qinghai, które nie zostały jeszcze opanowane przez zachodni kapitał. Przede wszystkim zaś wierzono w rozwój handlu. „Wejście Chin do Europy Środkowo-Wschodniej miało być trzecim najważniejszym dla regionu, po kapitale zachodnim w 1989 roku i unijnych funduszach po 2004 roku, impulsem rozwojowym” – podkreśla Māris Andžāns, dyrektor Centrum Studiów Geopolitycznych w Rydze. Każde z państw słyszało tu coś miłego dla siebie: a to że leży na dokładnym przecięciu szlaków, a to że ma porty lub niezbędne koleje, lub dużo mieszkańców, którzy są ważnymi klientami.

Alicja Bachulska z Ośrodka Badań Azji znów się uśmiecha, ironicznie: „I to jeszcze podlane było wizjami Chin jako narodu, który wszystko oblicza na pokolenia do przodu. Tak też przedstawiano cały Nowy Jedwabny Szlak, jako strategię na dekady. Jak jest z tym długofalowym planowaniem w Chinach, widzimy teraz, gdy co rusz wybuchają jakieś wewnętrzne problemy, zaczynając od kryzysu demograficznego wywołanego polityką jednego dziecka po potężny problem, jakim wciąż jest zwalczanie pandemii” – dodaje ekspertka. Ale podkreśla, że faktycznie na połowę drugiej dekady XXI wieku przypadł rozkwit miłości między Chinami a Europą Wschodnią.

W Warszawie była zagryzana jabłkami, w Serbii fetowana inwestycją w Smederevo, hutę żelaza w historycznej stolicy kraju, a Pragę na wizytę

chińskiego przewodniczącego wystrojono czerwonymi flagami niczym na wizytę Breżniewa w latach 70.

Gwiazda C-popu śpiewa o Pradze

Wzajemne uczucia wydawały się tak gorące, że aż zainspirowały hit Mandopop *Prague Square*. Tak jak J-pop w Tokio czy K-pop w Seulu, tak i swoją odmianę popu mają w Pekinie. Zwie się właśnie C-pop lub Mandapop¹⁰, a za jego królową uważana jest Jolin Tsai. To ona w 2016 roku nagrała balladę, w której w rytm harmonii kojarzącej się z klimatem starego europejskiego miasta śpiewa: „Kiedy staliśmy na placu o zmierzchu w Pradze, wrzucałam monetę do fontanny życzeń. Stado białych gołębi wzbija się do lotu na tle słońca. Ten obraz jest zbyt piękny, by oderwać od niego wzrok”.

Tak właśnie miała wyglądać współpraca z Chinami: „zbyt pięknie, by oderwać wzrok”. Emilian Kavalski specjalnie przywołuje tę piosenkę w swojej analizie stosunków chińsko-środkowoeuropejskich¹¹. „Idealnie wpisywała się w takie romantyczne nastroje, jakie chciano wtedy zbudować. Chiny w 2012 roku razem z umową 16 + 1, a potem 17 + 1 przysły z ogromnymi obietnicami, przeogromnymi. Zachowywały się trochę jak panna na wydaniu podbijająca swoje zalety, urodę i możliwości”.

Z Kavalskim rozmawiam na początku 2022 roku. Choć badanie relacji chińsko-europejskich prowadzi w Krakowie, kolejne lockdowny zmuszają nas obydwoje do lawirowania między krótkimi momentami, gdy można swobodniej podróżować, a kolejnymi wzmożeniami fali zachorowań. Jak bardzo COVID-19 zmienił nasze życia, Kavalski opowiada na własnym przykładzie. Na początku 2020 roku wyjechał z Chin, gdzie pracował na Uniwersytecie of Nottingham w Ningbo, by spędzić ferie z rodziną. Nagle wybuchła pandemia, która uniemożliwiła mu normalną pracę i podróżowanie do Europy, gdzie (dokładnie w Finlandii) pracuje jego żona i mieszkają dzieci. Wtedy okazało się, że na Uniwersytecie Jagiellońskim

jest wolny etat profesorski, co w kontekście badań wpływów Chin w tym kawałku świata okazało się rozwiązaniem idealnym.

„W pewnym sensie skłoniło mnie do tych badań moje poprzednie miejsce pracy. Ningbo nie należy do najważniejszych chińskich miast. Wręcz przeciwnie, z 800 tys. mieszkańców jest jak na tamte warunki małe. Ale i tak na konferencje organizowane przez burmistrza tego miasta przybywali ministrowie z całej Europy Środkowej: Węgier, Czech, Polski, Rumunii; i to ministrowie spraw zagranicznych, gospodarki, naprawdę ważni politycy. Wyobraźmy sobie prezydenta Krakowa, który zaprasza ministrów wszystkich państw Azji, a ci w podskokach się zjawiają. To mnie bardzo zainteresowało, bo owszem, Ningbo to jest ważny port przeładunkowy, ale miałem poczucie, że ważniejsze są raczej nastawienie i odczucia, jakie wokół współpracy z Chinami panowały w Europie Środkowej” – wspomina analityk. Sam jest Bułgarem, więc doskonale czuł, jakie to emocje. „Romans z Chinami politykom, biznesmenom z naszego regionu się marzył. I faktycznie przez jakiś czas rozkwitał. Do tego stopnia, że zachodnioeuropejscy politycy z goryczą mówili o Europie Wschodniej, że jest «koniem trojańskim Chin»” – dodaje badacz.

Rzeczywiście, pojawiały się takie metafory. Najczęściej w kontekście Grecji, szczególnie gdy ta po kryzysie gospodarczym zaczęła wpadać w chińskie objęcia. „Trudna sytuacja gospodarcza może spowodować, że Grecja zostanie wykorzystana do stopniowego zwiększania strategicznego wpływu Pekinu na Starym Kontynencie” – ostrzegała w 2012 roku Eva Anastasiadou w Royal United Services Institute¹². To był moment realizacji umowy na zakup portu w Pireusie, a chińskie COSCO za pośrednictwem swojej spółki zależnej Piraeus Container Terminal podpisało umowę z lotniskiem w Atenach, integrując fracht lotniczy z morskim. Kilka lat po sowitym wsparciu, jakiego udzielił najmocniej pogrążonemu w kryzysie gospodarczym krajowi Europy, Pekin liczył na wzajemność. I się jej doczekał, gdy w 2017 roku Grecja samotnie zablokowała unijną rezolucję potępiającą łamanie praw człowieka w Chinach. Rok wcześniej zaś razem z Węgrami sprzeciwiła się podobnej rezolucji w sprawie chińskich działań na

Morzu Południowochińskim. W tym samym roku układ 16 + 1 zmieniono na 17 + 1, bo dołączyła do niego właśnie Grecja, choć tak naprawdę ani geograficznie, ani historycznie nigdy nie miała z Europą Środkową wiele wspólnego.

Andreea Brînză, wiceprezeska Rumuńskiego Instytutu Badań Azji i Pacyfiku (RISAP), kilka lat później napisała o tym manewrze¹³: „Chiny mają firmy zombie, które nie przynoszą już zysków, ale utrzymują się przy życiu dzięki tanim pożyczkom lub pomocy państwa, aby uniknąć problemów związanych z zamknięciem interesu. I wykorzystują godne zombie mechanizmy dyplomatyczne. Komunistyczna kultura polityczna Chin nie obejmuje przyznawania się do błędów i szybkiego porzucania nieudanych projektów. Woli je kontynuować i przedstawiać jako sukces. Jeśli zatem 16 + 1 brakowało choćby jednej szeroko znanej pomyslniej historii inwestycji, rozwiązanie było proste: wystarczy dodać Grecję i ukazać port w Pireusie jako udany projekt w ramach 17 + 1”.

Ale takie wnioski stały się jasne po jakimś czasie. W połowie drugiej dekady wciąż jeszcze Europa Środkowa wyglądała raczej na wampira chętnego przyssać się do chińskiego krwiobiegu niż na zombie.

Dlatego też po metaforę „tanio kupionego konia trojańskiego” sięgano za każdym razem, gdy rysowała się wizja jakiejś większej inwestycji lub chińskiej pożyczki w regionie, choć takie same – ba! często większe – inwestycje realizowano w Europie Zachodniej.

Tu szczególną rolę odgrywał (i wciąż odgrywa) węgierski premier Viktor Orbán, niezmiernie głośzący chęć zacieśnienia kontaktów z Chinami. Choć w istocie jego polityka opiera się raczej na walce o silniejszą pozycję w samej Unii poprzez granie „chińską kartą” niż na szczególnie intensywnych kontaktach z Państwem Środka.

Orbánowski model wyraźnie zaczęła kopiować Serbia. Kilka dni przed ugryzieniem jabłka w Warszawie Xi odwiedził Belgrad, gdzie nie tylko spotkał się z ówczesnymi prezydentem Tomislavem Nikolicem i wtedy jeszcze tylko premierem Aleksandarem Vučićem, ale przede wszystkim roztoczył wielkie wizje

zbliżenia i ogromnych funduszy. Od tego momentu zaczęły się pojawiać kolejne większe i mniejsze inwestycje, współpracy, pożyczki i zakupy.

Choć tak naprawdę Serbia została pchnięta w objęcia Państwa Środka znacznie wcześniej, a dokładnie 7 maja 1999 roku.

Od końca marca 1999 roku NATO bombardowało stolicę Jugosławii, by zdławić okrucieństwa popełniane przez wojska prezydenta Slobodana Miloševicia przeciwko etnicznym Albańczykom w prowincji Kosowo. Bombardowania do tej pory omijały budynki dyplomatyczne, jednak 7 maja amerykańskie samoloty bojowe zbombardowały ambasadę Chin. Zginęło w niej trzech chińskich dziennikarzy, rannych zostało 27 innych obywateli Chin. Wybuchł skandal. Bo choć oficjalnie Stany i ówczesny prezydent Bill Clinton zapierali się, że to była pomyłka, że celem miał być położony kilka budynków dalej Yugoimport, czyli Federalna Dyrekcja ds. Dostaw i Zamówień, to ani Jugosławia, ani Chiny w to nie wierzyły. Dowodem na celowość ataku miało być to, że chińska ambasada została usunięta z listy zakazanych celów, gdy internetowy wywiad NATO (ELINT) wykrył, iż działa ona jako punkt przekazywania informacji siłom zbrojnym Miloševicia.

Do dziś tamta historia nie jest do końca wyjaśniona, ale jedno jest pewne: natowskie bombardowania zakończyły wojnę w Jugosławii, ale w Serbii pozostawiły ogromną zadurę, a atak na chińską ambasadę połączył oba kraje. Dziś w miejscu zniszczonej placówki znajduje się świeżo postawione Chińskie Centrum Kultury. Srebrnawe, nowoczesne, mieni się w promieniach słońca, ale w zderzeniu z gigantycznymi betonowymi budynkami z czasów Tito, jakich pełno kilka przecznic dalej, i tak wygląda dosyć skromnie. Kluczowe jednak jest to, że kamień węgielny pod ten budynek w 2016 roku wmurowali wspólnie szefowie obu państw. Bo tak naprawdę był to kamień węgielny pod ich przyszłą współpracę.

„Chińska dyplomacja nie bez powodu określiła format 16 + 1 równaniem: 15 + 1 + 1, czyli Europa Środkowa plus Serbia plus Chiny” – podkreśla profesor Kavalski.

Igor Novaković, szef działu badawczego serbskiego Security Affairs Centre (ISAC), mówi, że Serbia znalazła się wówczas „między dwoma ogniami”. Kiedy zaostrzyły się tarcia między Zachodem a Chinami, rząd w Belgradzie powinien był umiejętnie rozgrywać sytuację.

Ale opinia Novakovicia może dotyczyć wielu państw tego regionu. Podobnie o swojej ojczyźnie mówi Vladimir Shopov, wieloletni ekspert ds. polityki chińskiej w Instytucie Dyplomacji bułgarskiego MSZ. „Istniejemy między północą a południem, między wschodem i zachodem. To z jednej strony największa przewaga, ale i największe ograniczenie Bułgarii. Cały region tak jest położony – ale Bułgaria bardziej, bo przez Polskę czy Rumunię wyraźnie wytyczono szlaki transportowe. Dlatego też przez lata z całej tej współpracy z Chinami niespecjalnie korzystaliśmy, a Chiny nie miały szczególnych pomysłów na Bułgarię”.

Co nie znaczy, że nie było nadziei i apetytów. Bułgaria i Rumunia, które do Unii weszły w 2007 roku, ale wciąż nie były w strefie Schengen, czuły się wyraźnie członkami drugiej kategorii. Wręcz może nawet trzeciej, bo jednak państwa z dużego rozszerzenia w 2004 roku, choć były w strukturach unijnych niewiele dłużej, to jednak rozpychały się w nich odważniej. „W 2018 roku Bułgaria sprawowała prezydencję w Unii i w Sofii zorganizowano dużą konferencję kończącą półrocze. Tydzień później w tym samym miejscu odbył się zaś szczyt 17 + 1. To był wyraźny sygnał nastrojów panujących w Bułgarii i jej balansowania między Zachodem a Wschodem” – wspomina Kavalski.

China Summit odbywał się w sofijskim Narodowym Pałacu Kultury, gmazysku w centrum miasta, ewidentnie pamiętającym czasy komunizmu. Lepsza byłaby na taką okoliczność Święta Sofia, ogromny kompleks turystyczno-rozrywkowy w nadmorskim kurorcie Słoneczny Brzeg, zapowiadany już w 2014 roku i mający składać się z hoteli z kasynami, aquaparku, sal konferencyjnych, galerii handlowej, biur i terenów zielonych. „Bułgarskie Las Vegas”, jak media nazwały Świętą Sofię, początkowo było wyceniane na 750 mln euro, ale przez kilka lat pozostawało w sferze wizji. Do 2017 roku, gdy blisko powiązana z komunistyczną partią gazeta „China Daily”¹⁴ poinformowała, że projekt został

zaprezentowany w Pekinie jako innowacyjna inwestycja high-tech idealnie pasująca do Inicjatywy Pasa i Szlaku. Dwa lata później ten sam dziennik, zachwalając¹⁵ projekt, oceniał, że jego koszt wzrośnie do 1,2–1,5 mld euro, ale warto tyle wydać, bo dzięki tej inwestycji PKB Bułgarii wzrośnie aż o 1 proc., a liczba nowych miejsc pracy zwiększy się o 5 tys. Tak przynajmniej zapewniał Josie Lock, dyrektor wykonawczy specjalnie powołanej chińskiej firmy Bulgaria Development Holdings.

Jak ten projekt podciągnięto pod Inicjatywę Pasa i Szlaku? Święta Sofia miała znaleźć się na linii specjalnego nowoczesnego korytarza transportowego, handlowego i gospodarczego biegnącego z Szanghaju do Berlina, przez Europę Środkową, wzdłuż Morskiego Jedwabnego Szlaku, łączącego Chiny, Azję Południowo-Wschodnią, Oceanię i Afrykę Północną. Do projektu miała się przyłączyć ważna chińska firma telekomunikacyjna ZTE. Tyle że jej zapał, podobnie zresztą jak i w innych firmowanych przez nią inwestycjach, szybko zgasł. Zwłaszcza gdy pod wpływem amerykańskiej krytyki i sugestii, że współpracuje z chińskim wywiadem, straciła szanse na inwestycje w 5G w Europie. „Nie pierwszy to i nie ostatni chiński projekt, który zostanie tylko na papierze i w sferze rozbudzających nadzieje obietnic” – wzrusza ramionami Shopov, wieloletni ekspert ds. polityki chińskiej w bułgarskim MSZ.

Okazało się, że z wyjątkiem Serbii i Węgier cały chiński program sprowadzał się do niewielkich inwestycji, ewentualnie przejęć, które tylko pogłębiały deficyt handlowy w krajach regionu z Pekinem. Mówiąc wprost: umacniała się ich pozycja jako rynków zbytu. W takiej atmosferze – gdy za nadziejami na wielkie inwestycje nie nadążała rzeczywistość – coraz wyraźniej dawała o sobie znać sztuczność grupy 17 + 1. „W obrębie samej siedemnastki poszczególne państwa coraz silniej rozgrywały układ zgodnie z własnymi ambicjami, działały na własną rękę lub traktowały Chiny jako element polityki wewnętrznej w rozgrywkach na linii rząd–opozycja” – zauważa Kavalski.

W odpowiedzi na oczywistą porażkę programu Chińczycy zaczęli rozgłaszać swoje osiągnięcia, bo przecież „zrealizowano ponad 300 przeróżnych inicjatyw”.

Od dialogów ministrów finansów, poprzez debaty leśników i rolników, wyjazdy na obozy dla uczniów, rozmowy o inwestowaniu w *safe city*, po współpracę uczelni i wizyty samorządowców...

Jak wyglądała ta współpraca, pokazała analiza opracowana przez czeski Senat, który wysłał do wszystkich samorządów 10 pytań o to, jak się im układa współpraca z Chinami. Pytano między innymi, jakie pojawiły się na danym terenie inwestycje z Chin, jakie podpisano memoranda i jakie się odbyły wymiany. „Dostaliśmy szalone odpowiedzi. Jeden z regionów, mający ledwie 1 mln mieszkańców, podpisał umowę z 40-milionową prowincją, co więcej, zawarł memorandum o współpracy z kolejnymi dwoma regionami, a wszystko bez najmniejszej kontroli ani konsultacji ze służbami. Czescy samorządowcy w ogóle nie mieli poczucia, że dysponują o wiele mniejszą siłą. Co więcej, inicjatorem 95 proc. wszystkich partnerstw była strona chińska działająca za pośrednictwem różnych oddolnych izb, stowarzyszeń, organizacji kulturalnych itp.” – słyszę od czeskich senatorów.

W pewnym momencie sam chiński premier Li Keqiang pojechał do Berlina, żeby zaprosić Niemców do udziału w 17 + 1. Żeby tego było mało, latem 2017 roku podczas wizyty Xi Jinpinga u kanclerz Angeli Merkel Chiny przekazały Niemcom pandy. Był to jednoznaczny sygnał, że chcą poprawy stosunków. A te uległy nagłemu pogorszeniu, bo kilka miesięcy wcześniej Chińczycy próbowali dokonać przejęć w niemieckim sektorze przemysłowym.

Pandy jeszcze raz zadziałały. A może bardziej prawdopodobne jest to, że ściślejszą współpracę z Europą Środkową przehandlowano w zamian za neutralność Niemiec w amerykańsko-chińskiej wojnie handlowej, która po dojściu do władzy w USA Donalda Trumpa właśnie zaczynała się rozkręcać.

Z punktu widzenia Chin kluczowe było powstrzymanie się Niemiec od nazbyt zdecydowanego poparcia USA w tej rozgrywce. W tym samym czasie jednak Amerykanom nagle przestał się podobać sojusz 17 + 1, na który wcześniej patrzono przez palce. Bo może i niespecjalnie skuteczny, ale jednak mógł być wykorzystywany przez Chiny do wywierania różnego rodzaju presji.

Widząc to, Chiny postanowiły nieco odgrzać swoje oferty dla naszego regionu. Wiosną 2020 roku w Pekinie miał się odbyć z rozmachem szczyt 17 + 1, w którym uczestniczyć zamierzał sam Xi Jinping.

Tyle że wtedy właśnie wybuchła pandemia.

Wilcze oczy

Jaroslav Kubera działał publicznie już niemal 30 lat. Od początku i cały czas w konserwatywnej Obywatelskiej Partii Demokratycznej (Občanská demokratická strana – ODS), założonej jeszcze przez Václava Klause. W polityce 72-letni Kubera, wieloletni prezydent Cieplic, a od dwóch dekad senator, widział zatem wiele. Ale tego, co wydarzyło się na początku 2020 roku, się nie spodziewał. Od dwóch lat był przewodniczącym Senatu i zaplanował kurtuazyjną wizytę na Tajwanie, państwie tyleż dla Czech egzotycznym, ile ważnym, bo coraz więcej biznesów technologicznych z tej wyspy interesowało się inwestycjami w Europie Środkowej.

Czechy, czy raczej czeskie władze: ówczesny premier Andrej Babiš i prezydent Miloš Zeman, od lat blisko trzymali się z Pekinem, co rusz wywołując kolejne kontrowersje oraz polityczne opory opozycji wobec takich kontaktów. Te związki z Chinami zaczęły trafiać na celownik opozycji, która nie tylko krytykowała za nie prezydenta Zemana, ale wręcz sama zaczęła coraz aktywniej działać na przekór Chińskiej Republice Ludowej.

W 2019 roku rządząca czeską stolicą opozycja (a dokładniej liberalna Partia Piratów) doprowadziła do wypowiedzenia umowy z Pekinem jako miastem partnerskim. Poszło przede wszystkim o politykę ChRL wobec Tajwanu. Dla Pekinu to kwestia nienegocjowalna. Praska rada miasta chciała sprawę przegłosować na swoim zebraniu, ale wcześniej zjawił się ambasador Chin i ogłosił, że nie pozwoli upokarzać swojej ojczyzny, więc to ona rezygnuje z wszelkiej współpracy z Pragą. Inicjatorzy jednej z umów chwalili się wcześniej,

że w zamian za dobre kontakty z Chinami praskie zoo ma na kilka lat dostać z Chin prawdziwą pandę. Nie dostało. Stosunki Pekin–Praga natomiast coraz bardziej się ochładzały. Kubera postanowił więc zaznaczyć, że jest alternatywa wobec ChRL – w postaci Tajwanu.

Dalsze wypadki są bliższe politycznym thrillerom niż z zasady nudnym dyplomatycznym rozgrywkom. Wyjazd delegacji czeskiej na Tajwan zaplanowano na luty 2020 roku. 10 stycznia ambasada Chin w Pradze wysłała do urzędu prezydenta Czech list protestacyjny. Zawierał sugestię, że jeżeli Kubera uda się z wizytą do Tajpej, ucierpią na tym czeskie firmy działające w Chinach, takie jak Škoda Auto czy pożyczkodawca Home Credit Group (firma należąca do najbogatszego Czecha Petra Kellnera, który od lat był znany z bliskich kontaktów z Chinami). „Czeskie firmy, które prowadzą interesy w Chinach, będą musiały zapłacić za inicjatywę prezesa Kubery” – pisała ambasada.

Zaczęły się zapasy senatora Jaroslava Kubery z prochińskim prezydentem Zemanem. Jeden z prezydenckich urzędników miał wręcz demonstracyjnie rzucić list od ambasady chińskiej na stół senatora. Kubera po tym spotkaniu był wstrząśnięty. Kilka dni później pojawił się na oficjalnej uroczystości w ambasadzie chińskiej. Tam w pewnym momencie został – na mniej więcej 20 minut – sam na sam z ambasadorem Chin i tłumaczem. Dzień później z bólem w klatce piersiowej odwieziono go do szpitala, gdzie zmarł. Sekcja zwłok wykazała rozległy zawał serca, być może wywołany silnym stresem.

Sprawa wywołała w Czechach wstrząs. Wszczęto śledztwo prowadzone przez komisję spraw zagranicznych parlamentu. Co więcej, do mediów wyciekło żywione przez nią podejrzenie, że wspomniany list z chińskiej ambasady zamówił kanclerz prezydenta Zemana Vratislav Mynář. Poprosił o niego, aby zwiększyć presję na Kubere.

Senator Marek Hilšer, partyjny kolega Kubery, mówi mi: „Gdyby to jeszcze były, powiedzmy, lata 60., to można by zrozumieć, że Chiny sobie na takie działania pozwalają, kierowane przekonaniem o wspólnocie ideologicznej. Teraz jednak takie chwytły demaskują mentalność państwa, które nie traktuje innych po

partnersku. To było wstrząsające. Nagle się okazało, że nasz prezydent zamiast występować w obronie własnego obywatela – i przewodniczącego Senatu! – wspiera obce państwo. Choć może nie powinniśmy być aż tak zaskoczeni... Mnie osobiście otrzeźwiła już wcześniej wizyta Xi Jinpinga w 2016 roku oraz to, jak go witano w naszej stolicy”.

A wyglądało to tak: kolumnę jadących z lotniska limuzyn pozdrawiały, machając chorągiewkami, tłumy dzieci, które w tym celu sprowadzono z publicznych szkół. Paru demonstrantów związanych z chińską antykomunistyczną diasporą próbowało zakłócić ceremoniał. Szybko jednak zostali spacyfikowani przez czeską policję oraz niezidentyfikowaną grupkę cywilów o azjatyckich rysach twarzy. Prasa czeska podejrzewała wtedy, że pod naciskiem Chin i przy wsparciu Zemana władze Czech zgodziły się, aby podczas wizyty na ich terytorium działała chińska jednostka specjalna. Co więcej, wcześniej prezydent Miloš Zeman pojechał do Państwa Środka na paradę upamiętniającą zwycięstwo w II wojnie światowej. Był zresztą jedynym europejskim przywódcą, który zdecydował się na przyjazd – publicznie głosił, że „chce się tam nauczyć, jak dobrze zarządzać krajem”.

Mimo szeroko zakrojonych relacji rządu i prezydenta z Chinami sprawa Kubery stanowiła problem. Do tego stopnia, że na początku marca nawet premier Babiš zapowiedział, że będzie się od Chin domagał zmiany ambasadora w Pradze.

Tyle że dwa dni później oficjalnie ogłoszono wybuch pandemii koronawirusa w Europie. Kolejne państwa nie tylko zamykały się i przekonywały obywateli do pozostania w domach, ale przede wszystkim odkrywały, że nie mają wystarczających zapasów maseczek, respiratorów i środków ochrony, by zapewnić szpitalom działanie w trybie pandemicznym. Tak więc dwa miesiące po śmierci Kubery, 20 marca 2020 roku, Babiš na płycie Lotniska im. Václava Havla w Pradze wraz z dopiero co krytykowanym ambasadorem Zhang Jianminem i ministrem spraw wewnętrznych Janem Hamáčkiem z pompą witał pierwszy transport medyczny sprzętu ochronnego zakupionego w Chinach.

Wydarzenie z miejsca trafiło na łamy partyjnego „Dziennika Ludowego” z nagłówkiem: „Pomoc, która naprawdę dociera na czas”. Chińskie media z zachwytem rozpisywały się, że pierwszy transport środków medycznych był oczekiwany „od północy” przez premiera i członków jego gabinetu. Na takiej narracji zależało Chinom, które spotkały się z globalną, zmasowaną krytyką za niejasne okoliczności wybuchu pandemii. By ratować swój wizerunek, Pekin zaczął rozpowszechniać informacje, że w kolejnych krajach Europy Środkowo-Wschodniej pomoc ze strony Unii była tak ograniczona, że tylko Chiny są w stanie wypełnić tę lukę. Te argumenty przywołuje politolog Bartosz Kowalski z Zakładu Azji Wschodniej Uniwersytetu Łódzkiego w analizie *China's mask diplomacy in Europe: Seeking foreign gratitude and domestic stability*¹⁶ [Chińska dyplomacja maseczkowa. W poszukiwaniu zagranicznego uznania i wewnętrznej stabilności]. Ówczesną sytuację autor nazywa „bitwą narracyjną” i pisze o niej, że została „[o]głoszona przez szefa unijnej dyplomacji Josepa Borrella, który ostrzegł, że ChRL wykorzysta obecny kryzys do podważenia spójności UE i zaufania do USA, a także upowszechniania poglądu, że w krytycznym momencie kraje europejskie mogą liczyć tylko na pomoc Chin”.

Narracją o tym, kto radzi sobie z pandemią, i do tego jeszcze pomaga innym państwom w potrzebie, Chiny uderzyły nie tylko w Czechy. Transporty maseczek, środków do dezynfekcji, kombinezonów ochronnych zaczęły przylatywać z Chin do Włoch, Holandii, Hiszpanii, ale także Serbii, Węgier czy Polski. Wszędzie były witane z wdzięcznością. Wszędzie pisano o nich na pierwszych stronach. Na samym początku pandemii nikt nigdzie nie pytał ani o koszt, ani o to, co tak naprawdę przylatuje.

Nigdzie jednak nie odbywało się to z taką pompą jak w Belgradzie. Kiedy do stolicy Serbii przybyło sześciu chińskich lekarzy, prezydent Vučić najpierw zapobiegawczo przywitał się z nimi uderzeniem łokciem, po czym już bez specjalnej pandemicznej powściągliwości ucałował flagę Chin. W mieście zaczęto rozwieszać kolejne billboardy z podziękowaniami dla „brata Xi”, a rząd rozpoczął festiwal krytyki Unii za to, że swoje zasoby zachowuje tylko dla własnych

członków, zapominając o solidarności z sąsiadami. Ukochany tenisista Serbów Novak Djoković (niecałe dwa lata później wślawił się tym, że po odmowie zaszczepienia się nie został dopuszczony do turnieju Australian Open) na konferencji prasowej nie tylko ogłaszał, że ofiaruje rządowi milion euro na walkę z wirusem, ale także rozplęwał się w zachwytach nad pomocą ze strony Chin i im „z głębi serca dziękował”.

W ściganiu się z Serbią w pomysłach na przyjmowanie z pompą „chińskiej pomocy” przodowała Polska. W połowie kwietnia 2020 roku w blasku fleszy i witany przez premiera Mateusza Morawieckiego na warszawskie Okęcie przyleciał An-225, największy samolot świata, który miał być wyładowany sprowadzonym przez KGHM specjalistycznym sprzętem medycznym, w tym poszukiwanymi ówczesnie – na początku walki z pandemią – maseczkami. „Gazeta Wyborcza” jednak już po kilku dniach ujawniła, że sprzętu było tak niewiele, że ów gigantyczny samolot wcale nie był potrzebny, a jakby tego było mało, maseczki nie miały nawet niezbędnych certyfikatów.

Jeszcze ciekawsze okazały się kulisy sprawy opisane przez Jacka Harłukowicza z „Gazety Wyborczej”. Za sprawdzeniem sprzętu miała bowiem stać niewielka, działająca od niemal dwóch dekad Fundacja Chińsko-Polskiej Wymiany Gospodarczej i Kulturalnej „Sinopol”¹⁷. Założył ją w 2003 roku Tian Yixing, w latach 80. pierwszy sekretarz w ambasadzie Chińskiej Republiki Ludowej w PRL, a później także kierownik ds. Związku Radzieckiego i Europy Wschodniej w Państwowej Komisji ds. Planowania ChRL. Po upadku bloku wschodniego Tian Yixing na polecenie Pekinu powołał spółkę Chińskie Centrum Handlu i Dystrybucji w Polsce, której celem było dbanie o polsko-chińską współpracę gospodarczą. Co jednak istotniejsze, to właśnie dzięki niemu doszło do współpracy między KGHM a chińskim gigantem metalurgicznym China Minmetals Corp.

Na czele fundacji stoi jednak kto inny: Tian Qing, syn Yixinga, który nie tylko prowadzi w Polsce sporo różnych biznesów, ale też w latach 2011–2012 zasiadał w radzie nadzorczej spółki Hawe kontrolowanej przez Marka Falentę, biznesmena skazanego za zorganizowanie procederu podsłuchiwania polityków PO

w warszawskich restauracjach. Wokół sprawy z maseczkami z Chin wybuchł spory skandal. Ale rolę, jaką odegrał w niej Sinopol, wciąż okrywa tajemnica.

„Maseczkowej dyplomacji” dosyć szybko, bo jeszcze zanim się skończył pierwszy lockdown, zaczęły spadać maski. Okazywało się, że dostawy z Chin prawie nigdy nie były bezpłatne, a do tego nierzadko się zdarzało, że dostarczony sprzęt nie spełniał norm, albo wręcz – jak w przypadku testów covidowych – po prostu nie działał. Kolejne państwa zaczęły więc odsyłać „dary” i żądać zwrotu pieniędzy. Ale i tak efekty tego działania były dla Chin spektakularne. W Serbii pod koniec 2020 roku ponad 60 proc. mieszkańców uważało Państwo Środka za największego przyjaciela ich ojczyzny. Na drugim miejscu z podobną oceną ze strony 40 proc. Serbów znalazła się Rosja, która przez lata utrzymywała się w rankingach opinii społecznej na pozycji głównego sojusznika. Według ponad 40 proc. respondentów ocena Chin stanowczo poprawiła się od wybuchu pandemii¹⁸. Według badania instytutu STEM podobna zmiana zaszła też w Czechach, gdzie w 2020 roku aż 45 proc. respondentów uważało, że Chiny pomogły Czechom podczas pandemii, podczas gdy tylko 32 proc. wskazywało Unię Europejską.

I nagle zapomniano o skandalu z Kubera. Dopiero kiedy pod koniec kwietnia żona i córka byłego przewodniczącego czeskiego Senatu w telewizyjnym wywiadzie oskarżyły ambasadę Chin o spowodowanie śmierci polityka, jego następcą Miloš Vystrčil zapowiedział śledztwo senackie oraz zadeklarował, że... będzie kontynuował plany poprzednika i poleci na Tajwan. Mimo krytyki ze strony Zemana zdania nie zmienił – i prawdopodobnie wygrał więcej, niż sam oczekiwał.

Na początku września 2020 roku Vystrčil wbrew własnemu rządowi, premierowi, prezydentowi i sporej części opinii publicznej na sześć dni wybrał się na azjatycką wyspę. Jak można było przewidzieć, wywołało to skandal dyplomatyczny na skalę znacznie przekraczającą polityczną wagę Czech i Tajwanu razem wziętych. Kiedy polityk był w Tajpej, po Europie Zachodniej podróżował szef chińskiego MSZ Wang Yi. Odwiedzał kolejne państwa i ewidentnie starał się odbudować dobre kontakty z Europą.

Ale Wang nie wyczuł, jak bardzo się zmieniło postrzeganie Chin. Gdy nazwał podróż Vystrčila „przekroczeniem czerwonej linii” i oznajmił, że czeski polityk za swój czyn zapłaci wysoką cenę, nie spotkał się z tradycyjnym milczeniem. (Tradycyjnym, bo podobne pogróżki z Pekinu płyną często i reszta świata zwykle rzeczywiście reaguje potulnie. Na skutek presji Chin od początku lat 70. pogłębia się izolacja wyspiarskiej republiki – w tej chwili oficjalnie uznaje ją tylko kilka krajów na całym globie, przy czym najważniejszym z nich jest Watykan).

Tym razem jednak Chińczycy wyraźnie przeholowali, o czym przekonał się osobiście minister Wang. W Berlinie stał przed kamerami światowych telewizji z wymuszonym uśmiechem i słuchał, jak gospodarz, szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas, ostro krytykuje jego przełożonych za to, że wtrącają się w politykę zagraniczną państwa będącego członkiem Unii Europejskiej. A Vystrčil wrócił do kraju w nimbie niemal bohatera.

„Kluczowy wniosek z całej historii dotyczy drastycznej zmiany w dyplomacji prowadzonej przez Chiny. Środki, argumenty, język nagle stały się o wiele ostrzejsze. Do gry weszła *wolf warrior diplomacy*, czyli wilcza dyplomacja. Nie udało się po dobroci maseczkami, obietnicami pand i wycieczkami do Chin? No to dyplomaci przestali bawić się w miłe słówka” – zauważa Alicja Bachulska z Ośrodka Badań Azji. Tłumaczenie meandrów dyplomacji zawsze jest żmudne, a tej chińskiej – jeszcze bardziej.

François Godement, profesor paryskiego Sciences Po i redaktor naczelny kwartalnika „China Analysis”, w książce *Czego chcą Chiny?* tłumaczy to tak: „Pekinologia ma z wróżeniem jedną wspólną cechę: opiera się na bardzo wątpliwych przesłankach. Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich dziesięciu lat [a mowa tu jeszcze o pierwszej dekadzie XXI wieku – przyp. aut.] nikt nie miał dostępu do procesu decyzyjnego w chińskim kierownictwie. Być może z tego powodu pekinologia jest bardzo wrażliwa na wypowiedzi ustne, prawdziwe lub fałszywe, skierowane do cudzoziemców, którzy wtedy są przekonani, że przeniknęli do wewnętrznego kręgu władzy”¹⁹.

Podejście Godementa jest wygodne, zwłaszcza w okresie narastających tarć z Pekinem. Przywoływanie chińskich przysłów, przypominanie, jak bardzo odrębna i tajemnicza jest to kultura, oraz powtarzanie popularnego przekonania, że Chiny wszystko planują na dekady do przodu – wszystko to pada obecnie z ust przedstawicieli dowolnej władzy w dowolnym zakątku świata, nieważne, jak jej blisko lub daleko ideologicznie do Komunistycznej Partii Chin.

Litewski Dawid kontra Goliat

Ale na antypodach takiego podejścia jest na przykład Litwa. Działania Wilna, które po prostu ogłosiło rozwód z Pekinem, i to wręcz z orzeczeniem o jego winie, wyglądają z perspektywy czasu na bardzo konkretną i zaplanowaną strategię.

W wielkim skrócie wyglądały one tak. Po wyborach w 2020 roku ukonstytuował się na Litwie nowy koalicyjny (Związek Ojczyzny, Ruch Liberalny i Partia Wolności) rząd, na czele z premier Ingridą Šimonytė. Gabinet, który okazał się nie tylko jednym z najbardziej zrównoważonych w Unii Europejskiej pod względem płci (wśród 14 ministrów znalazło się 6 kobiet), lecz także jednym z najmłodszych w historii (9 ministrów nie skończyło 40 lat), zaczął dosyć szybko wytyczać wyraźną nową ścieżkę na arenie międzynarodowej.

Litwa nie kryguje się i mówi wprost. Jej największym wyzwaniem i zagrożeniem są Rosja, szczególnie od czasu aneksji Krymu w 2014 roku, i Białoruś, gdzie Alaksandr Łukaszenka brutalnie zdławił protesty po wyborach z sierpnia 2020 roku. W takiej sytuacji rząd Šimonytė przestał się bawić w podchody i sprawę postawił jasno: bezpieczeństwo narodowe zależy od sojuszu z USA i współpracy w ramach NATO. A że dla Stanów Zjednoczonych, czego w ogóle nie ukrywają, największym wyzwaniem jest utemperowanie rosnącej potęgi Chin, dyplomaci z Wilna szybko pojęli, co konkretnie muszą zrobić w celu zdobycia silniejszych amerykańskich gwarancji. Jedyne sposoby to zdecydowane odcięcie się od kontaktów i związków z Chinami.

Najpierw podeszli do sprawy dosyć łagodnie. Wykluczyli Huawei z budowy sieci 5G, potem tamtejsze Ministerstwo Obrony Narodowej zaleciło instytucjom publicznym, by „nie kupować telefonów Xiaomi”. W Chinach trochę się zagotowało, ale reperkusji nie było, Litwa to mały kraj, więc i straty ekonomiczne niewielkie.

Wilno postanowiło zatem trochę mocniej naciągnąć strunę. W Warszawie w lutym 2021 roku miała się odbyć proteza zaplanowanego na rok wcześniej Szczytu 17 + 1. Zamiast w Pekinie na żywo – zastępczo w stolicy Polski, w formie wideokonferencji. Ranga wydarzenia, do ostatniej chwili w ogóle pozbawionego komunikacji, była co najmniej kuriozalna. Uczestniczyli w nim reprezentanci siedmiu państw – trzech przywódców: Xi Jinping, Andrzej Duda, Miloš Zeman oraz czterech... ministrów: z Litwy, Estonii, ze Słowacji i z Rumunii. Mało zakamuflowany policzek dla Chin.

I to mimo że Chiny właśnie wtedy uruchomiły kolejny etap swojej antycovidowej dyplomacji! Po maseczkach przyszła pora na szczepionki. Początek 2021 roku upłynął wszystkim państwom na niemalże wydzieraniu sobie kwot na kolejno dopuszczane do użycia szczepionki. Komisja Europejska zapewniła, że dla jej członków na pewno ich nie zabraknie, ale tempo dostaw było, delikatnie mówiąc, niesatysfakcjonujące. W takiej atmosferze obietnica dostarczenia preparatów chińskiego Sinopharmu była kusząca. Serbia już w styczniu otrzymała od Pekinu pierwszą dostawę miliona dawek, kolejne 500 tys. trafiło do Belgradu dwa dni po szczycie 17 + 1, co dało Serbii dostęp do 26 dawek na 100 mieszkańców – przy średniej unijnej niższej niż 10 na 100. W ślady Serbii z miejsca poszła Czarnogóra, która wczesną wiosną otrzymała z Pekinu 150 tys. dawek. Ale najbardziej szokująca była decyzja Viktora Orbána – przypomnijmy: prezydenta państwa członkowskiego Unii – który zdecydował się zamówić 5 mln dawek szczepionki Sinopharm, chociaż nie została dopuszczona do użycia przez Komisję Europejską.

W ich ślady chciał pójść Andrzej Duda i – jak chwaliła się kancelaria prezydenta – nawet rozmawiał z Xi Jinpingiem telefonicznie o dostawie preparatu

Sinopharmu do Polski. Skończyło się jednak tylko na rozmowie, która ewidentnie miała być kolejnym elementem „bitwy narracyjnej” z Brukselą. I tak idealnie wpisała się w tło dyplomacji szczepionkowej, będącej – jak zauważała podczas debaty *China’s vaccine diplomacy as a tool for norm diffusion* [Chińska dyplomacja szczepionkowa jako narzędzie do dyfuzji zasad] Ivana Karásková, współtwórczyni projektu MapInfluenCE mapującego wpływy Chin w Europie Środkowej – naturalnym przedłużeniem dyplomacji maseczkowej: „Tyle że w przypadku maseczek na początku pandemii Chin faktycznie były jedynym producentem, nie było konkurencji, więc mogły dyktować warunki i ceny. Ze szczepionkami sytuacja była już mniej korzystna. Owszem, Chiny miały na początku sporą przewagę, bo ich firma jako jedna z pierwszych zaczęła dostarczać szczepionki. Ale szybko dołączyli do niej kolejni producenci, i to ze znacznie bardziej skutecznymi preparatami” – tłumaczyła Karásková.

Dla Chin w tym modelu dyplomacji kluczowe byłoby zmienić własny wizerunek – z miejsca wybuchu pandemii w miejsce, gdzie doprowadzono do rozwiązania problemu. Dlatego też rozwinęli produkcję szczepionek na ogromną skalę i chętnie je rozdzielali po świecie, nawet ich porządnie nie przetestowawszy. Co więcej, wkrótce miało się okazać, że chiński preparat był znacznie mniej skuteczny od tych z Zachodu.

Podczas gdy kolejne państwa czy to faktycznie zamawiały Sinopharm, czy próbowały nim zagrać na nosie Brukseli, by obnażyć jej słabość, na Litwie dojrzewiała zgoła odmienna decyzja: o tym, by już oficjalnie odpuścić sobie przynależność do 17 + 1. W lutym sprawa była już właściwie klepnięta, w maju została oficjalnie ogłoszona. Chiny reagowały, wyrażały rozczarowanie, ale wciąż bez wytaczania najsilniejszych działań. Faktycznym zapalnikiem stał się – podobnie jak w Czechach – Tajwan.

Victoria Tower to 15-piętrowy biurowiec usytuowany niedaleko wileńskiego gmachu Sejmu. Miejsce dosyć eleganckie, ale wcale nie najbardziej reprezentacyjne w stolicy Litwy. To właśnie tam, na najwyższym piętrze w listopadzie 2021 roku zaczęło działać Przedstawicielstwo Tajwanu na Litwie.

Zgoda na jego powstanie – choć oficjalnie nie ma ono statusu placówki dyplomatycznej – była kulminacyjnym punktem drażnienia Chin. Kluczowe okazało się nawet nie samo otwarcie biura, ale jego nazwa. Użycie słowa „Tajwan” zostało potraktowane jako naruszenie polityki „jednych Chin”. Bo choć biura przedstawicielskie Tajwanu działają w wielu krajach, to wszędzie zapobiegawczo umieszczają na szyldzie jedynie nazwę Tajpej, stolicy państwa, tak by za bardzo Chin nie prowokować.

Litewska decyzja rozsierdziła Pekin. Jeszcze przed otwarciem biura, gdy tylko pojawiły się informacje o tych planach, Chiny odwołały swojego ambasadora z Wilna.

„Trudno czasem przewidzieć, co faktycznie Chinom zapala czerwoną lampkę. Osłabła ich dyplomacja w kwestii 5G. Choć nadal bronią tu swoich zasięgów, nie irytują się już tak mocno” – Margiris Abukevičius, wiceminister obrony narodowej Litwy, podkreśla jednak, że kraj wcale nie sondował, jak daleko może się posunąć, raczej po prostu umacniał swoje stanowisko w kwestiach międzynarodowych. „Ewidentnie najbardziej problematyczne okazały się kwestie Tajwanu. Tyle że nawet przed otwarciem misji handlowej wyraźnie widzieliśmy wzmożenie chińskiej aktywności w naszym państwie. Nie mówię o jakichś cyberatakach, nie mamy też dowodów na szpiegostwo cyfrowe. Ale nasze służby ewidentnie alarmują o nasilających się ruchach, sygnałach o naciskach dyplomatyczno-deiznformacyjnych. Chiny są – przynajmniej z punktu widzenia MON – zagrożeniem dla naszego bezpieczeństwa. To nie jest tak, że «Rosja teraz, a Chiny jutro». Oba państwa, ich interesy, ekspansja, ambicje i, no cóż, agresja są wyzwaniem tu, teraz i naraz” – dodaje litewski wiceminister.

Rozmawialiśmy dzień po otwarciu Przedstawicielstwa Tajwanu, gdy już wiadomo było, że reakcja Chin będzie ostra. Ale jak bardzo – to okazało się dopiero w kolejnych tygodniach.

Chiny odpowiedziały znacznie mocniej, niż można się było spodziewać. Szczególnie że jak zauważa Marcin Przychodniak, ekspert Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, chińskie związki gospodarcze z Litwą nie były zbyt

silne, a bezpośrednie inwestycje z Państwa Środka stanowiły ledwie 2 proc. wszystkich zagranicznych inwestycji naszego bałtyckiego sąsiada²⁰. Ale i tak Litwa została usunięta z chińskiego rejestru handlowego, co sparaliżowało odprawy celne. Cytowany przez „The Washington Post”²¹ Vidmantas Janulevičius z Litewskiej Konfederacji Przemysłowców po kilku tygodniach szacował straty tamtejszych przedsiębiorstw na 169 mln dol. Niektóre firmy, szczególnie z Niemiec, otrzymały od chińskich władz ostrzeżenia o „problemach celnych” związanych z wymianą z Litwą. I te przedsiębiorstwa nie zaalarmowały ani władz w Berlinie, ani nawet w Brukseli o kłopotach, które mają – w zamian uderzyły prosto do Wilna. Tym samym Pekin ich rękoma zaczął wywierać naciski na bałtyckie państwo. W wielkim skrócie: Chiny zastosowały wobec Litwy bojkot handlowy, który próbowano rozciągnąć na wszelkich ich kontrahentów prowadzących jakiegokolwiek interesy także z Chinami.

Równolegle zainaugurowano „wilczą dyplomację”, czyli nową agresywną politykę Chin, będącą wręcz zaprzeczeniem dyplomacji rozumianej tradycyjnie. Jeden z wieloletnich korespondentów z Europy Środkowej w Pekinie opowiada mi, jak potraktowano litewskich dyplomatów. „Wiesz, że litewska ambasador o tym, że Chiny żądają jej odwołania, dowiedziała się, gdy przyleciała do Pekinu i odbywała obowiązkową 21-dniową kwarantannę?” – pyta mnie dziennikarz, który prosi o zachowanie anonimowości, bo zachodni korespondenci mają coraz trudniejsze warunki pracy w Pekinie.

Faktycznie, ambasador Diana Mickevičienė po odbyciu kwarantanny mogła zrobić już tylko jedno: wsiąść w samolot i wrócić na Litwę. Kilka tygodni później okazało się, że to i tak był tylko wstęp. Nagle chiński MSZ dokonał zmiany statusu ambasady litewskiej w Pekinie na biuro *chargé d'affaires*. „Litwini się mocno wystraszyli, bo w prawie dyplomatycznym nie ma właściwie czegoś takiego jak «biuro *chargé d'affaires*», a tym samym mogłoby się okazać, że nie mają immunitetu ani ochrony dyplomatycznej. A przecież wszyscy mieli z tyłu głowy historię byłego kanadyjskiego dyplomaty Michaela Kovriga, który razem z drugim Kanadyjczykiem został – w ramach retorsji za zatrzymanie wiceprezes Huawei

w Kanadzie – oskarżony o szpiegostwo i przesiedział ponad tysiąc dni w chińskim więzieniu” – wspomina dziennikarz.

W efekcie w grudniu 2021 roku Litwa ewakuowała z Pekinu personel swojej ambasady w obawie o jego bezpieczeństwo. Równoległe chińskie władze prowadziły kampanię ataków propagandowych przeciw Litwie w kontrolowanych przez siebie mediach. „The Global Times” wyśmiewał ambicje Litwy i regularnie pisał o niej „mysz, a nawet pchła, pod stopami walecznego słonia”, „bufon” oraz „piesek na usługach Stanów Zjednoczonych”.

W tym, że otwarcie tajwańskiego biura było ściśle skoordynowane z ambasadą amerykańską i jej dyplomatami, Chiny akurat mają rację. „Ale chyba nikt nie spodziewał się takiej reakcji Pekinu. To posunięcie tej samej rangi co wpisanie Huawei na amerykańską czarną listę. Tyle że zastosowane w stosunku do całego państwa” – mówi Alicja Bachulska, ekspertka z MapInfluenCE i Ośrodka Badań Azji.

Ale Litwa i USA nie miały się zamiaru wycofywać. Wilno dołączyło do dyplomatycznego bojkotu Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pekinie. Stany Zjednoczone natomiast odpowiedziały ustami sekretarza stanu Antony’ego Blinkena, który zadeklarował „pancerną solidarność” z Litwą. Na deklaracjach zresztą się nie skończyło. W listopadzie Litwa usłyszała zapowiedź udostępnienia jej linii kredytu eksportowego o wartości 600 mln dol., aby ten bałtycki kraj mógł się uniezależnić od dostaw z Chin. A do tego Tajwan też zrobił krok ku gospodarczemu zbliżeniu obu państw i zapowiedział, że utworzy fundusz o wartości 200 mln dol. na inwestycje na Litwie.

Michał Bogusz, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich, komentuje całą tę historię dość ostro: „Sprawa z Litwą pokazała Chinom, że skończyło się łatwe żonglowanie Europą Środkową. Kraik, gdzieś na końcu świata, mniej ludny niż średniej wielkości prefekturalne miasto w Chinach, a tu Chińczycy muszą wytaczać wielkie działa do jego zdyscyplinowania, a te i tak nie skutkują”.

Przy czym polityka litewskiego rządu wcale nie zrobiła z niego bohatera walki z Goliatem. Wręcz przeciwnie, sami obywatele zaczęli się łapać za głowę. Z badań

opinii publicznej (zleconych przez litewski MSZ w grudniu 2021 roku) wynika, że ledwie 13 proc. popiera ten kurs. Ponad 60 proc. zaś stanowczo się sprzeciwiało drażnieniu Pekinu, szczególnie że przecież tuż obok narastało zagrożenie ze strony Rosji.

To, co nie przekonywało ludzi, stało się jednak sygnałem dla innych rządów. „Obserwujemy w dużej części regionu nagłą diametralną zmianę podejścia do Chin. Dziś Pekinowi jako faktyczni bezdyskusyjni partnerzy zostały tylko Węgry i Serbia. Za to na przykład Słowenia właśnie dołączyła do litewsko-czeskiego klubu” – gdy rozmawiam z Emilianem Kavalskim, badającym związki Europy Środkowej z Chinami na Uniwersytecie Jagiellońskim, minęło ledwie kilka dni od deklaracji słoweńskiego premiera Janeza Janšy, który ogłosił, że Słowenia i Tajwan pracują nad zacieśnieniem wzajemnych kontaktów.

Lublana miała swój pragmatyczny powód: chciała umocnić swoją pozycję w wyścigu o inwestycję TSMC, największego tajwańskiego producenta półprzewodników. Na efekt słów premiera Janšy nie trzeba było długo czekać. Pekin znowu się zezłościł. Słoweńsko-Chińska Rada Biznesu stwierdziła, że chińscy partnerzy zaczęli z miejsca „rozwiązywać kontrakty i wycofywać się z uzgodnionych inwestycji”. Czyli powtarza się scenariusz z Litwy. „Jak w takiej sytuacji można w ogóle myśleć o jakiejś miłości z Chinami? No chyba że patologicznej” – ironizuje Kavalski.

„Przez 20 lat przekonywano, że jedno, na czym Chinom zależy, to biznes, handel i zasada *win-win*. Ta narracja zadziałała, bo uderzyła w czułą w nas strunę pragnienia sukcesu, ekonomicznego odbicia się. I co ważne, wciąż wiele osób wierzy w takie cele Pekinu. Nawet jeżeli jego kryteria są nieprzejrzyste i wszystko może podpaść pod Inicjatywę Pasa i Szlaku, jeśli im to tylko podpasuje” – podkreśla Bachulska.

Z jednej strony taka narracja to sukces chińskiej dyplomacji. Z drugiej – jej największe obciążenie. „Skoro tak silnie opiera się na rozbudzonych nadziejach na zastrzyk gotówki i inwestycji, to gdy go ostatecznie braknie, przychodzi

rozczarowanie” – podkreśla Kavalski i ironicznie dodaje: „To jest materialny świat i wszyscy w nim jesteśmy materialistami”.

Choć do zoo w Zamościu chińskie pandy wielkie w ogóle nie dotarły, to w międzyczasie okazało się, że już nie są gatunkami zagrożonymi wymarciem. Chinom udało się odbudować ich populację. Wciąż są rzadkie, ale jednak mają wielkie szanse na zmianę tego statusu.

O wiele bliżej jest też do sytuacji, w której może zabraknąć ogrodów zoologicznych w Europie Środkowej, którym jeszcze w ogóle będzie zależało, by dostać z Chin te piękne zwierzęta.

* * *

Najpopularniejsze symbole Chin – panda i smok – idealnie obrazują sposób, w jaki Chiny działają na zewnątrz i jak chcą być postrzegane. Raz są miłą pandą, taką do przytulenia i zachwycenia się uroczym misiem. Nie bez powodu zresztą przez dekady używały wręcz pand – tych prawdziwych – do wspierania polityki zagranicznej, nazywanej „dyplomacją pand”.

Ale niech tylko coś się zadzieje, a Chiny stają się zionącym ogniem groźnym smokiem. Choć raczej w odniesieniu do ich gróźb, embarg, nacisków używa się częściej określenia „wilcza dyplomacja”. Kluczowy jednak jest szok, jakiego doznają państwa, które uwierzyły Chinom, że ich celem jest tylko rozwój gospodarczy, kiedy nagle dostrzegają to drugie, nieznoszące sprzeciwu oblicze.

ROZDZIAŁ 4

JUŻ MY CIĘ WYCHOWAMY, CZYLI CHIŃSKI PLAN EDUKACYJNY NA NAJBLIŻSZE STO LAT

Skłoń wroga do działania, aby poznać schematy jego przemieszczania się. Sprawdź, na jakich odcinkach wróg dysponuje przewagą i gdzie obsadził je niewystarczającymi siłami¹.

„Czy dobrze sypiasz? Powinieneś się bardzo stresować, gdy idziesz ulicą” – e-maila z takimi słowami 27 kwietnia 2021 roku dostał słowacki ekspert ds. Chin Matej Šimalčík. Kilka dni wcześniej z kolegami z Central European Institute of Asian Studies (CEIAS) opublikował wyniki badania chińskich wpływów na słowackich uczelniach. Agresywna wiadomość pochodziła od dyrektora chińskiego Instytutu Konfucjusza w Bratysławie Ľuboslava Štory. Štora zareagował tak na ankietę dotyczącą chińskiej obecności na słowackich uniwersytetach. Ankietę², która zaowocowała ciekawymi wynikami. Okazało się, że 23 państwowe uniwersytety, Słowacka Akademia Nauk (SAS) i 26 instytutów badawczych utrzymywały łącznie 113 formalnych i nieformalnych powiązań zarówno z chińskimi uniwersytetami, jak i z innymi chińskimi podmiotami, w tym oczywiście firmami.

Najwięcej takich partnerstw – aż 17 – zawarł Słowacki Uniwersytet Technologiczny w Bratysławie (w tym także działający na nim Instytut Konfucjusza). Na drugim miejscu znalazł się Uniwersytet Techniczny w Koszycach (12 kooperacji), a na trzecim Instytut Fizyki Doświadczalnej SAS (10). Šimalčík w swojej analizie jasno pisał, że większość z tych kooperacji ani nie budzi

kontrowersji, ani nie niesie szczególnego ryzyka. Ale jest też taka grupa, która zasługuje na uwagę.

Jako problematyczne oznaczono 25 relacji z kilkoma chińskimi uczelniami współpracującymi z chińskim wojskiem. Dokładnie chodzi o niezwykle ważne w Chinach uniwersytety nazywane Siedmioma Synami Obrony Narodowej. Są to uczelnie podlegające chińskiemu Ministerstwu Przemysłu i Technologii Informacyjnych, które koncentrują się na badaniach technologii wojskowej, a ponad 30 proc. ich absolwentów pracuje w przemyśle wojskowym lub obronnym.

Jeden z Siedmiu Synów Obrony Narodowej – Pekijski Instytut Technologiczny (BIT) – współpracował ze wspomnianym Uniwersytetem Technicznym w Koszycach oraz z Uniwersytetem Żylińskim. Od 2015 roku SAS współpracowała też z Northwestern Polytechnical University (NWPU) w Xi'anie. W 2019 roku zgodzili się nawet na utworzenie wspólnego centrum badawczego. Uniwersytet Przyrodniczo-Technologiczny w Nankinie (NJTU) natomiast współdziałał z politechniką w Zwoleniu. Ich wspólne badania zostały wsparte grantem Słowackiej Agencji Badań i Rozwoju w wysokości prawie 250 tys. euro. Wszystko to brzmiałoby niewinnie, gdyby nie to, że kolejne służby, w tym także słowackie, od dłuższego czasu zwracają uwagę na zagrożenia związane ze współpracą z chińskimi uczelniami. W 2020 roku Słowacka Służba Informacyjna (agencja wywiadu i kontrwywiadu) publicznie poinformowała, że chińskie służby wywiadowcze działające w tym kraju starają się pozyskać informacje z zakresu technologii informacyjnych i telekomunikacyjnych.

„W niektórych zachodnich krajach licznie zamieszkałych przez imigrantów Komunistyczna Partia Chin może przy budowaniu swoich wpływów liczyć na wsparcie ze strony lokalnej chińskiej diaspory. U nas, w Europie Środkowej, mniejszość chińska jest mikroskopijna. Ani na Słowacji, ani w Czechach, ani nawet w Polsce nie zbliża się choćby do 1 proc. mieszkańców” – mówi Filip Šebok, analityk uczestniczący w projekcie China Observers in Central and Eastern Europe (CHOICE), który stara się mapować wpływy Chin, a przy tym analizować środkowoeuropejskie postawy wobec tego państwa. Šebok sam łączy perspektywę

międzynarodową, bo mieszka i pracuje w Pradze, ale jest Słowakiem. „Trwają próby nawiązywania relacji z lokalnymi elitami biznesowymi i akademickimi. Podejmuje się je w celu budowania pozytywnego wizerunku Chin i korzystnych dla nich narracji, ale także w oczekiwaniu na konkretne korzyści, choćby z badań naukowych” – dodaje analityk.

A uczelnie nadganiające zapóźnienia z czasów komunizmu na każdą propozycję wsparcia i rozwoju są otwarte. Są też bardzo wdzięczne i bronią inwestorów. Kiedy więc Šimalčík złożył skargę na dyrektora Instytutu Konfucjusza, ten nie tylko się nie przestraszył, ale także wysłał do Šimalčíka kolejny krótki e-mail: „Bądź cierpliwy. Wielki Brat cię obserwuje”.

Cena Czyni Cuda

Z profesor Olgą Lomovą wspinamy się na ostatnie piętro budynku Instytutu Języków i Studiów Przygotowawczych Uniwersytetu Karola w Pradze. Lomová jest jedną z najwybitniejszych sinolożek w Czechach, specjalizuje się szczególnie w poezji chińskiego wczesnego średniowiecza. Ale gdy wreszcie zamykamy się w jej gabinecie, nie rozmawiamy o Wang Weiu, poecie i malarzu z VIII wieku, z którego twórczości Lomová zrobiła habilitację. Spotkałyśmy się ze znacznie bardziej współczesnego powodu.

Ta drobna starsza pani z długim siwym warkoczem stała za ujawnieniem skandalu, który wstrząsnął jej uczelnią. W 2016 roku na najstarszym uniwersytecie w Europie Środkowej pod wpływem coraz większego zainteresowania kontaktami z Chińską Republiką Ludową powstało specjalne Centrum Czesko-Chińskie (CCC). Oficjalnie miał to być „ośrodek edukacyjny specjalizujący się we współpracy między Republiką Czeską a Chinami z uwzględnieniem kwestii politycznych, ekonomicznych, prawnych, społecznych, terytorialnych, medialnych, kulturowych, a także bezpieczeństwa”. I rzeczywiście działał dosyć prężnie, zorganizował kilka konferencji naukowych, pracowała w nim także Lomová, która była członkinią komitetu powołanego do kontroli prac CCC. Aż okazało się, że

jego dyrektor Miloš Balabán bardziej niż naukowcem stał się biznesmenem i za organizację jednej z tych konferencji w 2019 roku przyjął z Ambasady Chin w Pradze 1,2 mln koron czeskich (ok. 213 tys. zł).

„1,2 mln koron. Co to za śmieszne pieniądze! Uniwersytet z chciwości był gotów sprzedać się za jakieś grosze. Gdyby mi kiedykolwiek tak głupi i zły pomysł przyszedł do głowy, tobym przynajmniej zażądała jakiejś poważnej kwoty, takiej, by wystarczyło na, powiedzmy, cały nowy budynek dla uczelni albo na fundusz, który pozwoliłby zatrudnić i utrzymać z pięciu profesorów. Przecież na biednego nie trafiło. A tu się schylono po jakieś drobniaki” – ironizuje profesor Lomová. Ale wcale nie bagatelizuje tego, co się stało. Wręcz przeciwnie. „Ta sprawa pokazała, jak tanio można nas kupić i jak łatwo nas omamić opowieściami o «wielkich korzyściach». Choćby o tych tysiącach studentów z Chin, których będzie można zachęcić do przyjazdu. Oczywiście nic z tego nie wyszło, oni wolą uczelnie w Wielkiej Brytanii lub w Stanach” – gorzko podsumowuje sinolożka.

Sprawę finansowania CCC przez ambasadę Chin jako pierwszy opisał serwis Aktualne.cz³, ale im dalej szło śledztwo, tym więcej wypływało szczegółów wskazujących na niebezpieczne związki między światem nauki, polityki i dyplomacji. Jesienią 2019 roku CCC organizowało czwartą doroczną konferencję, tym razem poświęconą wyzwaniom cyfrowej przyszłości. Jej patronem był rektor Uniwersytetu Karola Tomáš Zima, a dyskusję moderował między innymi Vít Vojta, sinolog i tłumacz prezydenta Miloša Zemana. Wydarzenie współorganizowało także działające na uczelni Centrum Badań Polityki Bezpieczeństwa (Středisko bezpečnostní politiky). Ale w rzeczywistości za całość odpowiadał ówczesnie dosyć tajemniczy Miloš Balabán, sekretarz wykonawczy CCC, który – jak się okazało w 2015 roku – założył prywatną firmę, tyle że noszącą taką samą nazwę jak uniwersyteckie Centrum Badań Polityki Bezpieczeństwa.

Konferencja została ofakturowana dwoma rachunkami: pierwszy – na 676 140 koron, drugi, który należało uregulować w dniu konferencji – na 600 160 koron. Obie wystawiło Centrum Badań Polityki Bezpieczeństwa – ale nie to uczelniane, tylko firma Balabána – i obie miała opłacić ambasada Chin.

Oficjalne tłumaczenie: pieniądze miały pójść na pokrycie kosztów związanych z konferencją. Tyle że dziennikarze udowodnili, że łączny budżet wydarzenia wynosił niecałe 600 tys. koron i w większości pokryły go środki własne CCC. „Cała ta konferencja była otoczona nimbem tajemnicy. Nie chciano na nią wpuścić dziennikarzy, nie chciano nam wydać akredytacji. A potem zakazano jej nagrywania” – wspomina Kateřina Procházková z Sinopsis.

Niemal natychmiast po ujawnieniu tej sprawy Balabán zrezygnował z pracy w CCC. Ale okazało się, że afera sięga znacznie wyżej, do samego rektora Tomáša Zimy. Zima publicznie dystansował się od tego projektu i twierdził, że nic nie wie o jego finansowaniu. Tyle że to właśnie on podpisał w 2015 roku porozumienie o utworzeniu CCC z byłą wicepremier ChRL Liu Yandong. Co więcej, już wcześniej był krytykowany za zawarcie umowy z firmą Home Credit, należąca do ówczesnie najbogatszego Czecha Petra Kellnera, który prowadził rozległe i budzące spore kontrowersje biznesy z Chinami.

Senat Uniwersytetu Karola, gdy już przyjrzał się Centrum Polityki Bezpieczeństwa, uznał jego działania za nieetyczne. Ale już wcześniej Lomová zrezygnowała ze swojego stanowiska w CCC. „Dopiero co nasze służby ostrzegały przed chińskim wywiadem, także tym związanym z nowymi technologiami, a tu największy, prestiżowy uniwersytet bezmyślnie organizuje konferencję nie tylko z chińskimi partnerami, ale wręcz otwieraną przez ambasadora Chin. To więcej niż niepoważne, to po prostu niebezpieczne” – przestrzega Lomová.

Ostrzeżenia, o których mówi, to oficjalny raport Czeskiego Narodowego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Cybernetycznego i Informatycznego (NUKIB)⁴, który w grudniu 2018 roku w odtajnionym dokumencie informował, że oprogramowanie i sprzęt chińskich firm Huawei oraz ZTE stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Szef NUKIB Dušan Navrátil dodawał wtedy, że w jego ocenie Chiny prowadzą w Czechach aktywne działania wywiadowcze.

Z pracą na uczelni pożegnali się nie tylko Balabán, ale i kierowniczka finansowa projektu oraz dwóch innych pracowników naukowych zatrudnionych w Centrum. Ale Balabán już w 2019 roku był ekspertem ds. bezpieczeństwa

Czeskiej Partii Socjaldemokratycznej (ČSSD) oraz szefem jej komisji ds. obrony. Kiedy więc zwolniono go z Uniwersytetu Karola, komisja stanęła po jego stronie, a Balabán do dziś pracuje jako jej ekspert ds. bezpieczeństwa.

„Przypadek Balabána podzielał na nas jak zimny prysznic. Wiedzieliśmy o licznych stanowczo za bliskich kontaktach z Chinami na linii politycznej i biznesowej, szczególnie w otoczeniu prezydenta Miloša Zemana. Ale okazało się, że podejmowano też wyraźne próby infiltrowania środowiska akademickiego poprzez wpływy ekonomiczne. To bardzo charakterystyczna dla Chin metoda” – podkreśla Procházková. „W Sinopsis odkryliśmy, że 14 z 26 czeskich uniwersytetów publicznych było partnerami chińskich instytucji, które Australijski Instytut Polityki Strategicznej (ASPI) zakwalifikował jako kontakty średniego lub wysokiego ryzyka” – dodaje analityczka Sinopsis.

Siedmiu synów nauki

„Kiedy Chiny szukają kontaktów na uczelniach, to oczywiście zwracają się do wydziałów specjalizujących się w sinologii. Często jednak szukają także kontaktów z badaczami, którzy nie mają specjalistycznej wiedzy na temat Chin, za to zajmują się ekonomią, handlem, marketingiem. Czyli zagadnieniami, z którymi Chiny bardzo chcą być kojarzone i w których mogą się pochwalić swoimi dokonaniem” – mówi profesor Olga Lomová.

Wspomniany ASPI ostrzega: „Komunistyczna Partia Chin buduje powiązania między chińskimi uniwersytetami cywilnymi, agencjami wojskowymi i agencjami bezpieczeństwa. Wysiłki te, prowadzone w ramach polityki lewarowania sektora cywilnego w celu maksymalizacji siły militarnej (znanej jako «fuzja wojskowo-cywilna»), w ciągu ostatniej dekady nabrały tempa”. Tak zaczyna się analiza będąca wprowadzeniem do China Defence Universities Tracker⁵ – specjalnego narzędzia opracowanego w 2019 roku przez ASPI w celu śledzenia chińskich uniwersytetów współpracujących z wojskiem i służbami.

ASPI jest najbardziej wpływowym australijskim think tankiem skoncentrowanym od ponad 20 lat na badaniach związanych z bezpieczeństwem i geopolityką. Jest w większości finansowany przez państwo – najszczodrzejsze dotacje płyną do niego z australijskiego Ministerstwa Obrony Narodowej. Gdy więc w 2020 roku stosunki chińsko-australijskie bardzo się zaogniły (powodem były między innymi żądania Canberry wszczęcia śledztwa przez WHO w sprawie początków pandemii COVID-19), Pekin wskazał właśnie na ASPI jako na przykład finansowania przez rząd Australii „antychińskich działań”. Rzeczywiście, choć ASPI zajmuje się analizami rozwoju technologicznego i kwestiami militarnymi, to jego działania związane z Chinami są najgłośniejsze. Jednym z nich była kampania z 2021 roku, podczas której doprowadził do usunięcia przez Twitter ponad 2 tys. kont, na których rozprzestrzeniano chińską dezinformację o tym, co się dzieje w prowincji Xinjiang z muzułmańskimi Ujgurami.

Równie głośne było wspomniane narzędzie do śledzenia powiązań uczelni z chińskimi uniwersytetami współpracującymi z wojskiem i ze służbami, na czele z Siedmioma Synami Obrony Narodowej. Sama pozycja tych uczelni jest ciekawa. Za ich wzmocnieniem stoi poprzedni przywódca ChRL Hu Jintao. Erę rządów Hu, przypadającą na początek XXI wieku, nazywa się „złotą dekadą” Chin. Dokonały one w tym czasie gospodarczego skoku porównywanego właściwie tylko z brytyjską rewolucją przemysłową albo z rozwojem Ameryki pod koniec XIX wieku. W 2002 roku, gdy Hu stanął na czele kraju, Chiny były szóstą gospodarką świata, a gdy dekadę później jego miejsce zajmował Xi Jinping, plasowały się już na drugim miejscu. Obowiązująca wtedy doktryna „naukowego rozwoju” zakładała skupienie się państwa na budowie bardziej zasobnego społeczeństwa i zrównoważonej gospodarki. Ale znalazło się w niej także miejsce na wspomnianą „fuzję wojskowo-cywilną”, czyli maksymalizację powiązań między sektorami wojskowym i cywilnym tak, by wzmocnić potencjał gospodarczy i militarny Chin.

Ta fuzja stała się elementem strategii państwowej już za Xi Jinpinga. Jak konkretnie wygląda? Skupia się choćby na wzmacnianiu badań wojskowych na

uczelniah. ASPI w opublikowanym w 2018 roku raporcie *Picking Flowers, Making Honey*⁶ [Zbieranie kwiatów, robienie miodu] podliczył, że w latach 2007–2017 Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza wysłała ponad 2,5 tys. swoich naukowców, by szkolili się i pracowali na zagranicznych uniwersytetach, część zresztą pod cywilną przykrywką. Wszyscy zostali wysłani, aby zdobyć umiejętności i wiedzę wartościową dla chińskiego wojska, i najprawdopodobniej wszyscy należeli do partii komunistycznej, a po odbytej misji wrócili do Chin.

Drugi wyraźny element tej strategii to państwowe umacnianie pozycji Siedmiu Synów Obrony Narodowej. Grupa najlepszych uniwersytetów specjalizujących się w przemyśle wojskowym jest tak silnie powiązana z wojskiem, że eksperci nie mają wątpliwości: powinno się je opisywać jako uczelnie obronne, a nie cywilne. Nic dziwnego, skoro cała siódemka została akredytowana na poziomie instytucjonalnym do udziału w badaniach i produkcji ściśle tajnej broni. Każdego roku ponad 10 tys. absolwentów Siedmiu Synów dołącza do sektora badań nad obronnością. Do ich czołowych pracodawców należą państwowe konglomeraty obronne specjalizujące się w produkcji samolotów, rakiet, okrętów wojennych, uzbrojenia i elektroniki wojskowej. Ale są wśród nich także firmy high-tech, takie jak Huawei i ZTE.

Wspomniane uczelnie są też jednymi z najlepiej finansowanych chińskich uniwersytetów. W 2018 roku cztery z nich znalazły się w pierwszej piątce chińskich uczelni pod względem nakładów na pracownika naukowego. Około połowy ich wydatków na badania przeznacza się na badania obronne. Jeden tylko Harbin Institute of Technology w 2018 roku wydał na te ostatnie 1,973 mld juanów (400 mln dol.). Dla porównania w 2021 roku suma wydatków poniesionych w Polsce na badania naukowe w dziedzinie obronności zamknęła się w kwocie 1,296 mld zł, czyli ledwie ponad 300 mln dol.⁷

Równie imponującymi budżetami dysponują też chińskie uczelnie – nie tylko te z wojskowej siódemki – na współpracę międzynarodową. Kuszą nimi środowisko akademickie całego świata – i robią to tak ostentacyjnie, że wzbudza to coraz większe kontrowersje. Bo nie jest specjalną tajemnicą, że za przyjęciem

zaproszenia idzie ciche przyzwolenie na nieporuszanie tematów dla Chin nieprzyjemnych, od praw człowieka zaczynając, na wykorzystywaniu firm chińskich do budowania stref wpływów Państwa Środka kończąc.

„Wszelkie stosunki, w tym akademickie, z Chinami coraz mocniej się upolityczniają. Dziesięć lat temu panował klimat sprzyjający rozszerzeniu współpracy z Chinami, wszyscy liczyli na sytuację typu *win-win* – tu zastrzyk gotówki, tam wymiana technologii. Dziś dociera do nas coraz więcej sygnałów, że współpraca poszła za daleko, że uczelnie w Europie zaczynają się po prostu uzależniać od tych funduszy, że brakuje kompetencji, by zrozumieć, z kim faktycznie się współdziała” – mówi mi Kai Strittmatter, niemiecki dziennikarz i autor książki *Chiny 5.0. Jak powstaje cyfrowa dyktatura*. Wie, o czym mówi, bo nie tylko latami pracował jako niemiecki korespondent w Pekinie, ale też obserwuje, jak zmienia się świadomość chińskich wpływów na Zachodzie. „Niemieckie uczelnie, wydawnictwa naukowe latami lawirowały i starały się utrzymać autonomię. Ale widać, że jest z tym coraz trudniej, co pokazała niedawna awantura o biografię Xi Jinpinga napisana przez dwóch niemieckich dziennikarzy”.

Wspomniana przez Strittmatera awantura rozpętała się jesienią 2021 roku, gdy w Instytutach Konfucjusza w Hanowerze i Duisburgu zaplanowano spotkania autorskie wokół książki *Xi Jinping – Der mächtigste Mann der Welt* [Xi Jinping. Najpotężniejszy człowiek świata], napisanej przez Stefana Austa i Adriana Geigesa. Niespodziewanie organizatorzy zostali jednak zmuszeni do odwołania wydarzenia. „Nasz partnerski uniwersytet w Wuhan uprzejmie nam wyjaśnił, że nie uważa, aby organizowanie spotkania było dobrym pomysłem” – tłumaczył na antenie Deutsche Welle⁸ Markus Taube, jeden z trzech dyrektorów Instytutu Konfucjusza w Duisburgu. Mimo że autorzy do postaci Xi Jinpinga podeszli w wyważony sposób, w sprawę zaangażował się również konsul generalny Chin w Düsseldorfie.

„Wystarczy przecucie, że partnerowi z Chin coś się nie spodoba, a zaraz się włącza autocenzura” – kwituje Strittmatter. Zjawisko to już w 2002 roku Perry Link, dziś emerytowany profesor Uniwersytetu w Princeton, opisał jako „anakondę

na żyrandolu”: „Wielki wąż zwykle się nie porusza. Nie musi. Nie czuje potrzeby, aby jasno dyktować zakazy. Nieprzerwanie za to sączy ciche przesłanie: «Ty sam decydujesz». I każdy sam w jego cieniu dokonuje większych lub mniejszych zmian – wszystko oczywiście dzieje się całkiem «naturalnie»”⁹.

Ta „anakonda” wisi nawet nad uczelniami o ogromnym prestiżu. Jak Cambridge, gdzie wybuchł skandal, gdy Peter Nolan, jeden z czołowych autorytetów w dziedzinie gospodarki Chin, miał doradzać kolegom, aby unikali kontrowersyjnych debat na temat praw człowieka w Państwie Środka. Przekonywał, że „wszystkie kraje”, które są „domem dla mniejszości etnicznych, borykają się z podobnymi problemami jak Chiny”. Później okazało się, że Uniwersytet w Cambridge otrzymał w 2009 roku darowiznę w wysokości 3,7 mln funtów na sfinansowanie profesury Nolana – zresztą z funduszu powierniczego należącego do córki byłego premiera Chin.

Taka autocenzura nie jest jeszcze największym problemem. Prawdziwe zaczynają się, gdy tak jak w Wielkiej Brytanii trzeba otworzyć śledztwo w sprawie „transferu kluczowych światowych badań w zakresie zaawansowanej technologii wojskowej, takiej jak samoloty, projekty rakiet i cyberbroń”. W sprawę, którą na początku 2021 roku ujawnił „The Times”¹⁰, zamieszanych jest blisko 200 naukowców z kilkunastu prestiżowych uczelni. Ale od tamtej pory brytyjskie służby nabrały wody w usta i nie ujawniają nowych informacji o śledztwie. Być może wystarczyło choćby poinformować, że jest prowadzone, by ostrzec uczelnie przed dalszymi nazbyt bliskimi związkami.

Chiny w miejsce Europy

W II wieku naszej ery, pod koniec panowania potężnej dynastii Han, Chiny rozpadają się na trzy królestwa. Cao, władca potężnego państwa na północy, chce zjednoczenia skłóconego kraju. Decyduje się wydać wojnę dwóm mniejszym królestwom. Na czele legendarnej milionowej armii złożonej z doborowych żołnierzy wyrusza przeciwko Liu Beiowi i Sun Quanowi z południa. Zaatakowane

państwa postanawiają jednak zawrzeć wojskowy sojusz przeciwko najeźdźcy i wspólnie stawić czoła nieprzebranym siłom wroga.

To tylko zarys legendarnej i kluczowej dla całej historii i kultury Chin *Opowieści o Trzech Królestwach*. Ale epepeja Luo Guanzhonga napisana w XIV wieku to także po prostu świetna, pełna przygód historia.

Tak wciągająca, że w młodym Levente Horvácie, dorastającym w latach 90. w Budapeszcie, rozbudziła wielką miłość do Chin. Jeszcze jako nastolatek Horváth dostaje stypendium i wyjeżdża do prowincji Jiangsu, gdzie zaczyna mieszkać z chińską rodziną. Namówiony przez nią w 2008 roku, zdaje na Uniwersytet Fudan w Szanghaju, jedną z najlepszych uczelni nie tylko w skali Chin, ale całego świata. Jest jej pierwszym węgierskim absolwentem w historii.

Dekadę później dorosły już Horváth robi udaną karierę w administracji Węgier. „Jestem niezwykle wdzięczny Uniwersytetowi Fudan, gdzie poznałem swoją żonę Niu Shan, która pomogła mi zgłębić piękną historię Chin” – uprzejmie się wypowiada na łamach „China Daily”¹¹, oficjalnego anglojęzycznego organu prasowego Komunistycznej Partii Chin. W tym czasie był już konsulem generalnym w Szanghaju i w 2016 roku spotkał się z Xu Ningshengiem, rektorem Uniwersytetu Fudan. Oficjalnie Xu zachęcał młodego Węgra do „pełnego wykorzystania swojej wiedzy fachowej i dalszego wnoszenia wkładu w wymianę kulturalną i współpracę między Chinami i Węgrami”. Nieoficjalnie to wtedy padł pomysł, by Fudan otworzył swój oddział w Budapeszcie. Przecież Węgry jako członek programu 17 + 1 i Inicjatywy Pasa i Szlaku pod rządami Viktora Orbána coraz bardziej zacieśniły współpracę z Państwem Środka, dlaczego by więc i nie na takim polu?

Horváth promował współpracę między Narodowym Bankiem Węgier (Magyar Nemzeti Bank) a Fudan podczas Forum Szanghajskiego w 2017 roku, na którym prezes banku centralnego wygłosił przemówienie popierające ten pomysł. Wkrótce Horváth został dyrektorem departamentu edukacyjnego banku, a delegacja Fudan została zaproszona do złożenia wizyty w Budapeszcie.

W tym samym czasie węgierski parlament przyjął nową ustawę o szkolnictwie wyższym. Zgodnie z nią na Węgrzech mogą funkcjonować tylko te zagraniczne szkoły wyższe spoza UE, których działalność jest regulowana międzypaństwową umową. Takiej umowy nie zawarto ze stanem Nowy Jork, a tam był zarejestrowany Uniwersytet Środkowoeuropejski (CEU), od lat będący na celowniku Orbána i jego rządu. Fundatorem CEU jest wróg numer jeden Orbána, czyli amerykański milioner węgiersko-żydowskiego pochodzenia George Soros. Soros to przede wszystkim inwestor giełdowy i filantrop, w tym fundator Open Society Foundations, czyli parasolowej organizacji finansującej ogromną część sektora pozarządowego w Europie Środkowej. Według węgierskiego rządu to Soros nie tylko odpowiadał za sprowadzenie do Europy tysięcy uchodźców w czasie kryzysu w 2015 roku, lecz także miał w ostatnich dekadach zbudować prawdziwą lobbingową maszynę, składającą się z organizacji pozarządowych, mediów i właśnie naukowców. Maszynę, której celem rzekomo jest sterowanie polityką Węgier – ale i innych państw Europy Środkowej – z dalekiego fotela za oceanem. Wyrzucenie CEU z Budapesztu było więc dla rządu Orbána jednym z kluczowych celów. I zarazem stworzyło przestrzeń dla nowej uczelni.

Więc gdy CEU przenosił się z Budapesztu do Wiednia, chińskie kontakty Horvátha odgrywały w tej grze coraz większą rolę. W październiku 2019 roku Orbán ugościł w Budapeszcie delegację z Fudan, na czele z jej rektorem Xu Ninshengiem. Niemal natychmiast węgierski minister edukacji podpisał ze swoim odpowiednikiem z ChRL umowę na lata 2019–2023, w której zagwarantowano 230 stypendiów obejmujących studia licencjackie, magisterskie, doktoranckie oraz krótkoterminowe staże badawcze. Od razu też wskazano, gdzie ma działać nowy uniwersytet: w prestiżowej lokalizacji, w gmachu dawnego magistratu w Budzie.

Na kilka miesięcy sprawa przycichła. Bo też i świat przeorany pandemią zamiast walczyć o chińskich studentów, próbował wymyślić, jak prowadzić zdalne nauczanie. Ale Fudan nie dawał o sobie zapomnieć i w kwietniu, tuż po wybuchu pandemii w Europie, wraz z Bank of China przekazał węgierskiemu rządowi

51 tys. maseczek i 300 ochronnych kombinezonów, co oczywiście Węgry przyjęły z entuzjazmem i mocno wyeksponowały w mediach.

Już jesienią 2020 roku okazało się, że prace nad nową uczelnią są zaawansowane o wiele bardziej, niż ktokolwiek by się spodziewał. Na tyle, że zamiejscowy oddział Fudan ma zostać ukończony do 2024 roku, docelowo kształcić 5–6 tys. studentów i stawiać na studia techniczne, w tym specjalizujące się w pracach nad innowacjami w sektorze finansowym i sztuczną inteligencją.

Levente Horváth w wywiadach cieszył się, że to największe dzieło jego życia – choć w tym samym czasie Trybunał Sprawiedliwości UE orzekł, że ustawa, na mocy której Węgry wyrzuciły Uniwersytet Środkowoeuropejski ufundowany przez George’a Sorosa, jest niezgodna z unijnym prawem. Ponadto okazało się, że umowę o współpracy między Węgrami a Fudan nadzorowała Jiao Yang, sekretarz partii na Uniwersytecie Fudan, a na przełomie lat 80. i 90. dyrektor Departamentu Propagandy Zagranicznej Miejskiego Komitetu Partii w Szanghaju.

Im bardziej rząd Orbána parł do budowy chińskiej filii w Budapeszcie, tym mocniej sprzeciw wokół tej inwestycji zaczął konsolidować opozycję, na czele z głównym oponentem Orbána, burmistrzem Budapesztu Gergelym Karácsonym. Największe kontrowersje budził pomysł na sfinansowanie inwestycji, jakby żywcem wyjęty z modelu chińskiej pułapki pożyczkowej. Rząd Węgier na budapeszkański Fudan chce wydać 20 proc. zaplanowanego budżetu, a resztę pieniędzy zapewni pożyczka w wysokości 1,3 mld dol. zaciągnięta w China Development Bank. Inwestycja pochłonie zatem więcej, niż Węgry wydają rocznie na całą edukację wyższą.

Co więcej, według dokumentów, do których dotarli dziennikarze śledczego serwisu Direkt36¹², „budowa może być prowadzona tylko jako projekt chiński”, co w praktyce oznacza, że ma być prowadzona głównie przy użyciu chińskich materiałów i takiejż siły roboczej. Szanghaj chce wręcz, by lukratywny kontrakt przypadł należącemu do państwa gigantowi na rynku budowlanym: State Construction Engineering Corporation (CSCEC), znanemu między innymi z realizacji basenu olimpijskiego w Pekinie.

CSCEC zresztą podjął właśnie próby poważniejszego wejścia na rynki Europy Środkowej. W Polsce w 2020 roku wygrał przetarg na budowę S1, z tym że Główna Dyrekcja Dróg i Autostrad, bojąc się blamażu jak z firmą COVEC, która uciekła z rozkopanej budowy dróg szykowanych na Euro 2012, postanowiła przetarg unieważnić. Szczególnie że i za tą firmą ciągnie się zła sława, związana z realizacją projektu na Filipinach, gdzie doszło do korupcyjnego skandalu. Bank Światowy będący jedną z instytucji finansujących te projekty, na wiele lat umieścił CSCEC na swojej czarnej liście, uniemożliwiając jej udział w postępowaniach, w które sam był zaangażowany. Wykreślenie spółki z czarnej listy nastąpiło dopiero w 2015 roku.

Chińska firma już przygotowała wycenę prac nad węgierską odnogą uniwersytetu Fudan, opiewającą na 1 mld dol., czyli 1,8 tys. dol. za metr kwadratowy. To sporo mniej, niż wyliczyli Węgrzy, ale to, co mogłoby budzić obawy o zaniżoną wycenę, jednak jest przyjmowane za dobrą monetę – nawet jeżeli, jak wskazywali dziennikarze, nie bierze pod uwagę kosztów budowy dróg, terenów zielonych ani nawet VAT-u na materiały.

O budowę ma zadbać specjalna nowa fundacja: Fudan Hungary University, stworzona do zarządzania aktywami uczelni. Kapitał potrzebny do jej założenia i grunt pod budowę zapewni państwo węgierskie. Chiny zaś planują wnieść do kapitału fundacji nieokreśloną kwotę, a następnie pokryć roczne koszty operacyjne kampusu. Ale pomysł z finansowaniem i budową budapeszteńskiego Fudan przypomina węgierskiej opozycji chińskie inwestycje z Serbii czy Czarnogóry, więc tym ostrzej się mu sprzeciwia.

Ferencváros, dziewiątą spośród 23 dzielnic Budapesztu, miejscowi nazywają „rdzawym pasem”. Nic dziwnego, tradycyjnie przemysłowa, dziś raczej podupadła, składa się głównie z domów z czerwonej cegły, które ewidentnie potrzebują szybkiej rewitalizacji. Ale to także miejsce pełne młodych ludzi, barów i bogatego życia nocnego. Mogłoby być idealne pod kampus nowej uczelni. I to tam właśnie rząd Orbána chce umieścić Fudan. Tyle że Krisztina Baranyi, burmistrz Ferencváros, zamiast szansy na rozwój swojej okolicy dostrzegła w tym projekcie

zagrożenie, choć nie tyle ze strony Chin, ile raczej władz stolicy i planowanej przez nie budowy miasteczka studenckiego.

Z jednym z młodych węgierskich sinologów z Uniwersytetu Korwina wędruję więc po okolicy Dalai Láma útca, Ujgur Mártírok útja, Szabad Hongkong út i Hszie Si-kuang püspök út, czyli ulicą Dalajlamy, ulicą Męczenników Ujgurów, drogą Wolnego Hongkongu i drogą biskupa Xie Shiguanga. „Chyba nie jest specjalną tajemnicą, skąd pomysł na taką zmianę nazw ulic. To oczywiste, że nawiązanie w nich do politycznych wrogów Pekinu to przede wszystkim prztyczek w nos partii komunistycznej, ale też ma on po prostu odstraszyć inwestorów. Dziś decyzje o przemianowaniu ulic podejmuje się powszechnie, bo kolejne miasta chcą choćby poprzez zmianę adresu rosyjskich ambasad pokazać Rosji, co sądzą o jej ataku na Ukrainę. Ale rok temu posunięcie burmistrz Baranyi było faktycznie pomysłem i odważne” – opowiada mi trzydziestoletni specjalista od Chin.

Prosi, by nie podawać jego nazwiska, bo chce się starać o stypendium doktoranckie na jednej z chińskich uczelni, a te coraz gorzej znoszą krytykę polityki Państwa Środka. „Wystarczy odmówić wizy albo tak przedłużać ten proces, żeby minął termin wyjazdu. Nieraz uciekano się do takich zagrań wobec niepokornych badaczy” – tłumaczy. I ma rację. Doświadczyła tego choćby Mareike Ohlberg. Badaczka Azji w German Marshall Fund i w Instytucie Mercator wspomina o przewlekającym się oczekiwaniu na wizę, które w 2017 roku przekreśliło jej szansę na wyjazd naukowy, w napisanej wraz z Clive'em Hamiltonem książce *Hidden Hand* [Ukryta ręka]: „Oprócz tych kilku, którzy zostali wciągnięci na czarną listę, o wiele większa grupa badaczy żyje w ciągłej niepewności. Nie całkiem wykluczeni, ale też nieszczęśliwie otwarcie witani”¹³.

Na czarną listę z pewnością trafiła jednak burmistrz Baranyi. Na początku 2022 roku dostała list napisany „w imieniu 40 tys. chińskich mieszkańców Węgier”, a podpisany przez 16 węgiersko-chińskich stowarzyszeń handlowych i biznesowych, z pytaniem, czy aby na pewno dobrze przemyślała swoją decyzję o zmianie nazw ulic¹⁴.

Niemal pół roku później ulice wciąż pozostają solą w oku Chin i symbolem oporu władz Budapesztu. Bo i dla węgierskiej opozycji temat Fudan jest niezwykle ważny. Do tego stopnia, że burmistrz Karácsony, choć zajęty był przygotowaniami do kluczowych dla węgierskiej opozycji (i przegranych przez nią z kretesem) wyborów z kwietnia 2022 roku, sprawę Fudan postawił na ostrzu noża. A dokładniej zaplanował przeprowadzenie razem z wyborami specjalnego lokalnego referendum. Udało się mu zachęcić 200 526 mieszkańców Budapesztu do podpisania wniosku o takie głosowanie. Wielkie paczki z wnioskami stały dumnie, niczym cegły, za plecami burmistrza, gdy fotografował się, ogłaszając sukces.

Choć podpisy dostarczono komisji wyborczej pod koniec stycznia, to okazało się, że ich weryfikacja zajęła urzędnikom zbyt wiele czasu, aby udało się połączyć referendum z wyborami. Jak to ironicznie skomentował Karácsony: liczenie podpisów trwało dłużej niż ich zbieranie.

Być może więc uniwersytet powstanie, zanim w ogóle do tego głosowania dojdzie. Tymczasem natomiast w statucie szanghajskiego Fudan rozdziały dotyczące wolności myśli i wolności akademickiej zostały zastąpione deklaracją lojalności wobec partii komunistycznej.

Instytuty nowej sinologii

Zanim zdążyłam zadać pytanie Ondřejowi Klimešowi z Akademii Nauk Republiki Czeskiej, to on mnie pierwszy zapytał: „A jak oceniacie Instytuty Konfucjusza w Polsce?”. Odpowiedziałam, że nie budzą specjalnych kontrowersji.

„Naprawdę? Pewnie to w dużej mierze zależy od tego, jak silną mają autonomię na uczelniach. Niestety w wielu państwach cieszą się pozycją, która bardzo utrudnia ich kontrolę, a ich oferta jest tak atrakcyjna, także dla studentów, że przymyka się oko na to, jaką naprawdę odgrywają rolę” – dodaje Klimeš, który

jest naukowcem z Czeskiej Akademii Nauk, gdzie specjalizuje się w badaniu współczesnej historii prowincji Xinjiang i Chin.

Co może być pociągające w tych instytutach? Połączenie oferty kursów chińskiego z bonusem w postaci ich finansowania... przez Chiny. Oto kombinacja, dzięki której Instytuty Konfucjusza od lat moszczą się coraz wygodniej na kolejnych uczelniach na całym świecie.

Oficjalnie wzorowane na British Council czy Instytutach Cervantesa lub Goethego, są jednak czymś więcej niż tylko siatką instytucji wyspecjalizowanych w nauczaniu języka i popularyzacji wiedzy o chińskiej kulturze. W wielkim skrócie: ich idee ma oddawać nieco już wyświechtany cytat z samego Konfucjusza: „Jeśli masz plan na rok, posadź ryż. Jeśli masz plan na dziesięć lat, posadź drzewa. Jeśli masz plan na sto lat, edukuj dzieci”.

Kai Strittmatter we wspomnianej już książce *Chiny 5.0* opisuje, jak Instytuty Konfucjusza zbudowały sobie swoją pozycję: „Zaraz po objęciu urzędu Xi Jinping, składając wizytę w Qufu, miejscu urodzenia Konfucjusza, wychwalał mędrca, którego tak krytykował Mao. Gloryfikował także partię jako opiekunkę dawnych wartości. Przede wszystkim jednak Xi chwalił Instytuty Konfucjusza wyrastające na całym świecie jak grzyby po deszczu. Ich sukces pokazuje – mówił – jak bardzo Zachód jest spragniony nauk z Chin: «Chwieje się ich teoria, że kapitalizm jest najlepszy. Natomiast socjalizm przeżywa cud odrodzenia»”¹⁵.

Ośrodki różnią się nieco w zależności od kampusu, ale zazwyczaj oferują kombinację zajęć języka mandaryńskiego, programów kulturowych opierających się głównie na najzupełniej niewinnych warsztatach parzenia herbaty, a czasem także zajęciach z tai-chi oraz współpracy ze szkołami podstawowymi i średnimi. Ale przede wszystkim, w przeciwieństwie do instytutów Goethego czy Cervantesa, działają w strukturach uczelni wyższych.

Dziś na świecie jest tych instytutów blisko 550, plus ponad tysiąc tzw. klas konfucjańskich. Liczba uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych, w których znajdują się instytuty, w szczytowym momencie sięgnęła ponad 90. Ostatnia dekada przyniosła także spory boom na nie w Europie Środkowej. W samej Polsce

działa ich pięć na uniwersytetach: Wrocławskim, Jagiellońskim, Adama Mickiewicza i Gdańskim oraz na Politechnice Opolskiej. Nie zawsze jednak kluczowa jest ich liczba, ważniejsze zdają się elastyczność i gotowość ekspansji. Tak jest choćby w Bułgarii, gdzie oficjalnie działają dwa instytuty: na Uniwersytecie Sofijskim i Uniwersytecie w Wielkim Tyrnowie, tyle że odkąd powstały, zakres ich działalności mocno się poszerzył. Do tego stopnia, że ten drugi stał się jednym z największych ośrodków nauki języka chińskiego w całej Europie i zaczął wspierać¹⁶ otwieranie całej sieci specjalnych klas konfucjańskich, od uczelni wyższych po podstawówki.

Nad całym tym systemem kontrolę sprawuje mieszczące się w Pekinie Państwowe Biuro Międzynarodowej Promocji Języka Chińskiego, po chińsku krótko: Hanban. Na jego stronie internetowej można się dowiedzieć, że organizacja działa jako część Ministerstwa Wychowania. Jest to jednak tylko część prawdy – w rzeczywistości nad Hanbanem stoi dyrekcja, w której skupiają się przedstawiciele tuzina urzędów, także Ministerstwa Propagandy. Od wielu lat kieruje tą dyrekcją Liu Yandong, do czasu przejścia na emeryturę w 2018 roku wicepremier, ale przede wszystkim członkini politbiura KPCh. (Przypomnijmy, że na Uniwersytecie Karola to właśnie Liu ze strony chińskiej pilotowała powstanie Centrum Czesko-Chińskiego).

Instytuty Konfucjusza powstają w zasadzie w kooperacji z miejscowymi uniwersytetami. Uczelnie dają swoje pomieszczenia i infrastrukturę, Hanban asygnuje pieniądze, a któryś z chińskich uniwersytetów wysyła obsadę nauczycielską. W efekcie instytuty są na uczelniach bardzo pożądane. Za pracę kadry uczącej języka nie trzeba płacić. Wręcz idealna realizacja promowanego przez Chiny modelu *win-win*.

Były rektor politechniki ze wschodniej Polski, która już i tak współdziałała z Chinami i ma nawet klasę konfucjańską, rozmawia ze mną pod sam koniec swojej kadencji rektorskiej. Jest zachwycony współpracą z Chinami, a do Instytutu Konfucjusza ma tylko jedną uwagę: że jego uczelni nie udało się go zdobyć. „Zamiast nas dostał go Uniwersytet Gdański. Wie pani, to jeszcze były czasy, gdy

Donald Tusk był premierem, więc pewnie im to załatwił, w końcu to jego rodzinne miasto” – wzdycha.

Jednak zamiast zachwytów z całego niemal świata napływają kolejne głosy o autocenzurze, cenzurze i narzucaniu chińskich narracji w ramach Instytutów. Najwięcej ze Stanów Zjednoczonych, bo też wciąż działa tam ponad sto takich ośrodków. Choć po debatach, w których przekonywano, że nie ma problemów z prawami człowieka w Chinach, zamknięto instytuty w Chicago i Filadelfii. Ale także te w Sztokholmie i Lyonie. Kolejne spięcia zaczynają narastać. Jak zauważają Hamilton i Ohlberg w książce, w której śledzą działania „niewidzialnej ręki Komunistycznej Partii Chin”, siła wpływu instytutów zależy oczywiście od pozycji uczelni gospodarza. „Większe i bardziej wpływowe uniwersytety mają w targowaniu się większą siłę przebicia niż te mniejsze i mniej prestiżowe”¹⁷ – piszą i jako przykład podają Uniwersytet Stanforda, który gdy chiński partner naciskał na wykluczenie takich „trudnych tematów jak Tybet”, odmówił spełnienia prośby i postawił na swoim.

Jednak to wyjątek. Coraz wyraźniej za to uwidocznia się strategia Hanban, który chce czegoś więcej niż tylko kursów językowych. Celem jest stworzenie podstaw promowania „nowej sinologii”.

„Instytuty Konfucjańskie zostały zaprojektowane tak, by w miarę możliwości unikać jakichkolwiek drażliwych dla Chin tematów. Panująca w nich atmosfera, oparta na przekonaniu, że nie wypada poruszać tematów politycznych, bo to nieeleganckie i niegrzeczne, to tak naprawdę stosowana z premedytacją strategia. Mamy nawet na to termin *charm offensive*, czyli agresywna ofensywa polityczna i gospodarcza, ale podawana w delikatnym sosie ciekawej, orientalnej, jak najbardziej pacyfistycznej kultury” – przekonuje czeski sinolog Klimeš i przywołuje książkę *Charm offensive: How China's Soft Power Is Transforming the World* [Ofensywa uroku. Jak chińska miękka siła zmienia świat] Joshuy Kurlantzicka, która ukazała się już dobre kilkanaście lat temu. „To nie jest nowy sposób działania. Jest tylko z roku na rok coraz silniejszy i bardziej zauważalny”.

Podobnie jak coraz bardziej widoczne są zastrzyki gotówki płynące czy to z chińskich uczelni, czy wręcz z przedsiębiorstw do zachodnich uczelni i naukowców.

Dobre maniery na nowe czasy

Ľuboslav Štóra z bratysławskiego Instytutu Konfucjusza mógł sobie pozwolić na wysyłanie e-maili wyśmiewających pracę naukową i pośrednio grożących prowadzącemu ją badaczowi, bo czuł się po prostu bardzo pewnie. W końcu przecież do niedawna był dyrektorem słowackiego oddziału chińskiej firmy telekomunikacyjnej ZTE. Firmy, która kilka lat wcześniej podpisała z bratysławską politechniką i z Uniwersytetem Comeniusa umowę na budowę centrum badawczo-usługowego w bratysławskiej Mlynskej dolinie¹⁸. Centrum miało się koncentrować na internecie rzeczy, biotechnologii i bioinformatyce, inteligentnych systemach i sieciach komunikacyjnych. ZTE miała wyłożyć 20 mln euro na inwestycję, a uczelnie zapewnić jej infrastrukturę i naukowców. W zamian chińska firma zastrzegła sobie prawo do używania technologii wypracowanych w centrum.

Nic z tego planu jednak nie wyszło, bo kilka miesięcy po podpisaniu tej umowy ZTE trafiła na amerykańską czarną listę za nieprzestrzeganie embarga nałożonego na Iran i Koreę Północną. Kiedy już wydawało się, że wystarczy zapłacić karę (i to sporą: 900 mln dol.), amerykański Departament Handlu zakazał amerykańskim firmom eksportu czegokolwiek na rzecz ZTE na okres siedmiu lat. Jednocześnie brytyjskie Narodowe Centrum Bezpieczeństwa Cybernetycznego (NCSC) ostrzegło tamtejsze firmy telekomunikacyjne, że korzystanie ze sprzętu lub usług ZTE stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Pod koniec 2020 roku naukowcy z Uniwersytetu w Lejdzie w Holandii raportowali, że „europejskie rządy, szkolnictwo wyższe i instytucje badawcze” muszą nakreślić konkretne wytyczne dotyczące „bezpiecznej” współpracy z Chinami. Kilka miesięcy później wybuchł skandal, gdy dziennik „The Times”¹⁹ opisał, jak Uniwersytet w Oksfordzie za 700 tys. funtów darowizny od firmy

Tencent, chińskiego potentata branży gier i serwisów internetowych (w tym aplikacji WeChat), postanowił zmienić nazwę jednej ze swoich legendarnych profesur z „Wykeham Professorship of Physics” na „Tencent-Wykeham Professorship of Physics”. Pierwotna nazwa odnosiła się do XIV-wiecznego biskupa Williama z Wykeham, który ufundował jeden z ważniejszych wydziałów uczelni, czyli New College. Gdy sprawa została upubliczniona, uniwersytet wycofał się z pomysłu i ogłosił, że Tencent zostanie patronem osobnego instytutu fizyki teoretycznej. Wszystko zgodnie ze słynnym mottem biskupa Wykeham: *Manners makyth man*. Maniery mówią, kim jesteśmy.

Skoro Oxford nie mógł się powstrzymać przed takim sponsoringiem, to czy można się spodziewać większej asertywności od znacznie mniej zamożnych szkół Europy Wschodniej? Badacze z Central European Institute of Asian Studies²⁰ (CEIAS), czyli think tanku analizującego kontakty między Europą Środkową a Azją, jasno piszą, że Chiny „chcą poprawić swój wizerunek w innych krajach, a także uzyskać dostęp do najbardziej zaawansowanych technologii”, właśnie wchodząc w bliższe relacje, także finansowe, z uczelniami. W wielu przypadkach CEIAS znalazł dowody na to, że „uniwersytetom brakuje zasobów i woli, aby dokładnie zbadać [działające w Chinach] instytucje, a także osoby”, z którymi decydują się na współpracę. „Nie chodzi o to, że wszystkie takie relacje z miejsca trzeba skreślać, tylko o to, czy uczelnie w ogóle próbują sprawdzać, z kim współpracują, czy zadają sobie pytania o etyczność takich działań. Przecież to są szkoły wyższe, a więc powinny swoim studentom przekazywać nie tylko wiedzę, ale też uwrażliwiać ich na odpowiedzialność za własne czyny” – podkreśla profesor Lomová z Pragi.

O taką wrażliwość pytam profesora Grzegorza Mazurka, rektora Akademii Leona Koźmińskiego (ALK), według rankingów najlepszej prywatnej uczelni w Polsce, który w 2020 roku zawarł umowę z polskim oddziałem Huawei na wspólne prowadzenie studiów podyplomowych z zarządzania cyberbezpieczeństwem. Po kilku miesiącach współpracę rozszerzono także na kierunek *management and artificial intelligence*. Rozmawiam z rektorem krótko po

zaatakowaniu Ukrainy przez Rosję, gdy w brytyjskim „Daily Mail”²¹ ukazał się artykuł donoszący, że Huawei bynajmniej nie zakończył współpracy z Rosją, tylko szkoli pracowników tak, by pomagali Federacji Rosyjskiej utrzymać stabilność sieci telekomunikacyjnej. Po tych informacjach umowę sponsorską z Huawei zerwał gwiazdor futbolu Robert Lewandowski. A ze stron ALK tajemniczo zniknęły informacje o współpracy z firmą z Shenzhen. Zamiast nich wyświetla się komunikat o błędzie 403.

Mazurek jednak bagatelizuje problem i mówi, że ktoś się na uczelni za bardzo pospieszył z tym wygumkowywaniem Huawei. „Będziemy z nimi rozmawiać o tych zarzutach, ale mnie jest w nie trudno uwierzyć. Zresztą to jest świetny partner. Nie mamy chyba lepszego z biznesu, takiego, który by się tak bardzo nie wtrącał w pracę uczelni”.

Nie tylko ALK z otwartymi ramionami przyjmowała zainteresowanie Huawei. W 2016 roku na Politechnice Poznańskiej powstała pierwsza Huawei ICT Academy, rok później na tej uczelni ruszyło też wspierane już przez ambasadę Centrum Badawcze Nowego Jedwabnego Szlaku. Do dziś Akademie Huawei powstały także na Politechnice Warszawskiej, Akademii Górniczo-Hutniczej, Politechnice Łódzkiej i Uniwersytecie Łódzkim. Huawei latami mocno stawiał na współpracę z lokalnymi uczelniami oraz rozbudowywanie swojego sztandarowego programu stypendialnego dla studentów – Seeds for The Future. W Bułgarii firma zawarła umowę o współpracy z Uniwersytetem Technicznym w Gabrowie, ustanawiając centrum badawcze i program stażowy. W Estonii – z politechniką w Tallinie. Na Węgrzech – z Uniwersytetem Istvána Széchenyiego.

Umowy podpisywano już po kolejnych doniesieniach o kontrowersyjnych działaniach Huawei. Zarówno po wpisaniu firmy na amerykańską czarną listę w związku z oskarżeniami o bliską współpracę z chińskim wywiadem, ale także o łamanie embarga nałożonego na Iran, jak i po ujawnieniu kolejnych dowodów wskazujących na to, że jest to jedna z firm pracujących w Sinciangu nad technologicznymi metodami kontroli uciskanych tam Ujgurów. Mimo że były znane kolejne raporty, w tym o patencie Huawei, który pozwala identyfikować

osoby pochodzenia ujgurskiego wśród pieszych na ulicach, co wywołało globalny skandal²², i tak jesienią 2021 roku Uniwersytet Ekonomiczny w Warnie i bułgarski oddział Huawei Technologies podpisały umowę o współpracy w dziedzinie stypendiów studenckich. W tym samym czasie chińska firma podpisała również porozumienie z Uniwersytetem Bibliotekoznawstwa i Technologii Informacyjnych w Sofii. W jego ramach prowadzone są szkolenia nad sztuczną inteligencją i innymi technologiami.

W Polsce taką współpracę w czerwcu 2021 roku Huawei zawarł z Uniwersytetem Łódzkim (UŁ). W oficjalnych komunikatach opisywano ją tak: „W ciągu trzech lat Huawei i UŁ będą mogły wspólnie organizować studia podyplomowe, specjalistyczne staże naukowe dla studentów i doktorantów oraz krótkoterminowe praktyki, które mogą poprowadzić doświadczeni specjaliści pracujący na co dzień w Huawei”. Kiedy po kilku miesiącach pytam rzecznika prasowego uczelni, co wyszło z tych planów, bagatelizuje: „Były to pojedyncze szkolenia z obszaru informatyki dla naszych studentów”.

Jeden z wykładowców uczelni, która współpracowała z Huawei, sam zresztą specjalista od Chin, nie pozostawia złudzeń: „Dawali pieniądze, szkolenie dla wykładowców lub studentów, sprzęt czy oprogramowanie do pracy nad sztuczną inteligencją, to uczelnie brały. Wciąż jest straszny głód na uniwersytetach. Więc po prostu uczelnie wolą trochę zasłaniać oczy i tłumaczyć, że przecież nie ma żadnych dowodów, że to tylko niepotwierdzone zarzuty, że wiele zachodnich firm też jest oskarżanych o nieetyczne działania”.

Profesor Lomová: „Czasem jestem postrzegana jako sinofobka. W żadnym razie tak nie jest. Chiny to państwo o wspaniałej kulturze i historii, a do tego wielu w nim mądrych ludzi, z którymi moglibyśmy współpracować na uczelniach, co mogłoby nam dużo dać. Tylko musimy się sami szanować i wymagać przestrzegania zasad. Przecież nasze uczelnie zostały zbudowane na pewnych ideach: od praw człowieka po równość i transparentność”.

* * *

Akademia, szkolnictwo wyższe, uniwersytety – to one zgodnie z wielowiekową tradycją stoją na straży prawa, kultury, ba, całej cywilizacji i osiągnięć ludzkości. Mają autonomię – często wręcz zapisaną w prawie – cieszą się społecznym szacunkiem, prestiżem i specjalnym miejscem w funkcjonowaniu państw. Ufamy, że badania i edukacja kolejnych pokoleń elit są wyższymi celami, jakie im przyświecają. Tym większym jest szokiem, gdy się okazuje, że często działają jak przedsiębiorstwa. Walczą o budżety, sponsorów i inwestycje. I w tej walce są gotowe naginać najważniejsze ideały: praw człowieka, transparentności działań, obiektywizmu badań. I właśnie te impulsy wykorzystują Chiny, oferując granty, inwestycje technologiczne, wsparcie w badaniach. A w zmian? Wystarczy nie zadawać zbyt niewygodnych pytań, nie drażnić i po prostu zrozumieć, że tam obowiązują inne zasady i inne prawa.

ROZDZIAŁ 5

CRAZY RICH ASIANS NA POLSKICH UCZELNIACH, CZYLI WIELKA DRAKA O CHIŃSKICH STUDENTÓW

Ten, czyje rozkazy są konsekwentnie wykonywane, rozwija wzajemne relacje z ludźmi¹.

Chiński student to czysty zysk. Sebastian Osmólski, do 2021 roku koordynator projektu ściągania z Chin studentów do gdańskiej Akademii Wychowania Fizycznego i Sportu (AWFiS), jest tego pewien. Jest też pewien, że Polska powinna zrobić wszystko, aby na rozwoju Chin skorzystać. „I nasza uczelnia także. Niegospodarnością byłoby stracić taką szansę. I nie chodzi tu tylko o finanse. Przecież zaproszenie młodzieży z Chin to świetna okazja do poszerzenia kontaktów międzynarodowych naszych studentów, do poznania innej kultury, a wreszcie do skorzystania z doświadczenia i wiedzy Chin w sporcie i w edukacji. Wszystko to jest ważne w rozwoju wymiany międzynarodowej, a tu mamy dodatkowe wsparcie ogromnego potencjału Chin” – tłumaczy Osmólski.

Siedzimy jesienią 2020 roku w reprezentacyjnej sali AWFIS. Gdańsk właśnie ogłoszono żółtą strefą covidową, za chwilę zacznie się kolejny lockdown, ale na uczelni nie brakuje studentów. Tych z Chin już jednak prawie nie ma.

Długi drewniany stół przez całe pomieszczenie, na ścianach wiszą portrety wszystkich rektorów uczelni. Oglądam je i zatrzymuję się przy przedostatnim: profesora Waldemara Moski, który urzędowanie zakończył w 2020 roku. „10 lat zarządzał, zastał AWF z 40 mln długów, zostawił w świetnym stanie finansowym, a usunięto go, bo komuś nasi chińscy studenci przeszkadzali” – mówi rzeczniczka

prasowa uczelni z czasów rektora Moski Karolina Rogowska. Swoją pozycję straci dosłownie kilka tygodni po naszej rozmowie. „Zamiast się cieszyć, że władze uczelni szukają możliwości rozwoju, zamiast doceniać, jak osobiście rektor się zaangażował, jak jeździł do Chin, by wszystkie kontrakty dogrywać, wygrała u nas taka polska zawiść” – dodaje.

Windy Lu Ju Meng już od trzech lat mieszkała w Gdańsku i studiowała wychowanie fizyczne, gdy na początku lutego 2020 roku doniesienia o pewnym „chińskim wirusie” z egzotycznych wiadomości na bocznej szpalcie działów zagranicznych przesuwają się coraz bliżej w stronę czołówek najważniejszych europejskich dzienników. Nagle wszyscy zaczęli googlować, czym są koronawirusy, i sprawdzać, gdzie konkretnie jest to całe Wuhan. A Windy wraz z kilkoma kolegami właśnie z Wuhanu przyjechała studiować nad Bałtyk. Co więcej, w styczniu z okazji chińskiego Nowego Roku wybrali się na kilka tygodni do domu i na kolejny semestr w Polsce wrócili, jak się później okazało, wprost z miejsca, które miało za chwilę zasłynąć jako pierwsze ognisko, a zarazem symbol pandemii.

Już kiedy przylecieli do Polski, czuć było napięcie. Do sekretariatu lokalnego sanepidu przyszedł anonimowy e-mail. Nadawca informował, że w AWFIS są chińscy studenci, którzy mogą stanowić zagrożenie epidemiologiczne. Sanepid sprawę zbadał, ale zagrożenia nie stwierdził. Przecież od ponad dwóch tygodni młodzi Chińczycy byli w Polsce, a żadnych objawów choroby nie zaobserwowali. To nie uspokoiło jednak atmosfery na uczelni.

Polacy na widok Chińczyków podobno zaczęli ostentacyjnie zasłaniać twarze i odsuwać się. Gdy wreszcie pewnego dnia na uczelnianym korytarzu Windy nie wytrzymała i zwróciła kolegom uwagę, że nie muszą tego robić, bo wszyscy są zdrowi, posypały się wyzwiska. „Wiem, że ludzie boją się teraz koronawirusa, ale jestem załamana, gdy ktoś robi takie rzeczy” – napisała na Facebooku. Historię wybuchu o rasistowskim wydzwieńku na kilka dni podchwyciły media w Polsce, rozpisując się o ksenofobii, atakach na tle rasowym i panicznym lęku przed wirusem, jaki zapanował wśród gdańskich studentów. Ośrodek Monitorowania

Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych złożył do prokuratury doniesienie na działania podyktowane nienawiścią rasową. Windy z kolegami wkrótce wyjechała z Polski do domu (ale potem do Gdańska wróciła i ukończyła studia w AWF i S).

Emocje wokół chińskich studentów w Trójmieście wzbierały od dawna. Wystarczył zapalnik w postaci lęku przed chorobą, by eksplodowały. A w ich centrum były po prostu pieniądze.

„To, co odczytano, zresztą wygodnie dla rektora, jako awantury o podłożu rasistowskim, było sprzeciwem części kadry i studentów wobec nieprzemyślanej polityki ściągania studentów, a przede wszystkim nieprzejrzystości tego procesu” – profesor Tomasz Frołowicz był do 2019 roku prorektorem ds. studenckich i sportu w AWF i S i nie ukrywa, że należał do grupy kontestującej politykę szefostwa uczelni. „Rektor chciał na studentach i sportowcach z Chin zrobić prosty biznes. Tylko że te pieniądze, które idą za studentami z Chin, często są obarczone dodatkowymi kosztami”.

Podobne emocje przewijają się od lat przez uczelnie właściwie całego świata. Nic dziwnego, bo jak wyliczył brukselski think tank Bruegel, student z Państwa Środka wydaje w Europie średnio równowartość 30 tys. dol. rocznie, więc panuje powszechne przekonane, że chiński student to faktycznie czysty zysk. Skoro odkryły to amerykańskie uniwersytety z Ivy League, brytyjskie szkoły z historycznym rodowodem i niemieckie politechniki, to w pewnym momencie takie same korzyści zamarzyły się środkowoeuropejskim uczelniom.

Chińska fala studentów

Zacząło się od Mao. To dekada rewolucji kulturalnej, między 1966 a 1976 rokiem, gdy polityka Mao Zedonga konsekwentnie wyniszczyła Chiny, przygotowała grunt pod zmiany, które ostatecznie stworzyły globalny, wysoce konkurencyjny rynek walki o studentów z Państwa Środka.

Kluczowe znaczenie miał okres nazwany wielką czystką, gdy Mao zintensyfikował kampanię terroru i wykorzystał do jej przeprowadzenia uczniów szkół średnich i studentów. Młodzież przekonywano, że ma „chronić” Mao, nie wyjaśniano jednak, przed czym konkretnie ani jakimi środkami. Ponieważ wcześniej przez długi czas obowiązywał zakaz jakiegokolwiek aktywności politycznej, wśród młodych ludzi aż kipiało od aktywistycznego entuzjazmu, który teraz wreszcie mógł się uwolnić. Jung Chang i Jon Halliday w książce *Mao. Nieznana historia* piszą: „W celu zagwarantowania, że uczniowie i studenci będą mogli spełniać jego życzenia, Mao polecił zawiesić zajęcia szkolne od 13 czerwca. «Teraz nie ma już lekcji – powiedział – a młodzi ludzie dostaną jeść. Mają zatem dość energii, a chcą się buntować. Czego można po nich oczekiwać, jeśli nie rozruchów?». Już po kilku dniach doszło do aktów przemocy. 18 czerwca tłum hunwejbiniów [czyli członków komunistycznej młodzieżówki, którzy oficjalnie mieli zajmować się prowadzeniem rewolucji, a w praktyce wypełniali rozkazy Mao Zedonga, torturując, a niekiedy zabijając „wrogów ludu” – przyp. aut.] wyciągnął z gabinetów i zmaltretował kilkudziesięciu profesorów i pracowników Uniwersytetu Pekińskiego. Ich twarze pomalowano na czarno i nałożono im szpiczaste czapki hańby. Zmuszono ich do klęczenia, wielu pobito, kobiety molestowano seksualnie. Do podobnych wypadków doszło w całych Chinach, co spowodowało lawinę samobójstw”².

Gdy w oparach ideologicznego amoku w Chinach już wyeliminowano ogromną część starych elit i kadr, liczba studentów spadła z niemal 700 tys. do ledwie 47 tys. Więc kiedy do władzy doszedł legendarny reformator Deng Xiaoping, Chiny były właściwie edukacyjną pustynią. A do realizacji swojego planu i szybkiej modernizacji państwa ich nowy faktyczny przywódca potrzebował masowej edukacji. Jeszcze pod koniec lat 70. zapadły decyzje na szczeblu centralnym, by otworzyć Państwo Środka na internacjonalizację edukacji i nauki.

Do prawdziwego przełomu doszło oczywiście znacznie później i wiodła do niego wyboista ścieżka. Prowadziła przez ciąg zmian polityczno-gospodarczych i społecznych. Przełomowe były dwa wydarzenia: w 1997 roku do Chin wrócił

Hongkong, a wraz z początkiem XXI wieku Chiny dołączyły do Światowej Organizacji Handlu. W efekcie gospodarka Państwa Środka szaleńczo się rozprężyła. Pierwsze owoce przyniosła ponadto ogromna – niemal 15 mld dol. – pożyczka Banku Światowego na edukację. W 2004 roku w Chinach studiowało już 17,6 mln osób i co roku dochodziło kolejne 2,5 mln³. Wszystko to prowadzi do nieznanego w historii tego państwa zjawiska: wyłaniania się klasy średniej.

Klasy, która ma nie tylko ambicje ekonomiczne, lecz także aspiruje, by kształcić dzieci – dobrze i natychmiast. Sektor szkolnictwa wyższego rozbudowuje się, w dużej mierze dzięki prywatnym środkom samych zainteresowanych – rodzin studentów. Ale popyt jest większy niż podaż. Zaczynają więc działać w komunistycznym państwie zasady wolnorynkowe, gwałtownie rosną opłaty za studia i nagle się okazuje, że system traci wydolność i trzeba pomyśleć o wysłaniu części rosnącej masy młodych, żądnych edukacji ludzi za granicę.

Oczywiście studenci wyjeżdżali z Chin już wcześniej – głównie do Związku Radzieckiego i wybranych demoludów. Dopiero w październiku 1978 roku pierwsi studenci chińscy pojawili się w Stanach Zjednoczonych, ale wciąż była to niszka. Łącznie w latach 1978–1984 w 14 krajach świata studiowało 36 tys. Chińczyków. Dekadę później w samych Stanach było ich już 15 tys., wciąż jednak dominowali wśród nich naukowcy piszący doktoraty.

Sytuacja zaczęła się jednak szybko zmieniać na przełomie wieków. Roczna liczba studentów wyjeżdżających w roku 1998 wynosiła jeszcze ledwie 11 tys., ale już sześć lat później było to ponad 114 tys. W sumie między rokiem 1978 i 2008 studia za granicą odbyło ponad 1,3 mln Chińczyków. A globalny kryzys gospodarczy był momentem, gdy światowe uczelnie odkryły, że bez chińskiej fali nie zdołają utrzymać swojego statusu ekonomicznego. Nic dziwnego, skoro już wtedy chińscy studenci wnosili do budżetów instytucji edukacyjnych wszelkiego typu na całym świecie ponad 6 mld dol. Efekt był taki, że w 2018 roku – jak podaje chińskie Ministerstwo Edukacji⁴ – globalna diaspora chińskich studentów liczyła ponad 662 tys. osób. Przed wybuchem pandemii stanowili oni najbardziej mobilną grupę studencką i aż 15 proc. spośród wszystkich wybierających naukę na

uczelniach zagranicznych. W ciągu ledwie dekady na uczelnie całego świata trafiło ponad 4,5 mln młodych Chińczyków.

Zaczęła się więc o nich i idące za nimi pieniądze regularna globalna przepychanka. Bo ci studenci płacą często najwyższe czesne, sięgające kilkudziesięciu tysięcy euro rocznie. W samej Wielkiej Brytanii od 2000 roku liczba chińskich kandydatów na studia zwiększyła się pięciokrotnie, w 2022 roku sięgnęła 29 tys. osób⁵, a według przewidywań firmy badawczej Sinorbis do 2030 roku wzrośnie do 50 tys.

W ostatnim czasie rok w rok wnoszone przez nich opłaty za studia zasilają tamtejszy system edukacji ogromną kwotą rzędu 1,7 mld funtów. Jak bardzo jest ona ważna, okazało się, gdy w środku pandemii i po decyzji rządu Wielkiej Brytanii o wykluczeniu Huawei z budowy sieci 5G brytyjskim uczelniom zagroził odpływ chińskiego narybku. I zaczęło się robić groźnie. Istnieje bowiem spora grupa uczelni, którym bez studentów z Chin trudno się będzie utrzymać. Na dziewięciu brytyjskich uniwersytetach stanowili oni więcej niż jedną piątą wszystkich studentów. Najbardziej od nich uzależniony okazał się Uniwersytet w Glasgow, gdzie chińskie czesne stanowiło aż 31 proc. wszystkich opłat na studiowanie. „Jeżeli przeciętne studia licencjackie w Wielkiej Brytanii kosztują około 9 tys. funtów, to młody Chińczyk płaci za nie dwa razy więcej. Po prostu studentów spoza Unii przez lata obowiązywały inne stawki” – opowiada Paulina Kanarek, sinolog i założycielka firmy Oxford Elite Education, wykładowczyni Szkoły Prawa i Gospodarki Chin Uniwersytetu Warszawskiego.

Kanarek przygotowała prezentację na potrzeby webinaru *Od egzaminów urzędniczych do ed-techu. Jak odnaleźć się na chińskim rynku edukacyjnym?* organizowanego na Uniwersytecie Warszawskim pod koniec 2020 roku. Pandemia już trwała w najlepsze i ściąganie studentów z Chin przypominało misję specjalną, ale nawet szalejący wirus nie powstrzymał apetytów uczelni.

Sinolog Radosław Pyffel kilka lat temu przytaczał taką anegdotę: „Na jednym ze spotkań eksperckich chiński profesor zażartował, iż po ponad 30 latach polityki jednego dziecka Chiny «mają poważny problem z demografią, ale na szczęście nie

aż tak poważny jak Polska»⁶. Wcale mnie to nie rozśmieszyło, bo niestety miał rację. Wskaźniki demograficzne są w Polsce jeszcze niższe niż w Chinach, gdzie już odchodzi się od polityki jednego dziecka”.

Sięgnięcie po ogromną rzeszę młodych ambitnych Chińczyków wydawało się więc naturalnym kierunkiem. Tyle że rodzice nie chcą dzieci wysłać gdziekolwiek. Jak już inwestować, to w taką edukację, która zaowocuje prestiżem. Europa Środkowa musiała się więc ostro postarać o reklamę w Chinach.

Nic dziwnego, że prezydent Bronisław Komorowski w 2011 roku osobiście pojechał otworzyć polsko-chińskie forum rektorów szkół wyższych w Pekinie. W Pekińskim Instytucie Języków Obcych zgromadzono 50 przedstawicieli chińskich i polskich uczelni, których Komorowski przekonywał: „Przyjedźcie do Polski, otrzymacie europejskie wykształcenie”.

Udało się nawet zaprosić ówczesnego wiceministra edukacji Chin. Hao Ping w oficjalnym przemówieniu grzecznie mówił, że Polska zawsze była ceniona za osiągnięcia w kulturze i nauce. Przemówienie okraślił jednak cytatem z Karola Marksa o tym, że naród polski jest niezniszczalny i jest robotnikiem świata.

Robotnik świata przełknął to wyróżnienie i ruszył do pracy w aktywnym zdobywaniu studentów. Od kilku miesięcy działało już specjalnie powołane Konsorcjum Michała Boyma zrzeszające uczelnie zainteresowane rozwijaniem współpracy z Chinami. Za patrona obrało sobie XVII-wiecznego polskiego jezuitę, który opisywał florę Chin i jako emisariusz jednego z cesarzy stanął przed papieżem.

W skład porozumienia weszły Wyższa Szkoła Europejska im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie, Akademia Leona Koźmińskiego w Warszawie, Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, Akademia Muzyczna w Łodzi, Akademia Wychowania Fizycznego w Warszawie, Politechnika Łódzka oraz Uniwersytet Łódzki. Dekadę temu konsorcjum szacowało, że Polska mogłaby w najbliższym czasie przyjąć około 3 tys. studentów z Chin. Wtedy na polskich uczelniach kształciło się mniej niż tysiąc chińskich studentów, co stanowiło jedynie

2 proc. spośród wszystkich cudzoziemców. Plany były jeszcze ambitniejsze, bo chciano nawet powołać w Chinach specjalną polsko-chińską szkołę wyższą.

Po dekadzie szukam śladów skuteczności Konsorcjum Boyma. Nikt nic nie pamięta. Uczelnie milczą. Nawet jego dyrektor dr Tomasz Skowron jakby się zapadł pod ziemię. A na polskich uczelniach liczba studentów z Chin tuż przed wybuchem pandemii była faktycznie rekordowa – ale i tak wciąż nikła, nie sięgała bowiem nawet 1400 osób⁷.

Cesarski pałac

Z tej liczby aż setka studiowała w AWFIS, położonym w spokojnej i urokliwej gdańskiej Oliwie. Z dwójką z nich, Frankiem i Tomem (podają imiona specjalnie przybrane na europejskie warunki), spotykam się tuż przed jesienną falą pandemii. Nie działają żadne kawiarnie, więc idziemy na spacer po kampusie. „Teraz na uczelni jest już spokojnie. Ze wszystkimi mamy dobre kontakty. Nikt nie jest dla nas niemiły. Polska nam się podoba. AWFIS też. Gdańsk jest fajny, choć mały i nie dzieje się tu za wiele, ludzie są tacy powolni i nie rozumiemy, dlaczego w święta są zamknięte sklepy. Przecież święta to najlepszy moment na robienie biznesów” – młodzi mężczyźni są bardzo ostrożni, dobierając słowa. Trudno wyczuć, czy to dlatego, że jak to Chińczycy nie mają zwyczaju za dużo o sobie zdradzać. A może specjalnie wazą to, co mówią, po przeżyciach ostatnich kilkunastu miesięcy?

Okazuje się, że polsko-chińska przepychanka z początku pandemii to był tak naprawdę szczytowy moment pełnej napięć koegzystencji studentów z dwóch końców świata.

Inaczej widzi to uczelniiany koordynator studentów z zagranicy Sebastian Osmólski. „Dla rektora i dla mnie to był ogromny sukces. 100 studentów i około 40 uczniów. Ściągnąć tak ogromną grupę z Chin – to się przecież w Polsce jeszcze chyba nie zdarzyło, a udało się to skromnej uczelni wychowania fizycznego, nie politechnice czy uniwersytetowi” – opowiada z dumą. Mówi też o swoich

doświadczeniach z pracy w Azji: „Przez trzy lata tam mieszkałem, robiłem tam biznesy i miałem wyrobione kontakty”. Na moje pytanie, gdzie w Chinach mieszkał, odpowiada: „W samych Chinach to nie mieszkałem, ale w Wietnamie, Tajlandii, Kambodży... To jednak już było wystarczające, aby poznać zasady panujące w Azji, mieć tam wypracowane znajomości zarówno wśród polskich urzędników, jak i lokalnych instytucji. W połączeniu z wolą rektora Moski, żeby faktycznie zacząć współpracę z Chinami, zaowocowało to sporym sukcesem” – przekonuje. Moska i Osmólski po studentów z Chin podróżowali wspólnie. „Ale to nie były wycieczki krajoznawcze. To była ciężka praca. Prosto z samolotu do hotelu, szybkie przebranie się i spotkania, potem kolejne samoloty i to samo. Wracaliśmy jak wraki” – wspomina Osmólski. Ale przede wszystkim wrócili z podpisanymi umowami partnerskimi z uczelniami i z Inicjatywą Pasa i Szlaku, która wspiera także edukację obywateli Chin. W ramach tego projektu na uczelnię ściągnięto ponad 40 nastolatków. W pierwszym roku w grupie uczniów sportowców byli piłkarze nożni i siatkarze. W drugim roku pojawili się szermierze, a zniknęli piłkarze nożni.

Stroną odpowiedzialną za edukację i opiekę nad chińskimi studentami był powiązany z uczelnią klub sportowy AZS-AWFiS Gdańsk. Oficjalne tłumaczenie tego rozwiązania: sam AWFiS nie mógł się nastolatkami zająć, bo byli po prostu za młodzi na studia. Kluczowe dla gdańskiej uczelni jednak miało być jedno: pieniądze. AWFiS miał na umowie sportowo-szkoleniowej zarobić, bo wynajmował AZS obiekty sportowe. Tyle że choć współpraca w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku ogłaszana była jako sukces uczelni, to te zyski okazały się mało spektakularne: rocznie około 300 tys. zł. Za to na dodatkowe zarobki mogli liczyć niektórzy pracownicy. Zresztą sam rektor też, bo jak się okazało, jako konsultant w klubie sportowym zaczął dodatkowo zarabiać kilka tysięcy miesięcznie.

„Owszem, zarabiał, ale i pracował po godzinach, by uczniowie z Chin mieli u nas jak najlepsze warunki. By byli zachętą dla kolejnych” – zapewnia Osmólski.

„Okolo roku temu studenci, doktoranci, pracownicy AWFiS, w zasadzie wszyscy, którzy chcieli w AWFiS usiąść i wypić kawę lub coś zjeść, stanęli przed

pytaniem, czy lubią chińską kuchnię. Nie dlatego, że kawa po chińsku musi się różnić od innych znanych kaw. Ale kawa, nawet zwykłe cappuccino, pita w atmosferze (zapachu) chińskiej kuchni oznacza coś zgoła innego niż cappuccino w Starbucksie. A zapachy chińskiej kuchni zdominowały okolice bufetu AWFiS, od kiedy dawny studencki bufet, nieprzygotowany do pełnienia funkcji stołówki, stał się stołówką 24/7 dla chińskich nastolatków” – tak zaczyna się jeden z wpisów na facebookowej grupie Nie Chcemy Takiej AWFiS8 .

Przeoglądam wpisy tej grupy – to kronika konfliktu na gdańskiej uczelni. Zmiana stołówki w kantinę z chińską kuchnią staje się przyczynkiem do opowieści o tym, jak to w akademikach przybysze płacący za studiowanie więcej niż lokalsi mają większą swobodę i nie dbają o otoczenie. Na zdjęciach bałagan we wspólnej kuchni w Domu Studenta, śmieci wysypujące się z koszy, rozsypane wokół szafek i na blatach: „Tak wygląda kuchnia na 1. piętrze akademika po wizycie Chińczyków. Każdego dnia zostawiają po sobie s*f. W kuchni jest kamera i znalezienie winnych zajęłoby dosłownie chwilę, ale jak widać – nikomu nie zależy”.

Bałagan w akademiku, wszystko jedno polskim, chińskim czy amerykańskim, to nic nowego, ale w tej historii to kolejny sygnał, że dzieje się coś niedobrego. Wypowiedziano umowę na kantinę dotychczasowemu najemcy (i zapłacono 100 tys. zł odszkodowania), po czym wynajęto ją spółce Cesarski Pałac, za 1800 zł miesięcznie, czyli kwotę pięciokrotnie niższą, niż płacił poprzedni najemca.

Polscy studenci przez miesiące skarżą się między sobą i na Facebooku: pokoje zajmowane przez Polaków są w katastrofalnym stanie, mają zagrzybione łazienki, urwane krany, a te zaoferowane nastolatkom z Chin – i to nawet nie studiującym, tylko uczącym się w klubie sportowym – świeżo po remoncie. Studentów bulwersowało to, że remont sfinansowano ze środków funduszu pomocy materialnej dla studentów. Kilku wykładowców uczelni dokłada jeszcze inne argumenty: pieniądze z Inicjatywy Pasa i Szlaku, która płaci na młodych sportowców, nie trafiają do kasy uczelni, a zasilają klub sportowy, zaś sam majątek uczelni ma być podobno drenowany na rzecz klubu. „To był kluczowy problem.

Miał być zysk dla Akademii, były tylko dodatkowe koszty i antagonizowanie studentów” – przekonuje profesor Frołowicz, ówczesny prorektor. Emocje sięgają zenitu w środку letniej sesji w 2019 roku. W głównym holu AWFIS pojawiają się plakaty z wypisanymi żądaniem: pieniądze z Chin mają iść nie do klubu, tylko na potrzeby uczelni, na zaległe wynagrodzenia, na inwestycje. Ktoś przypina zdjęcia Chińczyków obcinających sobie włosy na korytarzu w akademiku. Ktoś flamastrem bazgrze o „chińskiej zgrai”. Ktoś zaczyna skandować. Frołowicz wraz z kilkorgiem innych wykładowców naciska jednak, że kluczowe jest wyjaśnienie kwestii finansów. Jeden z pracowników zapowiada, że dopóki to się nie stanie, będzie prowadził głodówkę. Odpowiedzią rektora jest groźba zwolnienia dyscyplinarnego.

Pytanie, kto faktycznie zarabia na studentach z Państwa Środka, zaczęło jednak budzić coraz większe zainteresowanie.

Nie tacy crazy rich Asians

Kiedy 23 studentów z Pekinu przybyło w 2018 roku do Aten, greckie media były zachwycone. „Oto pierwsza tak znacząca grupa chińskich studentów będzie się w kraju Sokratesa i Platona uczyć greki, historii i kultury kolebki europejskiej cywilizacji” – głosiły nagłówki. „Przybyliśmy poznać prawdę i poprawić opinię o Grekach” – tłumaczył w rozmowie z agencją Xinhua⁹ Wang Jinyao, jeden z opisywanych w prasie pionierów. („Zła opinia” o Grekach, o której wspomniał, odnosiła się jeszcze do greckiego kryzysu finansowego). Niewiele ponad 20 osób – to nie jest jakieś szczególne wydarzenie, ale greckie uczelnie zobaczyły w nich jaskółki zwiastujące szansę na prawdziwe otwarcie się na cennych chińskich studentów.

To tylko drobny przykład, jak duże nadzieje budzi młodzież z Państwa Środka. Nadzieje, które jednak w większości państw naszego regionu pozostają na niszowym poziomie. Według oficjalnych danych na wyższych uczelniach w Czechach tuż przed pandemią studiowało 736 obywateli Chin. W Polsce przed

pandemią było ich niecałe 1,4 tys. Więcej, bo 2 tys. przyjechało na Węgry, Chińczycy stanowili tam zatem około 8 proc. wszystkich studentów z zagranicy¹⁰. Jeszcze więcej było ich w Ukrainie, bo już ponad 3,5 tys. W czasie pandemii, gdy reszta kontynentu nieszczególnie chętnie patrzyła na studenckie przyjazdy, to Ukraina była otwarta i chętna. Po ataku Rosji w lutym 2022 roku okazało się, że w samym tylko Kijowie utknęło 2,7 tys. studentów z Chin. Przez kilka długich dni byli przekonywani przez własną ambasadę, że nie ma powodów do paniki i nie muszą uciekać. Gdy wreszcie przestraszeni atakiem na stolicę Ukrainy zdecydowali się opuścić miasto, nie było już możliwości skorzystania ze specjalnych lotów wycarterowanych przez Pekin dla dyplomatów, polityków czy biznesmenów. Musieli się przedzierać do zachodnich granic Ukrainy.

„Powiedzmy to sobie wprost: jesteśmy dla Chińczyków mało atrakcyjni. Tam konkurencja i ambicje są tak wysokie, że pod uwagę bierze się tylko uczelnie ze szczytów rankingów. Do tego stopnia, że trudno przyszłego studenta – czy raczej jego rodziców, bo w Chinach naprawdę o wszystkim wciąż decydują rodzice – przekonać, że skoro planuje studiować na przykład historię, to powinien patrzeć na wysokie miejsca w rankingach kształcenia w tej konkretnej dziedzinie. Nadal natomiast kluczowa pozostaje dla nich ogólna renoma uniwersytetu. A nasz region nie ma żadnej szeroko rozpoznawalnej uczelni, jak powiedzmy, Massachusetts Institute of Technology (MIT)” – tłumaczy sinolożka Paulina Kanarek, która wie, o czym mówi, bo jej firma Oxford Elite Education specjalizuje się w rozpoznawaniu potrzeb studentów zagranicznych.

Środkowoeuropejskie uczelnie mogą więc co najwyżej walczyć o studenta słabszego i... biedniejszego – ale na pewno nie o tych, o których w Stanach czy w Wielkiej Brytanii mówi się: *crazy rich Asians*. Takich jak Yusi Zhao, wokół której w 2019 roku wybuchł skandal łapówkarski¹¹. Jej rodzice multimilionerzy (dorobili się na produkcji leków) zapłacili niejakiemu Williamowi „Rickowi” Singerowi, który miał powiązania z administracją Uniwersytetu Stanforda, 6,5 mln dol. za przyjęcie dziewczyny na tę niezwykle prestiżową uczelnię. Ostatecznie Yusi

nie ukarano, bo jej matka broniła się, że byli przekonani, iż to opłaty na fundacje i wsparcie mniej zamożnych studentów. Ale niesmak pozostał.

Za miejsce w AWFIS, a nawet na Uniwersytecie Jagiellońskim lub Uniwersytecie Karola w Pradze żadna chińska rodzina nie wyłoży sumy będącej nawet ułamkiem takiej kwoty. O studiowaniu na wschodzie Europy myślą tylko młodzi Chińczycy, których rodziny aspirują do klasy średniej, ale nie stać ich na najdroższe uniwersytety, lub tacy, którzy za słabo zdali *gaokao*.

Ten chiński odpowiednik egzaminu maturalnego to prawdziwy pogromca marzeń młodych Chińczyków. Od uzyskanych na nim punktów zależy wybór uczelni, a od dyplomu – przyszłość maturzysty i jego rodziny. Dla najlepszych *gaokao* to przepustka na dobre studia i trampolina do kariery, dla słabszych – wyrok kiepskiej pracy do końca życia.

Gaokao trwa dziewięć godzin dziennie przez kilka dni. Uczniowie wypełniają testy, rozwiązują zadania i piszą eseje. Zdają egzamin z całości materiału szkolnego – z matematyki, przyrody, angielskiego, fizyki, chemii, geografii, historii i języka chińskiego. Chińczycy porównują ten maraton do przeprawy 10-tysięcznej armii przez wąską kładkę – przejść trudno, a spaść łatwo. Co roku rząd ustala liczbę studentów, jaką mogą przyjąć uczelnie. Zestawia się je według szacowanego przedziału liczby punktów koniecznych, aby się na nie dostać. Uczniowie, znając swoje wyniki *gaokao*, aplikują na konkretne kierunki na konkretnych uczelniach. Jeżeli nie dostaną się na uczelnię pierwszego wyboru, ich kandydaturę rozpatrują te z drugiego garnituru.

Kto przejdzie *gaokao*, ale ledwo i z potknięciami, ląduje albo na jakiejś słabej uczelni w Chinach, albo właśnie w Europie Wschodniej, czyli Europie, ale jednak tej gorszej. Ponadto: „To nie jest tak, że chiński student sam składa wnioski na uczelnie, sam kupuje bilet na samolot, wynajmuje mieszkanie i leci studiować na drugi koniec świata. Od tego wszystkiego są specjalne agencje” – tłumaczy Paulina Kanarek.

By młodzi Chińczycy trafili do najlepszych zagranicznych szkół, powstał cały sektor agencji edukacyjnych, które zajmują się wszystkim, od procesu

rekrutacyjnego po zakwaterowanie i opiekę nad studentem w obcym państwie. „Nie ma też szans, by sama uczelnia bezpośrednio dotarła do studentów bez ich pośrednictwa. Nikt na to nie pozwoli. Konkurencja na tym rynku jest tak ogromna, że walczą one wręcz o możliwość zaopiekowania się najlepszymi” – opowiada Kanarek.

Były ambasador Polski w Chinach Tadeusz Chomicki, dziś ekspert ds. cyberbezpieczeństwa w MSZ i przewodniczący rady nadzorczej Fundacji Edukacji Polsko-Chińskiej, podczas jednej z konferencji poświęconej edukacji Chińczyków w Europie opowiadał: „Nie ma szans bez opieki takiej agencji trafić do zagranicznej uczelni. Obserwowałem, jak Polacy próbowali takie firmy rozkręcać, ale raczej mało skutecznie. Trzeba mieć naprawdę świetne rozeznanie na miejscu, by coś działać w tym temacie”.

Agencje też mają swój ranking – te, których podopieczni dostają się do najlepszych uczelni, są wyżej notowane, zdarza się zatem, że aby podbić swoje notowania, biorą pod swoje skrzydła za darmo najlepiej rokujących młodych ludzi, którzy będą ich żywymi reklamami. Ci ze słabszymi ocenami muszą za opiekę zapłacić.

Chiński student za granicą w żadnym razie nie pozostaje jednak sam. Agencja o niego dba i interesuje się nim. Może mu nawet pomóc załatwić wakacyjne staże, bo przecież czym byłoby wykształcenie bez doświadczenia zawodowego. „I są to takie staże, za które nie tylko nie płaci się studentowi, ale też często to jemu agencja wystawia rachunek za zaoferowanie takiej możliwości” – z lekkim podziwem mówi Kanarek.

Sprawniej idzie podpisywanie umów dwustronnych między uczelniami i w ten sposób ściąganie studentów choćby na studia uzupełniające magisterskie. Tadeusz Chomicki chwali się, że jego Fundacja Edukacji Polsko-Chińskiej podpisała już około 20 takich umów.

Kto zarabia na studentach z Chin?

Próba dowiedzenia się, z kim konkretnie w Chinach umowę podpisał gdański AWFIS, to skomplikowana sprawa, bo uczelnia broni się przed podawaniem szczegółów. „To od początku było najbardziej problematyczne. Brakuje jasności, z kim, na co oraz ile faktycznie sama uczelnia na tym skorzysta. Przede wszystkim, skoro przybywa ich tak niewielu, a na miejscu rozpraszają się na poszczególne kierunki i roczniki, to w każdej takiej grupie wymagają specjalnej integracji. Także pod kątem językowym, bo nie byli wcale aż tak biegli w angielskim” – tłumaczy profesor Frołowicz i dodaje, że takie właśnie argumenty wskazywał władzom uczelni, gdy zaczął się nabór z Chin. Opierał się na wyliczeniach holenderskich uczelni, które już przeszły ścieżkę od zachwytu do uświadomienia sobie realnych problemów. „Ale nikt tego nie chciał słuchać. W efekcie zaczęły narastać te wszystkie konflikty między polskimi a chińskimi studentami. Mniej oparte na rasistowskich uprzedzeniach, a bardziej na poczuciu krzywdy, i to z obu stron. Do tego doszły naprawdę poważne zarzuty związane z niegospodarnością i wręcz z wyłudzeniami dużych kwot” – dodaje były prorektor ds. studenckich.

O tym właśnie w 2019 i 2020 roku alarmowały media. W liście samorządu studenckiego AWFIS do ówczesnego ministra nauki i szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina wymieniano szczegółowo kolejne bolączki, z którymi boryka się uczelnia, w tym również te związane z pobytem chińskich studentów.

Wcześniej, jesienią 2019 roku, czyli jeszcze przed pandemią, swój list do ambasady Chin wysłał rektor Moska. Skarżył się w nim: „Mimo objęcia nadzwyczajną opieką naszych gości, którzy przyjechali z Chin, w trakcie ostatnich kilku miesięcy wydarzyło się kilka niebezpiecznych incydentów ksenofobicznych w stosunku do chińskich sportowców, przeradzających się w czyny rasistowskie”. Tymi czynami według rektora były między innymi pismo przedstawiciela związku zawodowego ostrzegające, że uczelnia traci suwerenność na rzecz grup z Chin, czerwcowy protest z okrzykami o „chińskiej zgrai” i dziennikarskie materiały opisujące konflikt na uczelni z tytułami w stylu: *Chińska pralnia*¹² czy *Gra w Chińczyka*. Niepokoiło go również, że w programie *Alarm* w TVP profesor Frołowicz (zresztą jego podwładny) wypowiada się krytycznie o Nowym

Jedwabnym Szlaku jako o planie na „nową chińską hegemonię w Europie”. Rektor prosi ambasadora o pilną interwencję, choć nie precyzuje, na czym konkretnie miałyby polegać.

„Powiedzieć, że doniósł na swoich pracowników i studentów przedstawicielom obcego państwa, to zbyt mało” – z oburzeniem wspomina Frołowicz, który właśnie wtedy wraz z innymi wykładowcami uważającymi, że doszło do sprzeniewierzenia pieniędzy z Inicjatywy Pasa i Szlaku, stracił pracę na uczelni. Zostali zwolnieni za „godzenie w jej dobre imię, antagonizowanie studentów i szkalowanie jej władz”.

Tymczasem rektor Moska wyjechał do Pekinu, aby z tamtejszym uniwersytetem sportowym podpisać kolejną umowę, tym razem zakładającą wspólne stworzenie kampusu na wyspie Hainan. Z umowy nic nie wyszło, być może dlatego, że już w marcu 2020 roku resort nauki odwołał Waldemara Moskę z funkcji rektora. Według ministerstwa zarzuty związane ze szkodą majątkową „uprawdopodobniły się”. Postawiono rektorowi 10 zarzutów, w tym wyprowadzenia z uczelni 4,5 mln zł pochodzących z chińskich opłat do klubu sportowego, którego Moska jest prezesem; wyłudzenia z ministerstwa 1 mln zł dofinansowania z tytułu studiowania na kierunkach anglojęzycznych studentów zagranicznych, którzy nie znali angielskiego; zerwania umowy agencji lokalu gastronomicznego na terenie uczelni, co skutkowało koniecznością wypłaty odszkodowania w wysokości około 100 tys. zł; wykonywania dodatkowej pracy zarobkowej bez zgody senatu AWF i S; a także nieuzasadnionego zwolnienia wieloletnich pracowników uczelni. Osobne postępowanie prowadzi również prokuratura. Bada ona także współpracę gospodarczą AWF i S z pekińskim Beijing Sport University w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku.

Osmólski prycha na te wszystkie zarzuty: „Śledztwo w sprawie mowy nienawiści w stosunku do naszych chińskich studentów prokuratura umorzyła, zasłaniając się nikłą społeczną szkodliwością czynu. A tu grzebią tylko dlatego, że zadziałała zwykła polska zawiść. Najgorzej będzie, jeśli przez to wszystko stracimy kontakty i dobre imię w Chinach i kolejni studenci już nie będą chcieli do nas przyjechać”.

Uczą się, płacą i wymagają

Chińscy studenci za granicą nie są zostawieni sami sobie. I nie chodzi tym razem o opiekę wspomnianych agencji pośrednictwa. Zawsze są pod mniej lub bardziej ścisłym nadzorem chińskich dyplomatów czy wręcz służb. Jak mówiła w wywiadzie dla czeskiej organizacji Sinopsis urodzona w Hongkongu, ale mieszkająca w Berlinie badaczka Didi Kirsten Tatlow, autorka książki *China's Quest for Foreign Technology. Beyond Espionage* [Chińska wyprawa po zagraniczne technologie. Ponad szpiegostwem]: „Studenci są szczególnie ważni dla partii, ponieważ są krzewicielami wiedzy i nadzieją na przyszłość. Chińska tradycja zapewnia im szczególne miejsce w społeczeństwie – często stawali na czele intelektualnego sprzeciwu wobec władzy i nieprzypadkowo to oni odgrywają obecnie istotną rolę w protestach w Hongkongu”¹³.

Według Alexa Joskeego, badacza z Australian Strategic Policy Institute w Canberze, po protestach kierowanych przez studentów na placu Tiananmen w 1989 roku chińska partia komunistyczna zaczęła polegać na kontrolowanych przez siebie stowarzyszeniach studenckich, w szczególności w celu monitorowania i kształtowania aktywności młodych ludzi za granicą oraz rozpowszechniania swojego przesłania.

I skoro uczelnie z całego świata działają jak kapitalistyczne przedsiębiorstwa i widzą w chińskich studentach szansę na podratowanie swojej sytuacji, rząd Chin dostrzegł w ich wyjazdach za granicę szansę na wytyczanie swoich ścieżek wpływu – choćby na to, czego i jak się uczy o samych Chinach. W Australii, gdzie przed pandemią studiowało już niemal 170 tys. młodych Chińczyków, coraz głośniej opowiadano historie o próbach cenzury. „The New York Times”¹⁴ pisał o wydarzeniach z połowy 2019 roku, gdy na Uniwersytecie w Newcastle w Nowej Południowej Walii grupa chińskich studentów z międzynarodowej klasy marketingu oburzyła się na wykładowcę, gdy wspomniał o Tajwanie jako o niepodległym kraju. Studenci potajemnie nagrali na wideo kłótnię z nim i zmobilizowali się w mediach społecznościowych, aby i wykładowcę, i całą

uczelnie napiętnować – w mediach chińskich, gdzie takie działania padają na coraz bardziej podatny grunt.

Z podobnym wyczuleniem przyjmowane są wszelkie relacje dotyczące rasizmu względem Chińczyków. Didi Tatlow, autorka książki o chińskich studentach za granicą, podkreśla jednak, że choć nie ma wątpliwości, że mamy też do czynienia z rasizmem i że jest on obrzydliwy, to jednak w tym przypadku nie chodzi o problem rasowy, ale polityczny. Systemowy, a nie etniczny. Mówi: „Chińska partia komunistyczna celowo wykorzystuje rasę i pochodzenie etniczne jako narzędzia gruntowania lojalności i wzmacniania propagandy”.

Wokół AWFIS po ponad dwóch latach od eskalacji emocji w dalszym ciągu toczą się kolejne sprawy. Prokuratura w Gdańsku bada zarzuty dotyczące niegospodarności rektora Moski, wciąż nie przedstawiła aktu oskarżenia, za to przesłuchała już blisko 50 świadków. Były rektor profesor Tomasz Frołowicz wytoczył uczelni proces za bezpodstawne zwolnienie. Sprawa tak się ciągnie, że Frołowicz chce przygotować skargę do Strasburga. Na uczelnię już nie wrócił. Pracuje jako kierowca.

Profesor Waldemar Moska usłyszał od pełnomocnika resortu nauki zarzuty o niegospodarność. Dodatkowo jest też prowadzone postępowanie w sprawie oskarżeń o plagiat. Komisja dyscyplinarna wniosowała o wymierzenie Mosce kary zakazu wykonywania pracy na stanowisku nauczyciela akademickiego przez 10 lat. Postępowanie zostało zawieszono w oczekiwaniu na efekty prac prokuratury, która również bada działania byłego rektora. On zaś wciąż pracuje w AWFIS.

Na uczelni nie ma już za to Osmólskiego. Rozpoczął tymczasem podobną współpracę z Akademią Nauk Stosowanych w Wałczu. Opowiada, że chętnie do skorzystania z jego wsparcia w ściąganiu studentów z Chin są także uczelnie z Opola i ze Szczecina. Uczelnię z Gdańska opuścili już właściwie wszyscy studenci z Chin. W Polsce tymczasem ich liczba podskoczyła do 1600, stanowią więc piątą co do wielkości grupę zagranicznych studentów. Dla porównania studentów z Ukrainy przed wybuchem wojny było u nas 38,5 tys.

* * *

W Wielkiej Brytanii wartość czesnego płaconego przez studentów z Chin w 2021 roku sięgnęła 2,5 mld dolarów, co stanowi 6 proc. całkowitych dochodów brytyjskich uczelni. Nic dziwnego, że kiedy zaczęła się pandemia, wiele najbardziej prestiżowych szkół znalazło się w poważnym kłopotcie, bo okazało się, że bez chińskiej młodzieży trudno im się utrzymać. Klęska urodzaju, która doprowadziła do tej sytuacji w Wielkiej Brytanii, dla uczelni z Europy Środkowej wciąż brzmi raczej jak opowieść fantasy. Liczba studentów z Państwa Środka jest tu na tyle znikoma, że podstawowym zmartwieniem pozostaje, jak w ogóle ich ściągnąć i zachęcić. Tyle że nikt nie wyciąga wniosków z doświadczeń Europy Zachodniej i z tego, jakie trudności stoją za tymi korzyściami.

ROZDZIAŁ 6

CHIŃCZYCY TRZYMAJĄ NAS ZA PORTFELE, CZYLI ALIBABA I MILIONY ROZBÓJNIKÓW

Kto pierwszy dotrze na pole bitwy, czeka na przeciwnika wyczerpany, a ten, kto przybędzie jako ostatni, stanie do boju wyczerpany. A zatem biegly w sztuce wojennej wymusza na innych podjęcie działania, a nie pozwala nikomu nic wymuszać na sobie¹.

Przed siedzibą M.B.B. Logistics w graniczących z Niemcami Słubicach powiewają dwie flagi. Biała z niebiesko-granatowym logo firmy i czerwona z pięcioma żółtymi gwiazdami. Choć firma wyspecjalizowana w logistyce i magazynowaniu zarejestrowana jest w Polsce, to na jej czele stoi chiński biznesmen Song Gao.

Song ma na koncie 20 lat doświadczenia w biznesie, z czego połowę spędził w Polsce. Cały czas pracuje w branży, która jest mało medialna, ale ważna ze względu na położenie naszego kraju na przecięciu szlaków komunikacyjnych.

„Rocznie M.B.B. Logistics zabezpiecza i wysyła ponad 4,5 mln paczek. Nasze centrum logistyczne w Słubicach ma łącznie 46,5 tys. m² powierzchni. Magazynujemy towar, pakujemy, wysyłamy i zajmujemy się obsługą zwrotów. Towary są u nas bezpiecznie składowane, w zależności od potrzeb klienta, na półkach lub paletach. Dzięki specjalnej aplikacji klienci mają bezpośredni dostęp do swojego magazynu, on-line mogą kontrolować stan swoich produktów. Co ważne, nie muszą wynajmować z góry określonej przestrzeni magazynowej, finalnie płacą tylko za miejsce, które realnie wykorzystują” – zachwalał swoją firmę Gao w wywiadzie, którego w 2020 roku udzielił „Kurierowi Kolejowemu”²,

i dodawał, że centrum jest mocno zautomatyzowane. „Pracuje tu 57 robotów, obsługują 450 regałów półkowych. W tym roku wyślemy 10 mln paczek” – zapowiadał.

Nic więc dziwnego, że spółka JD Property³ – powstała na początku 2021 roku jako część Grupy JD, jednego z największych sprzedawców internetowych na świecie – wystąpiła do polskiego Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów o zgodę na połączenie z M.B.B. Logistics. Szef działu logistycznego JD wyznał, że gigant e-commerce zdecydował się połączyć z firmą ze Słubic, gdy ta zaczęła prowadzić dwa zautomatyzowane magazyny w Polsce i w Niemczech.

Magazyn w Niemczech znajduje się na północ od Frankfurtu. Lokalizacja polskiego długo owiana była tajemnicą. Do czasu wywieszenia nad Słubicami chińskiej flagi. „Poprzez magazyny w Polsce i w Niemczech przenieśliśmy nasz wysokiej jakości łańcuch dostaw, logistykę i technologie automatyzacji do Europy” – taki oficjalny komunikat rozesłało do mediów JD.

Koniec końców okazało się, że nawet nie potrzebowali zgody urzędników na koncentrację. Ich obrót w Polsce jeszcze nie przekraczał rocznie 10 mln euro, więc mogli się swobodnie łączyć i działać.

Fuzja nastąpiła w czasie, gdy do Polski oficjalnie wchodził amerykański Amazon, polski potentat przesyłkowy InPost zapowiadał uruchomienie kolejnych tysięcy paczkomatów, a najsilniejsze na tym rynku Allegro właśnie świętowało głośny giełdowy debiut. To na tych ruchach skupiała się uwaga biznesu, klientów i opinii publicznej. O wiele mniejsze zainteresowanie budził tajemniczy magazyn przy zachodniej granicy, niepozorne niebieskie maszyny paczkomatowe z logo AliExpress, które po cichu i bez fanfar pojawiły się nagle na ulicach polskich miast i miasteczek. Nawet otwarcie pod Łodzią pierwszego w tej części świata centrum logistycznego Alibaby uniknęło rozgłosu.

Nie budziły wielkiego zainteresowania, choć są dowodem na to, że chiński e-handel właśnie rozpoczął nowy etap zainteresowania nie tylko Polską, ale tak naprawdę całą Europą.

I ma w tym przedsięwzięciu ważnego partnera: miliony pełnych zapachu klientów, którzy już zakochali się w e-commerce w chińskim stylu.

Jarmark AliExpress

Jeszcze kilka lat temu zakupy na AliExpress były raczej specyficzną rozrywką: podobną do ciuciubabki zabawą w poszukiwanie jak najlepszych cenowych okazji i wyłapywanie osobliwości niedostępnych w Europie. W Polsce miała ona dodatkowo posmak sentymentalnego powrotu do czasów nieistniejącego już warszawskiego Jarmarku Europa, na którym można było upolować śmiesznie tanie majtki z bambusa i ordery z czasów ZSRR. A do tego pochwalić się, że nasze cyfrowe umiejętności pozwalają już nawet na buszowanie w chińskim sklepie internetowym.

Nie ma co się oszukiwać: jak Europa długa i szeroka określenie „chińszczyzna” nie kojarzyło się z wysokim standardem ani ciekawym designem. Wręcz przeciwnie.

Nieważne, czy trafimy na ulicę Gagarina 91 w Belgradzie, gdzie w cieniu wielkich betonowych bloków z czasów Tity wyglądających jak statki obcych znajduje się chińskie centrum handlowe. Czy zajedziemy do podwarszawskiego Żyrardowa, gdzie niedaleko XIX-wiecznych czynszówek i zakładów włókienniczych działa Chiński Market, wyglądający jak przerośnięty dyskont. Czy wreszcie jadąc do końca autobusem linii 7 w Budapeszcie, dotrzemy na peryferie i ujrzymy ogromną bramę do jeszcze większego Asia Center (wybudowanego zgodnie z zasadami feng shui), przed którym klientów wita istny labirynt kolejnych pomników i monumentów ku czci potęgi chińskiego handlu. Wszystkie te miejsca łączy jedno: ludzie szukają tam produktów tanich i zaskakujących raczej pomysłowością niż jakością.

To zadziwiające, jak łatwo ten model zakupowy przeszczepiono do internetu. W AliExpress można na nowo poczuć dreszczyk bazarowego szperactwa

i przebierać między stanikiem masującym piersi za 108,35 zł, zaparaczem do herbaty w kształcie psiej kupy (tylko 18,46 zł) a kocem wyglądającym jak wielka tortilla (28,82 zł). Miliony przedmiotów wątpliwej przydatności, zwykle nie do znalezienia w zwykłych sklepach, choćby dlatego, że nie mają żadnych unijnych certyfikatów.

Cały ten cyfrowy sezam trafił na niezwykle wdzięczny rynek. Społeczeństwa wschodniej Europy – już na dorobku, ale nie aż tak zamożne, by swobodnie przeczesywać droższy Amazon – z łowów na AliExpress uczyniły sobie w drugiej dekadzie XX wieku specyficzny konsumencki sport. Nawet jeżeli okazywało się, że na dostawę skarbów ze skarbcza Alibaby, czyli właściciela AliExpress, trzeba czasem czekać tygodniami. I nawet jeżeli nierzadko się okazywało, że otrzymany produkt miał się do pięknych zdjęć właśnie tak jak Jarmark do Europy.

„Ludzie zakładają, że istnieje spora szansa na to, że tanie przedmioty z AliExpress będą dobrej jakości. Tłumaczą sobie, że wyższe ceny w Polsce wynikają z dużych marż sklepów, budżetów reklamowych i wielu innych czynników. Szukają czegoś tańszego i często chwalą się rezultatami swoich polowań” – tłumaczył w 2018 roku „Gazecie Wyborczej” Maciej Kosiorek z kolektywu badaczy młodej kultury Królicza Nora. Zespół ten jako pierwszy przyglądał się od strony socjologicznej temu, kto i dlaczego kupuje w chińskim e-markecie. A było kogo badać, bo ostrożne szacunki już wtedy mówiły o kilku milionach klientów, choć oficjalnych danych brakowało. Ale o tym dalej.

W 2018 roku wiadomo było, że więcej niż połowa (53 proc.) polskich aliekspressowiczów nie skończyła 34 lat, wśród nich byli zarówno biedni, jak i zamożni. Było to już rok po oficjalnym wejściu AliExpress na polski rynek, przy czym ta oficjalność była trochę umowna: nie polegała ani na założeniu przedstawicielstwa, ani nawet małego lokalnego zespołu. Za to popularny pośrednik zdalnych płatności PayU pozwolił Polakom płacić na AliExpress złotówkami.

Wystarczyło. Po pół roku od tego posunięcia apka AliExpress weszła do pierwszej dwudziestki najpopularniejszych w Polsce, a sam serwis sukcesywnie się

przesuwał z pozycji internetowego dziwadła ku statusowi ważnego gracza, który szybko zaczął rozdawać karty. Pod koniec 2019 roku AliExpress miał w Polsce – według danych firmy analitycznej Gemius – prawie 5,6 mln użytkowników, rok później ponad 6 mln, a pod koniec 2021 roku z aplikacji i serwisu korzystało łącznie już 11 mln Polaków, czyli co trzeci z ogółu internautów. Dla porównania: królujące na polskim rynku Allegro ma ponad 17 mln użytkowników, a globalny gigant Amazon, który oficjalnie wszedł na polski rynek w 2021 roku, niewiele ponad 2 mln.

I nie jest to tylko zjawisko typowo polskie. Wręcz przeciwnie. W Rumunii (według badania przeprowadzonego przez iSense Solutions dla GPeC5) w 2021 roku już niemal jedna trzecia klientów ponad lokalne e-sklepy przedkładała te z Chin. Co więcej, sam AliExpress uplasował się na drugim miejscu wśród zagranicznych platform preferowanych przez Rumunów, tuż przed Amazonem. W Czechach, kiedy firmy Eset i Seznam.cz pod koniec 2020 roku spytały w dużym badaniu, gdzie mieszkańcy tego kraju robią zakupy on-line, co czwarty wskazał chińskie sklepy, a tylko 10 proc. amerykańskie⁶. Potwierdzają to wyraźnie dane poczty czeskiej, według której w 2019 roku do Czech przyjechało 28 mln paczek i przesyłek z Chin, a rok wcześniej było ich 25 mln.

Podobny klimat można było odczuć właściwie na wszystkich rynkach Europy Środkowej. Wszędzie jednak brakuje szczegółowych informacji o tym, jak wielu ludzi rozsmakowało się w zakupach z Chin, ile na nie wydają pieniędzy i jak bardzo się to zjawisko nasila.

Konkretnych danych nie da się wydobyć nawet z najmocniejszego i najpopularniejszego AliExpress. Firma zaczęła na kolejnych rynkach działać oficjalnie, ale i tak nie ujawnia statystyk, nie ma swojego rzecznika prasowego ani jasnej ścieżki komunikacji. Na przykład by skontaktować się z Garym Toppem, dyrektorem operacyjnym na Europę Środkowo-Wschodnią w AliExpress, trzeba najpierw złapać na LinkedIn odpowiedniego polskiego pracownika serwisu, który przekaże menedżerowi pytania.

A ten i tak udziela oszczędnych odpowiedzi. Topp uparcie odmawia podania dokładnych liczb, za to powtarza, że od 2017 roku, kiedy AliExpress wszedł do Polski, to ten właśnie rynek rozwija się najszybciej, nie tylko w regionie, ale w całej Europie. „Wzrost napędza kilka czynników: po pierwsze, silne trendy makroekonomiczne, głównie szybujące w ostatnich latach PKB na głowę, po drugie, silna konkurencja między platformami podsycana inwestycjami takich firm jak InPost, Blik i inni. Po trzecie wreszcie, pandemia, która pomogła rozbudzić zainteresowanie e-commerce wśród osób dotychczas stroniących od zakupów online” – wylicza Topp.

AliExpress skutecznie wbił się do świadomości klientów jako serwis dla poszukiwaczy okazji, w tym tańszej elektroniki. To właśnie tam, a potem pod kolejnymi coraz bardziej wyspecjalizowanymi adresami, jak GearBest, klienci szukali tańszych smartfonów, smartwatchów czy klimatyzatorów, jeszcze zanim kolejne marki z Chin oficjalnie zadebiutowały na europejskim rynku. „Początkowo ta rozpoznawalność była budowana klasyczną pocztą pantoflową, ale dziś widać już przemyślane działania marketingowe” – oceniał mecenas Witold Chomiczewski z Izby Gospodarki Elektronicznej na początku 2021 roku, gdy polski rząd z pewnym opóźnieniem szykował przepisy, które miałyby te tanie zakupy obłożyć między innymi cłem.

Bo boom na zakupy w chińskich serwisach w którymś momencie obudził w urzędnikach w całej Unii świadomość, że te towary są tak tanie w dużej mierze dlatego, że nie dotyczą ich europejskie podatki. Tylko jak je obłożyć i cłem, i VAT-em, skoro serwisy i ich sprzedawcy sprytnie wysyłali swoje towary jako... prezenty. Przez lata przesyłki zagraniczne były zwolnione z cła, jeśli ich wartość rzeczywista nie przekraczała 150 euro, jeżeli zaś były tańsze niż 22 euro, nie obejmował ich także importowy podatek VAT.

Skala zjawiska – i strat fiskusa – z roku na rok rosła. Z informacji Izby Gospodarki Elektronicznej wynika, że w samym 2020 roku oclono w Polsce zaledwie połowę przesyłek pochodzących z Chin, a VAT pobrano od niecałej jednej trzeciej. Według bardzo szacunkowych danych przy pełnej kontroli przesyłek

i pełnym nakładaniu podatków przez organy skarbowe do polskiego budżetu z tytułu VAT mogłoby wpłynąć nawet 2,1 mld zł rocznie. Cała Unia Europejska szacowała zaś, że ta luka z 5 mld euro w 2017 roku wzrosła w roku 2020 do 7 mld⁷.

Wciąż mowa o szacunkach, bo twardych danych brakuje. Z informacji za 2019 rok wynika, że wszystkich przesyłek pochodzących z Chin i doręczanych na terenie Polski było 14 mln (łącznie przesyłek zagranicznych to 47 mln). Wtedy też szefostwo Poczty Polskiej przyznawało, że liczba nadawców z Państwa Środka w ciągu roku zwiększyła się o jedną czwartą, a z podatku VAT i cła do polskiego budżetu wpłynęło troszkę ponad 6 mln zł. 6 mln wobec ponad 2 mld, na które szacują straty analitycy – dziura była przeogromna.

Gdy Najwyższa Izba Kontroli⁸ pod koniec 2020 roku opublikowała swój raport, okazało się między innymi, że w 7 paczkach na 30 sprawdzonych w jednym z oddziałów celnych „wartość towarów była niemal 54 razy wyższa niż zadeklarowana przez nadawców”. W efekcie kwota VAT do zapłacenia podskoczyła z 4,8 tys. do 261,4 tys. zł. Co więcej, jak podał NIK, w badanym okresie celnicy zweryfikowali zawartość tylko 4 proc. paczek i tylko 1 proc. przesyłek listowych. Co z resztą? Za dużo, za trudno, zbyt czasochłonne.

Później jednak Poczta Polska nabrała wody w usta i zaczęła odmawiać jakichkolwiek informacji o przesyłkach z Chin. I to nie tylko dziennikarzom, lecz także politykom. Posłowie bezskutecznie o to pytali w kolejnych interpelacjach. Na wszelkie pytania odpowiedź brzmiała: „tajemnica handlowa”.

Za to nie są tajemnicą ambicje Poczty Polskiej, by na rosnącym zainteresowaniu AliExpress i innymi e-handlowymi serwisami z Państwa Środka zacząć zarabiać. Już w 2017 roku spółka podpisała z China Post porozumienie dotyczące transportu przesyłek drogą lądową – z portu przeładunkowego w Małaszewiczach do 30 państw europejskich.

„To było spore wydarzenie, bo zakładano, że dzięki temu Poczta będzie w stanie koordynować wymianę handlową między Chinami a Unią Europejską, a nawet że powstanie hub logistyczny dla e-commerce na Nowym Jedwabnym

Szlaku, który ma biec przez Polskę” – opowiadał mi na początku 2021 roku Łukasz Sarek, analityk rynku chińskiego w Ośrodku Badań Azji. Jednym z istotnych źródeł przychodów dla Poczty Polskiej miały się stać dochody z opłat tranzytowych za przesyłki przychodzące z Chin i dostarczane do innych państw europejskich. Zanimby jednak pojawiły się zyski, na realizację inwestycji związanych z tym celem Poczta Polska miała przeznaczyć około 1,3 mld zł.

Ile wyszło z tych planów – bardzo trudno ocenić. Wiadomo jednak, że ostatecznie to Lietuvos paštas, czyli poczta litewska, stała się oficjalnym dystrybutorem chińskich przesyłek na Europę. Pierwszy transport kolejowy z 42 kontenerami i 260 tonami paczek trafił do Wilna w wielkanocny weekend 2020 roku, czyli w środku pierwszego covidowego lockdownu w Europie. Mimo pandemii kontenery kursowały jeden za drugim, pełnymi kolejowymi składami. „W ten sposób od kwietnia do sierpnia na Litwę dotarło ponad 1300 kontenerów pocztowych z Chin” – wyliczał Norbertas Žioba, szef marketingu i sprzedaży litewskiej poczty¹⁰.

W tamtym momencie kolej była jedynym sensownym rozwiązaniem logistycznym – transport lotniczy niemal padł. Kiedy jednak w 2021 roku Litwa niespodziewanie – i ku nieukrywanej wściekłości Pekinu – uznała tajwańskie przedstawicielstwo handlowe, jej pozycja się zachwiała. Chiny zaczęły blokować wszelkie biznesy z tym bałtyckim państwem, dodatkowo przywrócono dostawy drogą lotniczą. A na wschodzie Unii Europejskiej powstała tymczasem niezła infrastruktura magazynowa i przesyłki można było zacząć sprowadzać na hurtową skalę. Ale o tym też jeszcze opowiemy dokładniej.

W Unii zaś uświadomiono sobie, że państwom przeciekają przez palce ogromne sumy związane z nieopłaconym VAT-em i cłem. „Jak duże? Nikt, ale to nikt naprawdę nie był w stanie skontrolować tych przepływów. Nie tylko w Polsce, choć próbujemy to badać. I co widzimy? Mgłę. Dla przykładu: kiedy Poczta Polska mówi, że o 30 proc. wzrosła liczba paczek z Chin, to może to oznaczać wszystko, bo przecież właściwie nie znamy wartości wyjściowej... 100 tysięcy, milion, a może 10 milionów? Trudno w tej sytuacji oceniać skalę rynku i strat” – tłumaczy

warszawski prawnik, który prosi, żeby w tekście występował tylko jako „Robert”. Zastrzega sobie anonimowość, bo gdy jakiś czas temu zacytował go jeden z dzienników, miał kłopoty. „Dzień po ukazaniu się mojej wypowiedzi, w której krytykowałem nieskuteczność mechanizmów kontroli przesyłek z Chin, miałem zhakowany komputer. To może przypadek, ale chyba nie mam siły na kolejne takie przypadki” – dodaje.

Szczegółowe informacje o internetowym handlu z Chin zdobyć nawet trudniej niż zrozumieć niektóre opisy produktów na Aliexpress tłumaczone przez mało zaawansowaną maszynę (np. „burrito dziecko mąka tortilla” ma oznaczać kocyk we wzór naleśnika). Ale Komisji Europejskiej wyszedł z tego równania z wieloma niewiadomymi jeden wynik: czas przykręcić śrubę.

Dlatego w 2018 roku uchwalono specjalną dyrektywę e-commerce, która miała wejść w życie z początkiem 2021 roku i opodatkować zakupy robione przez Europejczyków poza Unią. Pandemia pokrzyżowała te plany. Faktycznie, w obliczu nagle zamykanych granic, kolejnych lockdownów, a nawet wstrzymania na jakiś czas zakupów z Chin VAT i cło wydawały się najmniejszym problemem. Ale Komisja Europejska nie wycofała się z opłat. Dała państwom jedynie dodatkowe pół roku na przygotowania do wdrożenia nowych zasad gry.

Ale to pół roku wystarczyło chińskim firmom, by dokonać odpowiednich manewrów. Miały przecież ku temu niezłe zasoby wypracowane przez firmę, która latami była nazwana „chińskim Amazonem”.

Ile problemów ma Jack Ma?

Kiedy Europa głowiła się, jak liczyć chińskie przesyłki i jak je przesiewać, by odróżnić faktyczne zakupy od „prezentów od przyjaciela”, największe imperium e-commerce w Chinach właśnie czekała o wiele poważniejsza przeprawa.

Jeszcze w końcu 2020 roku nowoczesne Chiny miały w oczach świata twarz Jacka Ma. Więcej niż tylko miliardera – wręcz synonimu sukcesu, uosabiającego

całe pokolenie chińskich self-made manów, którzy swoją pozycję zawdzięczają zmianom, jakie zaszły w Chinach za czasów Jiang Zemina, ale przede wszystkim otwarciu na globalną gospodarkę ery Hu Jintao. Firmy dzisiejszych pięćdziesięciokilkulatków, od Pony'ego Ma, prezesa znanego z gier komputerowych Tencenta, przez Robina Li, twórcy przeglądarki internetowej Baidu, po Lei Juna, twórcę Xiaomi, są już potęgami nie tylko w samych Chinach, ale i na świecie. Na tyle silnymi, że wprost porównuje się je do amerykańskich big techów z Doliny Krzemowej, a akronim GAFA (Google, Apple, Facebook, Amazon) doczekał się po drugiej stronie Pacyfiku swojej wersji – BAT, czyli Baidu, Alibaba i Tencent.

Najbardziej oszałamiającą karierę wśród chińskich technomiliarderów zrobił właśnie ojciec Alibaby Jack Ma. Cała jego historia brzmi jak z najlepszych kapitalistycznych podręczników sukcesu prosto z Doliny Krzemowej. Ten były nauczyciel angielskiego w 1995 roku wybrał się na wycieczkę do Stanów Zjednoczonych i po raz pierwszy zobaczył, czym jest internet. Tak go to zainspirowało, że od razu wrócił z pomysłem na internetowy biznes. Konkretnie – na stworzenie „e-targowiska informacji”. Na szczęście zanim się wraz z kilkunastoma kolegami zabrał do pracy, pomysł zdążył już trochę dojrzeć. Kiedy więc w 1999 roku zaczęli działać (najpierw w mieszkaniu Ma i jego żony w Hangzhou), skupili się bardziej na handlowej niż na informacyjnej stronie tego targowiska.

Tak powstał Taobao: serwis podobny do działającego już wtedy z globalnymi sukcesami eBaya. Taobao stał się fundamentem całej korporacji Alibaba i jego najbardziej znanego na świecie dziecka, czyli AliExpress. Już po czterech latach Alibaba ze swoim AliExpressem był na tyle poważnym przedsięwzięciem handlu internetowego, że Ma rozszerzył je o system dedykowanych płatności internetowych, czyli Alipay. Po trochę ponad dwóch dekadach firmę wyceniono na 700 mld dol. i nazywano – wcale nie na wyrost – chińskim Amazonem. Podobnie jak firma Jeffa Bezosa przedsięwzięcie Jacka Ma jest nie tylko wielkim internetowym marketem, który kontroluje niemal trzy czwarte sprzedaży

internetowej w Chinach i około 20 proc. całej sprzedaży detalicznej, ale też działa na rynku chmury obliczeniowej i oczywiście płatności internetowych. Podobieństw do Bezosa jest więcej: szef Amazona kupił prestiżowy dziennik „The Washington Post”, a firma Ma zainwestowała we wciąż najbardziej szanowany anglojęzyczny dziennik z Hongkongu „South China Morning Post”.

Jak to opisuje w swojej ostatniej książce *Tech titans of China*¹¹ [Chińskie techgiganty] Rebecca A. Fannin, dziennikarka „Forbesa” i CNBC, która od ponad 15 lat bada technologiczny boom w Chinach, to odizolowanie się Stanów Zjednoczonych od konkurencji dało na początku XXI wieku młodziutkiemu Alibabie i innym wykluwającym się właśnie w Chinach firmom komfortowe technologiczne warunki rozwoju. Alibaba – choć nie miał aż tak dobrej sytuacji jak Tencent czy Baidu, które nie musiały nawet stawać w szranki z Facebookiem czy Google’em, bo usługi tych korporacji zostały w Chinach całkowicie zablokowane – nie musiał się za bardzo przejmować konkurencją za strony eBay’a czy Amazona, bo ich zasięg też był w Państwie Środka mocno ograniczony. Mógł sobie swobodnie działać, rosnąć w cieplarnianych warunkach, trochę na marginesie uwagi zachodnich potentatów.

Do czasu. Dokładniej: do 2010 roku, gdy jak podkreśla Fannin, dosyć niespodziewanie Taobao pokonał na chińskim rynku eBay i „nagle reflektory zaczęły oświetlać Alibabę”¹².

Stało się jasne, że w niańczeniu firmy przez państwo nie chodziło tylko o swobodę działania w samych Chinach. Nie mniejsze znaczenie miało wsparcie rodzimego e-commerce w jego światowej ekspansji.

Jak to wyglądało, opisuje Łukasz Sarek z Ośrodka Badań Azji¹³: „W mieście Xi’an przedsiębiorstwa, które wysyłają przesyłki e-commerce koleją do Europy poprzez Poczta Chińską albo EMS, mogą uzyskać subsydia na 15 proc. kosztów przesyłki liczone według ceny standardowej (do łącznej kwoty 1 mln yuanów, czyli ok. 500 tys. zł na firmę). Władze Zhengzhou mogą udzielić wsparcia w wysokości do 80 mln yuanów (ok. 40 mln zł) przedsiębiorstwom z branży e-commerce i subsydiować (do 30 proc.) koszty ubezpieczenia od transakcji zagranicznych”.

W wielkim skrócie: z takimi dopłatami opłacalność wysyłek za granicę zaczęła drastycznie rosnąć, więc nie było konieczności kosztami dostawy z drugiego końca świata obarczać samych klientów. Czyli: może i chińskie big techy z pewnym opóźnieniem zaczęły światową ekspansję, ale za to miały na start całkiem niezłe paliwo. Szczególnie gdy dołożymy do tego brak ograniczeń narzucanych przez ochronę praw konsumenta i przepisy antymonopolowe. Takie regulacje nie istniały, bo przecież oficjalnie w Państwie Środka nie ma kapitalizmu ani kapitalistycznych mechanizmów.

Co nie znaczy, że coraz silniejsze chińskie firmy technologiczne nie rozumiały, jakie są granice strefy komfortu. Obrazowo tłumaczy to Fannin: „Ważną częścią imperium Alibaby jest fintechowy gigant AntFinancial, którego czarne logo w kształcie mrówki nawiązuje do pierwszego start-upu Jacka Ma – mrówki stojącej obok słonia. Słoniem zaś jest należący do chińskiego rządu China Telecom. To on zapłacił Ma 185 tys. dol. za joint venture, który tak naprawdę z miejsca zdeptał młodą firmę. Ma powiedział mi kiedyś: „Kiedy jesteś mały, musisz sprawniej ruszać głową”¹⁴.

Amerykańska dziennikarka przywoływała te słowa w 2019 roku. Rok później mogły być już co najwyżej gorzką anegdotą. Ma na pewno zna ukute w latach 80. powiedzenie, że chcąc działać w Chinach, trzeba „mieć czerwony kapelusz (*hong maozi*), a więc przychylność i kuratelę władz”¹⁵. Ale to, co się wydarzyło pod koniec 2020 roku, pokazało, że czerwony kapelusz Ma okazał się jednak za mały.

Publicznie „Daddy Ma”, jak go nazywają Chińczycy, budował wizerunek niepokornego biznesmena, który burzy mury chroniące przedsiębiorstwa państwowe. W 2015 roku, kiedy Alibaba zakładał fundusz dla młodych przedsiębiorców w Hongkongu, miał odwagę zapowiedzieć, że nie wykluczy z niego tych, którzy brali udział w słynnej parasolkowej rewolucji. W 2014 roku na ulice Hongkongu wyszły tłumy, broniąc autonomii miasta i domagając się wolnych wyborów na szefa lokalnego rządu, a to mocno się nie spodobało Pekinowi. Zresztą o tym, że tak będzie, protestujący doskonale wiedzieli. I dlatego zabrali ze sobą parasolki – by zasłaniać nimi twarze przed kamerami monitoringu miejskiego i nie

ułatwiać roboty bezpiecze. W takiej atmosferze zapowiedź Ma była faktycznie odważna. Zresztą nie były to jego jedyne mocne słowa. Tuż po giełdowym debiucie Alibaby w wywiadzie dla CBS News tak streścił swoją metodę radzenia sobie z władzą: „Nigdy nie robić interesów z rządem. Kochaj ich, ale nie poślubiaj”¹⁶.

W 2016 roku Duncan Clark, ekspert w dziedzinie technologii przez ponad 20 lat mieszkający w Chinach, opublikował chyba najbardziej wyczerpującą biografię Jacka Ma. Píše w niej, że gdyby Jack „naprawdę chciał zawrzeć z władzami związek małżeński, ze względu na istnienie wielkiej liczby instytucji rządzących krajem zostałby poligamistą”¹⁷. Faktycznie Ma ujawnił, że tylko w 2014 roku Alibaba podjął 44 tysiące różnych delegacji złożonych z przedstawicieli różnych władz.

Oczywiście nawet ten chiński kapitalista i krytyk władzy w pewnym momencie okazał się członkiem Partii Komunistycznej – z własnym *hong maozi*, ale niestety raczej dziurawym. Pod koniec 2020 roku Ma wygłosił w Szanghaju przemówienie, w którym zaapelował: „Dzisiejszy system finansowy w Chinach jest dziedzictwem epoki industrialnej. Musimy stworzyć nowy porządek dla następnego pokolenia i młodych ludzi”.

Potem dość długo na przemian i zawile to chwalił, to ganił sektor bankowy w Chinach. W wielkim skrócie jednak przekaz szefa Alibaby był jednoznaczny: publicznie oskarżył konserwatywne chińskie banki, ściśle powiązane i kontrolowane przez partię, o to, że zachowują się jak „lombardy” udzielające pożyczek tylko tym, których stać na zabezpieczenie. Przemówienie Ma podobno rozwścieczyło przewodniczącego Xi Jinpinga.

Efekty były niemalże natychmiastowe. Rządowe instytucje tak zmieniły zasady kontroli, że AntGroup, czyli część finansowa Alibaby, musiała zrezygnować z długo oczekiwanego debiutu giełdowego, który miał się odbyć na dniach. Co więcej, Jack Ma zniknął. Dosłownie. Na wiele miesięcy jeden z najbogatszych ludzi nie tylko Chin, ale i świata przestał się pokazywać publicznie. Trafił po prostu do aresztu domowego.

Mrówka nie przechytrzyła słonia. Co więcej, dla rządu w Pekinie ta sytuacja stała się pretekstem do wprowadzenia bardzo zdecydowanych regulacji i kolejnych ograniczeń wymierzonych w niezależność sektora technologicznego i oczywiście także e-handlu.

Chińska administracja ds. regulacji rynku rozpoczęła dochodzenie sprawdzające, czy Alibaba nie działał jak monopolista. Było sporo świadczących o tym poszlak. Takich jak choćby pozew złożony w 2020 roku przez Galanz Group, największego na świecie producenta mikrofalówek, który oskarżył Alibabę o to, że w swoim sklepie internetowym Tmall przekierowywał wyszukiwania dotyczące produktów Galanz. Przekierowywał oczywiście do konkurencji, wskazanej przez siebie. Alibaba zastosował taki chwyt, gdy Galanz Group spróbował sprzedawać swoje produkty za pośrednictwem konkurencyjnej witryny Pinduoduo.

Jakby tego było mało, chiński regulator rynku zaproponował poprawki do krajowego prawa o handlu elektronicznym, grożąc, że firmy, które nie podejmą niezbędnych działań przeciwko sprzedawcom handlującym podróbkami, mogą stracić licencje.

Jedno wszystkie te działania chińskiego regulacyjnego słonia łączy: kompletny brak zainteresowania uregulowaniem zagranicznych biznesów Alibaby i lokalnych firm e-commerce ani ochroną konsumentów spoza Chin. Nic więc dziwnego, że właśnie na zagranicy zaczął się coraz mocniej koncentrować AliExpress. Szczególnie że jego śladem ciągnęły na Zachód kolejne chińskie e-sklepy.

Procedura 42

Niebieskie, nie za duże, ale wyraźnie wybijające się na tle szarych bloków automaty pojawiły się właściwie z dnia na dzień. Nie było żadnej informacji prasowej, ani ogłoszenia w mediach społecznościowych, ani nawet wcześniejszej adnotacji dla klientów AliExpress, że można skorzystać z nowej metody odbioru

przesyłek. Po prostu nowe „urządzenia na paczki” zaczęły wyrastać wiosną 2021 roku jedne po drugich na ulicach Warszawy.

W Polsce od lat znane są paczkomaty lokalnego potentata InPost. Ale te, rozstawiane przez polską, właściwie nieznaną wcześniej firmę Świat Przesyłek, były inne. Urządzenia należącej do Alibaby marki Cainiao wbiły się niemalże w monopol InPostu. A ten nie przepada za konkurencją i już dawno temu w Urzędzie Patentowym zastrzegł nazwę „paczkomaty”, dlatego o urządzeniach Alibaby nie możemy tak napisać. InPost pilnie też walczy nie tylko o koszulkę lidera rynku, ale przede wszystkim o najlepsze lokalizacje. Zresztą nie po to w 2019 roku podpisał z AliExpress umowę o współpracy strategicznej i dostarczaniu przesyłek, aby teraz chińska platforma budowała własną sieć maszyn i dostaw.

A właśnie taką strategię zaczął realizować AliExpress w odpowiedzi na przygotowania obłożenia dostaw VAT-em i cłem. Stąd właśnie maszyny paczkomatowe – w ciągu roku pojawiła się ich w samej stolicy Polski ponad setka, w magazynach na ustawienie czekało 500 nowych, a tysiąc już zamówiono w Chinach. Na początku 2022 roku kolejne uruchomiono w Łodzi, Wrocławiu, Katowicach, Poznaniu, Piotrkowie Trybunalskim i Krośnie. Plan: 3 tys. urządzeń do końca roku.

„Skoro już same ceny nie będą aż tak konkurencyjne, to stało się oczywiste, że trzeba będzie zaważać o klientów sprawniejszą dostawą. Do niedawna czekało się na zamówione z Chin towary nawet po kilka tygodni, podczas gdy standard na rynku to góra kilka dni. Co więcej, i my, i Amazon zaczęliśmy wprowadzać dostawy w 48 godzin” – mówi jeden z menedżerów Allegro zapytany o konkurencję z AliExpress. „Nam ich obecność nawet pasuje. W takim sensie, że Chińczycy nie są do końca konkurencją. To, że klienci dzięki nim już się zapoznali z chińskimi produktami, pomogło, bo teraz ich producenci zaczynają i u nas bezpośrednio sprzedawać, a klient czuje się jednak bezpieczniej, kupując przez Allegro, gdzie jest konkretna, znana ścieżka zakupu i ewentualnej reklamacji. Ale

rzeczywiście obserwujemy teraz, że AliExpress i inne mniej u nas jeszcze znane platformy zaczęły mocniej walczyć na rynku” – podkreśla.

Co to znaczy „mocniej”? Profesjonalną siecią logistyczną. Firma Jacka Ma miała to zresztą w planach od kilku lat. Już w 2018 roku AliExpress zamierzał utworzyć specjalne centrum logistyczne w Polsce, w ramach wejścia chińskiego spedytora WWL jako udziałowca do polskiej ATC Cargo12 – ale ta zapowiedź też nie została zrealizowana. Zamiast tego Alibaba ogłosił utworzenie centrum logistycznego i ulokowanie jednej z europejskich siedzib w Liège w Belgii. I to tam kierowano bezpośrednio pociągi z towarami z Chin.

Do pomysłu z hubem logistycznym w Polsce chiński gigant wrócił jednak w 2021 roku. Najpierw firma, ustami swojego dyrektora na Europę Środkowo-Wschodnią, Gary’ego Toppa, ogłosiła, że zaczyna wprowadzać 15-dniowy czas dostawy z Chin. Potem, że niektóre towary będą dostarczane za złotówkę – i to już w kilka dni. Wreszcie na 11 listopada (podobno bardziej z okazji Dnia Singla niż naszego Święta Niepodległości) we współpracy z Cainiao, czyli wspomnianym ramieniem logistycznym platformy, pod Łodzią otwarto specjalny hub logistyczny.

Alibaba potrzebuje magazynu pod Łodzią w takim samym celu, w jakim JD.com ma swój tajemniczy magazyn w Słubicach: jako centrum do realizacji zamówień dla sprzedawców AliExpress wysyłających produkty bezpośrednio z Polski. Wystarczy, że kontenerami przerzucą hurtem swoje towary raz na kilka miesięcy, a dostarczenie zamówień detalicznych z magazynów zajmie tylko chwilę. A konkretnie trzy dni, bo tak brzmiały ostatnie zapowiedzi Toppa. Przy czym mieszkańcy największych miast, takich jak Warszawa, Łódź, Poznań, Kraków i Katowice, mają wręcz otrzymać przesyłkę już następnego dnia po złożeniu zamówienia. Czyli podobnie jak w Amazon Prime. A nie jest tajemnicą, że hub przeznaczony został także do obsługi klientów z Czech, Austrii, ze Słowacji czy z Niemiec.

„Ewidentnie firmy z Chin stawiają na nową logistykę. Skończyła się łatwa przewaga cenowa, postanowiły więc uciec, wybiegając w przód” – prawnik Robert, pracujący zresztą też dla Allegro, opowiada mi, jak bardzo te inwestycje są

widoczne od strony branży e-commerce. „Mówię o częściowym opodatkowaniu, bo prawdę mówiąc, nie wiemy, czy skarbowce na pewno udaje się pobierać cały VAT od przesyłek dostarczanych bezpośrednio z Chin. A dodatkowo coraz więcej z nich już dziś sprzedaje się przecież z magazynów umieszczonych w Europie. I pojawiają się kolejne pomysły na obejście unijnych opłat. Na czele ze słynną procedurą 42. Na pewno już o niej słyszałaś, prawda?”

Zaprzeczam, a wtedy Robert podsyła mi fragment analizy przygotowanej przez Polskie Towarzystwo Gospodarcze. Można w niej przeczytać: „Alternatywą dla dotychczas stosowanych mechanizmów uchylania się od opodatkowania, które w związku z wprowadzeniem rozwiązań przewidzianych w pakiecie e-commerce mogą napotkać pewne ograniczenia, jest rozwiązanie wykorzystujące do dokonania oszustwa procedurę celną 42.

Towary wprowadzane na obszar celny Unii Europejskiej w ramach tej procedury nie podlegają opodatkowaniu podatkiem VAT w państwie, na terytorium którego dokonany został import towaru. Artykuł 143 Dyrektywy VAT wprowadza zwolnienie w imporcie towarów z państwa trzeciego do państwa członkowskiego, jeżeli po imporcie następuje dostawa wewnątrzspółnotowa, dokonana przez importera i zwolniona z VAT zgodnie z art. 138 tej Dyrektywy. Oznacza to, że import towarów, które są następnie przedmiotem wewnątrzspółnotowej dostawy towarów, jest zwolniony z VAT”¹⁸.

Brzmi strasznie skomplikowanie, a to tylko drobny fragment kilkustronicowej analizy prawnej. W wielkim skrócie: procedura 42 polega na hurtowym, kontenerowym dostarczaniu towarów do jednego z europejskich portów. Przed brexitem popularnym kierunkiem było Dover, teraz najczęściej są to Hamburg i Rotterdam. Tam następuje odprawa celna (z której 25 proc. trafia do budżetu krajowego, a reszta do unijnego), ale podatku VAT już się tam nie nakłada, bo przecież to tylko kraj transferowy. Towary następnie przewozi się do krajów docelowych w Unii. Tyle że tam nie odprowadza się od nich podatku VAT, bo przejmujący je „słup” po prostu znika, a „towar sprzedawany jest w szarej strefie bez należnego podatku VAT” – podaje Polskie Towarzystwo Gospodarcze.

„Wiemy, że tak się dzieje. Wiemy, że dotyczy to pewnej części towarów z Chin. Wiemy, że trafiają do magazynów albo dużych hubów sprzedażowych, jak Wólka Kosowska pod Warszawą. Nie wiemy tylko, jaka jest skala tego procederu i jak bardzo może się jeszcze nasilić. Kluczowe jest to, że tacy «znikający podatnicy» ewidentnie są związani z handlem z Azji, głównie z Chin” – słyszę od prawnika, który dobrze zna tę branżę.

Mała podwarszawska Wólka Kosowska, o której wspomina prawnik, to prawdziwy ewenement. Daleko jej do Chinatown znanych z filmów, a jednak jest największym skupiskiem i azjatyckiej mniejszości, i azjatyckich biznesów, z chińskimi i wietnamskimi na czele. W tej mazowieckiej wiosce kluczowe jest korzystne położenie na przecięciu szlaków transportowych. To właśnie geografia przyciągnęła w latach 90. mniejszości, które rozkręcały tu hub handlowy. W efekcie Wólka już od dekad jest symbolem biznesowej – ale także przestępczej – aktywności Azjatów w regionie. Bo obok legalnego handlowego biznesu w Wólce rozwinął się też ten związany z działalnością mafii. Najpierw wietnamskiej, a później chińskiej. Na tyle skutecznej, że gdy roczne obroty w Wólce sięgały kilkunastu miliardów złotych, to wpływy z podatków dochodziły do zaledwie 50–60 mln zł. I ta sytuacja trwa już od lat. Wydawało się, że szczytowy moment przypadł na lata 2009 i 2010, gdy jednym z przedstawicieli chińskiej mafii nad Wisłą był Hang W. Ale nawet kiedy zginął, zaszlachtowany przez chińskiego kucharza, wcale nie oznaczało to końca mafijnych porachunków. Wręcz przeciwnie, do dziś za każdym razem gdy w Wólce płoną hale, wiadomo, kto za tym stoi.

Hang¹⁹ oficjalnie był naukowcem zajmującym się nowymi technologiami informatycznymi. W Polsce założył firmę, która handlowała sprzętem elektronicznym i tekstyliami. Wynajął powierzchnię biurową w kilku centrach handlowych, lecz najczęściej przebywał właśnie w Wólce Kosowskiej.

Chińczycy i Wietnamczycy, choć regularnie ze sobą konkurujący, stworzyli w Wólce niemal eksterytorialną enklawę, która aparatowi skarbowemu się nie kłania. Kilka lat temu skarbowka nabyła specjalne drony do monitorowania ruchu

wokół hal, jednak nie były w stanie wlecieć „w przestrzeń powietrzną” targowiska, ponieważ Chińczycy zastosowali technologię skutecznie zakłócającą sygnał. Służby skarbowe stosują więc tradycyjne naloty, kontrolują stoiska i samochody dostawcze. Niekiedy, szczególnie od czasu powstania w 2017 roku Krajowej Administracji Skarbowej (KAS), odnoszą nawet pewne sukcesy, rozpracowując kolejne, nawet wielomilionowe transakcje.

Ale kiedy spaceruję alejkami w halach, między stoiskami z butami, bluzkami i bielizną, moja przewodniczka Lu, nazywana tu Anią, bo sama w tym miejscu kiedyś pracowała, nie pozostawia mi złudzeń: „Nie myśl, że ktokolwiek tutaj z tobą porozmawia o czym innym niż cena staników. Może jakbyś kilka lat przepracowała na którymś ze stanowisk, ale i to niekoniecznie, bo jako Polce trudno byłoby ci się zorientować w strukturze. Tu się obraca zbyt dużymi pieniędzmi, żeby ktokolwiek plotkował z obcymi”.

O procedurze 42 i walce z nią niekoniecznie chcą rozmawiać także urzędnicy. Zapytałam o nią KAS. Wiele tygodni czekania, kilka razy dosyłane ponowne prośby o wyjaśnienie i... cisza. Żadnej odpowiedzi, również na pytania o efekty wdrożenia dyrektywy e-commerce i kwoty z VAT i z cła, jakie udało się odprowadzić do polskiego budżetu od połowy 2021 roku.

„Procedura 42 jest najtrudniejsza do wykrycia i zwalczania. Ale to tylko czubek góry lodowej, jaką stanowią niejasne działania chińskich gigantów handlu” – opowiada mecenas Robert i tłumaczy, że owszem, biznes e-commerce w naszym regionie raczej obawia się wpływów Amazona, ale to AliExpress i inni z Chin są bardziej elastyczni i pomysłowi, także w działaniach typowych raczej dla Doliny Krzemowej. „Słynne bigtechowe *move fast and break things*, rozumiane jako podejmowanie kolejnych prób ekspansji, choćby i po trupach. Jak wyjdzie – to super, a jak nie, to się zmienia plan i idzie dalej. Taką filozofię obserwujemy dziś na rynku e-commerce i wdrażają ją właśnie chińskie platformy”.

Flanki wschodnia i południowa

Na maszyny Cainiao do kolejnych urzędów skargi pisał jeden z warszawskich radnych. Powód? „Sposób ich montażu bez jakichkolwiek polskich oznaczeń budzi obawy, czy te maszyny są bezpieczne i spełniają wszystkie wymogi”. Czy rzeczywiście chodzi o obawy o bezpieczeństwo użytkowników, czy raczej o to, że te maszyny staną się dla kogoś konkurencją?

Polski rynek e-commerce od połowy 2021 roku huczy od plotek o singapurskim marketplace Shopee (jego twórcą jest Chińczyk Forrest Li), który wzięwszy szturmem Azję Południową i część Ameryki Łacińskiej, pojawił się nagle w Europie Środkowej. I to dokładnie z taką strategią, z której już dał się poznać. To firma, która na rynku internetowego handlu pojawiła się dosyć późno, bo dopiero w 2015 roku, a swoją przewagę zaczęła budować na zasypywaniu klientów voucherami, kuponami i zniżkami. Dodatkowo – jak słyszę od kolejnych ludzi związanych z e-handlem – w Polsce zaczęła też wielkie łowy, wyciągając ekspertów od konkurencji i kusząc ich sporymi zarobkami. Efekt okazał się oszałamiający: w ciągu pierwszego półrocza bytności w Polsce VAT, który odprowadziła, wzrósł z nieco ponad 6 tys. do blisko 600 tys. Euro. Podobnie – czyli o jakieś 100 razy – musiały też wzrosnąć jej przychody²⁰.

Do ofensywy przystąpił też AliExpress. Jednym z planów był pomysł nawiązania współpracy z Shoperem. Ta polska firma oferująca sklepom gotowe rozwiązania do prowadzenia handlu internetowego ma już w swojej sieci kilkanaście tysięcy sprzedawców. Firma Jacka Ma chciała, by stali się jej partnerami, rodzajem „lokalnych przedstawicieli”. Dzięki temu AliExpress zdobyłby sporą przewagę w regionie.

Alibaba planuje otwarcie się na lokalnych sprzedawców, których ma oczywiście przekonywać wędką w postaci zwrotnej oferty dostępu do ogromnego, liczącego ponad 800 mln internautów rynku chińskiego. Przebąkiwano już o takiej opcji dla polskich firm, ale jako pierwsi w Europie zaproszenie dostali sprzedawcy z Włoch i Hiszpanii. Tam już w 2018 roku AliExpress zaczął kusić do zakładania własnych sklepów na ich platformie. Główny argument: o wiele lepsze warunki niż te oferowane przez Amazon. Amerykański gigant z zasady liczy sobie 49 euro

stałej opłaty miesięcznie plus od 7 do 15 proc. prowizji. Chiński serwis proponuje europejskim sprzedawcom stawkę w wysokości 5–8 proc. obrotu. A o tym, jak ważny jest dla Alibaby rynek hiszpański, świadczy najlepiej to, że gdy jesienią 2021 roku Jack Ma opuścił wreszcie swój dom, gdzie miesiącami „odpoczywał”, to w pierwszą zagraniczną podróż biznesową udał się właśnie do Hiszpanii.

Eksperti od handlu internetowego obserwujący Europę jednoznacznie wskazują na dwa kierunki ekspansji większości dużych chińskich graczy e-handlu. Południowy, przez Hiszpanię i Włochy, gdzie Chiny mają już dosyć duże doświadczenie w wymianie handlowej. I wschodni, przez Polskę i Rosję (choć po wybuchu wojny w Ukrainie już raczej tylko przez Polskę). Tak do Europy weszło choćby wspomniane Shopee. Najpierw do Polski, po kilku tygodniach do Hiszpanii, a potem jeszcze do Francji. Przy czym Polska, jak w przypadku JD.com i jego magazynów, bywa nie celem, a raczej punktem transferowym. W tym samym czasie gdy firma z Pekinu szukała lokalizacji na magazyny w Polsce i w Niemczech, szykowała się też do uruchomienia zupełnie nowego kanału sprzedaży: sieci sklepów spożywczych pod szyldem Ochama w Holandii.

JD.com ma już swoją sieć supermarketów 7Fresh. Plany są bardzo ambitne: sieć w ciągu kilku lat ma skupić blisko 500 sklepów naszpikowanych nowoczesnymi technologiami, od inteligentnych wózków zakupowych podążających za klientem po systemy rozpoznawania twarzy służące do automatycznych płatności. Każdy z nich łączy w sobie funkcje sklepu stacjonarnego z punktem odbioru e-zamówień oraz lokalu gastronomicznego. Tyle że na razie działają tylko w Chinach. Wejście do Holandii poprzez sieć zaopatrzenia w Europie Środkowej pozwoliłoby sprawdzić, czy na takie połączenie tradycyjnej sprzedaży, e-handlu i technologii gotowy jest bogaty rynek zachodnioeuropejski.

Sporą drogę przeszły chińskie e-zakupy.

* * *

„Shopi, pi, pi, pi”. Reklama Shopee, która zaczęła bombardować Polaków wiosną 2022 roku, na pierwszy rzut oka, czy raczej ucha, może się wydawać tylko kolejnym kontrowersyjnym spotem reklamowym. Tyle że jaka reklama, taki też model biznesowy: agresywny i niespodziewany. Efekt? W ciągu pół roku od wejścia do Polski obroty na tutejszym rynku wzrosły stukrotnie. Owszem, samo Shopee jest singapurską firmą – choć przez właściciela skoligaconą z Chinami – ale już jej sposób wbicia się na rynek e-handlu jest charakterystyczny dla e-commerce z Państwa Środka. Szalone okazje, zaskakujące produkty i... ogromna niejasność, jak to wszystko może tak sprawnie działać, skąd konkretnie pochodzą towary, kto je sprzedaje, a kto sprowadza. Podczas gdy obawialiśmy się negatywnego wpływu Amazona na lokalny e-handel, to właśnie chińskie platformy dokonały w nim wielkiego wyłomu.

ROZDZIAŁ 7

BĘDĘ JAK IPHONE, TYLKO NIE PYTAJ MNIE O TYBET, CZYLI JAK XIAOMI PODBIJA SERCA MILIONÓW

Aby bez zmęczenia przebyć tysiące kilometrów, przemierzaj niezajęte tereny. Aby osiągnąć cel w trakcie ataku, uderzaj w pozycje pozbawione obrony. Aby mieć pewność, że twoja obrona bez trudu się utrzyma, zajmuj takie miejsca, których wróg nie oczekuje¹.

Na celownik trafił model Mi 10T Jeszcze w połowie 2020 roku recenzenci pisali o nim: „najpłynniejszy flagowiec”, „genialnie wydane pieniądze”, „szybki jak błyskawica, świetny ekran, dobra bateria i nie rujnuje kieszeni”, „ten smartfon będzie królem promocji”. I rzeczywiście, nowy model firmy Xiaomi rozchodził się jak ciepłe bułeczki. A samemu producentowi dał na kolejnych rynkach pozycję numer jeden i pozwolił dosyć niespodziewanie pokonać koreańskiego Samsunga.

W połowie 2021 roku analitycy zachwycali się sukcesem wciąż przecież młodziutkiej chińskiej firmy. Boris Metodiev, zastępca dyrektora w badawczej firmie Strategy Analytics, w komunikacie podsumowującym drugi kwartał 2021 roku pisał tak: „Najważniejszym wydarzeniem tego kwartału jest po raz pierwszy pojawienie się Xiaomi jako producenta numer jeden. Xiaomi wysłało do Europy prawie 13 mln sztuk smartfonów, aby zastąpić wieloletniego lidera Samsunga. Xiaomi odniosło wielki sukces między innymi w Rosji, Ukrainie, Hiszpanii i we Włoszech”².

Gdy firma świętowała podbój Europy – możliwy tak naprawdę dzięki jej wschodniej flance, bo to na tym liczącym przeszło 100 mln klientów rynku chiński producent zdobył najsilniejszą pozycję – w Wilnie w Narodowym Centrum Cyberbezpieczeństwa po cichu trwało już śledztwo. Kiedy wiosną 2021 roku Xiaomi pokazywało swój kolejny premierowy model telefonu 11T Pro, który miał ugruntować pozycję firmy, wybuchła bomba.

Litewskie Ministerstwo Obrony Narodowej opublikowało komunikat: „Przeprowadzono ocenę bezpieczeństwa cybernetycznego smartfonów 5G produkowanych przez chińskich producentów i dostarczanych na Litwę: Huawei P40 5G, Xiaomi Mi 10T 5G, OnePlus 8T 5G. Dochodzenie wykazało cztery istotne zagrożenia cyberbezpieczeństwa: dwa dotyczą wbudowanych aplikacji, jedno – bezpieczeństwa danych osobowych, a jeszcze jedno – możliwej kolizji z wymogiem wolności słowa. Trzy zagrożenia bezpieczeństwa cybernetycznego zostały wykryte w telefonie komórkowym Xiaomi, jedno w Huawei, a w OnePlus nie zidentyfikowano żadnych luk w cyberbezpieczeństwie”³.

Zarzuty wobec Huawei były dosyć łagodne, bo wskazano jedynie, że AppGallery, oficjalny sklep z aplikacjami zainstalowany przez producenta, przekierowuje czasem do sklepów internetowych firm trzecich, a te nie zawsze mają w zasobach bezpieczne aplikacje. Za to dochodzenie w stosunku do Xiaomi przyniosło takie rewelacje, że litewski rząd oficjalnie wezwał: „Radzimy nie kupować chińskich telefonów i, na tyle, na ile jest to możliwe, jak najszybciej pozbyć się tych już nabytych”.

Nagłówki mediów z całego świata interpretowały to mniej więcej tak: „Litwa do swoich obywateli: wyrzućcie chińskie smartfony”⁴.

„Nie jesteśmy aż tak bardzo uzależnieni od handlu z Chinami, od logistyki związanej z transportem z Chin, łańcuchów dostaw, więc dla Litwy bardzo praktyczną decyzją zarówno w odniesieniu do sieci 5G, jak i sprzętu telekomunikacyjnego jest postawienie na pierwszym miejscu bezpieczeństwa narodowego” – mówi wiceminister obrony narodowej Litwy Margiris Abukevičius,

z którym rozmawiam kilka tygodni po ujawnieniu raportu dotyczącego sprzętu Xiaomi.

Abukevičius wiceministrem został ledwie rok wcześniej, po zaprzysiężeniu rządu Ingridy Šimonytė. Z wykształcenia politolog od niemal dwóch dekad pracował jako urzędnik specjalizujący się w kwestiach cyberbezpieczeństwa zarówno dla rządu Litwy, jak i w przedstawicielstwie tego państwa w Unii Europejskiej. I nie tylko na samej Litwie, ale wręcz w skali całej Europy zaczął wyrastać na jednego z najbardziej wyrazistych „antychińskich jastrzębi”. Gdy go pytam, czy nie obawiał się, że tak ostro sformułowane i do tego szeroko ujawnione wnioski nie popsują i tak trudnych kontaktów jego kraju z Chinami, odpowiada krótko: „Mamy swoje priorytety. Pierwszym jest bezpieczeństwo”.

Polityk tłumaczy, że padło na chińskie firmy, bo oskarżenia wobec nich są wysuwane regularnie i litewskie służby chciały po prostu sprawdzić, czy jest w nich ziarno prawdy. Do eksperymentów wybrano zaś po prostu najnowsze, najpopularniejsze modele telefonów.

„Oczywiście mieliśmy świadomość, że ten raport odbije się na naszych kontaktach z Chinami. Jednak kluczowe jest zapewnienie bezpieczeństwa naszym obywatelom i instytucjom. A jak można na nie liczyć, gdy w telefonach są zaszyte opcje cenzurowania treści, które w ocenie Chin są politycznie niebezpieczne?” – mówi litewski polityk.

Zupełnie inne zdanie na ten temat mogą mieć litewscy klienci. A także Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Rumuni, Czesi, Chorwaci i Słowacy. We wszystkich tych państwach Xiaomi właśnie zostało największym dostawcą nie tylko samych smartfonów, ale w ogóle urządzeń mobilnych, od opasek mierzących puls po roboty sprzątające mieszkania.

Firma, której nazwa po chińsku znaczy tyle co „proso”, ziarnko po ziarnku podbiła serca i kieszenie konsumentów we wschodniej Europie i niespodziewanie wyrosła na prawdziwą potęgę.

iPhone'y Europy Wschodniej

„Uwaga! Sklep Xiaomi decyzją władz Galerii Mokotów został zamknięty do odwołania. Ze względów bezpieczeństwa prosimy się rozejść i nie blokować przejścia”. Gdy w grudniowy sobotni poranek w 2019 roku w warszawskiej Galerii Mokotów planowano otwarcie nowego salonu MiStore, spodziewano się zainteresowania klientów. W końcu miały ich przyciągnąć niezłe promocje, w tym smartfon Mi Note 10 w cenie 499 zł zamiast 2499 zł. Ale to, co się wydarzyło w tym jednym z największych centrów handlowych Warszawy, położonym tuż obok dzielnicy zwanej ironicznie Mordorem, bo pełnej korporacji i biur firm z całego świata, zaskoczyło wszystkich.

Ponadtyśięczny tłum przypuścił regularny szturm na sklep. Trzeba było wezwać policję, zamknąć MiStore i odwołać przecenę. Zakupy udało się zrobić tylko kilkudziesięciu osobom. Rozeźleni klienci, liczący na ogromne, sięgające 94 proc. obniżki na smartfony, hulajnogi i oczyszczacze powietrza, zaczęli wyzywać pracowników ogłaszających nagły koniec promocji.

Promocja w Warszawie wyglądała na wielką wpadkę Xiaomi. Nagrania z dantejskich scen przed sklepem i komentarze klientów przez kilka dni obiegały internet – i w rzeczywistości zrobiło to chińskiemu producentowi niezłą reklamę. Kto jeszcze o Xiaomi nie słyszał, właśnie się dowiedział, że klienci wręcz walczą o jego sprzęty. Kto zaś już słyszał, dowiedział się, że promocja zaraz zacznie się też w oficjalnym sklepie internetowym firmy. Ten zresztą też pod naporem chętnych momentalnie padł.

„Bitwa o Mordor” była dopiero wstępem. Xiaomi błyskawicznie ze względnie egzotycznej marki stało się smartfonową potęgą. Gdy Huawei został wpisany na czarną listę przez administrację Stanów Zjednoczonych i tym samym utracił dostęp do Androida i aplikacji ze sklepu Google, i w efekcie wypadł z czołówki największych producentów smartfonów, jego miejsce szybko zagospodarowała młodsza chińska spółka.

Dane kolejnych firm badawczych⁵ są jednoznaczne: firma nie tylko wskoczyła na drugie po Samsungu miejsce na świecie pod względem liczby sprzedawanych smartfonów. Rok do roku jej globalna sprzedaż wzrosła aż o 83 proc. Owszem, w trzecim kwartale 2021 roku spadła na trzecie miejsce, ale stał za tym głównie problem z półprzewodnikami i kryzys łańcuchów dostaw, który spowodował, że Xiaomi i Samsung musiały ograniczyć produkcję. Za to Apple, mając zapasy, mogło odzyskać część rynków. Ale gdy spojrzymy na wyniki regionalne, które podaje choćby niemiecka firma analityczna Statista, to wyraźnie widać, jak ogromnego postępu dokonało Xiaomi. W całej Europie jeszcze na początku 2019 roku odpowiadało za sprzedaż 4 proc. smartfonów. Dwa lata później było ich aż 24 proc., czyli sześć razy więcej.

Jeszcze bardziej spektakularne wyniki chiński producent zanotował w Europie Środkowo-Wschodniej. Firma badawcza Counterpoint Research wyliczyła, że w Europie popularność Xiaomi to zasługa właśnie państw Europy Środkowej i krajów byłego ZSRR. W 2018 roku w Polsce Xiaomi miało niecałe 6 proc. udziałów w rynku smartfonów. Po roku już 16 proc., a jesienią 2021 roku okazało się, że chińska firma wyrównała pozycję z Samsungiem i przejęła 28 proc. polskiego rynku. W trzecim kwartale 2021 roku chiński producent dostarczył na rynki Europy Środkowo-Wschodniej najwięcej urządzeń mobilnych ze wszystkich działających firm, a już w kategorii smartfonów oferujących połączenie z 5G okazał się prawdziwym dominatorem. Jak wynika z kolejnych danych – tym razem zebranych przez Strategy Analytics – w lipcu, sierpniu i wrześniu 2021 roku aż 41,8 proc. smartfonów miało znaczek Xiaomi.

Można by wymieniać kolejne dane z poszczególnych rynków naszego regionu. Ale po co, skoro wszystkie łączy to samo: wyraźna dominacja Xiaomi, także w tempie wzrostów. W każdym segmencie: opasek sportowych, powerbanków, głośników, klimatyzatorów, odkurzaczy, hulajnóg.

To był długi i przez pewien czas cichy marsz. „Zanim w 2016 roku Xiaomi oficjalnie zaczęło sprzedaż w Polsce, to tylko u jednego z operatorów był już milion klientów z telefonami tej firmy i jeszcze kilku innych, mniej znanych

chińskich tzw. lowcostów, czyli marek oferujących tańszy sprzęt. Ludzie sami je sobie kupowali w chińskich serwisach w rodzaju AliExpress. Powód: były śmiesznie tanie. Więc jak kogoś nie było stać na smartfona za 2 czy 3 tys. zł, to kupował sobie z dziesięć razy tańszego «chińczyka» – słyszę od menedżera jednego z polskich operatorów komórkowych. „Z jednej strony to był dowód na skalę zapotrzebowania na takie produkty, z drugiej robiło to jednak sporo zamieszania na rynku, bo chińskie słuchawki nie były skonfigurowane pod sieć w Europie i ciągle były z nimi jakieś problemy, a klienci oczywiście mieli pretensje do operatorów” – wspomina.

Spotykamy się obok największego MiStore w całej Europie Środkowej, w Warszawie. To nie ten sam, pod którym przy otwarciu wywiązała się bójka. Ten jest jeszcze nowszy, mieści się w północnej części miasta, w centrum Arkadia. Chińska firma otworzyła go w grudniu 2020 roku, czyli w środku kolejnego pandemicznego lockdownu, gdy centra handlowe były co chwilę zamykane i sprzedaż stacjonarna ledwo dyszała. „Nie wiem, po co im ten sklep. Zobacz, tuż obok mamy też oficjalne sklepy Samsunga, Huawei i AppleStore. Obejrzyj sobie, jak one wyglądają, jak są wykończone, co oferują, a co ma MiStore. To jednak wciąż mocno odbiega od światowej czołówki. Ich siłą nie jest design. Najważniejsze są cena i przystępność produktu” – narzeka menedżer jednego z telekomów. Firma to świetnie rozumie i z linii tańszych, budżetowych telefonów Redmi w 2019 roku zrobiła oddzielną markę, ale w Europie zdecydowano, że i tak będzie miała wciąż wspólną z Xiaomi dystrybucję.

Jest najgorętszy moment roku, bo za dwa tygodnie Boże Narodzenie. W sklepie Huawei pustki. Nie tylko brak aplikacji Google odstraszył klientów, ale też problemy z półprzewodnikami. Prawdziwa kolejka ustawiła się za to przed AppleStore – choć po części dlatego, że tam ochrona sprawdza i pilnuje certyfikatów szczepień.

W MiStore klientów nie brakuje. Ale nie oglądają masowo smartfonów, tylko... roboty sprzątające, które są o jedną trzecią tańsze od najpopularniejszych modeli konkurencji. „Nie zdziwiłbym się, gdyby średnio licząc, w każdym gospodarstwie

domowym naszego regionu było choć jedno urządzenie od Xiaomi. To wciąż nie jest i pewnie nigdy nie będzie marka pokroju Apple, której iPhone'y są symbolem statusu, ale stanowczo produkty Xiaomi przestały się kojarzyć tylko z tańszą alternatywą” – mówi specjalista od telekomunikacji.

Xiaomi Way

Xiaomi z Apple ma tak naprawdę sporo wspólnego. Według Lei Juna, twórcy i szefa firmy od samego jej powstania, jej nazwa znaczy o wiele więcej niż tylko proste „proso”. *Xiao* to również buddyjska myśl, według której „pojedyncze ziarno ryżu buddysty jest tak wielkie jak góra”. *Mi* zaś pochodzi od słowa „mobilność”. W całości nazwa ma dawać jasny sygnał: oto firma, która zbuduje swoją wielkość od małego ziarenka, bazując właśnie na nowych, mobilnych technologiach. Patrząc na to, co udało się jej osiągnąć w ciągu zaledwie ponad dekady, trudno zarzucić Lei Junowi, że jego ambicje nie miały pokrycia.

Oficjalnie Xiaomi powstało w 2010 roku, ale historia tej marki jest trochę dłuższa. Zaczęła się w 2004 roku, kiedy Amazon snuł jeszcze plany podbicia Państwa Środka i wybrał się do Chin na zakupy. Wtedy za 75 mln dol. kupił Joyo. Był to ówczesnie największy w Chinach sklep z książkami, muzyką i gramami, czyli odpowiednik Amazona z pierwszych lat działania tej firmy. W zarządzie Joyo zasiadał wówczas 35-letni Lei Jun. Dzięki inwestycji Amazona zdobył majątek i mógł zacząć realizować swoje marzenie: uruchomić produkcję własnych smartfonów.

Szczególnie że od lat zafascynowany był Steve'em Jobsem i Apple'em. Firmowa legenda głosi, że jeszcze w 1987 roku jako student informatyki przeczytał książkę *Fire in the Valley: The Making of the Personal Computer in the Library* [Ogień w dolinie. Jak w bibliotece stworzono komputer osobisty] Paula Freibergera i Michaela Swaine'a, czyli historię powstania Apple'a. Po latach, gdy tworzył Xiaomi, ta fascynacja stała się widoczna: prezes Xiaomi występował publicznie i przedstawiał swoją wizję, ewidentnie kopiując Jobsa. W skromnej czarnej koszuli

czy koszulce (zamiast znaku rozpoznawczego twórcy Apple, czyli czarnego golfu) i w niebieskich džinsach. A gdy na konferencji w 2014 roku Lei Jun oficjalnie pokazywał najnowszy model smartfona Mi 4, prezentację zakończył charakterystycznym dla Jobsa hasłem: *One more thing...* Jest jeszcze jedna rzecz...

Natomiast w modelu biznesowym od samego początku trzymał się kursu będącego odwrotnością polityki Apple'a. Zamiast rozbuchanego marketingu i stawiania na budowanie marki, która z klientów robi wyznawców, a prestiżem uzasadnia wysokie ceny, postawił na jak najniższe koszty, byle dotrzeć do masowego klienta. Reklamy i marketing po kosztach, za to zamiast wywindowanych cen produktów stawki sztywno ustalone przez firmę na możliwie najniższym poziomie. A na deser jeszcze regularne i czasem naprawdę spektakularne promocje.

Z modelu Apple'a chiński producent zaczerpnął przy tym przekonanie, że kluczowa jest lojalność klientów, a tę można zbudować dzięki przekonaniu, że firma jest blisko i słucha. Raz po raz powtarza się więc obrosłą już legendą historię jednego z użytkowników forum firmy, który opowiedział, jak to pewnej nocy upił się tak bardzo, że nie mógł znaleźć aplikacji latarki na swoim telefonie, aby zlokalizować klucze. Rozrywkowy klient poprosił: „Czy Xiaomi nie mogłoby umożliwić włączenia latarki długim naciśnięciem czytnika odcisków palca?”. Pomysł się spodobał, więc go wdrożono w Mi UI, czyli oprogramowaniu sprzętów tej firmy.

Takie podejście menedżerowie chińskiego producenta nazywają „The Xiaomi Way” i tłumaczą, że to rodzaj zdemokratyzowanego, oddolnego modelu biznesowego. U jego podstawy skupia się grono entuzjastycznych użytkowników, którzy są tak zaangażowani, że współprojektują interfejs użytkownika i sami rozreklamowują produkty opracowane przez sieć partnerskich start-upów.

Taka właśnie filozofia stała za warszawską promocją, która skończyła się bitwą. Podobnie – choć bez rękoczynów – potoczyły się wypadki w 2019 roku, gdy Xiaomi otwierało swój pierwszy sklep w Belgradzie. Kolejka wiernych klientów

ciągnęła się przez całe centrum handlowe. A nagrania z niej dodatkowo podbijały zainteresowanie.

Przez lata zamiast zatrudniać drogich celebrytów i łądować ogromne budżety w reklamy, Xiaomi sukcesywnie skupiało się na przebijaniu się do świadomości jako przyjazna firma, zawsze blisko klienta. Taka z tanim, ale dobrym sprzętem, który można wszędzie dostać. „Im w ogóle nie zależało, by trzymać rękę na wszystkich kanałach dystrybucji. Wręcz przeciwnie, Xiaomi pozwalało, by ich sprzęt był sprzedawany wszelkimi możliwymi sposobami. Stąd choćby ten jego napływ do Polski bezpośrednio z Chin przez prywatne zamówienia” – tłumaczy specjalista z polskiego telekomu.

Chińska firma zaczęła oczywiście od rodzimego rynku. Początkowo postawiła na dystrybucję internetową, ale szybko odkryła, że w ten sposób odcięła miliony mniej zaawansowanych technologicznie klientów. Ale wyciągnęła wnioski i zaczęła inwestować także w bardzo tradycyjne kanały sprzedaży. Dlatego gdy pod koniec 2016 roku Xiaomi weszło oficjalnie do Polski – jako pierwszego kraju w Europie – od razu nawiązało współpracę z lokalnym dystrybutorem, czyli firmą ABC Data. Moment wybrało idealny, bo właśnie wtedy zmienił się model sprzedaży smartfonów. Do mniej więcej 2016 roku telefony dużych, znanych marek, jak Apple czy Samsung, opłacało się kupować u operatorów. Stała za tym polityka telekomów, które wręcz dopłacały do urzędzeń, by klienta przywiązywać do siebie i skłaniać do zakupu kolejnego abonamentu.

Rynek jednak tak bardzo się nasycił, że to rozwiązanie przestało się już operatorom opłacać. Szczególnie że i sprzęt, do którego dopłacali, był coraz droższy. W 2016 roku zaczęli więc wprowadzać ratalną sprzedaż smartfonów, a od 2018 roku – udostępniać telefony na otwartym rynku. Efekt: flagowce, najbardziej pożądane modele, *de facto* mocno zdrożały. I to na tyle mocno, że dla klienta z Europy Wschodniej zaczęły być za drogie. Właśnie w tę lukę wskoczyli Chińczycy.

Początkowo najlepiej radził sobie Huawei. No ale w 2018 roku trafił na czarną listę amerykańskiego rządu i po odcięciu amerykańskich usług stopniowo tracił

również klientów z Europy. Tego problemu jednak nie miało Xiaomi.

W 2018 roku ruszył oficjalny internetowy sklep Xiaomi w Polsce, czyli Mi-home.pl, a firma postanowiła równolegle zbudować własną sieć dystrybucji. Ale w przeciwieństwie do Apple czy Samsunga nie skupiła się na największych miastach i najbardziej prestiżowych lokalizacjach. Owszem, obstawia stolice w niemal wszystkich krajach regionu, ale więcej oddziałów ma w mniejszych miastach i miasteczkach. W samej Polsce, od Białegostoku po Bielsko-Białą czy Czeladź, łącznie pełnoprawnych MiStore i specjalnych mniejszych MiPoint pod koniec 2021 roku była już blisko setka.

Co więcej, gdy centra handlowe Europy w czasie pandemii przeżywały kryzys, spadki obrotów i co chwilę były zamykane z powodu kolejnych lockdownów, Xiaomi wcale nie zwalniało i otwierało kolejne salony. Latem 2021 roku weszło do Bułgarii, instalując się w Sofii. Kilka miesięcy później w stolicy Polski powstał ich czwarty sklep – w prawobrzeżnej Warszawie, bo jak zapewnia szefostwo firmy, to efekt Xiaomi Way. Klienci domagali się sklepu nie tylko w drogich galeriach handlowych.

To, jak ważna dla Xiaomi stała się Europa Środkowa, widać także po jej polityce menedżerskiej. W 2020 roku Andrzej Gładki, polski specjalista rynku telekomunikacyjnego, przez kilkanaście lat pracujący dla T-Mobile, czyli odnogi niemieckiego Deutsche Telekom, został zastępcą dyrektora zarządzającego chińskiej firmy w tym regionie. Jest to pierwszy Europejczyk obejmujący tak wysokie stanowisko w strukturach Xiaomi.

„Stali się potęgą. Może nie widać tego w komunikacji, nie ma agresywnych reklam, nie ma wielkich kontaktów sponsoringowych, ale jest głosowanie portfelami. I nie ciągną się za nimi takie kłopoty jak za Huawei” – mówi menedżer jednego z polskich operatorów komórkowych, który przyznaje, że w ofercie zatrudniającej go firmy Xiaomi miewa nawet (w momentach szczytowych, gdy pojawia się na przykład nowy model) ponad połowę udziału w całej sprzedaży.

Magazyn „Wired” już w 2016 roku dostrzegł drzemiący w Xiaomi potencjał i to wtedy poświęcił Lei Junowi materiał okładkowy, w którym wystylizował

chińskiego przedsiębiorcę na bohatera propagandowego plakatu z czasów rewolucji komunistycznej. Wszystko okraszał ogromny nagłówek: „Czas zacząć kopiować Chiny”⁶. I nie było to wcale zdanie odosobnione.

Kai-Fu Lee, jedno z najgorętszych nazwisk świata w dziedzinie sztucznej inteligencji, były prezes Google China, założyciel Microsoft Research China, ale przede wszystkim potężnej firmy Sinovation Ventures, która z kapitałem rzędu 1,7 mld dol. inwestuje w chiński high-tech, w swojej książce *Inteligencja sztuczna, rewolucja prawdziwa. Chiny, USA i przyszłość świata* pisze o Xiaomi, że to jego hardware może dać nam wyobrażenie, jak faktycznie będzie wyglądała nasza przyszłość gęsto usiana urządzeniami sterowanymi percepcją. „Xiaomi już zainwestowało w 220 firm i pomogło w utworzeniu 29 start-upów – wiele z nich działa w Shenzhen – których inteligentne sprzęty domowe są włączone do ekosystemu Xiaomi”⁷.

Jak ten ekosystem wygląda, widzę, gdy wchodzę do kawiarni usytuowanej niemal naprzeciwko łotewskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Kelnerka nie tylko czytuje swoim smartfonem mój certyfikat covidowy, ale też widząc, że ściągam sweter, wydaje polecenie klimatyzatorowi, by nieco obniżył temperaturę w pomieszczeniu. Oczywiście oba urządzenia wyprodukowała prężna Xiaomi, a w Rydze – choć z Wilnem po sąsiedzku – ostrzeżeniami, by się tych urządzeń wystrzegać, aż tak się nie przejmują.

Teraz, gdy już rywalizuje o palmę pierwszeństwa, Xiaomi zaczęło odważniej inwestować w reklamy i twarze marki. W Nigerii został nią świetny niegdyś piłkarz Jay-Jay Okocha. W Meksyku – Aislinn Derbez, grająca główną postać w Netfliksowym *Domu kwiatów*. W Polsce zaraz po wygraniu French Open ambasadorką marki została niezwykle popularna Iga Świątek.

Litewski cios

Podczas gdy Huawei od kilku lat był na celownikach kolejnych wywiadów państw Zachodu, Xiaomi funkcjonowało we względnym spokoju. Owszem, jednym z ostatnich ciosów, które Donald Trump wymierzył tuż przed opuszczeniem urzędu w Pekin i chińskie firmy, było wpisanie Xiaomi na czarną listę Departamentu Obrony. Ale kilka miesięcy później amerykański sąd uznał, że decyzja była jednak bezpodstawna. Tym samym współpraca Lei Juna z Google, Qualcommem i innymi amerykańskimi spółkami trwa.

A więc gdy mała Litwa zaserwowała mocny cios w postaci zarzutów o zainstalowaniu w smartfonach back doorów do potencjalnego manipulowania treściami dostępnymi na urządzeniu, informacja ta zaszokowała nie tylko Litwinów. „Najistotniejszym, podstawowym powodem naszego śledztwa były szeroko rozumiane zagrożenia dotyczące chińskiego sprzętu. Państwa Zachodu i NATO wypracowały sobie w tej kwestii dosyć powszechny konsensus. Naszym zdaniem konieczne są jednak dowody. Dlatego w 2020 roku sprawdziliśmy kamery monitoringu dużych chińskich firm Dahua i Hikvision i dlatego kilka miesięcy później powtórzyliśmy je w stosunku do smartfonów. Czyli sprzętów popularnych, używanych przez zwykłych obywateli, takich, które są z nimi wszędzie i zawsze. Chcieliśmy mieć konkrety, a nie opierać się na tezach z politycznych dyskusji i tylko je powtarzać” – mówi wiceminister Margiris Abukevičius.

Urzędnik twierdzi, że jednocześnie był i nie był zaskoczony wynikiem śledztwa przeprowadzonego w podległej mu instytucji. „Cenzura ze strony Chin to nic nowego, wszyscy wiemy, że tak to tam działa. Podobnie jak nie jesteśmy zaskoczeni tym, że Chiny, jak tylko mogą, zbierają dane i informacje o ludziach – i to nie wyłącznie o własnych obywatelach. Za to faktycznie nie spodziewaliśmy się, że w smartfonach wbudowane są narzędzia umożliwiające cenzurowanie wyszukiwania treści, i to w tak szerokim zakresie tematów. Na terenie Europy to narzędzie było tak skonfigurowane, że nie działało, było jakby w uśpieniu, ale zawsze można je z zewnątrz, mając dostęp do systemu operacyjnego, po prostu włączyć” – tłumaczy Litwin i podkreśla, że jedno to ostrzegać i dostrzegać szerokie zagrożenia wynikające z uzależnienia od chińskich technologii, a drugie to mieć

konkretne dowody na to, że te technologie umożliwiają wpływanie z zewnątrz na dostęp do informacji, a więc i na opinię publiczną w Europie.

Analiza litewskiego centrum cyberbezpieczeństwa punkt po punkcie wymienia słowa, frazy i nazwy, które eksperci rządowi zlokalizowali jako oflagowane w MiBrowser, przeglądarce internetowej Xiaomi. Wykorzystuje ona nie tylko Google Analytics, podobnie jak inne przeglądarki, lecz także, jak czytamy: „chińskie dane z czujników, które zbierają i okresowo wysyłają dane o aż 61 parametrach aktywności użytkownika na urządzeniu”. Prościej mówiąc: MiBrowser okresowo pobiera od producenta listę zabronionych słów kluczowych. Jeśli zawiera je treść wyszukiwana przez użytkownika, urządzenie automatycznie ją blokuje. Albo przynajmniej może ją zablokować.

Eksperyment na telefonach Xiaomi Litwini wykonali dwa razy. Po raz pierwszy w kwietniu 2021 roku. Wtedy śledczy wykryli 449 słów kluczowych i ich kombinacji w chińskich znakach, takich jak: „wolny Tybet”, „głos Ameryki”, „ruch demokratyczny”, „Niech żyje demokratyczny Tajwan”. Po pięciu miesiącach przeprowadzono kolejny test i wtedy liczba „zakazanych zwrotów” potroiła się do 1376. Doszły do niej słowa kluczowe związane z erotyką oraz z innymi producentami technologii, ale wciąż przeważały te związane z ruchami religijnymi i politycznymi.

„Funkcja filtrowania treści jest w telefonach komórkowych Xiaomi dostarczanych na Litwę wyłączona, jednak cenzurowane listy słów kluczowych są nadal okresowo aktualizowane. Urządzenie jest wyposażone w technologię umożliwiającą blokowanie takich treści” – pisały w swoim raporcie służby litewskie.

„Według wielu ekspertów gdybyśmy sprawdzili starsze modele telefonów, to bardzo możliwe, że byłoby na nich nawet więcej takich zaszytych słów kluczowych” – twierdzi wiceminister obrony narodowej Litwy.

Xiaomi litewską odezwę do obywateli i oskarżenia o cenzurę odebrało z oburzeniem. „Xiaomi nigdy nie będzie ograniczać ani blokować żadnych osobistych zachowań użytkowników naszych smartfonów, takich jak

wyszukiwanie, dzwonienie, przeglądanie stron internetowych lub korzystanie z oprogramowania komunikacyjnego stron trzecich” – napisała firma w oświadczeniu rozesłanym do mediów. Zapowiedziała też, że zatrudni niezależnego eksperta do przeprowadzenia analizy jej urządzeń. Po kilku miesiącach jednak wciąż nie wskazała żadnej instytucji. Kiedy proszę o rozmowę Andrzeja Gładkiego, odpowiedzialnego za zarządzanie firmą w całej Europie Środkowo-Wschodniej, odpisuje, że musi się poradzić działu PR, bo kwestie są wizerunkowo trudne. Ale ostatecznie kontakt się urywa.

Choć przecież mógłby się poradzić jednej z dosyć nowych pracownic Xiaomi – Yi Jiang, która w Polsce, gdzie studiowała psychologię, została Olą Jiang. Wcześniej pracowała w Huawei Polska jako menedżerka odpowiedzialna za komunikację korporacyjną i relacje z lokalnymi władzami. Na to stanowisko zarekomendował Olę Staszek Wang, dziś oskarżony o szpiegostwo, a jej przełożoną była Marzena Śliz, niegdysiejsza pracownica Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Tyle że kiedy w maju 2021 roku udało mi się uzyskać dostęp do akt sprawy dotyczącej oskarżenia Wanga i Piotra D. o szpiegostwo, przeczytałam i opisałam w artykule w Spider’sWeb+, co Śliz mówiła o Jiang w zeznaniach: „Była w Huawei szarą eminencją, osobą wpływową w środowisku chińskim, szefowie firmy liczyli się z jej zdaniem. Nie wiem, na czym polegały te zależności, ale jeśli Ola coś uzgodniła lub poleciła się na coś zgodzić, to tak się działo”⁸.

To Jiang była przewodniczką, gdy do Polski przyjechał Ren Zhengfei, czyli sam twórca i prezes Huawei. Uczestniczyła w telekonferencji układu 16 + 1, a nawet była przewodniczką przywódcy Chin Xi Jinpinga podczas wizyty, którą w 2016 roku złożył w Polsce. W 2021 roku została w Xiaomi szefową marketingu na obszar Europy Środkowej i krajów nordyckich.

Jej nowe zajęcie pozostało bez większego echa. Za to litewskie rewelacje brzmiały tak poważnie, że powinny zainteresować kolejne państwa. Wiceminister Abukevičius zapewnia, że około 10 państw – głównie z Europy oraz oczywiście Stany Zjednoczone – było żywo zainteresowanych litewską analizą, prosiło o jej szczegóły i dane do dalszych działań. Otwarcie w ślady Wilna poszedł jednak tylko

jeden kraj: Niemcy. Tamtejszy Federalny Urząd Bezpieczeństwa Informacji zapowiedział własne śledztwo.

Tyle że łatwiej wytoczyć działa ostrzegające przed chińską firmą niż faktycznie samą firmę wypchnąć z kraju. „Po opublikowaniu badania sprawdziliśmy raz jeszcze ten *back door* i okazało się, że lista słów i zwrotów zakazanych została wyczyszczona. Ale na razie nie mamy w planach kontynuacji tych eksperymentów, teraz raczej kluczowe jest działanie praktyczne. Naszym obowiązkiem było poinformować o tym opinię publiczną. Trochę podkreślono nasze komunikaty, my nikomu nie nakazujemy wyrzucać chińskich smartfonów. Za to uważam, że ludzie powinni mieć świadomość, jak działa ich oprogramowanie, żeby na przykład unikać pewnych aplikacji” – tak pod koniec 2021 roku w rozmowie ze mną łagodził stanowisko wiceszef litewskiego MON.

Choć w tym samym czasie napięcie w stosunkach litewsko-chińskich i tak osiągnęło skalę nigdy w historii tych dwóch państw niespotykaną. W ciągu kilkunastu miesięcy rząd Ingridy Šimonytė dokonał bardzo ostrego antychińskiego zwrotu. Litwa jako pierwsze państwo w Unii Europejskiej zgodziła się na otwarcie przedstawicielstwa Tajwanu, w którego nazwie jest słowo „Tajwan” – co oczywiście rozwścieczyło Pekin. Wobec tego raport wymierzony w Xiaomi wydaje się ledwie lekkim kuksańcem. Dlaczego więc litewski rząd łagodzi obrany w tej kwestii kurs?

Powód jest banalny: Litwa nie ma prawnych środków do faktycznego zbanowania Xiaomi. Nie ma ich nawet do wyczyszczenia swoich urzędów ze sprzętu tej firmy. Do takiego scenariusza niezbędne są zmiany w prawie, szczególnie w prawie zamówień publicznych.

„Oczywiste jest, że gdy w grę wchodzi środki publiczne, to musimy je wydawać na urządzenia bezpieczne. Dlatego szykujemy nowe przepisy wykonawcze do prawa zamówień publicznych” – tłumaczyła mi wiceminister gospodarki i innowacji Litwy Eglė Markevičiūtė, gdy ją zapytałam, czy apel o wycofanie sprzętu Xiaomi nie był tylko czczą groźbą. Rozmawiałyśmy, gdy przyjechała do Warszawy na konferencję o cybersuwerenności. W tym czasie na

granicach Polski i Litwy z Białorusią trwał już celowo wygenerowany przez Alaksandra Łukaszenkę kryzys migracyjny i nie stanowiło wielkiej tajemnicy, że dla służb Litwy kluczowe było opanowanie sytuacji. Mimo to Markevičiūtė i tak z dużą pewnością siebie mówiła: „Mamy konkretny plan związany z cyberbezpieczeństwem i sprzętem z Chin. Tylko nie przeprowadzi się go z dnia na dzień” – zapewniała polityczka.

Na Litwie, jak podał tamtejszy urząd bezpieczeństwa, smartfony od Xiaomi miało 4,5 tys. urzędników w blisko 200 instytucjach publicznych. „Nie przesadzajmy, wymiana tego sprzętu nie jest dla naszych urzędów zbyt dużym wyzwaniem. Wiemy też, że to nie jest specjalny cios dla Xiaomi, ale nie chodzi nam przecież o ciosy, tylko o bezpieczeństwo narodowe” – zarzeka się Markevičiūtė.

Jej kolega z rządu mówi, że Litwa nie szykuje czarnej listy, na którą będą wpisywane konkretne firmy. „Bo nie chodzi o wskazanie firm, tylko o zbudowanie bezpiecznego mechanizmu zakupów. W pierwszej kolejności chcemy więc wskazać instytucje publiczne i przedsiębiorstwa będące właścicielami infrastruktury krytycznej, które są kluczowe dla bezpieczeństwa państwa i które powinny być szczególnie chronione. W naszej ocenie jest to łącznie około 400 instytucji w kraju. Następnie sporządzimy wykaz szczególnie ważnych zamówień, tak by nie kontrolować każdego pojedynczego zakupu sprzętu, bo to po prostu będzie karkołomne. Zamiast tego kluczowy jest smartsprzęt, który może mieć związki z bezpieczeństwem: serwery, kamery, drony, smartfony, komputery, część oprogramowania. Kolejnym krokiem jest przygotowanie przepisów w naszej krajowej strategii cyberbezpieczeństwa i wskazanie w nich, że te właśnie kluczowe instytucje nie mogą kupować konkretnych sprzętów od firm z państw uznanych za będące zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego” – szczegółowo tłumaczy mi wiceminister obrony narodowej Abukevičius. „Tymczasem mamy pewność co do trzech takich państw: Rosji, Chin i Białorusi. Więc w efekcie nasze przepisy doprowadzą raczej do stworzenia czarnej listy groźnych państw, a nie firm”.

Nic dziwnego, że bardziej niż samo Xiaomi na litewskie działania zareagowała chińska propaganda. Rządowy dziennik „The Global Times” związany z partią komunistyczną pisał o Litwie jako o „bufonie Europy”, który realizuje amerykańską agendę. Zacytował też Cui Hongjiana, dyrektora Departamentu Studiów Europejskich Chińskiego Instytutu Studiów Międzynarodowych⁹, który kąśliwie zwracał uwagę, że jeżeli gdzieś chińskie telefony mogłyby mieć jakiegokolwiek problemy, to powinno się to zagrożenie wykryć właśnie w takich silnych krajach Europy Zachodniej jak Niemcy, a nie na mało zaawansowanej technologicznie Litwie”.

Jeden z urzędników dawnego Ministerstwa Cyfryzacji w Polsce, gdy go podpytuję, czy u nas w kraju ktoś też wziął sprzęt Xiaomi pod lupę lub przynajmniej kontaktował się z litewskimi służbami odnośnie do tego tematu, wzdycha: „Nikt nie chce otwierać kolejnej puszkii Pandory. Proszę zobaczyć, co mamy od lat z Huawei. Najpierw oskarżenia o szpiegostwo, kombinowanie, jak ich w budowie 5G zablokować, potem ten biedny dyrektor z Huawei siedział dwa lata w areszcie tymczasowym, zanim udało się przygotować akt oskarżenia, prawo blokujące Huawei na rok schowane do zamrażarki – i wciąż nie wiadomo, co z tym fantem zrobić. Jak zablokować tę chińską firmę, ale jednocześnie nie podpaść Chińczykom? Więc kto by się tam jeszcze teraz z kolejną firmą babrał”.

Ale na koniec zerka na mój telefon i gdy upewnia się, że to nie jest ani Huawei, ani Xiaomi, dobitnie podkreśla, że sam też nie korzysta ze sprzętu tych firm: „Nikt, kto jest blisko kwestii cyberbezpieczeństwa, też ich nie ma. Niech to będzie najlepszą odpowiedzią na pani pytanie”.

Czas na samochody

Kilka tygodni po ogłoszeniu litewskich ostrzeżeń Lu Weibing, general manager marki Redmi, poinformował, że od 2022 roku Xiaomi rozpoczyna wdrażanie specjalnej trzyletniej strategii. Do 2024 roku firma chce się stać smartfonowym numerem jeden na świecie, odpalić własną platformę VOD i zdecydowanie wejść

w produkcję elektrycznych samochodów. Pierwszy model, Bestune T77, już zjechał z linii produkcyjnej w Pekinie. Na razie jednak jeszcze nie wiadomo, czy trafi do oficjalnej sprzedaży w Europie, ale za jego największy atut uznawana jest cena: 13 tys. dol.

Wiosną 2022 roku Xiaomi przywitało w Wiedniu. Do pałacu Hofburg zaprosiło ponad 500 partnerów i dziennikarzy, aby uczcić wprowadzenie na rynek nowej serii Xiaomi 12, ale także pochwalić się, że marka jest w pierwszej trójce sprzedażowej w 14 państwach Europy Północnej i Wschodniej. W tym na Litwie.

* * *

To, co pozwoliło na coraz wyraźniejszą technologiczną supremację Chin, to mówiąc wprost: przyzwolenie Zachodu najpierw na to, że kopiowali produkty, a potem na ich działalność wywiadowczą. Przez dekady przez palce patrzono na to, jak w Chinach plagiowano produkty i technologie, wzruszając ramionami, że to przecież tylko „chińszczyzna”. W tym czasie Państwo Środka skutecznie wdrażało strategię „zawsze drugi, czyli pierwszy” i dziś niespodziewanie to Chińczycy produkują najtańsze, a przy tym dobre telefony, routery, hulajnogi i odkurzacze. I jakże konsumenci mieliby z tego dobra zrezygnować? Tym bardziej że przecież oferta jest taka świetna, więc kto by się przejmował, że przy okazji wpada się w „pułapkę danych”, przekazując ogromne ilości informacji o sobie firmom niepodlegającym jakiegokolwiek kontroli.

ROZDZIAŁ 8

NA CHIŃSKIM PROCENCIE, CZYLI OD WIELKICH INWESTYCJI DO WIELKICH KŁOPOTÓW

Aby skłonić wroga do przyścia z własnej woli, skus go potencjalnymi korzyściami. Aby zniechęcić wroga do ataku, roztocz przed nim wizję potencjalnych strat¹.

Wjazd z Serbii do Czarnogóry przez przejście Jabuka: są budki strażników, kontrola i szlaban, ale wszystko otacza atmosfera tymczasowości. Jakby ta granica była tu tylko na chwilę i przypadkowo. Sama droga z Czarnogóry jeszcze bardziej potęguje to wrażenie, bliżej jej do szerszego leśnego traktu niż do głównej trasy do innego państwa.

„Nie ma co się oszukiwać, nasza infrastruktura drogowa jest w stanie oplakany lub przeciętny. Zresztą, jakże mogłoby być inaczej? Jako niezależne państwo istniejemy ledwie kilkanaście lat. Wcześniej, w czasach Jugosławii, a nawet związku Serbii i Czarnogóry, byliśmy peryferyjnym krajem, a więc inwestycje w nasze drogi nie były nigdy priorytetem” – mówi Mladen Grgić, dyrektor Czarnogórskiej Agencji Inwestycyjnej (Montenegrin Investment Agency), instytucji zajmującej się poszukiwaniem inwestorów skłonnych działać w jednym z najmłodszych państw w Europie.

Spotykamy się w modnym adriatyckim kurorcie Bar. Od Adriatyku wieje przyjemna morska bryza, lipcowa pogoda jest piękna, ale na plaży nie ma tłumów. Choć od wybuchu pandemii minęło już niemal półtora roku, podróże wciąż są dziwne, pełne ograniczeń, wymogów szczepień, a więc i turystów w Czarnogórze

jest mniej niż zazwyczaj. Miejsce, gdzie się spotykamy, nie jest przypadkowe: po pierwsze, letnią porą eksperci, politycy i biznesmeni bywają tu częściej niż w męczącej temperaturami Podgoricy. Po drugie, Bar w chińskiej układance w Europie Środkowej jest ważnym puzzlem. To tu powinna się kończyć wielka, prowadząca przez całe państwo autostrada Bar–Boljare. Miała raz na zawsze odmienić stan drogowej infrastruktury w Czarnogórze. Na razie zmieniła sposób, w jaki w Europie patrzy się na wielkie inwestycje z chińskim DNA.

Autostrada Bar–Boljare o planowanej długości 163 km to największy projekt tego typu w historii Czarnogóry. Cel: połączyć port Bar nad Morzem Adriatyckim z Serbią, która nie ma bezpośredniego dostępu do morza i wciąż pamięta czasy, gdy Czarnogóra była częścią jej jugosłowiańskiej rodziny. Letnie wypady nad Adriatyk są wciąż corocznym zwyczajem ogromnej części Serbów, tyle że muszą się tam przedzierać drogami naprawdę pamiętającymi czasy marszałka Tito. I nie są one najlepszym dowodem świetności tych rządów.

Czarnogóra dwukrotnie starała się o dofinansowanie tej inwestycji ze środków Europejskiego Banku Inwestycyjnego. Dwa studia wykonalności projektu, przeprowadzone przez zewnętrznych audytorów w 2009 i 2012 roku, nie znalazły jednak finansowego uzasadnienia w spodziewanym natężeniu ruchu na tej trasie. Czytaj: może i turystów z Serbii jest sporo, ale nie aż tylu, by tak trudne inżynieryjnie przedsięwzięcie się zwróciło.

Takich uzasadnień nie potrzebował jednak Pekin. Jego reakcja na prośbę rządu w Podgoricy była niemal natychmiastowa. W 2014 roku podpisano umowę z państwową firmą China Road and Bridge Corporation (CRBC) – nie tylko na budowę samej autostrady, ale przede wszystkim na sfinansowanie inwestycji. 85 proc. wartości budowy pokrył kredyt, jakiego udzielił chiński Exim Bank. Było to 944 mln dol., suma na tyle duża, że budowa wydawała się od strony finansowej zabezpieczona.

Przez kilka następnych lat wokół inwestycji panowała względna cisza. Do 2020 roku, który przyniósł Czarnogórze prawdziwe trzęsienie ziemi. I to na kilku poziomach. Pandemia COVID-19 dla gospodarki tego państwa okazała się

dramatyczna w skutkach. Kraj żyjący w ogromnej mierze z turystyki w najgorętszym biznesowo momencie roku został praktycznie odcięty od kluczowego źródła przychodów. Według Banku Światowego PKB Czarnogóry skurczyło się w 2020 roku aż o 15,2 proc.

Przede wszystkim jednak zachwiała się władza Milo Djukanovicia, który praktycznie bez przerwy rządził tym państwem od trzech dekad. Djukanović został premierem jeszcze jugosłowiańskiej Czarnogóry w 1991 roku, w dzień swoich 29. urodzin. Od tej pory – mimo rozpadu Jugosławii, krwawej bratobójczej wojny, która wstrząsnęła Bałkanami, i wreszcie oddzielenia się Czarnogóry od Serbii – udawało mu się utrzymać władzę. Spędził siedem kadencji w fotelu szefa rządu, a obecnie jest po raz drugi prezydentem państwa. W rzadkich okresach, gdy nie pełnił żadnej oficjalnej funkcji, i tak rządził z tylnego siedzenia jako szef Demokratycznej Partii Socjalistów (Demokratska partija socijalista Crne Gore).

Brytyjski dziennikarz Misha Glenny w książce *McMafia*² opisał, jak Djukanović budował swoją pozycję. Zaczął od tego, że w latach 90. przemykał oko na udział czarnogórskich urzędników w przemyśle papierosów do Włoch. Pochodziły z portu w Rotterdamie i teoretycznie miały być przeznaczone do stref wolnocłowych na lotniskach i w portach, więc były zwolnione z cła. Z Rotterdamu oficjalnie sprzedawano je do krajów w rodzaju Egiptu czy Uzbekistanu, ale za sprawą mafii faktycznie trafiały do Czarnogóry. Tam były przeładowywane na jedną z 70 szybkich łódek i transportowane nocą do Włoch, gdzie przejmowała je apulijska lub neapolitańska mafia. Od każdego kartonu Czarnogórcy pobierali „podatek tranzytowy”.

Z tej kontrabandy Czarnogóra i Djukanović zrobili niemal oficjalną gałąź państwowego przemysłu. Rozwijała się aż do końca XX wieku, gdy Amerykanie wyraźnie dali Podgoricy do zrozumienia, że czas z tym procederem skończyć. Wtedy przemyt na masową skalę ustał, wcześniej jednak był jedną z metod na finansowanie wojny przetaczającej się przez Bałkany.

Dzięki opleceniowi całego państwa siecią zależności i nepotyzmu władza Djukanovicia trwała niezachwiana nawet wtedy, gdy u sąsiadów kolejne rządy

zmieniały się jak w kalejdoskopie. Niespodziewanie jednak w 2020 roku Milo Djukanović przegrał z rządzącą obecnie koalicją trzech ugrupowań o nazwie O Przyszłość Czarnogóry (ZBCG), na czele z nowym premierem Zdravko Krivokapiciem.

„Wygrana Krivokapicia niekoniecznie ma związek ze zmęczeniem społeczeństwa korupcją i nepotyzmem Milo. Przeważały wpływy Serbii i Serbskiej Cerkwi Prawosławnej, bo to oni wsparli listę ZBCG” – zawiłości politycznego klimatu w tym państwie tłumaczy Natalia Żaba, która spędziła dekadę w regionie Bałkanów Zachodnich, pracując jako reporterka, tłumaczka i korespondentka. Odkąd w 2018 roku Ukrainie udało się uzyskać dla swojej Cerkwi autokefalię, Djukanović nasilił starania o uniezależnienie lokalnego Kościoła prawosławnego. Tyle że władzom w Podgoricy było trudniej, ponieważ w przeciwieństwie do Kijowa ich ambicje nie cieszą się poparciem hierarchów z Konstantynopola. Mimo wszelkich oporów w 2019 roku parlament przyjął przepisy, na mocy których na własność państwa przeszły budynki kościelne zbudowane przed rokiem 1918, gdy Czarnogóra straciła niepodległość i weszła w skład Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców (SHS), później przekształconego w Jugosławię.

„Uderzało to przede wszystkim w Serbską Cerkiew Prawosławną. Zaczęła więc podburzać do lokalnych, naprawdę sporych protestów, a te spotkały się z drastycznymi działaniami policji. Tak drastycznymi, że pewna liczba protestujących trafiała nawet do szpitali. Dopiero wybuch pandemii zatrzymał te awantury” – dodaje Żaba. Tyle że naruszona gospodarcza stabilność, pandemiczny kryzys i jeszcze do tego niepokoje religijne o intensywności jak na skraju wojny domowej dały efekt w postaci przegranej DPS.

Dlaczego jednak tak mocno odbiegamy od tematu? Bez tego kontekstu nie można zrozumieć, jak doszło do wybuchu afery o wielką autostradę. Zaraz po przejęciu władzy przez nowy rząd zaczęło się rozliczanie poprzedniego. Najbardziej spektakularne efekty tych kontroli dotyczyły właśnie Bar–Boljare.

W marcu 2021 roku prokuratura w Kolašinie niespodziewanie oskarżyła chińskie CRBC o zniszczenie koryta rzeki Tara. Dotychczas tylko organizacje

pozarządowe zarzucały CRBC ingerencję w koryto Tary, będącej częścią obszaru chronionego przez UNESCO. To, że prokuratura wydała akt oskarżenia przeciwko chińskiej firmie, której zarzuciła działania niezgodne z planem zagospodarowania przestrzennego i prowadzenie budowy bez odpowiednich pozwoleń oraz braki w dokumentacji, było jasnym sygnałem: kończy się okres ochronny dla tej inwestycji.

Ale to była dopiero uwertura. Z pełną mocą orkiestra zagrała, gdy sprawdzono stan zaawansowania prac. Okazało się, że nadciąga termin spłaty pierwszej raty pożyczki (67,5 mln dol.) zaciągniętej w chińskim banku na sfinansowanie wykonywanej przez chińską firmę i rękoma chińskich robotników autostrady, a tej... nie ma. Jest tylko niedokończony fragment trasy o długości – 41 km (ze 163 km), na które wydano praktycznie całą kwotę kredytu. To uczyniło ten odcinek jednym z najdroższych kawałków asfaltu na świecie. Chińscy robotnicy spędzili sześć lat na drążeniu tuneli w litej skale i wznoszeniu betonowych filarów nad wąwozami i kanionami, ale koniec końców droga prowadzi donikąd. Co więcej, do wybudowania pozostało jeszcze prawie 130 km trasy, której koszt wyniesie prawdopodobnie co najmniej 1 mld euro.

„«Od zera do zera». Tak ją nazywamy. Raz, że prowadzi fizycznie donikąd, ale i nas jako kraj też może zepchnąć na pobocze” – rozkłada ręce Grgić, doradca czarnogórskiego rządu. „Ale żeby było jasne: ja w tym naprawdę upatruję raczej nieudolności, skorumpowania i braku transparentności działań naszych polityków niż jakiegoś celowego, złośliwego działania Chin. Im by raczej zależało na udanej inwestycji. Kolejnej reklamie ich skuteczności. Tyle że w środowisku tak przesiąkniętym nepotyzmem i pełnym niejasności biznesowych, jakim jest Czarnogóra, to się nie miało prawa udać. Wszystko wskazuje na to, że skutki błędów inwestycyjnych zostały tu zwielokrotnione przez lokalne układy” – dodaje ekspert.

Jego opinię potwierdzają analizy czarnogórskiej organizacji pozarządowej MANS³, która już w 2018 roku alarmowała, że projekt spowija niepokojąca aura tajemnicy. MANS⁴ twierdzi, że powiązana z poprzednim rządem firma budowlana

Bemax otrzymała większość kontraktów przy budowie autostrady i rodzimych podwykonawców. Umowy dla Bemaxu warte są 240 mln euro, zaś pozostałych podwykonawców – 180 mln euro. To ponad jedna czwarta całkowitych kosztów pierwszego etapu realizacji projektu, które mogą się ostatecznie zwiększyć do nawet 1,3 mld dol.

Ale największe kontrowersje budzą zapisy związane z samym kredytem. Po pierwsze, jak wskazuje MANS, „Ministerstwo Transportu ogłosiło «harmonogram dla płatności», w którym terminy płatności na rzecz chińskiej firmy są utajnione”. A jakby tego było mało, dodatkowo zapis w umowie między rządem w Podgoricy a chińskim inwestorem stanowi, że w przypadku niewywiązania się ze spłaty przez Czarnogórę Chiny uzyskałyby prawo dostępu do czarnogórskich gruntów jako zabezpieczenia. To jest bezpośrednio nawiązanie do chińskiej strategii znanej choćby z Afryki: zajmowania aktywów w razie niemożności spłaty. I wreszcie: umowa przewiduje również, że każdy spór prawny między stronami kontraktu zostanie poddany pod rozstrzygnięcie sądu arbitrażowego w Chinach.

Takich budzących niepokój chińskich inwestycji jest w Czarnogórze więcej. W czerwcu 2020 roku rząd Djukanovicia przyznał kontrakt na modernizację elektrowni węglowej Pljevlja – tak aby mogła ona działać w zgodzie ze standardami środowiskowymi UE – konsorcjum kierowanemu przez China Dongfang. Warunki przetargu były jednak tak nieprzejrzyste, że pojawiły się obawy o specyfikację technologiczną i jakość projektu. Ogromne wątpliwości wzbudziło to, że w skład chińskiego konsorcjum weszła lokalna firma BB Solar – należąca w połowie do Blažo Djukanovicia, syna Milo. Choć firma powstała w 2013 roku z symbolicznym kapitałem początkowym, to dzięki dostępowi do kredytów i wygranych w konkursach na państwowe kontrakty pozwoliła niespełna 33-letniemu Djukanoviciovi juniorowi stać się potentatem w branży energii słonecznej i wodnej. A dzięki inwestycji w Pljevlji dołożył do tego energię węglową.

W przypadku Bar–Boljare sprawa jednak była poważniejsza, bowiem umowa z chińskim bankiem zwiększyła dług publiczny Czarnogóry aż o jedną czwartą.

A że jest ona objęta państwowymi gwarancjami i zabezpieczona pod zastaw ziemi, to w efekcie Pekin za sprawą pożyczki wszedł w posiadanie jednej czwartej ogólnego zadłużenia tego bałkańskiego państwa. Państwa, które odkąd w 2006 roku oddzieliło się od Serbii, politycznie zdąża ku Zachodowi. W 2017 roku przystąpiło do NATO, od 2010 roku posiada status kandydata do Unii Europejskiej.

Tymczasem jednak mocno uzależniło się od Państwa Środka. Premier Krivokapić zwrócił się pod koniec marca do Unii Europejskiej o wykupienie przez nią chińskiego długu, aby – jak zaczął argumentować nowo ukonstytuowany rząd w Podgoricy – zmniejszyć oddziaływanie Chin w Czarnogórze. W pierwszym podejściu Komisja Europejska odrzuciła wniosek, argumentując, że nie może przejmować długów wobec państw trzecich.

„Niewątpliwie jest poważny problem z tą inwestycją. Od każdej strony: infrastrukturalnej, ekologicznej, wydatkowej. Ale, co może być trudne do zrozumienia dla ludzi spoza Czarnogóry, te zarzuty to także element gry «kartą chińską» w naszej polityce wewnętrznej” – podkreśla Mladen Grgić, dodając, że jego ojczyzna tylko z wierzchu wygląda na uroczy i spokojny zakątek Europy.

Milica Kovačević, przewodnicząca Centrum Przemian Demokratycznych, grupy działaczy pozarządowych i adwokatów z Podgoricy, poświęciła swoją karierę badaniu rosyjskich inwestycji i wpływów w Czarnogórze. „W pełni rozumiemy rosyjską politykę wobec regionu, ona zresztą nie zmieniła się od dziesiątek lat. Nigdy jej celem nie była okupacja. Za to miała zdestabilizować i uniemożliwić jakąkolwiek integrację z Zachodem, czy to niegdyś w Cesarstwie Austro-Węgierskim, czy teraz w UE i NATO. Znaliśmy więc jej cele, byliśmy na nie gotowi. W przypadku Chin nie sądzę, aby ktokolwiek zrozumiał, jaki jest ich ostateczny cel” – mówiła Kovačević serwisowi NPR⁵ latem 2021 roku, czyli już po wybuchu skandalu wokół autostrady.

Wpływy rosyjskie – choć dla samodzielności Czarnogóry niebezpieczne – zostały jednak faktycznie nieźle przez analityków i służby zmapowane. Na tyle nieźle, że gdy w 2016 roku służby specjalne Rosji usiłowały zorganizować zamach

stanu, to małe państwo potrafiło się przed nim obronić. Pucz miał uniemożliwić wejście kraju do NATO, ale został udaremniony dzięki pomocy zachodnich wywiadów.

Ale wpływy chińskie? Tych nie da się rozpatrywać tylko w odniesieniu do samej Czarnogóry. Niezbędne jest spojrzenie i na całe Bałkany, i na ambicje Chin dotyczące Europy.

Stefan Vladisavljev, koordynator programu think tanku Belgrade Fund for Political Excellence, podpytuje, czy próbowałaś w ogóle obejrzeć ten powstały fragment trasy, kiedy byłaś w Barze. „Pewnie nie dało rady, bo tam nawet wjazdu nie zrobiono. Jej rozmach, te wielkie filary między górami widać dopiero z drona. I właśnie ten rozmach jest kluczowy, nawet bardziej dla Chin niż dla Czarnogóry” – mówi analityk, gdy niespiesznie pijemy kawę w centrum Belgradu.

Vladisavljev od lat śledzi projekty finansowane przez Chińczyków w swojej rodzinnej Serbii i podkreśla długofalowe cele polityczne Pekinu. „Są one kluczowe zwłaszcza w przypadku Czarnogóry, której Bruksela, mimo apeli, odmówiła pomocy w spłacie tego nieszczęsnego kredytu. To była szansa dla Unii, by pokazać temu regionowi, że jest dla niej ważny. Żeby silniej przywiązać go do Europy, na którą przecież Czarnogóra naprawdę liczy. Nie bez powodu ten kraj przyjął jako obiegową walutę euro” – podkreśla analityk.

Vladisavljev mówi, że nie pomagając Czarnogórze, Unia właściwie skapitulowała i pozwoliła, by to Chiny przejęły pałeczkę. „Co wcale przecież nie musi oznaczać nagłej egzekucji długu. Wręcz przeciwnie, nie będę zaskoczony, jeżeli Chiny dadzą Podgoricy więcej czasu i jeszcze zaoferują dalsze wsparcie finansowe – i w ten sposób długofalowo zacieśnią związki z Bałkanami, co z kolei przełoży się na zbudowanie silnej strefy wpływów w bezpośrednim sąsiedztwie Unii. Wiele wskazuje na to, że nad takim właśnie scenariuszem Chiny od lat ciężko pracują w tym regionie” – podkreśla. I na poparcie tej tezy przypomina, że w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku Pekin kupił grecki port w Pireusie, zamieniając go w drugi co do wielkości port na Morzu Śródziemnym, a także buduje warte

miliardy dolarów autostrady i linie kolejowe, w tym połączenie kolei dużych prędkości na linii Belgrad–Budapeszt.

„Dopiero głosy oburzenia, jakie się dało słyszeć w Parlamencie Europejskim ze strony deputowanych zaskoczonych, że Chiny tak blisko granic UE pozwalają sobie na coraz więcej, skłoniły brukselskich dyplomatów do pomocy Czarnogórze. Ale ograniczyły się one głównie do kwestii oprocentowania gwarancji bankowych, co oczywiście jest ważne, ale nie krytyczne” – tłumaczy Grgić.

Latem 2021 roku rząd w Podgoricy spłacił pierwszą ratę pożyczki. Było to możliwe dzięki osiągnięciu przez rząd porozumienia z bankami w Unii Europejskiej i w Stanach Zjednoczonych w sprawie zabezpieczenia zadłużenia. Oprocentowanie pożyczki spadło z 2 do 0,88 proc. Porozumienie, którego szczegółów nie ujawniono, zawarto z niemieckim Deutsche Bank, francuskim Société Générale oraz amerykańskimi Merrill Lynch i Goldman Sachs.

„Duży udział w tym procesie miał Waszyngton. Wszyscy wiemy, że administracji Joe Bidena każdy przejaw umacniającej się pozycji Chin zapala czerwoną lampkę, szczególnie jeżeli dotyczy państwa będącego członkiem NATO” – mówi mi Pavel, Bułgar, członek jednej z amerykańskich organizacji działających w jego kraju. Rozmawiamy w Warszawie, podczas konferencji dotyczącej współpracy państw tzw. Trójmorza. Zastrzega, że „w żadnym razie nie może mówić pod nazwiskiem”, i zaraz dodaje: „Amerykanie starają się pilnie obserwować wpływy chińskie w naszym regionie. Z tym że, no cóż, u nas łatwo się pogubić w lokalnych zawiłościach i układach, bo ich połączenia idą po najdziwniejszych trajektoriach. Chiny nie mają tego problemu. Stosują prostą zasadę: zasypują pieniędzmi i czekają, aż odpowiedni ludzie zrobią z nich pasujący im użytek. Dlatego ta «pułapka zadłużenia», o której się mówi w kontekście chińskich inwestycji, tak świetnie działa. Po prostu często jej nie widać, jest tak ładnie przykryta obietnicami i obrazami robiących świetne wrażenie inwestycji” – tłumaczy.

Dyplomacja chwilówkowa

W 2019 roku Arthur Culvahouse, dopiero co powołany ambasador Stanów Zjednoczonych w Australii, wypalił dziennikarzom, że celem USA i ich sojuszników powinno być uświadomienie światu niebezpieczeństw, jakie płyną z chińskiej polityki kredytowania inwestycji w mniejszych i słabszych gospodarkach. „Ja bym to nazwał dyplomacją chwilówkową”⁶ – oznajmił mało dyplomatycznie i dopowiedział, że w jego opinii oferowane przez Chiny „pieniądze są na pozór atrakcyjne, tyle że warto przeczytać, co napisano drobnym drukiem”.

Tymczasem już od lat Chiny są krytykowane nie tylko przez zachodnich polityków, ale i przez ekonomistów – za to, że uzależniają od siebie kraje, w których finansują projekty infrastrukturalne związane z ich Inicjatywą Pasa i Szlaku. Na przykład w Sri Lance Chińczycy w zamian za umorzenie wielomiliardowego kredytu przejęli port morski, port lotniczy oraz tereny budowlane.

Nie zawsze zresztą chodzi o przejmowanie, na poczet długów, konkretnych dóbr. Nie mniej ważne jest budowanie wokół Chin odpowiedniego klimatu, zdobywanie nowych wiernych i wdzięcznych sojuszników. W 2019 roku chiński rząd umorzył Kamerunowi 78 mln dol. długu zaciągniętego na budowę infrastruktury. Prasa spekulowała potem, że w dowód wdzięczności afrykańskie państwo wycofało swojego kandydata i poparło wiceministra rolnictwa ChRL w wyborach na szefa FAO, czyli agendy ONZ ds. Wyżywienia i Rolnictwa. Ostatecznie Chińczyk pokonał kandydatkę z Francji i objął stanowisko.

Oczywiście w ogromnej mierze to Afryka i Azja są największym placem budowy dla chińskich korporacji. Ale ich losy służą także za pouczającą lekcję na temat kosztów, z którymi wiążą się te budowy.

Weźmy Laos: ten rządzony przez partię komunistyczną kraj jest jednym z najbiedniejszych w Azji. Mimo to realizuje wart 6,7 mld dol. projekt budowy szybkiej kolei, która go połączy z Chinami. Jego koszt to ponad 80 proc. laotańskiego PKB. Finansowany ma być w dużej części z pożyczek zaciągniętych

w chińskich bankach. W zamian władze Laosu dały Chinom koncesje górnicze i ziemie uprawne oraz będą dostarczać różnego rodzaju surowce. Kontrakt zaś będą realizowały spółki z Państwa Środka, sprowadzające na miejsce swoich inżynierów i wykwalifikowanych robotników. Na pierwszy rzut oka sytuacja *win-win*. Ale tylko na pierwszy, bo Laos w tym układzie jest ledwie ubogim kuzynem, który ma bardzo niewiele do powiedzenia.

W podobną pułapkę wpadły władze Sri Lanki. Postanowiły stworzyć za chińskie pieniądze wielki port w miasteczku Hambantota na południu wyspy. Kontrakt na jego budowę przyznały spółce China Harbor. Chińczycy byli więc głównymi wykonawcami prac i oni najwięcej na nich zarobili. Pieniądze na budowę pochodziły z kredytów zaciągniętych w Państwie Środka. Pierwszy z nich opiewał na 307 mln dol., drugi na 700 mln dol., a trzeci na 1 mld dol. Port okazał się na razie komercyjnym fiaskiem, a Sri Lanka pozostała z ponad 3 mld dol. długu, którego nie była w stanie spłacić. Chińczycy chętnie jednak renegocjowali warunki spłaty i w ten sposób uzyskali w 2017 roku prawo do dzierżawienia tego portu od Sri Lanki na 99 lat.

Podobne pożyczki kuszą także Europę Środkową. W latach 2005–2019 chińskie inwestycje na Bałkanach Zachodnich, z wyłączeniem Albanii, osiągnęły wartość 14,6 mld dol. Najwięcej pieniędzy trafiło do Serbii – oficjalnie około 10,3 mld dol. „Oficjalnie mówi się o tym «inwestycje». Ale my tak naprawdę nie wiemy, ile z nich to faktyczne inwestycje, a ile to pożyczki zaciągane w Chinach na projekty infrastrukturalne, transportowe oraz energetyczne” – opowiada mi Ana Stevanović z serbskiej partii Wolność i Prawda. „Nie wiemy, bo rząd broni dostępu do pełnych i przejrzystych informacji. Opieramy się na wycinkach, na tym, co udaje się wydobyć, gdy konkretny projekt jest tworzony w kooperacji z zachodnimi partnerami albo gdy jakiś dziennikarz czasem coś ujawni w wyniku swojego śledztwa” – dodaje polityczka.

Dlatego gdy ekonomiści piszą o chińskiej „dyplomacji pułapki zadłużeniowej”, to tylko szacują, że pożyczki z Pekinu odpowiadają za jakieś 15 proc. zobowiązań Serbii, Bośni i Hercegowiny, 20 proc. Macedonii Północnej i 40 proc. Czarnogóry.

To oczywiście sytuacje ekstremalne, ale po wykonawców z Państwa Środka coraz chętniej sięgają inwestorzy w całym regionie. Bo jednym z ich największych atutów jest szansa łatwego pozyskania funduszy z chińskich banków państwowych: Exim Bank, Bank of China czy China Development Bank.

Budowa czarnogórskiej autostrady po dogadaniu się nowego rządu z Pekinem przyspieszyła. Ale dług Czarnogóry oczywiście nie zniknął. „Chiny nadal są wierzycielem, a pozostałe transze będą musiały zostać spłacone partnerom z Pekinu. Autostrada jest długoterminowym kosztownym projektem, który będzie wisiał nad Czarnogórą przez dziesięciolecia. Ale i tak jestem przekonany, że autostrada Bar–Boljare kiedyś powstanie i na pewno swoim rozmachem zrobi wrażenie. A wtedy wszyscy zapomną, jak to przedsięwzięcie wyglądało od kuchni. Chiny za to będą miały piękną wizytówkę swoich możliwości” – podkreśla Vladislavljev. „Bar–Boljare będzie kiedyś chwytliwą reklamą wchodzenia z nimi w kooperacje, brania od nich pożyczek i wydawania ich na inwestycje realizowane przez chińskie firmy, rękoma chińskich robotników. Tak działa to inwestycyjno-polityczne perpetuum mobile” – dodaje ekspert.

Syndrom COVEC

Modelowe sukcesy są potrzebne, bo pierwsze podejścia Chin do wielkich infrastrukturalnych inwestycji w Europie kończyły się mało spektakularnie. Przez lata panowało przekonanie, że Chiny realizują projekty infrastrukturalne wyłącznie w krajach rozwijających się. Powód: nie są w stanie skutecznie konkurować z tymi bogatszymi, a już szczególnie na unijnym rynku. Najlepszym i najbardziej spektakularnym dowodem miała być porażka COVEC w Polsce.

Polska ledwie kilka lat była członkiem Unii Europejskiej. Cały kraj czerpał z napływających dotacji, ze szczególnie rozbudzonymi nadziejami patrząc na transze infrastrukturalne. Dodatkowo jak na wielki impuls rozwojowy, niemalże „mały plan Marshalla”, czekano na zbliżające się współorganizowane z Ukrainą Euro 2012. Na piłkarskie rozgrywki szykowano nie tylko nowe stadiony, hotele

i przez lata zapuszczone dworce kolejowe, o których Kult śpiewał kiedyś, że pękają od nich oczy. Przede wszystkim cały kraj czekał na wielkie inwestycje drogowe.

W 2007 roku minister transportu w rządzie PiS Jerzy Polaczek wraz z ówczesnym dyrektorem Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad (GDDKiA) oraz prezesem PKP Polskie Linie Kolejowe podpisali w Chinach listy intencyjne w sprawie budowy przez tamtejsze firmy polskiej infrastruktury. Oficjalnie był to pomysł na to, by z pomocą chińskich firm rozbić działający w Polsce „układ drogowy”. Podejrzewano, że na naszym rynku budowy dróg istnieje kartel firm, które zmawiają się ze sobą i windują ceny. Twardych dowodów wprawdzie brakowało, ale pojawił się silny bodziec, by przyspieszyć budowę infrastruktury.

Ambitne Chiny wydawały się idealnym partnerem, szczególnie po 2008 roku, kiedy w wyniku kryzysu finansowego rynek się załamał i państwo stało się głównym inwestorem zapewniającym duże zamówienia. Między polskimi firmami zaczęła się ostra rywalizacja, polegająca w dużej mierze na obniżaniu cen. Ale Chińczycy byli jeszcze tańsi. A że był to moment, gdy urzędnicy asekuracyjnie wszelkie przetargi rozstrzygali na podstawie obiektywnie najtrudniejszego do podważenia argumentu, czyli ceny, to oferty z Dalekiego Wschodu były bezkonkurencyjne.

Chińczycy wygrali swój pierwszy przetarg, żądając 26 mln zł za kilometr. Ubiegające się o ten sam kontrakt konsorcjum pod kierunkiem firmy Hermann Kirchner Polska wyliczyło koszt prac na o 10 mln zł więcej za każdy kilometr. W efekcie w 2009 roku, gdy wielkiej chińskiej firmie budowlanej COVEC powierzono budowę dwóch odcinków autostrady A2 za kwotę 1,3 mld zł, była to cena dwukrotnie niższa od kosztorysowanej. Czy taka oferta mogła być rzetelna? W czerwcu 2011 roku wszystko się posypało. Na ostatniej prostej przygotowań do Euro 2012 COVEC niespodziewanie zgłosił konieczność podniesienia wartości kontraktu. GDDKiA nie zgodziła się na takie warunki, więc... chińska firma po prostu opuściła plac budowy, pozostawiając niedokończoną autostradę.

Powiedzieć, że wybuchł skandal, to nic nie powiedzieć. Do Euro zostały już tylko miesiące, a kluczowa droga wciąż była jednym wielkim placem budowy. Ostatecznie trasę szykowaną z myślą o kibicach, którzy mieli ściągnąć z całej Europy, ukończyły na raty polskie firmy. Polska jednak nie zamierzała darować chińskiemu wykonawcy i zaczęła się domagać odszkodowania w wysokości 741 mln zł.

Walka trwała długo i była trudna. Owszem, po trzech latach chińska firma spłaciła gwarancje bankowe, które przez lata były blokowane w chińskich sądach. Pozostawało jej jednak jeszcze 550 mln zł kar umownych, między innymi za opóźnienia w budowie, wypłaty odszkodowań dla firm podwykonawczych, a wreszcie za samo zerwanie kontraktu. Szacowano wtedy, że realnie uda się odzyskać 200 mln zł. Dopiero po latach, już za rządów PiS, Polska zawarła z COVEC ugodę, choć wysokości odszkodowania nigdy nie ujawniono. „Mamy nadzieję, że ten krok pozwoli nam dalej budować wizerunek rzetelnego partnera w Polsce i otworzy chińskim przedsiębiorstwom drzwi do udziału w przetargach w Polsce i w całej Europie” – mówił wtedy Shi Ping, przewodniczący Rady Dyrektorów Konsorcjum.

Ale skandal wybuchł nie tylko w Polsce. Także w Chinach za wpadkę COVEC posypały się głowy. Inwestycja w środkowoeuropejskim kraju miała być wizytówką chińskich budowniczych przed planowaną ekspansją w Europie. Kiedy okazała się spektakularną klapą, stanowiskiem zapłacił ówczesny prezes firmy Fang Mingyuan. Zaś w 2013 roku na karę śmierci w zawieszeniu na dwa lata został skazany były minister kolejnictwa Liu Zhijun, zwany „carem kolei”⁷. Liu w 2011 roku został oskarżony o łapówkarstwo, który to zarzut w chińskich warunkach często służy jako pretekst do przetasowań na szczytach władzy. A właśnie wtedy coraz bardziej umacniał swoją pozycję Xi Jinping, ówczesnie jeszcze tylko jeden z wiceprzewodniczących Chińskiej Republiki Ludowej. Ale ambicje tego polityka sięgały już znacznie wyżej: rok później został wybrany na stanowisko sekretarza generalnego KPCh, czyli *de facto* przywódcy całego państwa. I zaczął skupiać całą władzę w swoim ręku.

Zanim jednak do tego doszło, potrzebna była czystka w elitarnych szeregach. Minister Liu był nadzorcą wielu spółek pokroju COVEC, które poza Azją realizowały duże inwestycje infrastrukturalne. Jego aresztowanie przyczyniło się więc do czasowego wstrzymania przez Bank of China transferów finansowych do tych firm. I to właśnie było jedną z przyczyn porażki COVEC na budowie polskiej A2. Bardzo możliwe, że gdyby nie to wstrzymanie pieniędzy, resort kierowany przez Liu – znanego z częstego przekraczania zakładanych budżetów na inwestycje – dosypałby po prostu podległej spółce funduszy. W końcu dobry wizerunek Chin, szczególnie w Unii Europejskiej, był bezcenny.

Restrykcje finansowe nałożone przez władze na ministerstwo Liu stały się początkiem kłopotów COVEC. Firma już kilka miesięcy po aresztowaniu „cara kolei” przestała płacić polskim podwykonawcom. Co więcej, Bank of China uznał, że podległe Liu spółki, w tym COVEC, przeinwestowały – i zablokował nowe transfery. Właśnie wtedy niemal z dnia na dzień firma zwinęła się z Polski.

Same Chiny szybko jednak wyciągnęły wnioski z tej porażki. Xi Jinping, pnący się w strukturach władzy, właśnie z walki z korupcją uczynił jedną ze swoich głównych politycznych celów. Przede wszystkim była to po prostu metoda umacniania wpływów. A bardzo wysoka karda dla Liu, któremu obok milionowych łapówek wyciągnięto też utrzymywanie 18 kochanek, posiadanie 350 mieszkań i kilkunastu luksusowych aut, była idealną pokazówką.

Ale nie mniej ważne w przypadku COVEC – o czym donosił między innymi rządowy tygodnik „Caixin Century”⁸ – było wyciągnięcie z popełnionych błędów pogłębionych wniosków. Zaczęto od słabej orientacji w lokalnej sytuacji gospodarczej państw, gdzie Chiny planowały ekspansję (w tym Polski), oraz od nieuwzględnienia tego, że w momencie opracowywania oferty ceny materiałów budowlanych w Polsce od 10 lat tkwiły w dołku, a kurs złotego też dołował ze względu na światowy kryzys.

Nie było również refleksji, że w państwie członkowskim Unii działania chińskiego wykonawcy będą kontrolowane przez media, władze i związki zawodowe znacznie silniej niż w Afryce czy Azji. Zresztą i tam COVEC miał już

spore problemy. W Angoli zbudowany przez Chińczyków szpital zawalił się po kilku miesiącach użytkowania. Władze Fidzi zerwały umowę na budowę drogi szybkiego ruchu, gdy rok po terminie oddania jej do użytku było gotowe 35 proc. inwestycji⁹.

Jesienią 2012 roku, gdy ukazał się w Polsce *Podbój świata po chińsku*, książka – dziś już uchodząca wśród znawców tematu za pozycję klasyczną – hiszpańskich dziennikarzy śledczych Juana Pablo Cardenala i Heriberto Araújo, polski wydawca poprosił autorów o kilka słów wstępu skierowanego do lokalnego czytelnika. Miało to uzasadnienie, bo książka owszem, traktowała o „podboju świata”, ale skupiała się na krajach Afryki, Ameryki Łacińskiej i Azji, czyli rejonach dla Polaków dosyć odległych, których sytuacja, wydawać by się mogło, nieszczególnie się przekłada na nasze lokalne interesy.

Cardenal i Araújo przylecieli na kilka dni do Polski i jednoznacznie ocenili, że obecnie najważniejszym elementem w chińskiej układance jest sprawa COVEC. „Znakomicie ukazuje wyzwania, jakim muszą stawić czoło Chińczycy, decydując się na zachodnią przygodę. Żadna bowiem chińska budowa nie narobiła tyle rabanu w Europie, mimo że w założeniu miała zapoczątkować strategiczne wejście szerokim frontem chińskich państwowych przedsiębiorstw budowlanych na złąknione inwestycji rynki zachodnioeuropejskie”¹⁰ – pisali Hiszpanie i dodawali, że afera unaocznia, jakim wyzwaniom Chińczycy będą musieli stawić czoło w drugiej fazie swojej ekspansji: „Oto państwo autokratyczne będzie musiało się nauczyć toczyć spory ze świadomymi swojej siły społeczeństwami i surowym ustawodawstwem dostosowanym do norm obowiązujących w państwie prawa, a nie dogadywać się ze skorumpowanymi elitami – często o skłonnościach dyktatorskich – żywiącymi własne pragnienia i ambicje, co Pekin czyni teraz, realizując kontrakty w Afryce czy Azji”¹¹.

COVEC ujawnił wszelkie ówczesne niedoskonałości Chin już coraz wyraźniej aspirujących do pozycji lidera XXI wieku. W tym szczególnie niezrozumienie lokalnych uwarunkowań. Faktycznie po blamażu w Polsce długo funkcjonował

„syndrom COVEC”: każda większa infrastrukturalna współpraca z Chinami z miejsca budziła zastrzeżenia.

Tyle że to było przeszło dekadę temu. I Chiny zrobiły wiele, by się zmienić i poprawić wizerunek wielkich inwestycji firmowanych przez Pekin na całym świecie – więc i opory wobec nich nie są już tak radykalne. W ostatnich latach chińskie firmy wróciły do gry. W Polsce w drugiej połowie 2019 roku wykonawcy z Chin złożyli oferty w 10 z 23 otwartych postępowań. Pod koniec tamtego przedpandemicznego roku chińska firma Stecol Corporation wygrała przetarg o wartości 561 mln zł (przedstawiła najtańszą ofertę ze wszystkich dziesięciu, jakie wpłynęły) na budowę zachodniej obwodnicy Łodzi, na drodze S14. I nikt szczególnie się nad tym wyborem nie rozwodził.

Kontrowersje za to wzbudziło wybranie do wartego 4 mld zł kontraktu na budowę polskiego odcinka Rail Baltiki (Czyżew–Białystok) konsorcjum składającego się z polskiej firmy Intercor oraz z chińskich podmiotów: Sinohydro i wspomnianego Stecolu. Polscy konkurenci oburzali się na według nich za niskie stawki i nikłe doświadczenie chińskich wykonawców w Europie. Ale i tak w połowie 2020 roku doszło do podpisania umowy.

Może się to wszystko wydawać lokalnymi, nieszczególnie istotnymi historyjkami. Ale nawet one układają się w szerszy obraz. To obraz 20 lat opanowywania przez chińskie firmy zasad gry obowiązujących w międzynarodowej branży budowlanej. Ta, owszem, wciąż pozostaje zdominowana przez Europę, ale dominacja z roku na rok topnieje. Dziś Chiny mają 27 firm wśród 100 największych globalnych wykonawców budowlanych, w 2000 roku było ich ledwie 9. Europa ma ich obecnie 37, ale dwie dekady temu było ich 41. Amerykańskich firm w tej setce potentatów zostało się 7, w porównaniu z 19 sprzed 20 lat.

Lekcje pobierane w Europie Środkowej przynoszą, jak widać, efekty. Nawet jeśli dla samych Chińczyków bywa to doświadczenie niczym z czeskiego filmu.

Most do Europy

„Dla mnie osobiście to wiele znaczy, bo moja teściowa z 10 lat temu zapowiedziała, że jeśli kiedyś ten most zostanie zbudowany, to z niego skoczy” – żartował jeden z mieszkańców Komarny¹², gdy chorwacki dziennikarz dzień przed otwarciem mostu Pelješac przepytывał mieszkańców okolicznych miasteczek, co ta inwestycja dla nich oznacza.

Żart taki sobie, ale szybko zawirował całą Chorwację. Bo nie chodzi w nim o stereotyp teściowych i zięciów, tylko właśnie o gasnące przez lata nadzieje na to, że ten most w ogóle powstanie. Jego wizje snuto od dekad, a od ćwierć wieku pokazywano kolejne wizualizacje, plany i wyliczenia. I ciągle nic. Mostu jak nie było, tak nie było.

„Z wielką radością mogę powiedzieć, że Chorwacja wreszcie się połączyła” – premier Andrej Plenković¹³ takimi właśnie słowami latem 2021 roku ogłosił, że w końcu rozwiązano problem, który w chorwackiej pamięci narodowej ciągnie się od przeszło 300 lat. Tym wielkim osiągnięciem jest spięcie Chorwacji kontynentalnej z półwyspem Pelješac, a co za tym idzie, z najważniejszym miastem Dalmacji – Dubrownikiem. Premier szczególne podziękowania złożył firmie, która mimo pandemii zakończyła projekt w terminie: China Road and Bridge Corporation (CRBC). Tak, to ta sama CRBC, która 200 km dalej na południe nie wyrobiła się z budową autostrady przez Czarnogórę.

Most na półwysep Pelješac to dla Chorwatów najważniejsza inwestycja infrastrukturalna od uzyskania niepodległości. Pierwszy raz zaczęło się o nim mówić po rozpadzie Jugosławii, gdy Chorwacja, która posiada ogromną część linii brzegowej Adriatyku, niemal odcięła od morza Bośnię i Hercegowinę. Niemal, bo 22 km wybrzeża z jednym ledwie miastem, Neum, utrudniało Chorwatom połączenie z Dalmacją. Nagle by dostać się z północnej Chorwacji do Dubrownika, trzeba było stać w korkach na podwójnej granicy, albo potężnie nadłożyć drogi.

A przecież między kontynentem a półwyspem Pelješac, który łączy się ze stałym lądem nieco na północ od Dubrownika, jest cieśnina, która w dogodnym

miejscu ma ledwie 2,5 km.

Jako konkretna inwestycja most spinający dwa brzegi został zapowiedziany w 2005 roku. I od tamtej pory zawisła nad nią klątwa. Budowę przyczółków mostu zaczęto już w 2009 roku. Ale kryzys ekonomiczny dotarł i do Chorwacji i ówczesna premier Jadranka Kosor zdecydowała o przesunięciu prac i terminu ich ukończenia – z 2012 na 2015 rok. Tymczasem przedsięwzięcie w ogóle zawieszono, uznając, że jednak pilniejsza jest autostrada między Ploče a Dubrownikiem, biegnąca przez terytorium Bośni i Hercegowiny. W 2015 roku kolejny rząd (premiera Zorana Manovicia) ogłosił, że most wraca do gry. Koszt jego postawienia wyliczono na 380 mln euro, a całość miała być gotowa w 2019 roku. Ale do 2018 roku nie było zgody Unii Europejskiej na współfinansowanie prac – a bez jej funduszy Zagrzeb by budowy mostu nie udźwignął.

Kiedy już fundusze się znalazły, to niespodziewanie przetarg wygrała wspomniana chińska CRBC. Jej właściciel, chiński koncern państwowy China Communications Construction Company (CCCC), to nieprzypadkowy gracz. Wręcz przeciwnie, to trzecia największa firma inżynieryjno-budowlana na świecie, co dla Zagrzebia było koronnym argumentem. Tym bardziej że Chińczycy obiecali uwinąć się w dwa lata, i to za sporo niższą kwotę, niż wskazywały wcześniejsze wyliczenia, bo za 281 mln euro. Ale rynek miał wątpliwości.

W przetargu startowały również spółki włoskie, austriackie i tureckie, które odwołały się od decyzji komisji przetargowej. Argument: za tanio i bez gwarancji powodzenia. Austriacki Strabag złożył nawet wniosek o wstrzymanie wszelkich prac przy inwestycji do czasu rozstrzygnięcia sporu sądowego. Mimo to uroczystość podpisania umowy zaszczycił swoim udziałem sam premier Plenković, a kontrakt przedstawiano jako wielki sukces jego gabinetu i potwierdzenie, że Chorwacja faktycznie będzie czerpała zyski z udziału w chińskiej Inicjatywie Pasa i Szlaku, do której Zagrzeb przystąpił w 2017 roku.

„Już nikt nie wierzył, że ten most kiedyś powstanie. Całe pokolenie żyjące w Dubrowniku urodziło się i zestarzało, słuchając o moście Pelješac. Projekt był

obarczony tyłoma problemami, opóźnieniami i kryzysami, że wzięcie chińskiej firmy na wykonawcę wydawało się po prostu machnięciem na nią ręką. A tu niespodzianka: Chińczykom udało się – i to mimo pandemii – skończyć budowę właściwie na czas” – opowiada Luka Ivan Jukić, chorwacki dziennikarz specjalizujący się w tematyce euroazjatyckiej oraz analityk danych pracujący dla serwisu Europe Elects.

Rozmawiamy latem 2021 roku, Luka mieszkający i pracujący w Wielkiej Brytanii od początku pandemii nie był w ojczystej Chorwacji. Ale i tak doniesienia o Pelješacu docierały do niego niemal codziennie. Wspomina, że wygraną CRBC przyjęto z dużym dystansem: „Największe kontrowersje budziło to, że od czasów COVEC to był pierwszy tak duży projekt finansowany przez Unię, w którym chińska spółka jest samodzielnym wykonawcą. Czy to udźwigną? A doszła do tego jeszcze coraz większa świadomość, że dla Chin to nie jest gra tylko o tę jedną inwestycję. Przecież udana budowa mostu Pelješac stanie się istotnym atutem w kolejnych przetargach, już w całej Unii” – podkreśla dziennikarz.

Od lat kolejni wielcy chińscy gracze liczyli na możliwość spektakularnego wejścia na rynki europejskie. „Właśnie nasz region traktują jako przyczółek do nauki biznesowych zasad gry na Starym Kontynencie” – tłumaczy Stefan Vladislavljev, serbski analityk chińskich wpływów.

Kiedy więc CRBC weszła na budowę, zrobiono wszystko, by tym razem jednak była to idealna reklama chińskiej skuteczności. Szczególnie że zadziałał wspomniany przez Vladislavljeva *modus operandi* charakterystyczny dla chińskich projektów: „Ewidentnie priorytetem Pekinu przy zagranicznych zleceniach są takie inwestycje, w których strona chińska decyduje o wyborze podwykonawców. Dzięki temu ma i większą kontrolę nad projektem, i – przede wszystkim – możliwość ściągania własnych pracowników. To o tyle ważne, że ich nie obowiązują lokalne kodeksy pracy”.

Podobnie jak w Polsce czy w Czarnogórze, także tutaj różnice językowo-kulturowe oraz po prostu ścisły nadzór nad pracą odcięły robotników od kontaktów z Chorwatami. Tyle że lokalnie spotkało się to raczej tylko z zachwytyami. Jedna

z głównych chorwackich gazet napisała, że chińscy robotnicy „pracują jak mrówki” nawet w „piekielnych warunkach”. I to 24 godziny na dobę.

Zadziałało. Na początku 2021 roku miasto Zadar ogłosiło studium wykonalności mostu łączącego malowniczą wyspę Pašman z Chorwacją kontynentalną. Projekt miałby połączyć z lądem również wyspę Ugljan. Gdy plan był gotowy, oczy lokalnych władz skierowały się automatycznie w stronę CRBC. Chińska korporacja zapewniała już lokalnych polityków, że most o długości 2 km można wybudować naprawdę szybko. Brane są pod uwagę dwie wersje, jedna o wartości 53, a druga 80 mln euro. CRBC zapewne się zdecyduje: firma nie musiałaby wysłać sprzętu i siły roboczej z powrotem do Chin. Zaproponowali już nawet pomoc w finansowaniu projektu, czyli w negocjacjach z chińskimi bankami w sprawie ewentualnej pożyczki.

„Budowa mostu Pelješac cementuje przyjaźń między Chorwacją a Chinami”, głosi jedno z haseł wyklejonych na moście podczas jego budowy. „To duży sukces *soft power* Chin” – podkreśla chorwacki dziennikarz Luka Ivan Jukić. I nawet gdy jesienią 2021 roku chińska firma zażądała dodatkowych pieniędzy za dokończenie budowy (obliczyła, że rosnące ceny stali, skutki pandemii, a także wyższe ceny biletów lotniczych dla chińskich pracowników podniosły koszty o 450 mln kun [280 mln zł], co stanowi ponad 20 proc. całkowitej wartości kontraktu), to zastrzegła, że jest poważnym partnerem i na pewno wszystkie prace dokończy.

Wściekle ptaki nad Bałtykiem

To jednak nie polskie drogi, nie mosty w Chorwacji ani nawet nie trasa przez Bałkany są dla chińskich inwestycji najbardziej prestiżowe. Wizerunkowo kluczowym dla Chin projektem logistycznym w tej części Europy jest budowa szacowanego nawet na 15 mld euro podmorskiego tunelu między estońskim Tallinem a fińskimi Helsinkami. Przedsięwzięci tak ambitne, że aż brzmi jak fantazja.

Projekt jest dzieckiem Petera Vesterbacka. Nazwiska tego biznesmena można nie kojarzyć, ale jego najsłynniejsze dzieło, czyli grę *Angry Birds*, znają wszyscy. Gdy dekadę temu pojawiła się na smartfonach i tabletach, podbiła właśnie pączkujący świat internetu mobilnego i zapewniła globalny sukces firmie Rovio. Vesterback był wtedy szefem jej marketingu. Dziś człowiek, który dał nam rozrywkę polegającą na strzelaniu słodkimi ptaszkami, ma znowu ambicje na światowy sukces: 103-kilometrowy tunel łączący pod Zatoką Fińską wybrzeża Finlandii i Estonii.

Estonia lubi o sobie mówić, że jest „cyfrowym sercem Europy”. Serce to liczy niespełna 1,3 mln mieszkańców, ale rzeczywiście od lat stawia na cyfryzację usług publicznych i wspieranie start-upów. Kolejne estońskie rządy uwierzyły, że to metoda na to, by nie mając ani wielkiego przemysłu, ani silnej armii, ani zasobów naturalnych, zbudować dobrobyt i bezpieczeństwo. Kiedy się chodzi uliczkami Tallina, nie widać jednak wielkiego cyfrowego skoku, wręcz przeciwnie – miasto podkreśla swój historyczny charakter i przekonuje, że bliżej mu do krajów nordyckich niż wschodnioeuropejskich. Wystarczy przecież stanąć na kamiennych schodach Linnahall, przedziwnej hali widowiskowo-sportowej wybudowanej nad brzegiem Bałtyku w czasach schyłkowej świetności ZSRR, i spojrzeć na morze, by na horyzoncie zamajaczyła Finlandia. A przynajmniej udaje się to w bezchmurne dni. Jak mawiają Estończycy: nie ma żadnej europejskiej stolicy, do której mieliby bliżej niż do Helsinek.

Nic dziwnego, że pomysł budowy tunelu spowodował poruszenie. Tunelem – według planów najdłuższym na świecie, bo prawie dwa razy dłuższym niż tunel pod kanałem La Manche oraz japoński Seikan – już od 2024 roku ma jeździć szybka kolej. Zamiast 90 minut promem, 20 minut pociągiem z Tallina do Helsinek. Ale to w wizji Vesterbacka dopiero początek wielkiej inwestycji, która ma doprowadzić do powstania „Nordyckiej Doliny Krzemowej”. Plan obejmuje sztuczną wyspę dla 50 tys. pracowników i specjalne centrum technologiczne w Helsinkach. Finlandia w wizjach Vesterbacka mogłaby się stać, w połączeniu z szybko cyfryzującą się Estonią, innowacyjną siłą pociągową całego kontynentu.

Oba państwa przebąkują o tunelu od dłuższego czasu. Zawsze jednak problemem były pieniądze. Vesterback znalazł na to sposób: chińscy inwestorzy. Za realizację przedsięwzięcia odpowiada FinEst Bay Area Development, które w 2019 roku podpisało memorandum z trzema chińskimi spółkami państwowymi: China Railway International Group, jej spółką matką China Railway Group i znanym nam już China Communications Construction Company. Głównym sponsorem zaś ma być China's Touchstone Capital Partners, czyli firma wyspecjalizowana w wyszukiwaniu inwestycji infrastrukturalnych dla chińskiego kapitału.

„Dziś mamy właściwie dwa odrębne pomysły na ten tunel. Jeden jest publiczny, estońsko-fiński, tyle że koszty jego realizacji są tak duże, że wciąż pozostają w sferze teorii” – Frank Jüris, analityk z Estońskiego Instytutu Polityki Zagranicznej, specjalizujący się w Chinach, o tunelu wypowiada się bez specjalnego entuzjazmu. „Drugi plan, stworzony i pilotowany przez Vesterbacka, rozbija się z kolei w ogromnej mierze właśnie o kwestie finansowania. Estońskie Ministerstwo Finansów i Przedsiębiorczości odrzuciło go z obawy przed niewykonaniem inwestycji, niekorzystnym wpływem na środowisko i problemami z finansowaniem, a nie dlatego, że w Estonii czy Finlandii panuje jakaś szczególna niechęć w stosunku do Chin. Po prostu projekty realizowane w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku, no cóż, bardzo często nie oferują niczego goszczącemu je państwu. Chiny lubią podkreślać, że zależy im tylko na udanym biznesie, ale od dziesięcioleci są tylko w ograniczonym zakresie zainteresowane rozwojem strategicznej infrastruktury w regionie nordycko-bałtyckim. Powód jest bardzo praktyczny: chińscy inwestorzy chcieliby, żeby ta budowa nie tylko była finansowana z chińskich pożyczek, ale też aby ją prowadziły chińskie firmy, najlepiej rękoma chińskich robotników. A jesteśmy tu w samym środku – może nie geograficznym, ale mentalnym – Unii Europejskiej” – podkreśla Jüris i dodaje, że każda inwestycja wymaga stosowania się do tutejszych zasad.

Estoński analityk tłumaczy, że budowa, która miałaby być zastrzykiem dla chińskich gigantów biznesu budowlanego, nie wygląda na szczególnie korzystną.

„Owszem, spełnilibyśmy zasadę *win-win*, tyle że to Chiny zgarnęłyby podwójną wygraną”.

Estoński rząd po raz pierwszy wyraził wątpliwości co do planu Vesterbacka latem 2020 roku, kiedy minister gospodarki Taavi Aas oświadczył, że kluczowe jest pochodzenie pieniędzy na inwestycję. A estoński wywiad coraz wyraźniej, i to już nawet nie w tajnych raportach, ostrzega przed narastającą chińską presją. W najnowszym, bo z 2021 roku, raporcie dyrektor generalny Estońskiej Służby Wywiadu Zagranicznego (Välisluureamet) już we wstępie ostrzega, że „nie możemy ignorować Chin, których działania co roku prowokują do rozważania nowych kwestii bezpieczeństwa. Mówimy o coraz bardziej konfrontacyjnej polityce zagranicznej, a także o operacjach wpływu i zagrożeniach związanych z sinizacją technologii, tj. z groźbą uzależnienia się od technologii kontrolowanej przez Chiny. Podobnie jak nasi partnerzy, my również bacznie przyglądamy się zacieśnianiu współpracy Chin z Rosją, relacji zdominowanej głównie przez Pekin”¹⁴.

Efektem jest ochłodzenie politycznych emocji wokół tunelu. Jaak Aab, estoński minister administracji publicznej, w lipcu 2021 roku powiedział, że zaleci swojemu rządowi, aby nie kontynuował planu Vesterbacka z powodu poważnych obaw, w tym „ze względów środowiskowych, ekonomicznych i bezpieczeństwa”¹⁵. Aab mówił tak: „Wielokrotnie prosiliśmy dewelopera o uzupełnienie i poprawienie wniosku; niestety wniosek złożony po raz trzeci nie rozwiązał wątpliwości i jest pod każdym względem sprzeczny z interesami państwa. Dzieje się tak pomimo licznych spotkań i ton korespondencji”.

Choć w ustach oficjela brzmi to, jakby Tallin skupiał się na technikaliami i szczegółach projektu, w rzeczywistości – co nie jest specjalną tajemnicą – Ministerstwo Administracji Publicznej konsultowało się w sprawie chińskiego inwestora z rządem fińskim oraz z innymi ministerstwami i władzami sektorowymi.

Wnioski z tych konsultacji wypłynęły dosyć klarowne: wciąż z Tallina do Helsinek lepiej pływać promem. Może to i mało nowoczesne, i niezbyt

widowiskowe, ale przynajmniej bez pakowania się w trudny do zahamowania mechanizm pożyczkowy.

* * *

Miliardy dolarów, które płyną z Chin w ramach pożyczek, napędzają gospodarki, w tym także europejskie. Tyle że w sporej części zawieranych w ten sposób transakcji tkwi jednak pewien haczyk – te inwestycje to tak naprawdę dług zaciągnięty w wielkich kontrolowanych przez państwo bankach chińskich. To Chiny decydują, co się stanie, jeśli pożyczki nie zostaną spłacone albo jeśli się pojawią problemy z realizacją tak sfinansowanej inwestycji, przedłużą się terminy, potrzebne będą dodatkowe nakłady. Wystarczą ustępstwa gospodarcze lub polityczne ze strony kredytobiorcy, by pieniądze płynęły dalej. I choć model tej pułapki kredytowej jest już szeroko znany, to i tak wpadają w niego kolejne i kolejne państwa, których rządy pragną szybkich i dużych sukcesów inwestycyjnych.

ROZDZIAŁ 9

TIKTOK, KRECIK I PANDA, CZYLI JAK SIĘ TWORZY *CHINESE DREAM*

Wojna to Tao podstępny. Choć jesteś zdolny, udawaj przed wrogiem mało zdolnego. Gdy gotujesz się do działania, stwarzaj pozory bierności. Jeżeli twój cel jest bliski, zachowuj się tak, jakby był odległy. A gdy jest odległy, udawaj, że jest bliski¹.

Uránia Nemzeti Filmszínház jest pięknym kinem z historią sięgającą początków XX wieku i wystrojem godnym opery. Bogate wnętrza w czerwieni i złocie to realizacja popularnego na Węgrzech przełomu wieków architektonicznego historycyzmu, który zresztą do dziś robi wrażenie. Budynek w eleganckim Peszcie każdym detalem przywołuje czasy potęgi cesarstwa austro-węgierskiego.

Nic dziwnego, że w 2017 roku właśnie Uránię wybrano na gospodarza Festiwalu Filmów Chińskich. Festiwal był raczej skromny, bo pokazano na nim tylko pięć filmów: *Xuan Zang*, biografię osadzoną w czasach dynastii Tang; komedię romantyczną *Księga miłości*, sensacyjną *Operację Mekong*, dramat *Góry mogą odejść* i przygodowy *Kung Fu Yoga*.

Ale na pokaz tego ostatniego przyjechał sam Jackie Chan, który u boku węgierskiego ministra Zoltána Baloga otworzył imprezę. „Węgry to miejsce, do którego zawsze chciałem przyjechać, tutejsza sceneria jest naprawdę piękna. A co najważniejsze, jest tanio, a to się liczy w dzisiejszych czasach, gdy robienie filmów na całym świecie staje się coraz droższe”² – zachwalał Chan.

Z zachwyków sławnego aktora Węgrom niewiele przyszło. Nie żeby temu państwu brakowało ekip filmowych z całego świata, które ściągają tam, by kręcić filmy i seriale. Wręcz przeciwnie, odkąd w 2000 roku Budapeszt przegłosował specjalne ulgi podatkowe dla zagranicznych filmowców wybierających Węgry na scenę swoich produkcji, państwo wyrosło na drugą po Wielkiej Brytanii ulubioną destynacją filmowców w Europie. Do tego stopnia, że w rekordowym 2019 roku przychody z tego tytułu wyniosły 565 mln dol. i były o połowę wyższe niż rok wcześniej. I nawet trafiła tam produkcja chińskiego blockbustera *The Rookies* z Wangiem Talu i Millą Jovovich. Tyle że w zderzeniu z takimi produkcjami jak *Diuna*, *Wiedźmin*, *Czarna Wdowa*, *6 Underground* i kilkudziesięcioma innymi od Netflixa, Amazon Prime Video czy Disney+, które nagrywano w tym samym czasie nad Dunajem, chińska produkcja – nawet wysokobudżetowa – była drobnostką.

Losy budapeszteńskiego festiwalu chińskiego kina – który zresztą się więcej nie powtórzył – nie mają dla sytuacji Węgier większego znaczenia. Podobnie jak losy Krecika dla Czech, choć trzeba pamiętać, że *Krtek* to dla naszych południowych sąsiadów towar równie eksportowy jak piwo i malarstwo Alfonsa Muchy. Kreskówka Zdenka Milera jest nie tylko w dawnych demoludach, ale także w Chinach. Prezydent Czech Miloš Zeman podczas dużej wizyty w Pekinie w 2015 roku zapowiedział, że w temacie praw człowieka pouczać Chińczyków nie zamierza, za to chce się skoncentrować na wzroście ekonomicznym i „stabilizacji” społeczeństwa. Za symbol Republiki Czeskiej – i zarazem znakomity produkt eksportowy – uznał właśnie Krecika i dogadał się z Chinami co do unowocześnienia i popularyzacji tej postaci.

Premiera nowego, współfinansowanego przez Chińczyków Krecika odbyła się w praskim Hradzie w obecności Zemana. Bajka została mocno podrasowana: Krecik nie tylko został pokazany w wersji 3D, zaczął także mówić, a nie tylko wzdychać „Ach jo”. Przede wszystkim jednak dostał nowego przyjaciela: pandę, z którą zamieszkał. Nowe były też tytuł: *Krecik i panda*, i piosenka tytułowa, o tym, jak ważna jest przyjaźń.

Jackie Chan zachwalający tanie Węgry i Krecik z pandą są dobrą metaforą tego, jak działa chińska *soft power*. „Sukces zależy nie tylko od tego, czyja armia zwycięży, ale też od tego, czyja historia zwycięży” – to słowa Josepha Nye’a, amerykańskiego politologa, który tuż po upadku żelaznej kurtyny wprowadził do stosunków międzynarodowych pojęcia twardej (*hard power*) i miękkiej siły (*soft power*). Przekonywał, że potęga kraju na arenie międzynarodowej nie zależy wyłącznie od zasobności jego skarbcza ani siły armii. Równie ważna jest siła przyciągania i uwodzenia własną kulturą, systemem społecznym i politycznym.

Oczywiście *American dream* jest od dekad globalnym wyznacznikiem marzeń o sukcesie, ale to nie wyklucza karier nieco mniejszych projektów softpowerowych, jak choćby *hallyu*, czyli koreańskiej fali, która zalała świat w ostatnich latach. Globalnych sukcesów Korei Południowej nie da się nie zauważyć. Samsung, LG, Hyundai podbiły świat jako producenci innowacyjnej techniki. K-pop wyszedł z niszy dla zakręconych fanów do mainstreamu. K-dramy, czyli koreańskie telenowele, w dziesiątkach dostępne są dla widzów z całego świata na Netflixie. Koreańskie kino wraz z oscarowym sukcesem *Parasite*, a także z wcześniejszymi filmami Park Chan-wooka zdobyło światową renomę. Nowoczesne koreańskie szkolnictwo i e-administracja budzą zazdrość w nawet najbardziej rozwiniętych państwach Zachodu. Nawet kimchi z ulubionej kiszonki hipsterów przeszła do kategorii produktu dostępnego w każdym szanującym się supermarkecie. I to wszystko nie jest przypadkiem, tylko – jak opisuje Euny Hong w *Cool po koreańsku. Narodzinach fenomenu*³ – konkretnym planem kolejnych rządów w Seulu. Konsekwentnie rok po roku realizowanym w celu umocnienia pozycji państwa na globalnej mapie.

Co więcej, kierunek rozwoju Korei w całości podporządkowano strategicznej świadomości szans tego właściwie niewielkiego państwa. Państwa, które po wojnie domowej znalazło się w katastrofalnej sytuacji ekonomicznej, żyjącego w cieniu swojego totalitarnie rządzonego sąsiada z północy, a za największego partnera mającego mocarstwowe Stany Zjednoczone. W takiej sytuacji kluczowe okazało się odpowiednie wyczucie potrzeb, ale i ograniczeń. „Ważne jest, by być numerem

jeden, ale niekoniecznie trzeba być pierwszym” – pisze Hong i tłumaczy, że niemal każdy obszar, w którym Korea odniosła sukces, jest już nieźle obsadzony przez inne narody.

Bardzo podobnie swoją pozycję po II wojnie światowej odbudowywała Japonia. Ba, ona wręcz „dokonała niewiarygodnej metamorfozy z kraju zrujnowanego wojną w nowatorską Krainę Jutra”⁴, jak pisze amerykański dziennikarz Matt Alt. Japonia postanowiła za pomocą kultury całkiem przedefiniować swój wizerunek państwa nie tylko przegranego, lecz także obciążonego zbrodniami wojennymi. Tak się zrodziła japońska idea technologicznej ucieczki do przodu. Nawet jeżeli dziś Japonia szczyt wielkich sukcesów technologicznych ma za sobą, to i tak wciąż w masowej wyobraźni pozostaje krajem hipernowoczesnym, uberstechnologizowanym i w swojej mieszance tradycji i nowoczesnej popkultury egzotycznym.

Sukcesy *hallyu* w rytmie *Gangnam style* i japońskiego szturmie anime, gier wideo i konsol wydawały się gotowym scenariuszem także dla Chin. W końcu mają wszystko: fascynującą historię, wielki skok ekonomiczny i technologiczny, ogromne zasoby finansowe, gotowe także do zainwestowania w popkulturę i technologie, a wreszcie kulturę obfitującą w rozpoznawalne symbole i motywy. „Drzemie w nich ogromny potencjał. Ale kiedy wszystko jest podporządkowane celom politycznym, to okazuje się sztuczne. Na tyle sztuczne, że Zachód tego po prostu nie kupuje” – uważa Alicja Bachulska, badaczka z Ośrodka Badań Azji i międzynarodowego projektu MapInfluenCE, analizującego wpływy Chin. Sama jest z jednej strony zaintrygowana Chinami, z drugiej jednak trudno jej całe bogactwo kultury Państwa Środka odbierać bez zadawania pytań o politykę jego obecnej władzy.

Podobnie jest właściwie w przypadku wszystkich ekspertów od Chin, sinologów, politologów, którzy zajmują się tym państwem. Bez względu na to, czy są z Łotwy, Niemiec czy Bułgarii, zapytani o *soft power* Chin, jednogłośnie odpowiadają: „nie ma czegoś takiego”. A przynajmniej nie w wymiarze, który by był świadomie inspirowany przez władze, a zarazem skuteczny. „Jasne, wizerunek

Chin się zmienia. Z synonimu taniej tandety weszły na poziom ważnego, silnego państwa, z którym każdy chciałby mieć dobre układy. Tylko że brakuje w tym naturalnego zainteresowania ludzi. Wszystko opiera się na mniej lub bardziej wyrachowanym założeniu, że warto z nimi dobrze trzymać, bo można coś ugrać. Albo że zadzierać nie warto, bo mogą się zemścić” – dodaje Bachulska.

Michał Bogusz z Ośrodka Studiów Wschodnich bada Chiny od dwóch dekad. Píše też o nich na swoim blogu „Za Wielkim Murem”, przeplatając analizy polityczne swoim osobistym projektem – cotygodniowym tłumaczeniem jednego z klasycznych wierszy z czasów dynastii Tang („Nie wiem, czy mi się uda, ale zawsze warto spróbować. Nie samą polityką człowiek żyje”). Ale mimo fascynacji historią, kulturą, językiem i tak pozostaje wysoce krytyczny w stosunku do chińskich miękkich kompetencji. „Na korzyść wizerunku Chin działa zakorzeniony w nas orientalizm, widoczny zwłaszcza w elitach zachodnich. Na korzyść Chin działa też to, że część elit brytyjskich poczuwa się do winy za kolonializm. Ale Chiny i tak nie mogą tego wykorzystać do zmiany narracji ogółu Brytyjczyków i nie tylko ich. Dużym błędem chińskiej propagandy jest nieprzyjmowanie do wiadomości faktu, że ma do czynienia ze społeczeństwami, które korzystają z różnych źródeł informacji, więc żaden centralny ośrodek wpływu nie kontroluje tego, co ludzie wiedzą i co myślą. Mimo to chińskie władze wciąż wierzą w swoją absolutną sprawczość. Często więc w tym, co i jak komunikują, po prostu – mówiąc kolokwialnie – jadą po bandzie. W efekcie nierzadko się tylko ośmieszają” – tłumaczy Bogusz.

W teorii Chińczycy mają oczywiście wszystko nieźle obmyślane. Na tyle nieźle, że kolejni eksperci mogą o tych koncepcjach pisać długie analizy. Dwóch ekspertów z łódzkiego Ośrodka Spraw Azjatyckich⁵ przywołuje na przykład emerytowanego dyrektora Shanghai Institutes of International Studies Yu Xintiana, który radził, by Chiny znalazły alternatywę dla wartości promowanych przez Stany Zjednoczone, czyli demokracji, wolnego handlu i indywidualizmu. Z tego punktu widzenia Państwo Środka nie powinno się promować marksizmem czy patriotyzmem, ale raczej głęboko zakorzenionymi w jego kulturze wartościami,

takimi jak: harmonia, pokój, rozwój, prawa człowieka, współpraca i sprawiedliwość.

Ale w praktyce wygląda to tak, jak choćby na Igrzyskach Olimpijskich w Tokio, gdzie jeden z wielu złotych medali reprezentacji Chin przypadł sztangistce. Zdjęcie na stronie Agencji Reutera przedstawia kobietę z grymasem wysiłku na twarzy. Na to zdjęcie, które nigdzie na świecie nie wzbudziłoby najmniejszego zainteresowania, zareagowała ambasada ChRL na Sri Lance. Zatweetowała z oburzeniem, że kadr został wybrany specjalnie, by upokorzyć Chiny. Szybko podchwyciły to chińskie media, „Global Times” opublikował artykuł na temat „kontrowersyjnego zdjęcia”, stwierdzając w nim, że niektóre zachodnie organizacje medialne „niesprawiedliwie atakują Chiny” w swoich relacjach z igrzysk.

„Chinom idzie ciężko z realizacją strategii skutecznej *soft power*, bo żeby móc budować takie narracje, trzeba być jednak jakimś wzorem do naśladowania. Dla naszej części świata wzorem wciąż jest Zachód, a szczególnie Stany Zjednoczone ze swoim *American dream*. Tymczasem *Chinese dream* kojarzy się najwyżej z koszmarem” – mówi Emilian Kavalski, przez lata badający stosunki na linii Chiny–Europa na uniwersytecie w Ningbo, ale ostatnio już przyglądający się im z Polski, z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kavalski dodaje, że *soft power* prędzej miałyby sens wtedy, gdyby kojarzyła się nie z państwem, a biznesem, nawet jeśli w praktyce steruje nim państwo: „Korporacje technologiczne ze swoimi próbami budowania filozofii w rodzaju «Xiaomi Way» czy «Team Huawei», TikTok, który w ledwie kilka lat stał się fenomenem wśród nastolatków, zakupy i inwestycje, jakich techgiganci dokonują na świecie, przejmując produkty miejscowej kultury czy technologii lub w nie inwestując... To wszystko w budowaniu pozytywnego wizerunku Chin działa skuteczniej niż toporna państwowa propaganda”.

Live streamy, tiktoki i gierki

Alibaba rekrutuje armię 100 tys. influencerów, a za ich znalezienie odpowiada polska firma indaHash – ta informacja rozniosła się latem 2020 roku, choć w samej Polsce, mimo oszałamiającej skali przedsięwzięcia, nie odbiła się większym echem.

„Może dlatego, że ten projekt nie jest ukierunkowany na samą Polskę?” – zastanawia się Barbara Sołtysińska, prezeska i współtwórczyni indaHash, czyli globalnej platformy do automatyzacji kampanii z udziałem influencerów. Z Sołtysińską w piękny sierpniowy dzień widzę się tuż przed jej wyjazdem do Dubaju. „Cały nasz biznes jest coraz bardziej międzynarodowy. By się dobrze skalował, nie można się już zamykać w obrębie jednego rynku. Chiny to doskonale rozumieją, stąd też tak ogromna skala pomysłu Alibaby na rozkręcenie streamingu zakupowego. Choć nie ukrywam, że znalezienie aż tylu influencerów, którzy mają odpowiednie kompetencje, by na żywo pokazywać produkty i je sprzedawać, jest zadaniem karkołomnym. Ale przede wszystkim pokazuje ambicje Alibaby, ich podejście do rozwoju” – zauważa Sołtysińska.

Pomysł Alibaby to tak naprawdę część większego planu na bardziej zdecydowane zaadresowanie chińskiego e-handlu do klientów z całego świata. Filarem chińskiej rewolucji e-commerce’owej, przetransponowanej na świat po wybuchu pandemii, jest „handel społeczny”. Opiera się on na trzech powiązanych technologiach: transmisjach na żywo, krótkich formatach wideo i sieciach społecznościowych. Z połączenia tych trzech technologii wyłoniły się telezakupy na miarę drugiej dekady XXI wieku. Transmisje na żywo obejmują wszystko: od demonstracji produktów po wizyty w magazynie i samouczki dla nowych kupujących.

„W Europie niełatwo znaleźć do tego odpowiednich ludzi. Trzeba utrzymywać zainteresowanie widzów przez godzinę czy dwie i umieć ich zainteresować reklamowanym towarem. Ale kiedy się to dobrze poprowadzi, faktycznie pomaga w sprzedaży” – opowiada szefowa agencji influencerskiej.

Symbolem skuteczności tej metody jest 30-letni Austin Li, który naprawdę nazywa się Li Jiaqi, ale świat podbił jako „król szminek”. Od pięciu lat prowadzi livestreamy na należącej do Alibaby platformie TaoBao i robi to z ogromnymi

sukcesami. W 2021 roku w Dniu Singla w ciągu zaledwie 12 godzin sprzedał produkty o wartości 1,7 mld dol.! Jego metoda: zamiast pokazywać szminki na ustach modelek czy maźnięte na dłoni, sam maluje sobie nimi usta.

Austin jest nie tylko influencerem nowej ery. Jest też symbolem. Symbolem tego, jak Chiny właśnie na nowo wymyślają e-commerce i jak próbują oddolnie, łagodnie, odwołując się tylko do konsumentów, zmienić oblicze tej branży także w Europie. Na razie największe sukcesy mają w Rosji, gdzie jak chwali się Yi Pengfei, szef działu transmisji na żywo w AliExpress, transmisje podczas czerwcowego festiwalu sprzedaży w 2021 roku oglądało około miliona widzów.

Bułgarski politolog Vladimir Shopov nie ma najmniejszych złudzeń, że trendy trendami, ale za nimi wszystkimi właśnie idą chińskie kampanie wpływów. „Gdy ta oficjalna *soft power* Chin pod egidą organów państwowych w naszym obszarze jest praktycznie żadna, ta prowadzona na poziomie lokalnych kooperacji, przeróżnych programów i działań chińskich firm, kontaktów z biznesmenami, samorządowcami i politykami działa skuteczniej”.

Sam Shopov widzi to zjawisko we własnej ojczyźnie, co opisuje w analizie *Let a thousand contacts bloom: How China competes for influence in Bulgaria*⁶ [Niech rozkwita tysiąc kontaktów. Jak Chiny walczą o wpływy w Bułgarii]. Tytuł nawiązuje do słynnego „Niech rozkwita sto kwiatów” – hasła politycznej odwilży za czasów Mao Zedonga, która głosiła ideę, by w Chinach „rozkwitło sto szkół myśli”, a intelektualistów i dotychczasowych dysydentów namawiano do otwartej krytyki reżimu. Tyle że ci, którzy na taką krytykę się odważyli, wkrótce stali się ofiarami kolejnej kampanii, tym razem „przeciwko prawicy”: 550 tys. osób poddano „reedukacji przez pracę”, wykonano też wiele wyroków śmierci.

Shopov nie ukrywa, że nawiązanie do tamtej historii jest nieprzypadkowe: „Często się zapomina, że za chińską *soft power* kryją się bardzo twarde cele. Więc owszem, lekcje w bułgarskich podstawówkach prowadzone przez nauczycieli z Instytutów Konfucjusza mogą być postrzegane jako korzyść, bezpłatne podniesienie poziomu nauki. Ale jednak są one przepustką dla niekontrolowanych przez nikogo obcych pedagogów, którzy wchodzą do szkół, a to jest niezgodne

nawet z naszym prawem. Podobnie jest z innymi miękkimi działaniami, choćby na poziomie biznesowym. Zawsze towarzyszy im jakaś twarda strategia” – dodaje Shopov.

Widać to było wyraźnie, gdy w 2019 roku dyrektor amerykańskiej drużyny koszykarskiej Houston Rockets Daryl Morey na Twitterze pochwalił prodemokratyczne protesty w Hongkongu. Tweet szybko jednak skasował, tłumacząc, że tylko wyraził swoją prywatną opinię. Okazało się, że za tym skasowaniem stali giganci chińskiego e-handlu, Taobao i JD.com, które zaraz po tym ogłosiły zerwanie umów sponsorskich z drużyną i zakończenie sprzedaży gadżetów Rocketsów, a stacje transmitujące spotkania NBA w Chinach zapowiedziały, że nie będą pokazywać jej meczów. Ze strony ligi NBA zaczął się istny festiwal przeprosin. Przecież sama tylko umowa z kolejnym technologicznym gigantem Tencent Holdings – jej wartości nie ujawniono, ale Bloomberg⁷ spekulował, że to 500 mln dol. – pozwalała NBA dotrzeć ze streamingami meczów (i reklam) do blisko 490 mln Chińczyków.

Sięganie po sport jest już zresztą oficjalnym zagranem w imię miękkiej siły – do tego stopnia, że zyskało sobie nawet przydomek „dyplomacji stadionowej”. Chiny bez specjalnego skrępowania uprawiają ją od dekad w krajach nazywanych kiedyś Trzecim Światem, a dziś Globalnym Południem. W praktyce polega ona na sfinansowaniu i kompleksowej realizacji projektów aren sportowych tym, którzy nie są ich w stanie sami zrealizować. Chińczycy zazwyczaj oprócz samego stadionu oferują też budowę dróg, mostów, torów kolejowych, szpitali, szkół, a nawet budynków rządowych – czyli całą potrzebną w danym państwie infrastrukturę. Tyle że to już raczej za pożyczki w swoich bankach i oczywiście najlepiej w wykonaniu chińskich firm. Mieszko Rajewicz, specjalista z zakresu upolitycznienia i globalizacji sportu w Instytucie Nowej Europy, podliczył, że łącznie Chiny takich stadionów od 1969 roku wybudowały już ponad 90 w blisko 50 państwach⁸.

Krajów Europy Środkowej nie ma na tej liście, choć przed Euro 2012 w Polsce „chiński wariant” był poważnie rozważany przez rząd. W 2008 roku ówczesny minister sportu Mirosław Drzewiecki z wicepremierem Grzegorzem Schetyną,

a także wicepremier Waldemar Pawlak jeździli na rozmowy do Chin, spotykali się z przedstawicielami firm, które przed tamtejszymi igrzyskami budowały między innymi dworce, obiekty sportowe, lotniska. Po powrocie zachwalali, że chińskie firmy są przygotowane, żeby w Polsce przed Euro 2012 zbudować wszystko: autostrady, metro, stadiony, szybkie koleje. No i – co ważne – są tańsze od polskich. W przetargu na Stadion Narodowy miała startować nawet China Metallurgical Group Corporation odpowiedzialna za metalową konstrukcję najsłynniejszego stadionu świata – stutysięcznego Ptasiego Gniazda w Pekinie. Ostatecznie tylko COVEC zaczął budowę autostrady (ale, jak pamiętamy, nie skończył), co na długi czas zniechęciło nie tylko Polskę do dopuszczania chińskich firm do dużych projektów infrastrukturalnych.

Za to nie zniechęciło nikogo do sponsoringu i inwestowania w samych sportowców, szczególnie tych związanych z piłką nożną. To nie przypadek – słabość Xi Jinpinga do tego sportu jest tak duża, że gdy tylko przejął władzę, uroczyście ogłosił, że Państwo Środka powinno zostać globalną potęgą piłkarską. Z miejsca stało się to narodowym wyzwaniem, a tamtejszy kapitał ruszył z tego powodu na wielkie sportowe zakupy.

Już w 2015 roku koncern energetyczny CEFC China Energy Company kupił większościowy pakiet akcji czeskiego klubu Slavia Praha. Początkowo Chińczycy inwestowali w klub ogromne sumy, wykupili także klubowy stadion. Za tymi inwestycjami przyszły sukcesy: Slavia zdobyła cztery tytuły mistrza Czech, grała w Lidze Mistrzów i dwukrotnie dotarła do ćwierćfinału Ligi Europy.

Gdy prascy radni miejscy zerwali umowę partnerską z Pekinem, czeski prezydent Miloš Zeman z dziwną satysfakcją ogłaszał, że w efekcie chińskie władze „zaprzestaną finansowania Slavii Praha”, czyli nastąpi koniec „najbardziej udanej chińskiej inwestycji w Republice Czeskiej”. Nic takiego się ostatecznie nie stało, ale nie pojawiały się też większe inwestycje, które obiecywał Jaroslav Tvrdík, były minister obrony narodowej i przez lata prezes Slavii, który zresztą CEFC do niej ściągnął. Chiny systematycznie ograniczały inwestycje w klub, aż w końcu w budżecie wynoszącym około 50 mln euro chiński udział nie przekraczał

10 proc. Reszta to w głównej mierze wpływy z premii z europejskich pucharów i transferów.

W „dyplomację stadionową” poszedł także Shandong Linglong Tire Co., niezwykle kontrowersyjny producent opon, który w Serbii łagodzi narastające protesty przeciwko negatywnym wpływom swoich serbskich inwestycji na środowisko. Firma liczy, że Serbowie się do niej przekonają dzięki temu, że sponsoruje miejscową ligę piłkarską – która zresztą od 2019 roku na cześć swojego finansowego patrona przechrzcila się na Linglong Tire Super League.

Mniej spektakularne było pojawienie się w 2020 roku logo AliExpress na spodenkach piłkarzy Lecha Poznań. Za to nie obeszło się bez symboli – pierwsze w historii tej firmy podejście do marketingu sportowego nastąpiło w mieście, gdzie swoją siedzibę ma Allegro, lider polskiego e-handlu, czyli największa konkurencja dla AliExpress. Co więcej, umowę sponsoringową ogłoszono tuż przed 11 listopada, czyli zakupowym Dniem Singla, który jest najważniejszą datą w sprzedażowym kalendarzu wszystkich chińskich biznesów. Po roku umowę przedłużono na kolejne trzy lata, a AliExpress poczuł się tak dobrze w tej branży, że postanowił wypłynąć na głębsze wody sportowych sponsoringów i rozpoczął współpracę z Olympique Lyon oraz Sevillą FC.

Ale to i tak drobnostka w porównaniu z ekspozycją, jaką zapewniły sobie chińskie firmy podczas opóźnionych przez pandemię rozgrywek Euro 2020. Na meczach rozgrywanych na 11 stadionach, w tym w Budapeszcie i Bukareszcie, najbardziej rzucały się w oczy banery Hisense (branża RTV i AGD), Alipay (płatności mobilne), Vivo (producent smartfonów i telekomunikacja) oraz TikToka. Zarówno Hisense, jak i Alipay (należy do Alibaby) już od dłuższego czasu sponsorują turnieje piłkarskie. Hisense był obecny na Euro 2016, po którym odnotował podwójny wzrost rozpoznawalności marki. Alipay zaś zawarł z UEFA długoterminowy kontrakt o wartości 200 mln euro, zostając oficjalnym partnerem wszystkich międzynarodowych rozgrywek piłkarskich w latach 2018–2026. Ale choć biznesowo UEFA była niewątpliwie zadowolona, to jednak takie natarcie sponsorów z Chin wywołało sporą konsternację. Szczególnie że Hisense i Vivo

podejrzewa się o czerpanie potężnych korzyści finansowych z przymusowej pracy Ujgurów w prowincji Xinjiang.

Po ataku Rosji na Ukrainę, gdy jedna po drugiej zachodnie firmy odcinały Moskwę i ogłaszały, że rezygnują z robienia tam biznesów, brytyjski „Daily Mail” ogłosił news: Huawei nie tylko nie wyszedł z Rosji, ale też wspiera ją w utrzymaniu sieci i szkoli w tym celu pracowników⁹. Po tej informacji sprawy potoczyły się ekspresowo. Robert Lewandowski – wieloletnia twarz Huawei nie tylko w Polsce – właściwie z dnia na dzień ogłosił, że kończy współpracę z tym chińskim gigantem. Dotąd trwał przy firmie, gdy rok temu oskarżono ją o współpracę z rządem Chin nad technologiami nadzoru nad Ujgurami w Xinjiangu (wtedy z powodów etycznych z kontraktu z Chińczykami zrezygnował francuski piłkarz Antoine Griezmann) oraz gdy po wybuchu wojny w Ukrainie Huawei długo nie decydował się na wycofanie z Rosji. Co sprawiło, że zmienił zdanie?

„Ta współpraca, choć naprawdę bardzo korzystna dla Lewandowskiego, coraz bardziej mu od dłuższego czasu ciążyła. W ostatnim czasie następuje wyraźna zmiana w ocenach tego, co jest akceptowalne etycznie, i teraz, gdy Lewandowski ma tak wrażliwy wizerunek, musi uważać, kogo reklamuje. W pewnym sensie doniesienia o współpracy Huawei z Rosją były mu wręcz na rękę, bo pozwoliły czysto wyjść z tego układu” – słyszę od jednego z menedżerów sportowych.

Ale postawa kapitana polskiej reprezentacji wcale nie jest powszechna. Wręcz przeciwnie. Z zasady gdy pojawia się chiński inwestor, partner czy sponsor gotowy wyłożyć pieniądze, nie pada zbyt wiele pytań o powiązania z władzami Chin ani o długofalowe plany takiego inwestora.

Bez zbędnych pytań obyło się na przykład, gdy gigantyczny Tencent zaczął inwestować w Polsce. Tencent to pierwsze chińskie przedsiębiorstwo wyceniane na ponad 500 mld dol. Firma od lat jest wymieniana jednym tchem razem z Google’em, Amazonem, Microsoftem i Apple’em, czyli największymi techgigantami. W Chinach należy do niej aplikacja WeChat, za pomocą której Chińczycy nie tylko komunikują się ze sobą, lecz także płacą za zakupy, zamawiają taksówki, umawiają się do lekarzy i regulują rachunki. Gdy w grudniu 2019 roku

do społeczeństwa Chińskiej Republiki Ludowej zaczęły dobiegać pierwsze plotki o tajemniczym wirusie wywołującym chorobę płuc, to właśnie algorytmy WeChat przejmowały wszelkie informacje dotyczące pandemii, cenzurowały je oraz blokowały ich udostępnianie.

Ale Tencent to przede wszystkim chiński gigant w branży gier, który od lat ma ogromne międzynarodowe ambicje i jest bardzo aktywny na rynku przejęć. Posiada udziały w spółkach z branży gier z całego świata, w tym w najbardziej rozpoznawalnych markach. Wśród nich jest choćby Riot Games, twórca *League of Legends*, w którym chińska firma ma komplet akcji. Ponadto koncern ma pakiety mniejszościowe między innymi w Epic Games (40 proc.), Ubisoftcie (5 proc.) czy Activision Blizzard (5 proc.).

W sierpniu 2021 roku spółka zależna Tencent zgłosiła zamiar przejęcia należącego do Rosjan polskiego wydawcy gier komputerowych 1C Entertainment. To był dopiero początek zakupów na polskim rynku gier – dwa miesiące później Tencent przejął blisko 22 proc. akcji notowanego na NewConnect Bloober Team, wykładając na transakcję 77,6 mln zł, a chwilę potem wszedł do akcjonariatu młodego krakowskiego studia The Parasight. Szczegóły tej ostatniej transakcji objęte są klauzulami poufności, więc kwota, jaką wyłożył, pozostaje tajemnicą. Wiadomo jedynie, że będzie posiadał znaczący udział w spółce, lecz nie będzie akcjonariuszem większościowym, oraz że w kilka miesięcy stał się nagle dosyć ważnym inwestorem. Co zresztą, jak pisze Rebecca A. Fannin w swojej książce analizującej globalne sukcesy chińskich techgigantów, wcale nie jest aż tak zaskakującym zjawiskiem, bo podobnie dzieje się na całym świecie. „Chińskie gigantyczne techfirmy podążają za popularną biznesową mądrością przekonującą, że większe jest lepsze. Stają się ogromne bardzo szybko, także dzięki strategicznym inwestycjom. Posiadanie więcej i więcej jest ich nadrzędną strategią” – pisze Fannin¹⁰ i jako przykład takiego działania przywołuje właśnie Tencent.

Firma ta obok Alibaby i Baidu (twórcy największej w Chinach wyszukiwarki internetowej) tworzy trzy wspomniane szandarowe big techy – BAT. Odkąd

w 2018 roku rząd Chin mocno przykręcił śrubę (i dokręcał ją ponownie w 2021 roku) w sprawie decyzji, jakie gry mogą być sprzedawane na chińskim rynku i jak bardzo nie mogą westernizować odbiorców, Tencent jeszcze mocniej postawił na zakupy na świecie. Wszędzie oczywiście entuzjastycznie witane są jego miliony.

Coraz chętniej używany sztandarowy produkt tej firmy, czyli wspomniany WeChat, pod koniec 2021 roku miał już 1,27 mld użytkowników – większość z samych Chin, ale widać, jak krok za krokiem wchodzi na kolejne rynki. Nie powstrzymało go nawet wpisanie przez Trumpa na czarną listę aplikacji. Było to zresztą o tyle łatwiejsze, że Joe Biden po objęciu urzędu zdjął zapis poprzednika, w zamian po prostu nakazując Departamentowi Handlu analizę działania zagranicznych aplikacji, szczególnie tych powiązanych z Chinami.

Podobna decyzja zapadła także w stosunku do najgorętszej chińskiej aplikacji, a zarazem najszybciej rosnącego serwisu społecznościowego świata, czyli TikToka. Donald Trump w 2020 roku próbował ten należący do pekińskiego ByteDance i rozrastający się w oszałamiającym tempie serwis sprowadzić do parteru, a nawet groził mu zamknięciem, chyba że zgodzi się na podział i odkupienie części aktywów przez amerykańską firmę (w grze były Microsoft, Twitter, ale przede wszystkim Oracle). Nic z tych gróźb ostatecznie nie wyszło, za to TikTok szybko urósł do rangi trzeciego największego medium społecznościowego na świecie – z miliardem użytkowników wyprzedzają go już tylko Facebook i Instagram. Ale żaden inny serwis nie zyskuje popularności w takim tempie: w 2021 roku TikTok zaliczył skok liczby użytkowników o 40 proc., a rok wcześniej o blisko 60 proc.

Żadna krytyka – czy to za blokowanie treści nieprzychylnych Chinom, czy w związku z obawami o gromadzenie i przechowywanie danych użytkowników, w ogromnej mierze nieletnich – nie zagraża jego popularności. Korzystających z TikToka zdaje się nie martwić również to, że serwis miga się od obietnicy otwarcia w Irlandii swojego centrum danych, które miało zapewnić bezpieczeństwo użytkownikom z Europy (początkowo miało działać na początku 2022, ale start przesunięto na 2023 rok).

Nie odstrasza od niego nawet to, że mimo powtarzanych obietnic walki z rosyjską dezinformacją – a przecież relacje z wojny stały się na TikToku tak popularne, że zaczęto wręcz mówić o TokWar – serwis jakoś nie potrafił jej skutecznie zwalczyć. Miesiąc po wybuchu wojny w Ukrainie organizacja badawcza NewsGuard¹¹ wykazała, że TikTok błyskawicznie, bo w ciągu 40 minut od rejestracji konta, dostarcza fałszywe i wprowadzające w błąd treści dotyczące wojny nowym użytkownikom aplikacji. Bez znaczenia jest nawet, czy szukali oni na platformie treści dotyczących wojny, czy nie. To nie wszystko: wyszukiwanie na podstawie ogólnych haseł, takich jak „Ukraina” czy „Donbas”, skutkowało proponowaniem przez algorytm TikToka materiałów, które zawierały dezinformację, a pojawiały się one wśród 20 najtrafniejszych wyników wyszukiwania!

Jeden z menedżerów polskiego oddziału TikToka – bo serwis tak się rozrósł, że firma zdecydowała się na otwarcie biura w Warszawie – gdy rozmawiałam z nim kilka dni po wybuchu wojny, zapewnia, że robią, co mogą, i że naprawdę wkładają sporo pracy w walkę z dezinformacją. Co konkretnie robią? Tego nie może mi już powiedzieć, bo nie zgadza się na to centrala w Chinach.

Bracia w dezinformacji

Hu Xijin, komentator „Global Times”, Qingqing Chen, reporterka, Liu Xin, prowadząca program „The Point with Liu Xin” w anglojęzycznej telewizji chińskiej CGTN, Shen Shiwei, publicysta, Zichen Wang, autor newslettera „Pekingnology”, który się (ironicznie) podaje za uznane przez Twitter „państwowe medium chińskie”. Jeden z analityków think tanku Instytut Nowej Europy podsyła mi tę listę chińskich dziennikarzy aktywnych na Twitterze, którzy nawet nie ukrywają, że ich głównym zadaniem jest rozprzestrzenianie chińskiej narracji. Mają na Twitterze od kilkunastu do blisko pół miliona obserwujących, czyli całkiem ładne zasięgi. Piszą po angielsku, wrzucają teksty i treści nie tyle nawet prochińskie, ile raczej ostro krytykujące Stany Zjednoczone, punktujące ich

imperialne zapędy, kiedy trzeba, szturchające także Unię Europejską, a w ostatnich miesiącach wyraźnie próbujące tłumaczyć atak Rosji na Ukrainę.

Choć w Chinach odgórną rządową decyzją zablokowano Facebook, YouTube czy Twitter, to wcale nie oznacza, że chińska dyplomacja i propaganda nie działają w tych mediach społecznościowych. Wręcz przeciwnie. Mimo że już od dwóch dekad działa tzw. Great FireWall, czyli cyfrowy mur umożliwiający blokowanie usług, które nie mają partyjnego błogosławieństwa, to i tak swobodnie w tych nielegalnych mediach społecznościowych udzielają się chińscy dyplomaci, politycy czy dziennikarze. Wszystko jest w porządku, dopóki nie piszą, nagrywają i postują do własnych współobywateli.

Z kolei obywatele są odpowiednio w social mediach naprowadzani. Kilka lat temu analitycy z Harvardu pod kierownictwem profesora Gary'ego Kinga po szerokiej analizie¹² zidentyfikowali w mediach społecznościowych 488 mln postów i komentarzy (zamieszczonych zaledwie w ciągu roku), za których opublikowaniem stał chiński rząd. To by oznaczało, że na każde 178 komentarzy w chińskich mediach społecznościowych przypada jeden sponsorowany o charakterze propagandowym.

Pisaniem ich trudni się około 2 mln osób, ale pierwsze skrzypce gra tzw. Partia (lub: Armia) 50 Centów. To organizacja na usługach chińskiego ministerstwa propagandy, a jej potoczna nazwa 50 centów to rzekoma stawka za jeden sponsorowany komentarz – przyjęła się na stałe, choć brak jakichkolwiek dowodów, by kwota była prawdziwa. Analitycy z Harvardu twierdzą, że nie chodzi tu wcale o wielki ruch zwykłych opłacanych ludzi, tylko o działania dezinformacyjne, za którymi stoją pracownicy rządowi podejmujący tę aktywność w ramach normalnych obowiązków zawodowych. Choć skala jest oszałamiająca, to i tak są to przecież działania ograniczone do chińskich mediów społecznościowych.

W tych zachodnich zaś... nie ma chyba analityka specjalizującego się w Chinach czy w dezinformacji (lub w obu tych zagadnieniach), który by tych chińskich prób nie określał jako „toporne”, „banalne”, „w warstwie słownej nieprzekonujące Zachodu”, „nieskuteczne, bo zbyt prostackie”. Ale od wybuchu

pandemii aktywności Chin w mediach społecznościowych zrobiło się o wiele więcej i nabrały nowej jakości. Warszawski politolog Piotr Śledź pisze, że „Chiny po raz pierwszy na szeroką skalę zastosowały dezinformację o charakterze zaczepnym. Wcześniej, tak jak w kontekście Hongkongu, miała ona charakter raczej defensywny”¹³. Zastosowano starą dobrą zasadę: najlepszą metodą obrony jest atak. Skoro za wybuch pandemii oskarżano Chiny, to zarówno konta chińskich dyplomatów, jak i dziennikarzy zaczęły ostro reagować na każde takie insynuacje. W stosunku do Europy było to i tak łagodne, skupione raczej na pozytywnym przekazie wokół dyplomacji maseczkowej, ale już wobec Stanów Zjednoczonych nie ukrywano agresji. I to nawet na cyfrowej ziemi państw trzecich.

W pewnym momencie na polskim Twitterze nie było właściwie miesiąca bez utarczek między wyrazistą ambasadorką Stanów Zjednoczonych w Polsce Georgette Mosbacher a ambasadorem ChRL Liu Guanyuanem. I nie były to już drobne złośliwości czy dyplomatyczne przytyki, co pokazuje na przykład wymiana ciosów w maju 2020 roku. Liu: „Zamiast dawać dobry przykład w powstrzymywaniu epidemii we własnym kraju, administracja USA wciąż tuszowała fakt istnienia pandemii i obarczała winą innych. To supermocarstwo stało się głównym podmiotem zakłócającym trwającą globalnie walkę przeciwko koronawirusowi”. Mosbacher: „Chiński rząd jest odpowiedzialny za kryzys na całym świecie i żadne kłamstwa tego nie zatuszują”.

Międzynarodowy zespół analityków i badaczy China Observers in Central and Eastern Europe (CHOICE) wykrył, że coraz częstsze i ostrzejsze wypowiedzi dyplomatów w mediach społecznościowych, ewidentnie utrzymane w tonie znanej już *wolf-warrior diplomacy* (nowej generacji dyplomacji wilczych wojowników) pojawiają się od 2019 roku. I wtedy też zaczęły je coraz mocniej wspierać, podbijać i udostępniać trollkonta.

Tak jak dla Rosji cezurą rozkwitu dezinformacji był rok 2014 i aneksja Krymu, tak dla Chin – jak opowiada Czeszka Ivana Karásková¹⁴, założycielka CHOICE – takim momentem były protesty, które wybuchły w 2019 roku w Hongkongu. Chiny odkryły wtedy, jak mocno rezonują one na całym świecie, w tym w Europie

Środkowej. „Właśnie wtedy zauważyliśmy skoordynowaną kampanię prowadzoną przez ambasady Chin, której celem było przepisanie narracji wokół Hongkongu. Choć prowadzono ją w kilku różnych językach, to wszędzie obserwowaliśmy użycie takich samych zdań. Znaleźliśmy takie artykuły w publikacjach w sześciu różnych państwach z naszego regionu” – mówi czeska analityczka.

W ówczesnych mediach społecznościowych taki poziom debaty między dyplomatami nieco szokował, ale kilku latach stał się normą. Rosja do tej pory skupiona była raczej na rozbudowywaniu sieci kont trollingowych oraz sieci „pożytecznych idiotów”; jedni i drudzy byli wykorzystywani do podbijania oficjalnych rosyjskich narracji. Po wybuchu wojny kolejne zachodnie serwisy społecznościowe zaczęły masowo blokować oficjalne, propagandowe media rosyjskie, na czele z RT i Sputnikiem, oraz wnikliwie analizować aktywność użytkowników, żeby identyfikować i wskazywać trolli oraz konta dezinformacyjne. W odpowiedzi Moskwa zapożyczyła „toporne” metody Pekinu. Konta urzędników, polityków i ambasad Rosji ruszyły do walki i agresywnego szerzenia dezinformacji.

„Choć na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to Chiny czerpią z rosyjskich wzorców, w rzeczywistości to raczej Rosjanie wzorują się na Chinach” – nie ma wątpliwości František Vrábek, prezes czeskiej firmy Semantic Visions. Vrábek do powiązań między rosyjską a chińską dezinformacją podchodzi jak do czegoś najzupełniej oczywistego, bo ślady tego, jak są sobie bliskie, jego firma obserwuje od lat.

Semantic Visions specjalizuje się w analizie treści w mediach społecznościowych, wyłapuje i mapuje tendencje w kilku grupach językowych. Najwięcej po angielsku, rosyjsku, czesku i mandaryńsku. „Rosyjska dezinformacja przoduje, a jej ogromne nasilenie obserwujemy od zajęcia Krymu i Donbasu. Od tamtej pory mamy zmapowanych około 30 różnych narracji, które nawzajem się przeplatają i które są wpuszczane do obiegu. Najsilniejsze w ostatnich dwóch latach były oczywiście te dotyczące COVID-19” – opowiada Vrábek. Rozmawiamy w momencie, gdy w Czechach zanotowano w ciągu jednego dnia ponad 37 tys.

zachorowań, a w Polsce 42 tys. I choć wtedy tego jeszcze nie wiedzieliśmy, tylko kilka dni dzieliło nas od konwencjonalnego ataku Rosji na Ukrainę – a przecież wojna rozpoczęła się wcześniej niż ataki hakerskie i dezinformacyjne.

Na początku lutego jednak główne kierunki dezinformacji ciągle się jeszcze skupiały wokół COVID-19. „Do wybuchu pandemii Chiny właściwie nie zajmowały się dezinformacją. To, co rozprzestrzeniały, to była raczej klasyczna propaganda, w ogromnej mierze skierowana do własnych obywateli. COVID-19 jednak zmienił sytuację i zmusił Chiny do walki o wizerunek na świecie. Także technikami dezinformacyjnymi, a te są bardzo podobne, wręcz podręcznikowo, do tych pisanych cyrylicą” – tłumaczy Vrábel.

Ale Rosja już nie jest „starszym bratem” Chin w tym zakresie. Kai Strittmatter w *Chinach 5.0* pisze: „Architekci chińskiego aparatu cenzury jeżdżą co jakiś czas do Moskwy, żeby dzielić się tam swoimi doświadczeniami. W 2016 roku na przykład ówczesny szef administracji cyfrowej Lu Wei i architekt Wielkiej Zapory (Great Firewall) Fang Binxing wzięli udział w VII Międzynarodowym Forum na rzecz Bezpiecznego Internetu oligarchy Konstantina Małofiejewa mającego świetne stosunki z Kreml, z wywiadem wojskowym GRU i z Cerkwią. Nieco później prezydent Putin i Xi Jinping ustalili podczas szczytu ściślejszą współpracę w zakresie internetu i bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni”¹⁵.

„Chińczycy się uczą, często wynajmują rosyjskie sieci trollów, żeby szerzyć propagandę. To element współpracy rosyjsko-chińskiej w zakresie dezinformacji. Wynajmują Rosjan do szerzenia dezinformacji, a sami im użyczają infrastrukturę. Na tym poziomie współpraca jest bardzo skuteczna, bo jedni mają zaplecze, drudzy know-how. Nadal jednak dużym ograniczeniem jest odbiór chińskich firm na Zachodzie. To ograniczenie naturalne, wynikające z różnic kulturowych, ze słabej znajomości języków. Chiny wciąż nie rozumieją wagi takich szczegółów” – podkreśla Michał Bogusz z OSW.

Ten doświadczony ekspert jako podstawowy błąd chińskiej miękkiej – i nieszczególnie skutecznej – siły wskazuje po prostu braki w wiedzy. „Europę Środkowo-Wschodnią często się postrzega jako homogeniczny twór. To, co dzieje

się na Węgrzech czy na Bałkanach, Chiny wygodnie sobie przekładają na cały region, a kiedy nie osiągają takich samych efektów, następuje zdziwienie. Pekin ma po prostu bardzo słabe rozeznanie w tym, co się dzieje na świecie. Bo też i skąd ma je mieć? Same ambicje to za mało” – mówi ekspert OSW i wyjaśnia, że aby faktycznie móc działać na tym rynku sprawnie, trzeba mieć świetnie wykształconych ludzi, którzy władają danym językiem na tyle dobrze, by rozumieć kontekst kulturowy. „Nie wystarczy zatrudnić 10 studentów i liczyć, że to załatwi sprawę. Żeby MSZ miało 10 faktycznie dobrych specjalistów, którzy się zajmą danym krajem, musi zainwestować w jakieś 100–200 osób z założeniem, że 90 proc. z nich odpadnie. W Chinach zaś nie ma świadomości, że ten sam mechanizm działa także w przypadku mniejszych państw Europy Środkowej”. Ale Chińczycy się uczą. Z badań przeprowadzonych przez firmę Miburo, która się zajmuje śledzeniem zagranicznych operacji wpływu na Zachodzie, wynika, że obecnie państwowe chińskie media działają w 40 różnych językach i kierują swój przekaz do wielu krajów świata. „Widać, w jaki sposób próbują infiltrować każde z tych państw” – ocenia Clint Watts, prezes Miburo, były agent FBI, cytowany przez agencję Associated Press¹⁶. Jego zdaniem problemem w chińskich działaniach propagandowych jest przede wszystkim ich zmasowany i ciągły charakter. „Jeśli przez odpowiednio długi czas będziesz bombardował odbiorców określonymi narracjami, w końcu zaczną w nie wierzyć” – uważa Watts.

Po ponad miesiącu wojny w Ukrainie ukazała się analiza EUvsDisinfo¹⁷, czyli odpowiedzialnej za zwalczanie dezinformacji specjalnej jednostki Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych. A w niej już bez ogródek jest wyłożone: Chiny podbijają narrację agresora o wojnie w Ukrainie, w wielu wypadkach wzmacniając rosyjską dezinformację. Chińskie media wspierane przez państwo często powtarzają dominującą retorykę Kremla dotyczącą wojny, w tym zaprzeczanie okrucieństwom, nawet masakrze w Buczy, i przypisywanie winy za konflikt NATO i USA.

Jak to wygląda w praktyce? Wystarczy wspomnieć choćby o pokazywaniu w mediach społecznościowych NATO jako Voldemorta, czyli wcielonego zła

znanego z cyklu o Harrym Potterze. To odwołanie się do popkultury o zachodnich korzeniach zauważyli analitycy z międzynarodowej grupy CHOICE, która po ataku Rosji na Ukrainę przez dwa miesiące badała chińskie narracje rozpowszechniane w dziewięciu państwach Europy Środkowej¹⁸. Tyle że, jak zauważa we wstępie do ich raportu Ivana Karásková, granie Voldemortem w tej części świata, gdzie NATO ma jednoznacznie wizerunek obrońcy, a nie negatywnego bohatera, jest chybione. Ponownie widać, że może i nakłady rosną, ale znajomość lokalnej specyfiki pozostaje bardzo powierzchowna. Za tą pozorną nieudolnością może tymczasem stać długofalowa i szerzej zakrojona strategia. Katja Drinhausen, analityczka z Mercator Institute for China Studies (MERICS), ocenia, że choć na pierwszy rzut oka przesłanie idące z Chin na temat wojny w Ukrainie jest zróżnicowane, to jednak od samego początku wyraźnie widać ścisłą współpracę Chin z rosyjskimi mediami. Tam gdzie zablokowano RT czy Sputnika i Rosja utraciła możliwość wprowadzania do obiegu swojej narracji, zaczęły to robić konta powiązane z chińskimi mediami.

Szczególnie mocno stawiają na narracje żywcem zapożyczone z kremlowskiego podręcznika. Jedna z podstawowych przekonuje, że to antychińskie i antyrosyjskie nastroje NATO i USA popchnęły Rosję do konfrontacji. Inne narracje karmią teoriami spiskowymi o prowadzonych przez USA wojskowych laboratoriach biologicznych w Ukrainie i kontynuują wątek rzekomej „denazyfikacji” tego państwa. Wiele chińskich mediów państwowych wstrzymywało się w swoich relacjach od używania terminów takich jak „inwazja” czy „wojna”.

Chiński kret

Czy Chiny uczą się *soft power* w Europie Środkowej? „Nie” – Alicja Bachulska, sinolożka z MapInfluenCE, odpowiada bez wahania. „Chińscy dyplomaci mają pole do indywidualnych inicjatyw i interpretowania lokalnego środowiska, w którym działają. Ale i tak muszą ograniczać się do wytycznych, a tymi włada

partyjna nowomowa: sztuczna, dla nas wręcz śmieszna, bo pamiętana aż za dobrze z czasów komunizmu. W takiej sytuacji trudno o miękką ofensywę”.

Ale co innego państwowa strategia, a co innego działania oddolne ze strony coraz bogatszych, coraz potężniejszych i coraz zwinniejszych biznesów. Dysponują one niezbędnymi środkami, a przede wszystkim mają wciąż w miarę czystą kartę. Są postrzegane przez pryzmat egzotyki, ale często nawet nie budzą skojarzeń z Państwem Środka.

Przecież ani pokolenie Z, ani nawet millenialsi przerzucający się z coraz bardziej starzejącego się Facebooka na wyczulony na trendy, bardziej responsywny TikTok nie zastanawiają się, kto jest jego właścicielem. A przecież gdy prezesi największych spółek technologicznych, czyli założyciel Facebooka Mark Zuckerberg, założyciel Amazona Jeff Bezos czy rządzący firmą matką Google’a Sundar Pichai, regularnie lądują na dywanikach polityków i są krytykowani za wszelkie (i rzeczywiście poważne) przewinienia swoich firm, wie o tym cały świat. Chińskie big techy, nawet jeżeli trafiają pod pręgierz czy to zachodnich dziennikarzy, czy chińskiej partii komunistycznej (w 2021 roku przeprowadziła ona potężny proces karania tych firm i regulowania ich działalności), to informacje o tym się nie przebijają.

Latem 2021 roku TVN poprosił mnie o komentarz do nagłej decyzji Chin, by ograniczyć czas, jaki nastolatki mogą spędzać na graniu on-line. Długo tłumaczyłam, jakie są kulisy tej sprawy. Że partii zależy na utarci nosa firmom, które zbyt urosły, że w tle jest walka z westernizacją w kulturze popularnej, że jest to wreszcie sygnał wysyłany do big techów, by pamiętały, w jakim środowisku działają i że muszą realizować wyższe cele wyznaczone przez państwo. Jak się okazało, wszystko na próżno: powstał materiał o tym, że granie może być szkodliwe dla dzieci, a Chiny znalazły sposób na to, by z tym problemem walczyć.

Czy ktoś specjalnie musiał inspirować taką właśnie interpretację? Nie. Wystarczył brak wiedzy, by się poddać może niespecjalnie wysublimowanej, ale jednak miękkiej narracji.

A Krecik w wersji 3D podróżuje po Chinach i uczy kolejne pokolenie dzieciaków, że najlepszym przyjacielem jest panda.

* * *

Chiny to nie Stany Zjednoczone, nie mają do zaoferowania alternatywy dla *American dream*, nie potrafią kręcić filmów ani robić muzyki, która podbijałaby cały świat, nie mają wyczucia w kreowaniu skutecznej *soft power*. Ale za pomocą coraz silniejszych marek technologicznych, ich przepastnych budżetów i wyczucia społecznych trendów po cichu i tak właśnie na miękko wywierają coraz większy wpływ na społeczeństwa. Idzie im to tak sprawnie, że często nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że to Chiny stoją za pewnymi trendami, zjawiskami, a nawet politycznymi decyzjami.

NIE MYŚL, ŻE UCIEKNIESZ, CZYLI CHIŃSKI BRAT PATRZY CORAZ UWAŻNIEJ

Mądrzy władcy i przebiegli dowódcy pokonują przeciwników i dokonują wybitnych czynów, ponieważ z wyprzedzeniem zdobywają wiedzę o wrogu. Takiej wiedzy nie uzyskuje się od zjaw ani duchów, nie na podstawie wniosków wyływających z obserwacji różnych zjawisk pogodowych czy też Nieba; zdobywa się ją wyłącznie od ludzi, ponieważ jest to wiedza o rzeczywistej sytuacji nieprzyjaciela¹.

Rynek technologicznej kontroli i nadzoru wart jest w Europie już grubo ponad 4 mld euro rocznie. A co, jeżeli można go podbić bardzo prosto: oferując obietnicę większego bezpieczeństwa za niższą cenę? To pierwsze kusi każdego. To ostatnie można uzyskać, produkując tanio sprzęt w Europie Wschodniej. Lub przynajmniej tam go testując i udoskonalając.

Chiny w ciągu ostatnich dwóch dekad urosły do rangi potentata na rynku technologii nadzoru i inwigilacji. Konkuruje z nimi już tylko Stany Zjednoczone i Izrael. Tyle że Chiny mają jedną ogromną przewagę: niezwykle niskie koszty dostarczania bardzo zaawansowanych danych, które pozwalają tworzyć sprzęt nie tylko coraz bardziej wyrafinowany, ale przede wszystkim tańszy od oferty konkurencji.

A Europa Wschodnia wciąż w ekspercie z Chin najbardziej ceni sobie cenę. Nawet kosztem bezpieczeństwa.

Sprawa countrymana

Do Perastu nie da się wjechać samochodem. Auto trzeba zostawić przy głównej drodze, a następnie, schodząc kilkuset kamiennymi schodkami w dół, zanurzyć się w klimat średniowiecznego miasteczka położonego nad Zatoką Kotorską. Oczywiście zwykle razem z tłumem turystów, z których żyje to liczące ledwie około 300 mieszkańców miejsce. Ale jednak przemykające między domami koty, pranie na sznurkach rozwieszonych między ciasno położonymi budynkami i zapach morza tworzą wrażenie, że to zakątek niemal odcięty od współczesnego świata.

Aby dostać się do średniowiecznego monasteru, gdzie na całe lato przeniósł się serbski zespół pozarządowej organizacji Share, trzeba przejść przez labirynt uliczek – pnących się w górę, nagle skręcających, przecinających prywatne podwórza. Nie ma co tu liczyć na pomoc mapy Google'a czy innego technologicznego oka widzącego wszystko i kierującego naszymi krokami.

W monastyrze jest taras, a z niego Bojan Perkov spogląda na Adriatyk. Szuka ochłody po całodziennym upale. Jest piątkowy wieczór, właściwie już noc, ale zespół Share jeszcze nie śpi. „Wygląda, jakbyśmy byli na wakacjach, co? Ale tak naprawdę uciekamy tu, do Czarnogóry, na całe lato, by sprawniej pracować. Bo roboty jest bardzo dużo” – uprzedza trzydziestokilkulatek.

Pracuje w organizacji pozarządowej, która od niemal dekady zajmuje się prawami człowieka i kwestiami wolności w środowisku cyfrowym. „Czujemy się tu dosyć swobodnie, oczywiście mamy własne routery, więc jest wi-fi. Ale jednak nie ma aż takiego nadzoru jak ten, z którym się normalnie mierzymy i którego kontrolą się zajmujemy” – opowiada Perkov.

Fundacja Share w 2017 roku weszła w skład European Digital Rights (EDRi), stowarzyszenia 45 organizacji specjalizujących się w kwestiach praw człowieka w całej Europie. Wtedy też zaczęła działać jako CERT (Computer Emergency Response Team), czyli jedna z jednostek (zazwyczaj rządowych) specjalizujących się w pomocy na wypadek ataków i problemów związanych z cyberbezpieczeństwem.

„Cyberataki na media, na organizacje pozarządowe też do nas trafiają. Kluczowe są jednak zagadnienia technologii nadzoru, tego, na jakiej podstawie rządy w nie inwestują, po co to robią, jaki konkretnie sprzęt i oprogramowanie kupują, kto ma dostęp do danych, które za ich pomocą zbierają. Czyli kontrolujemy kontrolujących” – tłumaczy Bojan Perkov.

„Byłaś w Belgradzie, prawda? Widziałaś kamery monitoringu na ulicach? Niby nic wielkiego, nic nowego. Takie kamery są dziś wszędzie na całym świecie. Zgadzamy się na nie, bo są pomocne w gwarantowaniu bezpieczeństwa, pomagają ścigać przestępców, są niezbędne do kontroli podróźnych na lotniskach. Ale co, gdy twoje państwo kupuje tysiąc takich supernowoczesnych kamer od firmy, która współpracuje z komunistycznym reżimem, a potem umieszcza je w sobie tylko znanych miejscach w mieście, a na wszystkie pytania odpowiada: «To dla waszego bezpieczeństwa, więc o co wam chodzi?». Tak właśnie stało się w 2019 roku w stolicy Serbii. Dowiedzieliśmy się wtedy, że w ramach projektu Bezpieczne Miasto, bez konsultacji społecznych, bez najmniejszej transparentności, takie kamery postanowiono zakupić od chińskiego giganta technologicznego Huawei. I są to kamery rozpoznające twarze i tablice rejestracyjne pojazdów, czyli stanowią coś dużo bardziej poważnego niż zwykły miejski monitoring” – opowiada analityk Share.

Inwestycja w nowoczesne kamery w Belgradzie od początku miała wysoko postawionych patronów – ogłosił ją na przykład sam minister spraw wewnętrznych do spółki z krajowym szefem policji. „Jak duża to inwestycja, dlaczego w te konkretnie kamery, jakie informacje będą zbierane, czy na pewno nie będą one przesyłane poza Serbię i na czyich serwerach – Huawei czy policyjnych – mają być przechowywane? Czy dane w ten sposób zbierane mają służyć do kontroli ulic czy do tworzenia profili biometrycznych? I wreszcie gdzie dokładnie w Belgradzie mają się znaleźć te kamery?” – Perkov strzela pytaniami. Jednym za drugim, bo wszystkie zna na pamięć. Przez długie miesiące fundacja, w której pracuje, zadawała je serbskiemu rządowi. Bezskutecznie.

„Nie ma się co oszukiwać, Serbia nie ma długiej tradycji demokratycznej, za to ma problemy z pełnym respektowaniem praw człowieka i praworządności. Pozostałością po socjalistycznej Jugosławii jest priorytetowe traktowanie bezpieczeństwa i ochrony wewnętrznej integralności. A świadomość znaczenia prywatności, ochrony danych, tego, że suwerenność to także suwerenność cyfrowa, jest wciąż u nas niska. W Polsce jest chyba inaczej? Trzydzieści lat demokracji musiało zrobić swoje...” – uspokaja mnie Bojan. Przytakuję, choć z perspektywy polskiej dziennikarki, która od lat zajmuje się właśnie wpływem technologii na społeczeństwo i politykę, wcale nie jest tak świetnie. „A wiesz, co było w tej konkretnej sytuacji nadzwyczajne? Szczelna zasłona milczenia spowijająca kulisy tego zakupu. Włącznie z tym, że nie chciano nawet powiedzieć, gdzie dokładnie te kamery mają być instalowane”.

To dlatego Share rozpoczęło społeczną kampanię pod hasłem „Hiljade kamera”, czyli „Tysiąc kamer”. Aktywiści miejscy, dziennikarze, ale przede wszystkim zwykli obywatele zaczęli im podsyłać dokładne lokalizacje kolejnych miejsc w Belgradzie, gdzie zauważyli nowe kamery. „Zmapowaliśmy i pokazaliśmy na interaktywnej mapie setki miejsc. Zdjęcia nowo instalowanych urządzeń z różnych dzielnic były też regularnie publikowane na Twitterze. Perkov wyciąga komputer i pokazuje mapę² Belgradu, na której oznaczone są miejsca z kamerami. Najeżdża kursorem na ścisłe centrum miasta, tzw. Krąg 2, i pokazuje 11 urządzeń. „Czyli wiemy, gdzie są, ale niewiele więcej, szczególnie na temat powodów ich instalacji. Serbski oddział Huawei w ogóle odmówił odpowiedzi” – podkreśla aktywista.

Jedną z tych kamer widzę w pobliżu redakcji serbskiego portalu informacyjnego. Jego redaktorka odpowiedzialna za pisanie o sprawach wewnętrznych państwa, w tym także kontaktach z Chinami, zgadza się spotkać i porozmawiać, ale pod warunkiem zachowania anonimowości. „Nie chcę, by ocena tego, co piszę, była uzależniona od tego, że mówiłam o własnym państwie w zagranicznej prasie. A taki może być u nas odbiór. Szczególnie że wizerunek Chin jako inwestora, jako partnera jest dla obecnego rządu bardzo ważny. I prawdę mówiąc, wiele z tych inwestycji jest faktycznie cennych. Ale trudno to dokładnie

ocenić, bo chronicznie brakuje dostępu do podstawowych informacji. A kamery? Tak naprawdę nie wiemy nawet, czy one w ogóle działają. Może zbierają sporo informacji i faktycznie przetwarza je Huawei? A może wciąż ich nie uruchomiono i to tylko atrapy?” – zastanawia się dziennikarka.

Vuk Vuksanović, badacz z Belgrade Security Forum, mówi, że ten zakup oczywiście mógł mieć na celu zbudowanie mocniejszego systemu kontroli nad obywatelami, ale czy faktycznie do niego doszło? „Serbia używa Chin, by poprawić swoją infrastrukturę i by gospodarkę uczynić bardziej nowoczesną i konkurencyjną. Więc politycznie są to działania dosyć proste, a wręcz skupiające się na jak najmniejszym koszcie. A Huawei w porównaniu z firmami z Doliny Krzemowej jest sporo tańszy. Rząd wierzy więc, że korzystając na przykład ze sprzętu Huawei, państwo niskim kosztem dołączy do rozwiniętych gospodarek XXI wieku. Powód: dla rządu Vučića kwestie telekomunikacji są wizerunkowo ważne” – podkreśla badacz z Belgrade Security Forum.

Za to rząd Vučića nie przepada za transparentnością. Huawei też milczy, choć początkowo projektem chwaliły się obie strony, co było o tyle łatwiejsze, że miały świetną historię na poparcie swojej współpracy.

Historia „tysiąca kamer” zaczyna się latem 2014 roku, gdy młody mieszkaniec Belgradu, 21-letni Luka Jovanović, i jego przyjaciele wracali do domu z Angels Club, jednego z ówczesnie najmodniejszych klubów w Belgradzie. Gdy przejeżdżali przez most w centrum miasta, ich samochód nagle się zepsuł. Luka wyszedł z niego, by zepchnąć auto na pas awaryjny. Właśnie wtedy uderzył w niego mini countryman. Jego kierowca uciekł. Chłopak zmarł w szpitalu kilka dni później. Serbska policja przez dwa miesiące szukała śladów. Gdy już zidentyfikowała kierowcę jako 33-letniego Marka Milićeva, okazało się, że sprawca po wypadku uciekł do Chin, przez Turcję i Hongkong. Serbska policja przesłała jego zdjęcia władzom chińskim, a te już po trzech dniach Milićeva aresztowały i wydały Serbii.

„Sprawa countrymana”³ zapoczątkowała współpracę Huawei z serbskim Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. W fazie testów chińska firma розміściła

dziewięć kamer w pięciu różnych lokalizacjach, w tym w siedzibie samego ministerstwa. Testowano na nich rozpoznawanie twarzy, tablic rejestracyjnych oraz przeprowadzano tzw. analizę behawioralną, czyli na przykład zebrane dane analizowano pod kątem, czy jakieś zachowanie może skutkować przemocą, i na tej podstawie miały być uruchamiane alarmy i zawiadamiane odpowiednie służby. Testy zakończyły się sukcesem i dzięki temu w 2017 roku rząd Serbii i Huawei podpisały umowę o partnerstwie strategicznym. Sam Huawei opisał zaś „sprawę countrymana” na swojej oficjalnej stronie internetowej.

Całą kampanię, której szczytowym momentem był właśnie zakup tysiąca kamer, nazwano Safe City. I być może nie wzbudziłaby ona większego zainteresowania, gdyby nie serbski komisarz ds. informacji publicznej i ochrony danych osobowych Milan Marinović, który jako pierwszy wszczął alarm. „Nie ma podstaw prawnych do realizacji projektu Bezpieczne Miasto” – ogłosił i podparł swoje stanowisko analizą prawną, z której wynikało, że serbskie przepisy nie regulują kwestii rozpoznawania twarzy i przetwarzania danych biometrycznych. Instytucja odpowiedzialna za ochronę danych upierała się, że taka technologia nie może być wykorzystywana przed przyjęciem nowej ustawy, która by zabezpieczyła prawa obywateli w tym zakresie.

Po jego uwagach serbska policja i resort spraw wewnętrznych zmieniły swoją wersję wydarzeń, twierdząc, że nie używali oprogramowania analizującego dane biometryczne, ponieważ nie było jeszcze do tego podstaw prawnych. Od tamtej właśnie pory ani rząd Serbii, ani Huawei już nie chwala się projektem, a opowieść o tym, jak pomocne okazały się chińskie rozwiązania w odszukaniu sprawcy wypadku, zniknęła ze strony Huawei.

„Już tego wpisu nie ma, został usunięty. My jednak mamy jego screen” – mówi Perkov, serbski aktywista działający na rzecz praw człowieka w środowisku cyfrowym. „O śmierci młodego belgradczyka i procesie kierowcy, który go potrafił, było w Serbii głośno, ale wcale nie mamy pewności, że faktycznie to dzięki technologii rozpoznawania twarzy udało się zidentyfikować sprawcę w Chinach. Wiemy, że Chiny mocno rozwijają biometrię, i budzi to poważne

zastrzeżenia, począwszy od tych natury moralnej. Przecież jest to technologia ćwiczona i karmiona danymi między innymi Ujgurów, czyli represjonowanej mniejszości zamieszkującej prowincję Xinjiang. Chyba nie jest więc dziwne, że chcielibyśmy wiedzieć, czy dane Serbów nie zostaną wykorzystane do uczenia sztucznej inteligencji, jakie cechy biometryczne mają mieszkańcy naszej części świata” – podkreśla ekspert z Share.

Kraj 200 mln kamer

Shoshana Zuboff w już klasycznej książce analizującej wpływ technologii na kontrolę społeczeństw, czyli w *Wiek kapitalizmu inwigilacji*, przywołuje historię z 2017 roku: „Na targach technologii nadzoru w Shenzhen aż się roiło od amerykańskich firm sprzedających swoje najnowsze wyroby, zwłaszcza aparaty wyposażone w sztuczną inteligencję i funkcję rozpoznawania twarzy. Wśród tłumu był też prezes zarządu CCTV Direct, brytyjskiego dystrybutora wyposażenia nadzorującego. Ubolewał nad tym, «jak daleko w tyle pozostają kraje zachodnie»⁵ w porównaniu z możliwościami i dreszczykiem emocji chińskiej infrastruktury inwigilacyjnej, ale pocieszał się również myślą: «To, co zaczyna się tutaj, ląduje ostatecznie w domach, na lotniskach i firmach tam, w Ameryce»”.

Nie tylko w Ameryce. Według raportu opracowanego przez think tank Carnegie Endowment for International Peace chińskie firmy technologiczne – w szczególności Huawei, Hikvision, Dahua i ZTE – dostarczają technologię nadzoru i sztucznej inteligencji do 63 krajów⁶. Spośród tych krajów 36 podpisało się pod ogromnym chińskim projektem infrastrukturalnym, czyli Inicjatywą Pasa i Szlaku. Co ciekawe, w tej analizie białą plamą pozostaje niemal cały obszar Europy Środkowej. Tak jakby ten zakątek wyjątkowo nie cieszył się zainteresowaniem chińskich dostawców.

Tymczasem jest inaczej: nasz kawałek świata też chłonie niczym gąbka technologiczne dokonania Państwa Środka w tym zakresie. A te są faktycznie na najwyższym światowym poziomie. Szczególnie że – jak wynika ze śledztwa „The

Wall Street Journal”⁷ z 2019 roku – czołowe amerykańskie firmy sektora IT przez lata pomagały Chinom w tworzeniu wszechobecnego systemu inwigilacji i kontroli społeczeństwa. Hewlett Packard, Intel, Seagate Technology, Western Digital i wiele innych przedsiębiorstw IT dostarczyło Chinom technologie i kluczowe urządzenia, takie jak kamery monitorujące czy serwery do obsługi danych w chmurze obliczeniowej, a nawet finansowały firmy pracujące dla potrzeb chińskiej służby bezpieczeństwa.

Chiny dziś mają już największą na świecie sieć własnego wewnętrznego nadzoru. Działa w nich ponad połowa wszystkich kamer monitorujących na świecie. Według raportu ChinaFile⁸, publikacji Centrum Stosunków USA–Chiny (pozarządowej organizacji non-profit od kilkunastu lat analizującej kontakty na linii tych dwóch globalnych potęg), w latach 2010–2019 rządowe zamówienia na sprzęt, taki jak kamery do rozpoznawania twarzy i usługi konserwacyjne związane z nadzorem, wzrosły o prawie 1900 proc. W 2018 roku „People’s Daily”, oficjalny partyjny organ prasowy, na swoim anglojęzycznym koncie na Twitterze ogłosił, że chiński system skanowania twarzy jest w stanie w sekundę porównać dane 1,4 mld chińskich obywateli.

Wartość obrotów chińskiego sektora nadzoru z zastosowaniem telewizji przemysłowej (CCTV) wyniosła w 2018 roku około 10,6 mld dol. Według ekspertów firmy analitycznej IDC⁹ ponad połowę z tego stanowiły zakupy chińskiego rządu. Skalę planów Pekinu dobitnie pokazywał już rozpoczęty w 2018 roku projekt Sharp Eyes, czyli ambitna próba objęcia 100 proc. chińskiej przestrzeni publicznej – rogów ulic, parków, dworców kolejowych – możliwością monitorowania wideo i gromadzenia danych na specjalnej, centralnej platformie.

A to wszystko działo się jeszcze przed wybuchem pandemii COVID-19, która z Chin uczyniła prawdziwie globalne supermocarstwo inwigilacji i kontroli społecznej. Drony zaglądale do mieszkań ludziom objętym kwarantanną, by sprawdzić, czy faktycznie ich nie opuszczają, kamery termowizyjne badające ciepłość ciała, monitoring chodu (ten oferuje firma Watrix), ale przede wszystkim

więcej i więcej kamer zbierających dane biometryczne. Dziś w Chinach jest ich już ponad 200 mln. W czasie pandemii dołożono kolejne dziesiątki tysięcy.

„Nie można się poruszać po mieście bez kilku obowiązkowych rządowych aplikacji, twarze i temperatura ciała są skanowane na każdym kroku, przy wejściu do metra, do budynku publicznego, do większego sklepu. Można się było spodziewać na początku pandemii, że kontrola państwa się nasili, ale muszę przyznać, nie spodziewałem się, że aż tak bardzo” – o życiu w Pekinie w czasie pandemii opowiada dziennikarz jednego z polskich mediów, od kilkunastu lat będący korespondentem z Chin.

Chińskie kamery do rozpoznawania twarzy i systemy nadzoru wykorzystuje się obecnie do pozornie nieszkodliwych zadań, takich jak monitorowanie odwiedzających w miejscach turystycznych i przeprowadzanie kontroli bezpieczeństwa na lotniskach. Ale sięga się po nie także dla coraz bardziej inwazyjnych celów, takich jak pomoc w przeprowadzaniu działań represyjnych. Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych (ICIJ) z siedzibą w Waszyngtonie w listopadzie 2019 roku ujawniło tajne sprawozdanie z posiedzenia chińskiej policji politycznej, w którym odnotowano, że w ciągu miesiąca dzięki systemowi elektronicznej inwigilacji udało się zidentyfikować 24 tys. „podejrzanych osobników”, z których 15,5 tys. zostało następnie internowanych w obozach.

Niemiecki dziennikarz, wieloletni korespondent w Chinach i autor książki *Chiny 5.0*. Kai Strittmatter, twierdzi, że wcale nie ma pewności, że chińskie władze faktycznie są w tej dziedzinie aż tak zaawansowane, ale dodaje, że to wcale nie jest kluczowe. „Tak długo, jak ludzie w to wierzą, nie jest ważne, czy to prawda, czy nie. To, co partia komunistyczna robi teraz z zaawansowaną technologią nadzoru, to próba zinternalizowania kontroli: kiedy już uwierzysz, że to prawda, reżim nie będzie potrzebował nawet policjantów na rogu, bo sam staniesz się swoim własnym policjantem. Oczywiście to nie jest mechanizm właściwy tylko Chinom, więc zaraz się pojawią kolejne rządy, które chętnie by taki pomysł u siebie zaimplementowały”.

Najwięcej alarmujących informacji dotyczy Xinjiangu, gdzie władze wdrożyły szeroko zakrojone systemy nadzoru zbierające dane biometryczne (rozpoznawania twarzy) i inne informacje umożliwiające śledzenie – w celu niezwykle szczegółowego monitorowania członków mniejszości ujgurskiej. Kamery monitorujące muzułmańskich Ujgurów, którzy według oficjalnej chińskiej propagandy mogą stwarzać zagrożenie dla państwa poprzez powiązania z terroryzmem, są instalowane na kolejnych peronach, lotniskach i stacjach benzynowych. Nie tylko monitorują, lecz także zbierają na masową skalę coraz bardziej szczegółowe informacje.

„Ujgurzy w Xinjiangu są poddawani coraz większej kontroli także za pomocą technologii. Ale nie chodzi tylko o to, że państwo chce pilnować i monitorować cały mój naród. Nie jest już tajemnicą, że te działania są w dużej mierze żywym laboratorium służącym do trenowania nowych technologii inwigilacji. Gdy okazują się skuteczne, są wprowadzane w innych częściach Chin, a niektóre z nich są następnie sprzedawane dalej, na cały świat. Tak, do krajów Europy też” – mówi Rushan Abbas, ujgurska działaczka na rzecz praw człowieka i założycielka organizacji Campaign for Uyghurs, z którą poznaję się w Pradze, gdzie właśnie przyjechała pokazać dokument o tym, jak po jej wypowiedziach w mediach jednego dnia władze zatrzymały jej siostrę i ciotkę. Ta pierwsza wciąż pozostaje w nieznanym miejscu, a władze w Pekinie odmawiają udzielenia jakichkolwiek informacji na jej temat. „Wiem, że jestem pod ciągłym nadzorem. Choć mieszkam w Stanach, rodzina boi się ze mną skontaktować, bo każda taka próba zostałaby namierzona i ukarana” – mówi.

IPVM, amerykańska organizacja badająca rozwój technologii monitoringu, opublikowała nagranie, w którym tłumaczy działanie kamer firmy Dahua: „W policyjnych sieciach kamer bezpieczeństwa zainstalowano oprogramowanie AI, tzw. Uyghur alert, które zawiadamia policję, gdy na nagraniu z monitoringu pojawi się twarz wyglądająca na ujgurską”¹⁰. Wedle doniesień tej organizacji, raz za razem potwierdzanych przez dziennikarskie śledztwa i służby kolejnych zachodnich

państw, za rozpoznawaniem „ujgurskich twarzy” stoją między innymi Huawei, Hikvision i Dahua. Duże, globalnie znane i niezwykle popularne marki.

Przedstawiciele Huawei, w odpowiedzi na zarzuty IPVM, stwierdzili, że firma „sprzeciwia się wszelkiego rodzaju dyskryminacji, w tym wykorzystywaniu technologii do przeprowadzania dyskryminacji etnicznej”. Dahua też zaprzecza, jakoby ich system monitoringu miał wykrywać ujgurskie rysy twarzy. Mimo to w sierpniu 2020 roku rząd USA zakazał wszystkim kontrahentom federalnym kupowania towarów lub usług od firm, które korzystają z produktów pięciu chińskich przedsiębiorstw, w tym Hikvision i Dahua.

Ale i tak produkty tych firm cieszą się ogromnym wzięciem. Brytyjski zespół badawczy Top10VPN pod koniec 2021 roku policzył, że poza Chinami w 191 państwach świata jest zainstalowanych 6,3 mln sieci kamer od Hikvision i Dahua. Tej pierwszej firmy aż 4,8 mln. Co ciekawe, najwięcej w Unii Europejskiej ma ich Rumunia, gdzie łącznie zainstalowano ich niemal 190 tys. W samym Bukareszcie jest ich ponad 43 tys. Oficjalnie powody podawane przez rumuńskie władze raczej nie zaskakują: to ta firma oferowała najlepszą cenę w stosunku do jakości.

Ale chętnych na ten sprzęt jest coraz więcej.

Kamery, skanery, drony

Zaciszna okolica Prądnika Białego, kilka kilometrów od krakowskiego Rynku Głównego. To tu prezydent Polski Andrzej Duda i jego żona kupili 150-metrowy apartament, który ma im służyć, gdy w 2025 roku skończy się druga kadencja prezydencka. Do niedawna w tej okolicy znajdowały się ogródki działkowe, od kilku lat powstają jeden za drugim domy jednorodzinne. Uwagę przyciąga zwłaszcza piękny stary park rozciągający się wokół tzw. pałacu na Górcie. „Fort Duda” – jak ochrzczono ten budynek – uwagę polskich mediów przyciągnął z innego powodu.

Gdy opublikowano zdjęcia domu, do „Gazety Wyborczej”¹¹ zgłosił się informator, który podpowiedział, by zainteresować się monitoringiem wokół apartamentu. Okazało się, że zainstalowane tam mają być kamery chińskiej firmy Dahua. A Dahua figuruje na amerykańskiej czarnej liście.

W 2017 roku w kamerach tej firmy wykryto *back doors*, czyli mechanizmy umożliwiające pobieranie zbieranych przez nie danych i przekazywanie ich producentowi. Dodatkowo 10 proc. udziałów w firmie Dahua posiada chiński rząd, koncern współpracuje z chińską policją i dysponuje oddziałami własnej firmy ochroniarskiej, która realizuje zadania polityczne i wyłapuje dziennikarzy, dysydentów czy prawników, którzy są niewygodni dla chińskiego rządu. Druga firma ukarana wykluczeniem w Stanach, czyli Hikvision, jest zaś kontrolowana przez rząd chiński w ponad 40 proc.

Swoją analizę kamer obu tych firm rok później zamówił rząd Litwy. Badanie przeprowadzone przez litewskie Narodowe Centrum Bezpieczeństwa Cybernetycznego (NCSC; to samo, które kontrolowało także smartfony i zaczęło ostrzegać przed tymi marki Xiaomi) sprawdzało urządzenia Hikvision i Dahua zainstalowane w urzędach i instytucjach publicznych. Odnaleziono je w 57 instytucjach w całym kraju. Litewscy eksperci zauważyli, że zastosowane w nich rozwiązania programowe nie dość, że są stosunkowo stare, bo opracowane w latach 2012–2015, to jeszcze mają luki w zabezpieczeniach. Wskazano, że niesie to ze sobą podatność na ataki DDoS. To popularne i niestety też często niebezpieczne działania, do których wykorzystuje się wiele zainfekowanych komputerów naraz, tak by spowolnić lub wręcz całkiem zablokować aktywność ofiary. „Warto zaznaczyć, że na badanych urządzeniach znaleziono funkcje, które pozwalają wyeliminować problem nieautoryzowanego dostępu, lecz w standardowej konfiguracji nie były one aktywne” – stwierdzali Litwini w swojej analizie¹².

„Nie jest więc tak, że zastrzeżenia wokół tego sprzętu to była tajemnica, jakieś niezbadane podatności” – mówi mi pracownik polskiej administracji przez lata pracujący też dla Agencji Wywiadu. „Jestem przekonany, że zadecydowała po prostu cena”. Poseł Marek Biernacki, były minister spraw wewnętrznych i były

koordynator służb specjalnych, wystąpił z interpelacją poselską, by się dowiedzieć więcej o chińskich kamerach w polskich urzędach. Okazało się, że nie mają z nimi problemu najważniejsze instytucje odpowiedzialne za bezpieczeństwo Polski. „Na terenie MSWiA są używane urządzenia, które posiadają zabezpieczenia techniczne pochodzące od chińskiego producenta”; w „małej skali” są też w MON – brzmiała oficjalna informacja¹³. Kancelaria Prezydenta RP i Służba Ochrony Państwa po kilku miesiącach od ujawnienia informacji o „forcie Duda” i kamerach od Dahua zbywają naturalnie się w tej sytuacji nasuwające pytania milczeniem.

Za to niemal w tym samym czasie sprawą chińskiego producenta kamer niespodziewanie zainteresował się Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów i wszczął postępowanie dotyczące ustalania cen sprzętu do elektronicznego monitoringu. Kontrolerzy przeszukali siedzibę Dahua Technology Poland oraz jej trzech partnerów handlowych: DTS System w Lublinie, MKJ w Gdańsku oraz E-commerce Partners w Częstochowie, w związku z podejrzeniem o narzucanie cen odsprzedaży urządzeń. Zazwyczaj takie zmony dotyczą zawyżania cen, tym razem jednak badano, czy firma nie ustaliła takiego ich pułapu, by ograniczyć szanse konkurencji.

Równie ciemne chmury zbierają się nad Hikvision. Wspomniana litewska analiza stwierdziła, że sprzęt tej firmy daje „możliwość przeprowadzenia cyberataków lub wstawienia złośliwego kodu”. Portal Politico¹⁴ opisywał, że ten chiński producent w 2021 roku sam przyznał, że jeden ze specjalistów od bezpieczeństwa znalazł usterkę w produktach Hikvision, która „pozwala napastnikowi uzyskać pełną kontrolę nad urządzeniem”, a „podatność ta ma najwyższy poziom”. To o tyle ważne, że Hikvision z ponad 100 mln kamer na całym świecie jest potentatem. Dodatkowo wraz z wybuchem pandemii koronawirusa firma zaczęła również sprzedawać systemy kamer termowizyjnych, które mogą wykrywać, czy ludzie mają gorączkę.

W maju 2022 roku wszystkie te kontrowersje uwierały już na tyle mocno, że zaczęły się przecieki do mediów: rząd Stanów Zjednoczonych przygotowuje się, by wpisać chińskiego producenta na listę SDN, na której znajdują się firmy i osoby

stanowiące zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego USA oraz polityki zagranicznej i gospodarczej kraju. A to „wyróżnienie” jest faktycznie największym straszakiem, czymś, co może nawet zagrozić przyszłości całej firmy.

Ani te doniesienia, ani to, że dominującym udziałowcem Hikvision jest państwowy chiński instytut naukowy specjalizujący się w tematyce obronnej, nie zniechęciło jednak władz europejskich państw. W Rumunii tuż po wybuchu pandemii chińska firma sama się chwaliła¹⁵, że oferowane przez nią urządzenia termowizyjne (służące między innymi do mierzenia temperatury u ludzi) wykorzystuje się w zakładach Dacii w Mioveni oraz w Centrum Technicznym Renault w Titu. Co więcej, Hikvision dokonała darowizny do Szpitala Dziecięcego im. Grigore’a Alexandrescu, którego sale wyposażono w kamery termowizyjne zintegrowane w sieć ze specjalnymi urządzeniami Network Video Recorder oferującymi podgląd na żywo, nagrywanie i odtwarzanie, a nawet liczenie osób. Kilka miesięcy później, latem 2021 roku, w Hiszpanii firma podpisała kontrakt na dostawę 175 kamer używanych na kilkudziesięciu lotniskach, w tym w Madrycie-Barajas i Barcelonie-El Prat. I właśnie lotniska oraz przejścia graniczne, a raczej chiński sprzęt, którym są naszpikowane, budzą największe kontrowersje.

Ale jeszcze większe niż w przypadku Dahua i Hikvision zamieszanie zapanowało wokół mało znanej poza środowiskiem ekspertów firmy, którą publicyści przedstawiają jako „Huawei lotniskowego bezpieczeństwa”¹⁶. Chodzi o Nuctech.

Zwraca mi na nią uwagę litewski wiceminister obrony narodowej Margiris Abukevičius. „Mają swoje oddziały w Polsce i w Holandii. Na liście najważniejszych dostawców sprzętu związanego z kwestiami bezpieczeństwa są bardzo ważnym graczem. Ale budzą spore obawy. To nawet nie jest prywatna firma co najwyżej zobowiązana do kontaktów z partią komunistyczną, tylko faktycznie chińskie przedsiębiorstwo państwowe” – mówi litewski polityk. Dlatego jego kraj podjął decyzję, by nie dopuszczać Nuctechu do zamówień związanych z bezpieczeństwem i kontrolą (na przykład na lotniskach).

Decyzja Litwy zapadła, gdy przed Nucotech zaczęły ostrzegać amerykańskie służby. „Niewątpliwie czekają nas w związku z wykluczeniem Nucotechu postępowania przed sądami, bo oni mają swoje oddziały w krajach unijnych, więc będą podważać nasze decyzje o niedopuszczaniu ich do systemu zamówień publicznych” – mówi Abukevičius. I dodaje: „Sam rozmawiałem o tym z polskimi parlamentarzystami i oni kompletnie nie byli świadomi, że ta firma budzi takie zastrzeżenia ani że jej polska lokalizacja jest tak ważnym argumentem w międzynarodowych biznesach”.

Nucotech powstał w 1997 roku z inicjatywy Hu Haifenga, syna Hu Jintao, czyli przywódcy Chin w latach 2003–2013. Era rządów Hu nazywana jest „złotą dekadą” Chin. Kraj ten dokonał wtedy naprawdę ogromnego skoku gospodarczego i technologicznego. Symbolicznie widać to po liczbie miliarderów – 20 lat temu w Chinach nie mieszkał oficjalnie ani jeden, a gdy Hu kończył rządy, chińskich miliarderów było już blisko 300. Zbiegło się to z pojawieniem się wspomnianych już „książątek”, czyli dzieci ważnych polityków, w których rękach znalazły się najważniejsze sektory państwa. Hu Haifeng był właśnie jednym z takich „książątek”, z na tyle mocną pozycją, że w 2008 roku został sekretarzem partii w Tsinghua Holdings, która kontroluje Nucotech i 20 innych firm. Później wycofał się z biznesu, przechodząc całkiem do polityki. Zanim jednak do tego doszło, podległe mu firmy zdążyły zdobyć tak potężne kontrakty, że stały się graczami ważnymi nie tylko w samych Chinach.

W marcu 2020 roku spółkę przemianowano na Nucotech Company. Zmiana nazwy nie miała jednak wpływu na podstawową kwestię: właścicielem przedsiębiorstwa produkującego aparaty rentgenowskie, skanery i systemy wykrywania materiałów wybuchowych jest Chińska Republika Ludowa. Co więcej, nadzór państwa nawet zwiększono. Kilka tygodni po zmianie nazwy holding Nucotech przeniósł większość swoich udziałów do China National Nuclear Corporation (CNNC), kontrolowanego przez państwo konglomeratu przemysłowego działającego w sercu chińskiego przemysłowego rozwoju potencjału nuklearnego – a ten ma oczywiste powiązania z aparatem wojskowym.

Wcześniej jednak Nuctech dokonał szybkiej ekspansji międzynarodowej. Zaczął od ekspresowego podboju krajowego rynku dzięki lukratywnym kontraktom, szczególnie po ataku z 11 września 2001 roku, gdy wszystkie lotniska na świecie drastycznie zaostrzyły zasady bezpieczeństwa. W Państwie Środka praktycznie 90 proc. tego typu zleceń trafiło do firmy Hu Haifenga. Oprócz tego obsługiwała ona także zorganizowane w 2008 roku Igrzyska Olimpijskie w Pekinie – i wtedy też zaczęła zdobywać flagowe kontrakty na całym świecie. Dostarczała sprzęt na Expo w Mediolanie w 2015 roku, turniej tenisowy na Wimbledonie oraz Igrzyska Olimpijskie 2016 w Rio de Janeiro. W Unii Europejskiej zaś stała się ostatnio głównym dostawcą sprzętu zapewniającego bezpieczeństwo na lotniskach, używanego do kontroli osób, bagażu, materiałów eksploatacyjnych, ładunku i poczty.

Nuctech wkroczył na światowe rynki, agresywnie konkurując cenowo i odsuwając na bok zachodnich rywali – amerykańskie OSI Systems i Leidos Holdings oraz brytyjską Smiths Detection Group. Według amerykańskiego Departamentu Stanu Nuctech zgromadził 90 proc. udziału w europejskim rynku urządzeń służących do kontroli ładunków morskich i nawet do 50 proc. rynku kontroli bagażu pasażerskiego i ładunku na lotniskach. Nuctech kwestionuje te wyliczenia, twierdząc, że te udziały wynoszą odpowiednio około 70 i 10 proc. Według amerykańskiego rządu, jak ujawnił „The Wall Street Journal”, taka ogromna przewaga rynkowa stała się możliwa dzięki strategii cenowej Nuctechu¹⁷. Do tego doszła „trwająca dekadę agresywna kampania ukierunkowana na zdobycie znaczącego udziału w krytycznych segmentach infrastruktury w Europie kosztem producentów z USA”. Czyli: amerykańscy konkurenci twierdzą, że Nuctech wycenia swoje produkty na około 25 do nawet 50 proc. poniżej własnych kosztów.

„Te maszyny rozmieszczono już w całej Europie. Są wszędzie” – mówił serwisowi Politico Mikko Huotari¹⁸, dyrektor Instytutu Mercator ds. Badań nad Chinami w Berlinie. A w sytuacji, w której chińska firma kontrolowana przez reżim ma wgląd we wszystkie porty lotnicze w Europie, politykom powinna się zapalić czerwona lampka. Przecież Nuctech dostarcza usługi, systemy

i oprogramowanie do obsługi swojego sprzętu, który można podłączyć do zarządzanych przez porty lotnicze baz danych, które zawierają dane osobowe milionów Europejczyków. Obejmuje to systemy zarządzające przepływem pasażerów, przepływem bagażu oraz, w coraz większym stopniu, testowanie na lotniskach nowych technologii, takich jak choćby rozpoznawanie twarzy.

„Lotniska, granice, obiekty publiczne. Wiemy, że produkty Nuctechu są w Estonii powszechne, ale jak bardzo? Kiedy zapytane zostały o to policja i Straż Graniczna, okazało się, że nie mamy szczegółowych wykazów” – mówi mi Frank Jüris, analityk z Estońskiego Instytutu Polityki Zagranicznej przy ICDS, specjalizujący się w badaniu kontaktów z Chinami. „Gdyby to był sprzęt rosyjskiej produkcji, jestem pewien, że nikt tak łatwo nie zdecydowałby się na jego zakup i instalację. Ale Chiny, z którymi nie graniczymy, a które przez lata miały wizerunek gospodarki odtwórczej, dziś wciąż są w tej wrażliwej dziedzinie niedoceniane”. Przypomnijmy, że cały rynek technologii bezpieczeństwa Komisja Europejska szacuje na 4,2 mld euro rocznie. Jak pokazuje Tenders Electronic Daily¹⁹, czyli baza danych o zamówieniach w Unii, od 2014 do 2019 roku firma Nuctech podpisała 58 kontraktów z organami granicznymi i celnymi, ministerstwami, departamentami policji i innymi organizacjami rządowymi w 22 z 28 (jeszcze przed brexitem) krajów członkowskich UE. Jej sprzęt został zainstalowany na lotniskach od Florencji, przez Londyn Luton, po Budapeszt. Niektóre z tych kontraktów przyznano lokalnym spółkom zależnym, takim jak Nuctech Warsaw, czyli polska gałąź firmy, oraz jej holenderska spółka zależna, której zadaniem jest zarządzanie sprzedażą i relacjami z europejskimi portami lotniczymi i władzami publicznymi.

Dane unijnej bazy danych, amerykańskich służb i samego Nuctechu dają jedynie ogólny wgląd w cały rynek. Niektórzy eksperci twierdzą więc, że nie pokazują w pełni dominacji firmy, której siła opiera się w ogromnej mierze na po prostu bardzo niskich cenach. Tak niskich, że już w 2009 roku zwrócili na nie uwagę europejscy regulatorzy. Wtedy w sprawie wniesionej przez brytyjską konkurencyjną firmę Smiths Detection chiński producent został ukarany karami

antydumpingowymi. Następnie Komisja Europejska nałożyła cła handlowe w wysokości do 36 proc. na sprzęt firmy Nuctech, aby zrekompensować to, co uznała za nieuczciwą konkurencję na rynku europejskim.

Spór między Smiths a Nuctech był na tyle poważny, że spowodował tarcia między UE a Chinami. Unijni urzędnicy odpowiedzialni za handel wezwali chińskie Ministerstwo Handlu, żeby – skoro europejski rynek otworzył się na chińskiego producenta – uczyniły to samo wobec producentów zachodnich. Pekin jednak od lat utrzymuje ścisłą kontrolę nad swoim rynkiem wewnętrznym i nie ma zamiaru dopuścić do niego konkurencji. W czasie gdy trwał ten spór, Nuctech dokonał ucieczki do przodu i zamiast się ukrywać, wszedł do samego środka Europy.

Dziś nie trzeba szukać go daleko. Wystarczy jakieś 30 minut samochodem z Warszawy. Kobyłka to miejscowość niewyróżniająca się niczym szczególnym. Niezle skomunikowana ze stolicą, ale jednak sporo tańsza. To właśnie niższe koszty przyciągnęły Nuctech i do Polski, i na Mazowsze. Gdy jesienią 2018 roku w Kobyłce odbyło się uroczyste otwarcie nowej fabryki, firma chwaliła się, że to jedyny taki jej zakład w Europie, a czwarty na świecie – po centrali w Chinach i fabrykach w Dubaju i Brazylii.

Firma swój oddział w Polsce założyła jednak już w 2009 roku i zaledwie pięć lat później pozyskała zamówienia polskich celników i Straży Granicznej. „Wybraliśmy Polskę ze względu na niższe koszty produkcji i bardzo wysoki poziom wykształcenia technicznego” – tak w 2018 roku mówił lokalnemu serwisowi „Wieści Podwarszawskie”²⁰ Wang Weidong, prezes zarządu Nuctech Warsaw. Okazją do tego wystąpienia było otwarcie już drugiego zakładu firmy w Polsce.

„Uważamy, że Polska, podobnie jak inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej, będzie coraz bardziej strategiczną lokalizacją dla długofalowych inwestycji. Dlatego właśnie tu produkujemy skanery, które są wykorzystywane przez służby celne i podatkowe, lotnictwo cywilne oraz obiekty użyteczności publicznej do kontroli pojazdów, kontenerów, wagonów kolejowych oraz bagaży podróżnych na

lotniskach. Części kupujemy w krajach Unii Europejskiej, główne zespoły, w tym wykrywacze i detektory, produkujemy w fabryce w Kobyłce. Jeśli zaś chodzi o oprogramowanie, to importujemy je z Chin” – zachwalał Weidong.

Do tej pory Nuctech wyposażył w gigantyczne skanery bramowe terminale odpraw na przejściach granicznych na wschodzie Polski: od Terespoła, przez Grzechotki, po Kuźnicę Białostocką i Dorohusk. Kolejne, już mniejsze, mobilne urządzenia tropią w kraju kontrabandę i pilnują bezpieczeństwa na lotniskach. Są nawet w polskim sejmie, co potwierdziła mi jego kancelaria. Niestety nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, jak dużo jest tych urządzeń.

Za to wszyscy w branży zgadzają się co do jednego: są coraz bardziej rozchwytywane. Nuctech zainstalował urządzenia do kontroli ładunku na niektórych z najbardziej wrażliwych granic Europy, w tym u bram Kaliningradu, rosyjskiego terytorium Morza Bałtyckiego oraz na granicach Estonii. Na granicach Unii z Białorusią i Ukrainą ładunek przechodzi przez skanery Nuctechu po obu stronach. Można by wręcz powiedzieć, że na tym sprzęcie opiera się bezpieczeństwo całej wschodniej flanki Unii.

Latem 2021 roku kolejny skaner otrzymały służby na przejściu granicznym Braniewo–Mamonowo. W miejscu ważnym, bo to polsko-rosyjskie przejście odgrywa jedną z kluczowych ról w transporcie towarów na szlaku kolejowym wschód–zachód i ma szansę stać się północnym punktem na Nowym Jedwabnym Szlaku. Kursują tędy pociągi omijające narastające zatory w Małaszewiczach.

Niemal w tym samym czasie 430 km na wschód, w graniczącej z Białorusią litewskiej Kienie Nuctech wygrał przetarg na dostawę aparatu rentgenowskiego dla przejścia granicznego – i nikt nie ogłaszał tego z fanfarami. Wręcz przeciwnie, wynik postępowania przyjęto z konsternacją. Urzędnicy otrzymali dwie oferty, ale tylko ta, którą przygotował warszawski oddział Nuctechu, spełniała wymagania przetargowe, no i tradycyjnie była sporo tańsza. Mimo to dyrektor Departamentu Celnego Dariusz Žvironas zapowiedział, że przetarg może nie zostać rozstrzygnięty. Sytuacja zrobiła się naprawdę napięta, bo przejście pilnie potrzebuje

specjalistycznego sprzętu do kontroli towarów. Wartość szmuglowanych przez nie papierosów rocznie sięga nawet 2 mln euro.

Litwa stanęła przed trudnym dylematem, bo przecież dopiero co się zarzekała, że nie będzie kupowała od Nucotechu. Amerykańscy dyplomaci, którzy w całej Europie, od Chorwacji po Litwę, lobbują za amerykańskimi firmami, próbują wyprzedzić przetargi Nucotechu w Grecji, na Węgrzech, we Włoszech i w Portugalii. Tyle że argumenty mają słabe, co pokazała notatka Departamentu Stanu z 8 maja 2021 roku. Wynika z niej, że chorwacki minister finansów i inni urzędnicy tego państwa zbyli Amerykanów argumentem, że zasady zamówień publicznych stawiają sprawę jasno: trzeba wybrać najtańszego oferenta, a wyjątki od tej reguły ograniczają się do kwestii bezpieczeństwa narodowego.

Jak bardzo Stanom zależy na podcięciu skrzydeł Nucotechowi, widać najlepiej po tym, że reakcją na odpowiedź Chorwacji była propozycja Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (Department of Homeland Security – DHS), aby w ramach wymiany gestów dobrej woli potraktować sprawę jako jeden z argumentów za zniesieniem wiz dla Chorwatów. Zadziałało. Z końcem września 2021 roku Stany po latach starań ze strony rządu w Zagrzebiu oficjalnie ogłosiły: Chorwacja wchodzi do gry o zniesienie obowiązku wizowego. „Wybór Chorwacji na nowego uczestnika programu bezwizowego jest ważnym uznaniem wspólnych interesów gospodarczych i bezpieczeństwa naszych krajów” – napisał Alejandro Mayorkas, szef DHS.

A o zamówieniach na sprzęt od Nucotechu w Chorwacji nagle ucichło. Zarząd firmy na moje prośby o rozmowę nie odpowiedział, za to w dzienniku „Puls Biznesu”²¹ Paweł Woszczyk, zastępca dyrektora generalnego Nucotech Warsaw, pod koniec 2021 roku zarzekał się, że jego firma nie boi się otwartej gry. „Najbardziej niebezpieczne są dla nas sytuacje, w których wybór oferty jest determinowany przez czynniki pozaekonomiczne” – mówił menedżer, ale pytań o kontrowersje wokół cen sprzętu i powiązań firmy z chińskim rządem nie uwzględnił.

Przez lata też nikt nie zadawał pytań o bezpieczeństwo popularnych dronów od chińskiej firmy DJI. A przynajmniej nikt w Europie, bo Stany Zjednoczone także tę

firmę (pod koniec 2021 roku) wpisały na swoją czarną listę – tym razem powodem były jej nazbyt zażyłe związki z chińskim przemysłem militarnym. Wpis – oznaczający nie tylko, że obywatelom USA nie wolno inwestować w DJI, ale też że amerykańskie firmy nie mogą jej sprzedawać komponentów bez specjalnych licencji – nie wzbudził jednak wielkiego poruszenia. Choć przecież ta firma z Shenzhen w sektorze komercyjnych, konsumenckich dronów stała się potęgą i zdobyła już ponad trzy czwarte światowych udziałów w rynku.

Pierwszy raz w Europie Wschodniej spojrzano na DJI z pewnym zaskoczeniem jesienią 2021 roku, podczas kryzysu migracyjnego na granicy z Białorusią. Straż Graniczna, wojsko, wojska obrony terytorialnej – rzucano tam, kogo się da, z polskich służb, byle opanować sytuację, gdy reżim Łukaszenki, sprowadziwszy uciekinierów z Azji i Afryki, zaczął ich siłą wypychać przez polską granicę. W pewnym momencie ktoś ze służb pokazał, czego polscy pogranicznicy i wojsko używają do pilnowania lasów: lekkich komercyjnych dronów DJI. Resort obrony narodowej, gdy spytałam, czy to oficjalne wojskowe zasoby, stanowczo zaprzeczył. „I nie oszukiwał, polskie wojsko nigdy DJI nie kupiło. Już prędzej był to sprzęt jakiegoś zastępu straży pożarnej” – zapewnia Wojciech Łuczak, wieloletni ekspert od wojskowości i były wydawca magazynu „Skrzydłata Polska”. „W naszym wojsku nikomu by raczej nie przyszło do głowy, żeby kupić chińskie drony. Ale już inne, mniej kontrolowane służby w przetargach wybierają pośredników oferujących niedrogi, a bardzo wygodny sprzęt z Chin. W Europie na bojowe drony ich produkcji zdecydowała się tylko armia serbska. Co w przypadku tego państwa nie jest zaskoczeniem” – podkreśla Łuczak.

Gdy serbski prezydent Vučić z namaszczeniem ogłaszał zakup kilku bezzałogowych taktycznych maszyn latających CASC (China Aerospace Science and Technology Corporation) CH-92A w lipcu 2020 roku, data nie była przypadkowa, Serbia od kilku miesięcy wyraźnie zacieśniała związki z Chinami (przypomnijmy, że to był czas, gdy Vučić całował chińską flagę w podziękowaniu za pomoc w walce z COVID-19). Tak więc serbska armia, już uzbrojona w dziewięć dronów Pterodactyl-1 (Wing Loong) produkowanych przez chiński

koncern CAIG, teraz została dodatkowo wzmocniona przez tego najbliższego sojusznika.

Pytania o to, czy drony z Chin, nawet te od niebudzącej dotychczas wielkich kontrowersji firmy DJI, są faktycznie tak przyjazne, pojawiły się dopiero po rozpoczęciu ataku Rosji na Ukrainę. Z jednej strony produkty DJI są wręcz gorączkowo poszukiwane przez Ukraińców i nawet tamtejsze Ministerstwo Cyfryzacji zakupiło ich kilka tysięcy. Z drugiej jednak minister cyfryzacji Ukrainy Mychajło Fedorow oficjalnie rugał DJI, że pozwala Rosji korzystać ze swojego sprzętu w działaniach militarnych. I choć wyceniana na 15 mld dol. firma zaczęła się odcinać i zapewniać, że jej sprzęt przecież nie jest przeznaczony do celów wojskowych, to i tak z miejsca niemiecka sieć Media Markt wycofała go ze swoich sklepów, także w Polsce. „Czasy, gdy sprzęt nie miał narodowości, bezpowrotnie się skończyły” – kwituje Łuczak.

Chyba jednak nie wszyscy jeszcze tak uważają, bo kancelaria prezydenta Andrzeja Dudy na temat kamer kupionych do jego prywatnego apartamentu konsekwentnie milczy.

* * *

Zachód długo przymykał oko nie tylko na łamanie praw człowieka czy brutalne obozy „reedukacyjne” w Chinach, ale przede wszystkim na to, jak właśnie w celu dyscyplinowania społeczeństwa rozwijały się tam coraz bardziej zaawansowane technologie nadzoru. Biometria, monitoring, drony, skanery, roboty kontrolujące ludzi. Co więcej, skoro te technologie są tam tak rozwinięte – w końcu algorytmy i AI mogą się bez najmniejszych ograniczeń uczyć danych ludzi, choćby na Ujgurach w prowincji Xinjiang – to świat chętnie je kupował. Do czasu gdy zaczął odkrywać, że owszem, kupuje sprzęt, ale oddaje dane i informacje o swoich obywatelach.

PRZYJAŹŃ Z WĘGLA, STALI I NAGIĘTYCH NORM EKOLOGICZNYCH

Zwab przeciwnika wizją zysków. Wywołaj chaos w jego szeregach, by pojmać jeńców. Jeśli znasz prawdziwe siły przeciwnika, przygotuj się na starcie. Jeśli jest bardzo silny, unikaj go¹.

„Zimą nie otwieram okien w mieszkaniu. Powietrze jest tak zanieczyszczone, że czuć, jakby się coś cały czas paliło. To płynie do nas z Boru i ze Smedereva” – Ana Stevanović, była serbska parlamentarzystka, a dziś opozycyjna działaczka Partii Wolności i Sprawiedliwości (Stranka slobode i pravde), wskazuje ręką niebo nad Belgradem. „Latem jest lepiej, ale niech tylko przyjdzie *košava* i znowu będzie wszędzie czuć tym dziwnym smogiem”.

Košava to chłodny, słabiutki wiatr, który kielkuje gdzieś w Karpatach, biegnie wzdłuż Dunaju, a gdy dociera do granicy Serbii i Rumunii, nabiera impetu i z całą siłą uderza w Belgrad. Tak silnie, że wielkie betonowe blokowiska z czasów Tity zaczynają się lekko kołysać.

Stevanović jest przekonana, że *košava* przynosi też tłuste, trujące pyły, choć z Boru do stolicy Serbii jest niemal 200 km. A ze Smedereva – 50 km. Bor to przede wszystkim wielki kombinat miedziowy, a Smederevo – huta. „Tam się nie przestrzega żadnych norm, nikt tego nie kontroluje. Dla rządu kluczowe jest, że są te inwestycje, że można trąbić o sukcesie, bo przecież miejsca pracy, rozwój przemysłu... Prezydent Vučić może sobie zrobić kolejne zdjęcia do gazet, pokazać się w telewizji. A że ludzie są truci? Przecież nie ma na to dowodów, zresztą skąd

miałyby być, skoro nie ma żadnej transparentności w tych inwestycjach” – oburza się młoda polityczka.

Momentami mam wrażenie, że mówi to, co uważa, że chcę usłyszeć. Skoro inwestycje w Smederevie i w Borze są chińskie, to je krytykuje, z lekka podkreślając ich negatywny wpływ na środowisko nawet w Belgradzie. Tyle że tu nie trzeba niczego podkreślać. Wystarczy przejechać się do miejscowości, gdzie się znajdują inwestycje wielkich chińskich korporacji, aby na własne oczy zobaczyć ich efekt. Wystarczy przecież chociażby przeciągnąć palcem po opylonych liściach i domach czy posłuchać opowieści samych mieszkańców.

A śladami serbskiego rządu idą kolejne kraje regionu, kuszone wizją wielkich zagranicznych inwestycji.

Nasze zdrowie albo twój zysk

Bałkańska Erin Brockovich z wykształcenia jest przedszkolanką, kiedyś prowadziła rodzinną pizzerię, trochę pracowała w lokalnej telewizji, napisała książkę („taką obyczajową”), wychowuje dwójkę dzieci, w tym 17-letniego chłopca ze spektrum autyzmu, i od kilku lat walczy z politykami, mafią i chińską megakorporacją o rodzinny Bor.

„Mój dziadek budował tutejszą kopalnię rudy. Zginął, gdy miał 28 lat. Moi rodzice w czasach Jugosławii budowali to miasto. Wszyscy żyli z i dzięki miedzi. Ja próbowałam się stąd wyprowadzić, znalazłam męża w innym miejscu, prowadziliśmy razem biznesik, ale gdy zmarł na raka, okazało się, że jedyne miejsce, do którego mogę wrócić, to Bor” – opowiada aktywistka.

Nazywa się Irena Živković i z postacią aktywistki graną przez Julię Roberts łączy ją szczupła sylwetka i dziewczęcy urok. W wąskiej sukience w paski, ze skromnie podciętymi włosami na pierwszy rzut oka wygląda na nastolatkę – choć, bałkańskim zwyczajem, odpala nad kawą jednego papierosa za drugim.

Z małego Boru bliżej już jest do Sofii w Bułgarii niż do stolicy Serbii. „W Belgradzie nie słyszą o nas, nie słuchają nas i chyba nie chcą usłyszeć. Choć przecież Bor przez tyle lat utrzymywał Jugosławię” – wzdycha Irena. Siedzimy w centrum miasteczka w kawiarni o nazwie Astoria. W demoludach pełno było takich Astorii, powstawały jako miejsca, gdzie można było w socjalizmie zadać szyku.

W Borze jednak po dawnej świetności zostało niewiele. Przy wjeździe do miasta stoją fragmenty maszyn kopalnianych, silników, metalowych trzewi. Wyciągnięte, umyte, odmalowane i dumnie ustawione między kwiatami na trawniku ciągnącym się pośrodku głównej ulicy, od razu wskazują, że jesteśmy w miejscu, gdzie króluje przemysł. Królewskie są pensje pracowników kopalni: średnio niemal 120 tys. dinarów, czyli ponad 1 tys. euro, tymczasem według serbskiego urzędu statystycznego mediana pensji w tym kraju nie przekracza 400 euro.

„W Jugosławii ludzie w takich miejscach byli dopieszczani pensjami, wczasami i powszechnym szacunkiem. Partia, media – wszyscy podkreślali, jak wielki jest wkład Boru w budowę wielkiej jugosłowiańskiej gospodarki. A potem, po wojnie, no, sprzedali nas, sprzedali kopalnię, a wraz z nią pół miasta” – z coraz większą pasją mówi Živković. „Pewnie myślisz, że przesadzam. Ale to kopalnia budowała i finansowała na swoich terenach szpital, szkoły, przedszkola, kolejne osiedla. I te tereny do niej należą. Ile dokładnie? Nikt tego nie wie. Znaczący nikt poza państwem i Chińczykami, którzy to kupili. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby to naprawdę było pół miasta. W końcu nowemu inwestorowi sprzedano też wszystko, co jest pod tymi terenami, a przecież tam mogą być jeszcze gdzieś głębiej położone nowe złoża. Mówi się nawet o złocie. I tak, wiem, że to też brzmi fantastycznie, ale wszystkie te tajemnice wokół inwestycji, odcięcie mieszkańców od informacji – to naprawdę nie budzi zaufania”.

Oficjalnie wiadomo tyle: w 2018 roku Zijin Mining Group został strategicznym partnerem Serbii w kompleksie miedziowym RTB (Rudarsko-topioničarski basen) Bor, który obejmuje hutę i kopalnię miedzi Jama. ZMG zobowiązał się

zainwestować 1,26 mld dol. w zamian za 63 proc udziałów. Ówczesny serbski minister energetyki ogłosił, że do podpisania umowy doszło w wyniku wygranego przez Zijin Mining Group przetargu, w którym startowały też rosyjska UGold i kanadyjskie Diamond Fields. To już było zresztą czwarte podejście do sprzedaży tego ogromnego kompleksu wydobywczego. Próbowano go sprywatyzować od 2006 roku. Dwukrotnie chętni ostatecznie nie wpłacili pieniędzy.

Aleksandar Vučić, ówczesny premier, w 2016 roku poprosił chińskiego premiera Li Keqiangą o pomoc. Efekt tych rozmów był taki, że to właśnie chińska korporacja kupiła hutę w Borze, a ponadto obiecała 200 mln dol. na uregulowanie zadłużenia RTB Bor i zapowiedziała utrzymanie dotychczasowego zatrudnienia na poziomie 5 tys. pracowników.

Zijin Mining Group równolegle kupił też za 1,86 mld dol. Nevsun Resources Ltd, kanadyjską firmę zajmującą się górnictwem złota i miedzi, która działa w Serbii za pośrednictwem swojej spółki zależnej Rakita Exploration Company przy projekcie „Čukar Peki” w Borze. Widać było więc, że chiński inwestor miał poważne plany względem Boru. Nie interesowała ich sama huta, a jedynie wszelkie zasoby naturalne wokół tego miasta.

W lipcu 2018 roku rząd obiecywał, że umowa przewiduje zainwestowanie 135 mln dol. w poprawę i unowocześnienie firmy tak, by działała bardziej ekologicznie, a za kolejne 320 mln ma być otwarta nowa kopalnia miedzi. Wtedy wydobywanie miedzi w Borze sięgało 30 tys. ton rocznie, a zysk z jej sprzedaży – 138 mln dol. Innymi słowy, tylko to jedno przedsiębiorstwo odpowiadało za 0,8 proc. PKB Serbii. Ale jak zarzekał się rząd Vučića, już za pięć lat przemysł wydobywczy miał się tak odrodzić, by sięgnąć nawet 5 proc. PKB. Wejście do Serbii Zijin Mining Group przedstawiano jako część rządowego planu wyprzedaży zadłużonych państwowych przedsiębiorstw, którego celem jest pobudzenie wzrostu i osłabienie presji na budżet – wszystko zgodnie z zaleceniami Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

„Miasto i kopalnia symbol. Tak było za Tity i tak zostało właściwie do dzisiaj. Dlatego też ta chińska inwestycja stała się symboliczna. Bo przecież Chińczycy

zaoferowali takie świetne warunki, obiecali rozwój i pełne zatrudnienie. Trudno o lepszy dowód dobrej woli” – mówi Stefan Vladislavljev, analityk z Belgrade Security Forum.

Bor odwiedzam niemal dokładnie trzy lata po ogłoszeniu tej inwestycji. Owszem, to miasto prowincjonalne, ale wita całkiem nieźle wyglądającą infrastrukturą. „Wszyscy tu żyją albo z kopalni, albo z biznesów utrzymywanych przez kopalnię. Inni pracodawcy? Nie mają większego znaczenia” – opowiada Živković. „I pewnie nikogo by ten nowy chiński właściciel nie zainteresował, gdyby nie to, że zaczęliśmy na własnej skórze, czy raczej w płucach czuć, że dzieje się coś niedobrego. Dwa lata temu trafiłam z córką do szpitala, diagnoza: astma. Lekarz rozłożył ręce: są zanieczyszczenia, przejdzie jej za jakiś czas. Oczywiście wszyscy tu wiedzą, że huta kopci, zawsze tak było. Ale przecież miało być nowocześnie, ekologicznie i co innego XXI wiek, a co innego czasy komunizmu. Zaczęłam się więc interesować, co się dzieje w tym moim mieście”.

Już w 2015 roku państwo obiecywało, że zainwestuje w Borze w nowe, bardziej ekologiczne piece. Kupiono je nawet, ale poziom zanieczyszczeń się nie zmniejszył. Państwo więc obiecało, że po prostu ograniczy produkcję. „Odkąd jednak pojawili się Chińczycy, o żadnych ograniczeniach produkcji nie ma mowy: przyjechali tu robić biznes i chcą go robić na maksa. Wiesz, nikt nie chce ich wyganiać ani zamykać kopalni, wręcz przeciwnie, wszyscy się cieszą, że jest taki inwestor. Nam chodzi tylko o to, by zaczęli reagować, a nie udawali, że nic nie wiedzą o tym, że nas trują” – mówi Živković.

Rzeczywiście za każdym razem, gdy wokół Zijin Mining Group zbierały się czarne chmury, a to z powodu kolejnych protestów mieszkańców, a to wskutek lokalnych zatargów (na przykład chiński pracownik potracił Serba samochodem), to odpowiedzią Chińczyków zawsze było „znikanie” – albo wymieniano szefostwo, albo konkretnych pracowników.

„Oficjalne dane o zanieczyszczeniach? Nie ma czegoś takiego. Sami zaczęliśmy badać powietrze” – mówi aktywistka. Pierwsze przekroczenia norm zaczęły się niemal od razu z wejściem nowego inwestora. Już w styczniu 2019 roku

stężenie dwutlenku siarki wzrosło do ponad 2 tys. mikrogramów na metr sześcienny, przy maksymalnym dozwolonym limicie wynoszącym 350.

„Rtęć – normy przekroczone 200 razy. Latem jest gorzej z siarką, zimą z rtęcią. Państwowy ośrodek publikuje dane dopiero na koniec roku, ale gdy je porównaliśmy z naszymi informacjami, pokrywały się” – mówi Irena.

„W Serbii nie mamy szczególnie silnego społeczeństwa obywatelskiego. Wręcz przeciwnie – owszem, w stolicy są media, są ośrodki badawcze, ludzie się organizują, ale reszta kraju naprawdę skupia się na prywatnym życiu. Więc jeżeli wybuchają jakieś zorganizowane protesty, to naprawdę jest wydarzenie” – tłumaczy Stefan Vladisavljev, koordynator programu think tanku Belgrade Fund for Political Excellence.

Kiedy zatem w połowie listopada 2019 roku w Borze takie protesty wybuchły – i to w imię ochrony środowiska – informacja dotarła nawet do Belgradu. Kilkadziesiąt osób niosło transparenty „Nasze zdrowie albo twój zysk” i z maskami na twarzach skarżyli się stołecznym dziennikarzom, że mieszkanie w Borze jest jak życie w wiecznej kwarantannie. „Dzieci możemy zabrać na zewnątrz tylko wtedy, gdy sprawdzimy poziom zanieczyszczeń”.

Dane opublikowane w 2020 roku przez Instytut Zdrowia Publicznego Timok w Zaječarze, mieście położonym zaledwie 20 km od Boru, nie pozostawiają wątpliwości: około dwóch trzecich przedszkolaków i połowa dzieci poniżej 18. roku życia, które szukały pomocy medycznej w latach 2014–2018, miała problemy z oddychaniem. Najczęściej chorowały na zapalenie gardła i migdałków.

Już wcześniej, w kwietniu 2019 roku, rządowy inspektor nakazał chińskiej spółce podjęcie działań w sprawie zanieczyszczenia powietrza. Zijin zapewnił Ministerstwo Środowiska, że przekroczone normy to był przypadek, po prostu efekt przerwy w dostawie prądu. Kontrola w sierpniu 2019 roku wykazała jednak kolejne zaniedbanie – Zijin nie posiadał systemu do tzw. mokrego odpylania podczas transportu odpadów poflotacyjnych. I znowu rząd zapowiedział, że zajmie się sprawą, a Zijin otrzymał polecenie rozwiązania problemu. Firma odpowiedziała

ministerstwu, że do 2020 roku zainstaluje pięć specjalnych maszyn do redukcji emisji dwutlenku siarki.

Z dokumentacji uzyskanej przez pozarządowe Serbskie Centrum Dziennikarstwa Śledczego (Centar za istraživačko novinarstvo Srbije – CINS)² wynika, że dwie z zakupionych maszyn pracowały przez mniej więcej dwa miesiące, ale dane i tak nie miały znaczącego wpływu na redukcję pyłów w powietrzu. Po protestach do Boru ponownie przyjechała kontrola i stwierdziła, że w ciągu dwóch dni – 21 i 22 listopada – stężenie dwutlenku siarki było średnio 4,6 razy wyższe, niż przewidują normy.

Po tej kontroli rozpoczęła się sprawa przed sądem gospodarczym w Zaječarze przeciwko Zijinowi i zastępcy kierownika oddziału Huty i Rafinerii Miedzi. Oskarżono ich o przestępstwo gospodarcze, za które grozi grzywna do 3 mln dinarów (ok. 25 tys. euro). Dodatkowo aktywistka Irena Živković i trzech innych lokalnych działaczy wytoczyli własną sprawę przeciwko dyrektorowi generalnemu serbskiego oddziału Zijin, burmistrzowi Boru i ministrowi ochrony środowiska. „Wygraliśmy. Tylko co to za kara była: sąd skazał prezesa Yi na grzywnę za trzy dni złamania norm, 50 tys. dinarów. Więcej zapłaciłby choćby za bilet do Chin” – Živković wzrusza ramionami.

Proces miał jednak także inne skutki. Dopiero po dłuższej rozmowie kobieta otwiera się, opowiada o anonimowych groźbach w mediach społecznościowych, o tym, że wcale nie ma za wiele wsparcia od mieszkańców Boru, bo każdemu tu przecież na pracy zależy, wreszcie przyznaje, że groźby nie były tylko wirtualne: „Kiedyś jakiś mężczyzna zajechał mi drogę, wyskoczył z samochodu i ostrzegł, że następnym razem nie będę miała tyle szczęścia, a o wypadki nietrudno”.

Milenko Jovanović, ekspert ds. zanieczyszczenia powietrza, zachodnim mediom poskarżył się, że w listopadzie 2020 roku został zwolniony z serbskiej Agencji Ochrony Środowiska po zgłoszeniu obaw o skutki przekroczonych stężeń dwutlenku siarki i arsenu w powietrzu wokół Boru. Powiedział, że rząd odrzuca wszystko, co mogłoby zdenerwować Chiny. „Pozwala im robić, co chcą” – mówił.

Sąd w Belgradzie orzekł po kilku miesiącach, że Jovanović został niesłusznie zwolniony, i nakazał przywrócenie go do pracy.

Zarówno Irena, jak i inni lokalni działacze wciąż drążą. Udało im się już wydobyć umowę między rządem a Zijin Mining Group. Ma ponad 200 stron. Prawnicy wskazali co najmniej trzy zapisy będące dowodem na złamanie prawa.

Ten mały wyłom w obronnym panczerze Chińczyków sprawił, że lawina ruszyła. W styczniu 2021 roku 26 posłów do Parlamentu Europejskiego zaalarmowanych przez serbską opozycję zażądało przeglądu „rosnącego wpływu chińskiego śladu gospodarczego w Serbii”, w tym „lekkomyślnych projektów o potencjalnie zgubnym wpływie na szersze środowisko”. Dwa miesiące później tysiące ludzi zgromadziło się w Belgradzie, aby zaprotestować przeciwko bierności rządu na polu zapobiegania zanieczyszczeniom powodowanym głównie przez przemysł i górnictwo. Serbski rząd nakazał więc Zijin Mining Group wstrzymanie prac i dokończenie rozbudowy oczyszczalni ścieków, która wciąż nie spełniała norm środowiskowych.

Ministra ds. energii i zarazem wicepremierka Zorana Mihajlović ogłosiła, że państwo już odpowiedziało na skargi obywateli mieszkających w pobliżu kopalni Jama. W oświadczeniu wydanym kilka dni później Zijin poinformował, że zgodnie z poleceniem władz wstrzymał budowę szybów wentylacyjnych dla Boru, gdyż mieszkańcy skarżyli się na poziom hałasu. Mihajlović ogłosiła też, że firma otrzymała rozkaz pilnego ukończenia oczyszczalni ścieków i zaprzestania zanieczyszczania rzeki Pek, dopływu Dunaju. Zijin się pokajał i ogłosił, że zainwestuje 408 mln dol. w remont, rozbudowę i poprawę standardów środowiskowych w swoich kopalniach i hucie.

Zijin sprowadził właśnie setki chińskich pracowników, którzy na południe od Boru rozpoczęli eksploatację jednego z największych na świecie nietkniętych wcześniej złóż miedzi. Irena: „Nie ma z nimi najmniejszego kontaktu. Mieszkają w kontenerach specjalnie dla nich postawionych, nie wiadomo nawet za bardzo, co to za ludzie. Chodzą słuchy, że część to mogą być pracownicy przymusowi, jacyś więźniowie, ale to tylko plotki. Wiadomo za to, że nie przyjechali z rodzinami, nie

ma z nimi żon ani dzieci, nie chodzą tu do sklepów, nie bywają w restauracjach. Tak jakby szefostwu firmy zależało, żeby się z nami nie spoufalali. Nie poznali języka, nie przyzwyczaili się...”.

Nowe, zielone Chiny

Zijin Mining to istny kolos. Jest jedną z największych chińskich firm państwowych, realizuje projekty w 20 prowincjach Chin i w 11 krajach świata. Ale w przeszłości już miał kłopoty w samych Chinach. W 2010 roku koncernem wstrząsnęły dwa skandale związane z zanieczyszczeniem, które kosztowały go miliony juanów w postaci grzywien i odszkodowań oraz upomnienie z resortu ochrony środowiska.

Katastrofa z 2010 roku była naprawdę poważna. W Shanghang w chińskiej prowincji Fujian 9100 metrów sześciennych (to mniej więcej tyle, ile wynosi objętość trzech basenów olimpijskich) strumienia toksycznej gnojowicy z kopalni złota i miedzi Zijin Mountain przedarło się przez tamę i wpłynęło do rzeki Ting, zabijając 4 mln ryb. Skutki wycieku były porównywalne ze słynną eksplozją platformy wiertniczej Deepwater Horizon w Zatoce Meksykańskiej. Ale o tamtej katastrofie donosiły media z całego świata, tymczasem o tej w Fujianie mało kto słyszał. Minęło dziewięć dni, zanim Zijin przyznał się do katastrofy, co wywołało oskarżenia o tuszowanie sprawy – i to oskarżenia wysunięte przez państwowe media. Jakby tego było mało, kilka miesięcy później cztery osoby zginęły w wyniku zawalenia się po ulewnym deszczu tamy w kopalni cyny Xinyi Yinyan w południowych Chinach.

Koncern poniósł karę, został też zrugany przez władze. Ale Shanghang jest miastem jednej firmy. Kopalnia Zijin Mountain nie tylko dominuje w krajobrazie, ale zapewnia też 70 proc. lokalnych przychodów i większość miejsc pracy w okolicy. Podobnie jak wiele chińskich firm państwowych, Zijin jest czymś więcej niż tylko wielkim przedsiębiorstwem. Korzysta z rozległego systemu wsparcia państwa, który daje mu dostęp do tanich kredytów, a do tego przymyka

oko na zanieczyszczenia. Jego dominacja w lokalnej gospodarce oznacza również, że wielu urzędników uważa, że to, co jest dobre dla firmy, jest dobre dla całej społeczności. Do tego przedsiębiorstwa państwowe są mocno zakotwiczone w strukturach partii, a ponieważ lokalnie prowadzą szpitale, szkoły czy domy spokojnej starości, to wielu mieszkańcom, którzy chcą je krytykować za zanieczyszczenia, często trudno wskazać, gdzie kończy się firma, a zaczyna państwo.

Po skandalach z 2010 roku Zijin wydał 80 mln juanów (13 mln dol.) na rekultywację części starej kopalni i zbudował „narodowy park górniczy”. Kolejne 114 mln juanów poszło na lokalny projekt wodociągowy i darowizny na pomoc w Fujianie.

W tym samym czasie w Chinach nastąpiła wyraźna zmiana kursu. Odkąd w 1978 roku Deng Xiaoping postanowił otworzyć Chiny na globalny rynek kapitalistyczny, imperatywem był szybki, ekstensywny rozwój. Dzięki reformom Denga 40 lat później Chiny mogły się stać drugą co do wielkości gospodarką na świecie. Za transformację, która nadała priorytet szybkiemu uprzemysłowieniu, trzeba było jednak zapłacić wysoką cenę.

Dziś Chiny cierpią z powodu groźnego zanieczyszczenia powietrza, wody i gleby. Są też wciąż uzależnione od węgla. Owszem, Xi Jinping pod koniec 2020 roku zapowiedział, że państwo do 2060 roku zamierza osiągnąć neutralność klimatyczną, ale dziś wciąż odpowiada za ponad połowę światowej emisji dwutlenku węgla. Co więcej, w 2020 roku Chiny zbudowały trzy razy więcej elektrowni węglowych niż reszta świata razem wzięta³. Zanieczyszczenia nękają największe miasta, pogłębia się problem niedoboru wody, ponad 20 proc. gruntów w regionach uprawnych nie spełnia norm jakości.

Komunistyczna Partia Chin jest dziś rozdarta między pragnieniem utrzymania wzrostu jako źródła legitymizacji silnej, autorytarnej władzy a dostrzeganą już koniecznością dbałości o środowisko. Bo już nawet w samych Chinach narastają na tym tle protesty społeczne. I jednym z elementów chińskiej Inicjatywy Pasa i Szlaku stał się outsourcing zanieczyszczeń. Yanzhong Huang z amerykańskiego

think tanku Council on Foreign Relations wręcz nazwał to zjawisko „toksyzną polityką”⁴.

Polega ono na przekierowywaniu inwestycji niosących za sobą zanieczyszczenia i degradację środowiska do biedniejszych, odległych krajów, które pilnie potrzebują finansowania infrastruktury i rozwoju gospodarczego i których rządy ignorują zagrożenia dla środowiska.

Dzieje się to już w Afryce Wschodniej, gdzie chińskie projekty modernizują lokalną infrastrukturę przemysłu węglowego, ale tym samym uzależniają region od węgla i narażają go na szkody środowiskowe towarzyszące jego zużyciu. Są podejmowane takie próby w Azji, w tym w azjatyckiej części Rosji. Choć zła sława tych inwestycji jest tak duża, że w marcu 2021 roku doszło do bezprecedensowego wydarzenia: sąd we Władywostoku stanął po stronie mieszkańców rejonu ajanomajskiego w Kraju Chabarowskim, kiedy podczas plebiscytu masowo – ponad 90 proc. – zagłosowali przeciwko budowie kompleksu gazowo-chemicznego. A konkretnie przeciwko postawieniu największej na świecie fabryki metanolu, na którą chiński inwestor miał wyłożyć w sumie około 10 mld dol., przy okazji sprowadzając do regionu zamieszkanego przez ledwie 2 tys. osób 6 tys. chińskich robotników.

Ale ta jedna powstrzymana inwestycja to wyjątek. Ekolodzy alarmują, że na rosyjskim Dalekim Wschodzie chińscy inwestorzy planują obecnie budowę kilku fabryk, a nad tymi inwestycjami nie ma nadzoru. „Produkcja ma trafiać głównie na chiński rynek. Pekin realizuje w ten sposób swoją strategię, polegającą między innymi na tym, by przenieść zanieczyszczające środowisko zakłady do innych krajów” – mówił „Rzeczpospolitej”⁵ rosyjski ekolog Anatolij Lebiediew, który stoi na czele organizacji społecznej BROK.

Outsourcing brudnego przemysłu odbywa się także na naszym, europejskim podwórku, szczególnie na Bałkanach Zachodnich, które przymykają oczy na kwestie środowiskowe.

Miedziana twierdza

„Śpiew ptaków za oknem obudził wczesnym rankiem małe miasteczko Smederevo. W gęstym cieniu drzew uśmiechnął się Yang Ke, emerytowany pracownik HBIS Saigang: «Cztery pokolenia mojej rodziny pracowały w hutach stali, a Hegang dał nam zupełnie nowe życie»”⁶ – tak poetycko widzi serbską rzeczywistość chiński serwis Seetao, poświęcony inwestycjom realizowanym w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku.

Kilkadziesiąt kilometrów od Belgradu leży miasteczko, którego historia sięga podobno czasów sprzed naszej ery i które w XV wieku było nawet stolicą Serbii. W drugiej dekadzie XXI stulecia nad miastem „gwoździ i winogron”, jak mówią o nim Serbowie, zawisło widmo upadłości. I to mimo że działa w nim Źelezara, jedyna w tym kraju huta, w którą w 2003 roku Amerykanie zainwestowali 33 mln dol.

„Tu nad wszystkim twarde rządy sprawuje mafia złożona z ludzi powiązanych zarówno z przestępcami, jak i z politykami – bez ich błogosławieństwa nic nie ma prawa działać. Więc widocznie nie było takiego błogosławieństwa” – mówi Natalia Żaba, dziennikarka przez ponad dekadę mieszkająca na Bałkanach i o nich pisząca. Gdy w kawiarni przy rynku w Smederevie prosimy o kod do wi-fi, kelner odpowiada: „Magnum357”, a Natalia ze śmiechem pyta: „To karabin twój czy właściciela?”. Kelner poucza nas wtedy: „To nie karabin, tylko pistolet. A czyj, to mało ważne”.

Przez ten brak transparentnych zasad Amerykanie tak bardzo się na Smederevie sparzyli, że w 2012 roku wycofali się stąd w całości, a serbski skarb państwa odkupił przedsiębiorstwo za symbolicznego dolara. US Steel chciało się pozbyć przynoszącego straty zakładu, a serbska administracja potrzebowała uratować hutę, czyli 5 tys. miejsc pracy. Ratunek przybył w 2016 roku z Chin w postaci państwowej firmy Hesteel Group, do niedawna znanej jako Hebei Iron & Metal Group albo po prostu HBIS.

Kiedy w czerwcu 2016 roku przywódca Chin Xi Jinping przyjechał do Serbii, osobiście odwiedził miejscowy oddział HBIS i poprosił jego pracowników o „dotrzymanie słów i owocne czyny”. Od samego początku miał to być modelowy projekt w Inicjatywie Pasa i Szlaku.

Trzydziestoparoletni Nikola Krstić ma już opracowaną trasę dla pragnących zobaczyć, co dzieje się w Smederevie. Wyjeżdżamy z centrum i jedziemy pod samą hutę położoną na obrzeżach miasta. Im bliżej jesteśmy, tym bardziej zmienia się kolor domów. Nikola: „Tak, to ten czerwony pył, osiada na wszystkim...”.

Wysiadamy przy lokalnym sklepiku, *vis-à-vis* stoi stara ciężarówka. Cała pokryta grubą warstwą ciemnoceglanego pyłu, przy zaniedbanej prowincjonalnej drodze sprawia wręcz wrażenie dziwnego, zardzewiałego pomnika. „Dwa lata tak stoi i jest najlepszym dowodem, ile tego się tu zbiera”. Nikola zrywa listek z drzewa obok. „Dotknij go, czujesz?”

Liść pokrywa tłustawa powłoka. „To jest to prawdziwe niebezpieczeństwo. Czerwony i czarny pył są dosyć grube, więc łatwiej się przed nimi ochronić. Gorszy jest ten szary, praktycznie niewidoczny. To on jest naprawdę niebezpieczny dla ludzi, on nas tu truje – tłumaczy mieszkający w Smederevie Krstić.

Krstić nie ma wykształcenia chemicznego, ani w ogóle związanego z ekologią. „Jestem handlowcem w spółce zajmującej się towarami spożywczymi, pracuję w Belgradzie. Codziennie tam dojeżdżam. Sporo czasu to zajmuje i pewnie łatwiej by było się przeprowadzić do stolicy, szczególnie że właśnie zostałem ojcem. Ale jestem ze Smedereva, tu mam rodzinę, przyjaciół, chciałbym dla nich i dla siebie lepszej przyszłości” – opowiada trzydziestoparolatek.

Skończył politologię – i teraz chce zmieniać politykę. Założył organizację Tvrdjava, co znaczy tyle co twierdza i odwołuje się do pozostałości po średniowiecznych fortyfikacjach miasta. Jej celem jest poprawa warunków życia i wizerunku miasta. „Mogliby do nas przyjeżdżać turyści, ale kto będzie chciał, skoro całe miasto ciągle zasnuwa chmura dymu? Nawet Serbska Agencja Ochrony Środowiska potwierdziła w 2019 roku, że zanieczyszczenie powietrza przekracza tu normy przez około 120 dni w roku.

Od 2016 roku, kiedy Hebei Iron & Metal Group kupiła hutę za 46 mln euro, produkcja przyspieszyła i okazało się, że huta może być rentowna. Ale miała spore wsparcie ze strony państwa. Zanim chiński inwestor kupił hutę w Smederevie, serbski parlament uchwalił zwolnienie go z niektórych wymogów dotyczących usuwania niebezpiecznych odpadów. A rocznie, jak wylicza Atmosphere Watch South East Europe, do atmosfery trafia 700 ton „czerwonego błota”, jak je nazywają mieszkańcy.

„I nawiązują tym epitetem nie tylko do koloru pyłów, ale i do ideologicznych barw chińskiego właściciela” – mówi z lekką ironicznie Vuk Vuksanović, badacz z Belgrade Security Forum. Ale w ogóle nie ironizuje, podkreślając rolę społecznych protestów wokół ekologii. „Na jakiś czas wyłączono decyzją rządu jedną z kopalni – to chyba pierwszy raz, gdy rząd Vučića faktycznie aż tak się ugiął pod presją opinii publicznej” – podkreśla ekspert.

Po drugiej stronie jest jednak argument trudny do przeskoczenia: 160 tys. ton metalu miesięcznie, 6,639 mln ton stali w ciągu pięciu lat i przychody ze sprzedaży w wysokości 659 mld dol. To wszystko ze stalowni w Smederevie uczyniło największego eksportera w Serbii. „W tym mieście, liczącym nieco ponad 100 tys. osób, co piąty mieszkaniec jest bezpośrednio lub pośrednio związany z hutą, co podwaja wyzwanie. Co roku HBIS dodaje kolejne 200 nowych miejsc pracy”⁷ – zachwyca się serwis Seetao i dodaje, że chiński koncern zainwestował ponad 1 mln dol. w budowę lokalnych dróg, zaopatrzenie okolicznych wsi w wodę, darowizny na edukację itp., wszystko po to, „by świat mógł zobaczyć mądrość chińskich przedsiębiorstw w otwieraniu i dzieleniu się, we współpracy i wspólnej wygranej”. Tak to wygląda na papierze. A w rzeczywistości?

„Och, kiedyś to stalownia finansowała kluby sportowe, robiła pikniki miejskie, było oczywiste, że skoro jest tak wielkim pracodawcą, to musi dobrze żyć z całym miastem. A teraz? My nic o nich nie wiemy, a oni nic nie chcą wiedzieć o nas. Czysty biznes, a właściwie – jak pokazują wyniki badań – nieczysty, bo truje nas wszystkich” – wzdycha Krstić.

Także w Smederevie pracują sprowadzeni z Chin robotnicy. I tak samo jak w Borze nie da się ich spotkać w centrum miasta, nie ma żadnego chińskiego przedszkola, nie ma nawet knajpek, które by powstały z myślą o chińskim kliencie. „Tu naprawdę nikt nie jest przeciwko inwestorowi z Chin. Może istnieje wiele krzywdzących stereotypów o Chińczykach, ale prawda jest taka, że dla Smedereva są naprawdę ważnym impulsem” – doktor Branislav Todorović, onkolog, mówi płynną angielszczyzną, ale długo waży słowa i widać, że zastanawia się nad tym, co powinien powiedzieć. „To prawda, że wpływy Chin są coraz silniejsze. W Polsce również to pewnie obserwujecie, też jest duże zainteresowanie przemysłem, pewnie kopalniami i węglem?” – podpytuje.

Podobnie jak Krstić Todorović jest lokalnym aktywistą, urodzonym w Smederevie, świadomym ekologicznych problemów swojej małej ojczyzny i starającym się zaktywizować lokalną społeczność do starań o poprawę sytuacji w mieście. W przeciwieństwie do Krsticia jednak zapewnia, że nie ma politycznych ambicji. „Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak zły może być wpływ huty na życie i zdrowie mieszkańców. Ale nasza organizacja Crveni bedževi (Czerwone odznaki) stara się wykorzystać poruszenie związane z kwestiami środowiskowymi do szerszych działań, do tego, by ludzie zaczęli faktycznie budować lokalne społeczeństwo obywatelskie. A to możliwe będzie także wtedy, gdy poprawi się jakość życia, gdy będziemy mieć pewność zatrudnienia. Do tego niezbędne jest, aby stalownia działała. I dlatego właśnie nie chodzi o potępienie HBIS w czambuł, tylko o to, by nasz rząd poczuł odpowiedzialność i zaczął faktycznie kontrolować takie inwestycje” – tłumaczy.

Ekologiczne nimby

„W ostatniej dekadzie Chiny stały się jednym z najsilniejszych graczy na Bałkanach Zachodnich. Pekin wszedł do Europy Południowo-Wschodniej gospodarczo, politycznie, społecznie i kulturowo, ale jego główną dźwignią wpływu jest ekonomia. Gospodarcza waga Chin stała się głównym motorem ich

wizerunku w regionie, ponieważ rządy Bałkanów Zachodnich miały nadzieję, że chiński kapitał pomoże im wypełnić lukę inwestycyjną, która je dzieli od reszty Europy” – pisze Mirela Petkova w raporcie *The environmental impact of Chinese projects in the Western Balkans*⁸ [Środowiskowy wpływ chińskich projektów na Bałkanach Zachodnich]. Analiza ukazała się jesienią 2021 roku w ramach funkcjonowania China Observers in Central and Eastern Europe, międzynarodowej platformy ekspertów od Chin.

W ocenie Petkovej przekaz Chin towarzyszący inwestycjom przemysłowym opiera się na podkreślaniu, że dzięki nim obie strony osiągną „obopólne korzyści”. Jednakże, jak zauważa ta analityczka, po dekadzie osiągania owych „obopólnych korzyści” lokalni aktywiści, organizacje pozarządowe i eksperci widzą głównie trudne do udźwignięcia koszty.

Właśnie na lokalnym odbiorze wielkich inwestycji w Bośni i Hercegowinie, Serbii i Czarnogórze skupiła się Petkova. W swoim raporcie przygląda się elektrowniom w bośniackiej Tuzli i Stanari, autostradzie Bar–Boljare w Czarnogórze, kopalni Zijin w Borze, Hesteel w Smederevie i fabryce opon Linglong. Ale takich inwestycji z chińskim wkładem jest oczywiście więcej. To choćby farma wiatrowa Možura w Czarnogórze stworzona między innymi przez Shanghai Electric Power Company. To także 26 oczyszczalni ścieków w całej Serbii budowanych w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku.

Podobnie miało być z fabryką elektrolitu w dolnośląskiej Oławie, którą to inwestycję o wartości 45 mln dol. z pompą ogłaszała w 2018 roku Polska Agencja Inwestycji i Handlu. Krzysztof Senger, wiceprezes PAIH ds. inwestycji zagranicznych, z zachwytem opowiadał w mediach o Zhangjiagang Guotai-Huarong New Chemical Materials (GTHR), że jest elementem strategii wspierania rozwoju przemysłu elektromobilności w Polsce⁹.

Równolegle w Oławie fabrykę miał zacząć budować Capchem, chiński dostawca elektrolitów do baterii litowo-jonowych. To był pierwszy zagraniczny projekt Capchemu, który ma w Chinach cztery własne fabryki i udziały w trzech innych. Zgodnie z planami odbiorcą wkładów do baterii miał być

południowokoreański LG Chem działający w położonych niedaleko Kobierzycach. Łącznie w obu fabrykach miało powstać nawet do 40 tys. ton elektrolitu rocznie, ilość wystarczająca na wkłady do 1 mln samochodów elektrycznych. Zakłady zająć miały w sumie 14 ha powierzchni – byłyby to największe takie fabryki w Europie.

Ale inwestycją zainteresowali się mieszkańcy. I się nią przerazili: fabryka elektrolitu miała powstać zaledwie 650 m od granic strefy ochronnej ujęcia wody pitnej dla Wrocławia. „To pierwsze fabryki tych inwestorów poza Chinami. W jednej z nich do obrotu trafi 39 substancji rakotwórczych, wysokotoksycznych, wybuchowych i łatwopalnych. Dodatkowo inwestorzy w kartach charakterystyk gotowego produktu potwierdzają, że składniki są rakotwórcze. Godzikowice są miejscowością typowo rolniczą, znajdują się tu plantacje ziemniaków, szparagów i rośnie zboże. Szczególnie ważnym aspektem jest położenie działek inwestorów w pobliżu strefy ochronnej wody pitnej dla Wrocławia”¹⁰ – mówiła w 2019 roku „Gazecie Wyborczej” jedna z mieszkanki Godzikowic Magdalena Piasecka.

Opór i lokalne protesty, które ciągnęły się przez półtora roku, były tak silne, że wreszcie pod koniec 2020 roku urzędnicy uchylili decyzję wójta zgadzającego się na inwestycję, a zniechęcony tym chiński inwestor złożył wniosek do urzędu o umorzenie postępowania. Pomysł na fabrykę elektrolitów w Polsce całkiem nie upadł. Został po prostu przeniesiony do wielkopolskiego Śremu.

„Zainwestujemy 50 mln euro w zaadaptowanie obiektu i nowe urządzenia. Uzyskaliśmy wszystkie pozwolenia wymagane do rozpoczęcia budowy. Planujemy uruchomić masową produkcję w trzecim kwartale przyszłego roku”¹¹ – mówił w połowie 2021 roku Johnson Qin, prezes Capchemu, i dodał, że inwestycja jest realizowana na zaproszenie polskiego rządu i wspierana przez PAIH.

W Śremie mieszkańców też ta inwestycja przstraszyła. Starosta wystąpił nawet o kontrolę decyzji środowiskowej. Sąd jednak nie znalazł podstaw do jej podważenia. Mieszkańców to nie uspokoiło, szczególnie że o planach nowego inwestora dowiedzieli się późno. „Burmistrz słowem o nich nie wspomniął podczas spotkania z sołtysami. Potem tłumaczył, że informacja była zamieszczona na BIP i wisiała w gablocie w urzędzie gminy. W czasie pandemii nikt jednak do gminy

nie jeździł”¹² – skarżyła się Iwona Pietrzak, sołtys jednej z wsi na terenie gminy Śrem.

Wszystkie te inwestycje – od Serbii po Śrem – łączy jedno: silna potrzeba zastrzyku gotówki i pewności zatrudnienia. Na tyle duża, że lokalne władze są skłonne przymykać oczy na efekty uboczne tych inwestycji.

W Bośni i Hercegowinie, a dokładniej w będącej pod wpływem Belgradu Republice Serbskiej (w wyniku porozumień z Dayton, które zakończyły wojnę w byłej Jugosławii, BiH została podzielona, a jej część zdominowana przez Serbów uzyskała szeroką autonomię), budowa elektrociepłowni Stanari rozpoczęła się w 2013 roku, gdy do gry weszła chińska firma Dongfang Electric. Projekt został sfinansowany pożyczką w wysokości 550 mln euro z China Development Bank i zakończony w 2016 roku. Szybko się okazało, że mimo zapewnień o użyciu nowoczesnych technologii i tak skończyło się na zanieczyszczeniu powietrza od dwóch do trzech razy wyższym niż dozwolone unijnymi normami.

Centrum Środowiska (Centar Za Životnu Sredinu), organizacja pozarządowa z Banja Luki, złożyło zawiadomienie do Sekretariatu Wspólnoty Energetycznej w Wiedniu. Ten wszczął kontrolę i okazało się, że opowieści o nowych i bezpiecznych technologiach były mocno na wyrost, bo inwestycja w Stanari już w chwili inauguracji w 2016 roku była przestarzała. Wprawdzie wydajność elektrowni została zmniejszona z 420 do 300 megawatów, lecz jednocześnie zmieniono chłodzenie z systemu mokrego na suchy – bardziej efektywnego, ale też niosącego większe zagrożenia dla okolicznych mieszkańców. Ale bośniackie władze nie przejęły się szczególnie naruszeniami przepisów dyrektywy w sprawie dużych obiektów energetycznego spalania – w końcu ten kraj nie jest w Unii.

Skandal, który wybuchł, miał wymiar lokalny. Centrum Ekologii i Energii opublikowało na podstawie danych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) badania¹³ stwierdzające, że w ciągu roku eksploatacja elektrowni węglowej w pobliżu miasta Tuzla powoduje ponad 170 hospitalizacji z powodu chorób układu oddechowego. Mimo to Bośnia planowała dalszą rozbudowę inwestycji. W 2020 roku podpisano umowę z China Gezhouba, spółką zależną China Energy

Engineering and Corporation, na budowę siódmego bloku w elektrowni Tuzla. China Exim Bank pożyczył na ten cel rządowi Bośni 722 mln euro, co pokryło 85 proc. kosztów inwestycji¹⁴.

Inwestycję powstrzymało tylko to, że najpierw wybuchła pandemia, a w czerwcu 2021 roku z transakcji wycofał się główny dostawca sprzętu, amerykański General Electric, ponieważ całkowicie rezygnuje ze sprzedaży urządzeń dla nowych elektrowni węglowych, które uznał za szkodliwe dla środowiska.

Dlaczego miałabym się tym martwić?

Pod koniec 2015 roku obecny prezydent Serbii, a wtedy premier Aleksandar Vučić był gościem krajowej stacji telewizyjnej RTS. Zapytany przez dziennikarkę, dlaczego Chińczycy są tak bardzo zainteresowani inwestowaniem w Serbii, odpowiedział: „To dlatego, że mają swoje interesy. To dlatego, że muszą zamknąć część swoich fabryk i część hut. Myślę, że to z powodu czystego powietrza, o którym – jeśli mam być szczery – niezbyt wiele wiem. I nie wiem, dlaczego miałabym się tym martwić”.

Siedem lat później Serbia, główne europejskie ogniwo chińskiej Inicjatywy Pasa i Szlaku, pozostaje idealnym partnerem dla Państwa Środka. Wciąż jest dyplomatycznie i inwestycyjnie odcięta od Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych, a jej położenie geograficzne pomnaża atuty. W efekcie w latach 2010–2019 Chiny zainwestowały w Serbii 1,6 mld euro, a wartość chińskich pożyczek infrastrukturalnych dla Serbii szacuje się na ponad 7 mld euro. Serbia postrzegała Chińczyków jako szybkie i łatwe źródło gotówki, ponieważ Pekin był skłonny przejąć stare, zadłużone zakłady przemysłowe, które traciły pieniądze, ale nadal zapewniały zatrudnienie i środki utrzymania serbskim rodzinom. W tym to kontekście nikt nie poświęcał zbytniej uwagi środowiskowym skutkom takich działań.

Gdy w 2014 roku Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju odmówił finansowania budowy elektrowni węglowej Kolubara, projekt przejęły Chiny. W ramach umowy z 2010 roku Pekin stoi również za projektem modernizacji elektrowni węglowej Kostolac, zwiększając uzależnienie Serbii od węgla. W Zrenjaninie, miasteczku położonym na północy kraju, powstaje zakład produkcji opon warty miliard dolarów i tworzony przez chińską firmę Shandong Linglong Tire Co., która nie tylko obiecuje miejsca pracy, lecz także sponsoruje serbską ligę piłkarską.

W 2017 roku o inwestycję giganta wyspecjalizowanego w produkcji opon w szranki stanęło kilka państw z regionu. Początkowo wydawało się, że dogadane są Czechy, ale nagle w grze zjawily się też Słowacja, Polska i Węgry. Czechom zależało na tej inwestycji tak bardzo, że w maju 2017 roku prezydent Miloš Zeman spotkał się z przewodniczącym chińskiej komisji nadzorującej banki oraz z Wang Fengiem, przedstawicielem Linglong Tire. Sześć dni później wizytę w głównej siedzibie firmy Linglong Tire złożył zaś ambasador Słowacji w Chinach.

Ostatecznie jednak w 2018 roku górą była Serbia. Serbscy podwykonawcy rozpoczęli prace w kwietniu następnego roku. I dopiero wtedy wydało się (dzięki informacjom zdobytym przez dwie organizacje pozarządowe: Renewables and Environmental Regulatory Institute z Belgradu [RERI] i Gradjanski preokret ze Zrenjanin), że serbski rząd oddał bezpłatnie pod budowę 96 ha gruntów ornych. Ponadto Ministerstwo Gospodarki przeznaczyło około 75 mln euro na pomoc dla inwestora. W maju 2021 roku Gradjanski preokret dotarł do dokumentów, które ujawniają, że miasto Zrenjanin zapłaciło około 3,4 mln euro za podłączenie wody i kanalizacji do fabryki.

Przez cały 2020 i 2021 rok pojawiały się kolejne lokalne informacje i protesty przeciwko łamaniu przez Linglong Tire serbskiego prawa, między innymi przez brak sporządzonej oficjalnie oceny oddziaływania na środowisko – i to mimo niepokojących sygnałów dotyczących zanieczyszczenia lokalnych wód gruntowych. Ivan Živkov, członek zarządu Gradjanskiego preokretu, alarmował, że fabryka opon nie zagwarantowała rozwiązań filtrujących wodę, a miasto Zrenjanin

nie posiada oczyszczalni ścieków, co oznacza, że zanieczyszczenia z fabryki trafią bezpośrednio do rzeki Begej. Ponadto olbrzymia produkcja zakładu, prognozowana na 35 tys. opon dziennie, 13 mln rocznie, może zwiększyć zawartość tlenku cynku w powietrzu.

RERI, podobnie jak w Borze, także tutaj złożyła pozwy – konkretnie 14 – o unieważnienie pozwoleń na budowę oraz dwa zarzuty karne przeciwko Linglong Tire za prowadzenie budowy bez zezwolenia. Gradjanski preokret też złożył pozew przeciwko miastu Zrenjanin oraz zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa do prokuratury generalnej. Mimo wszystko budowa fabryki trwa w najlepsze.

W swoim raporcie z 2019 roku Globalny Sojusz na rzecz Zdrowia i Zanieczyszczeń stwierdził, że Serbia jest najbardziej zanieczyszczonym krajem w Europie. Ma w niej także najwyższy wskaźnik zgonów związanych z zanieczyszczeniem, a na świecie zajmuje w tej statystyce dziewiąte miejsce. Według raportu WHO w samym tylko liczącym 60 tys. mieszkańców Smederevie z powodu zatrutego powietrza umierają 223 osoby rocznie¹⁵.

Ataki i groźby

„Przestań czekać i szantażować, albo wyślemy cię na paraolimpiadę” – takiego esemesa dostał Ivan Živkov, członek zarządu Gradjanskiego preokretu. Gróźb zresztą dostają członkowie tej organizacji pozarządowej znacznie więcej. Aktywistka ze Smedereva Irena Živković w mediach społecznościowych pogróżki otrzymuje regularnie i tylko część z nich jest anonimowa.

„Informer”, jeden z największych prorządowych dzienników w Serbii, kilkakrotnie mocno atakował Gradjanski preokret i RERI. Organizacje pozarządowe zostały oskarżone o bycie zagranicznymi najemnikami opłacanymi przez George’a Sorosa i kierowanie się wyłącznie politycznymi motywacjami. Nikola Krstić ze Smedereva mówi też o lokalnej presji. „Przecież tu wszyscy są

powiązani ze stalownią. To jest małe miasto, wszyscy wszystko o innych wiedzą” – podkreśla działacz.

Ważnym czynnikiem chińskich inwestycji jest właśnie to, że nie są zlokalizowane w wielkich ośrodkach przemysłowych, nie są jednymi z wielu inwestycji krytycznych dla lokalnych społeczności. Wręcz przeciwnie, lokalnie to one rozdają karty, nie tylko karmią i ubierają, ale mogą wspierać szkoły, sport, życie kulturalne. Lub nie. Mogą ściągnąć do pracy ludzi z Chin lub dać pracę miejscowym specjalistom. Stają się więc – lub nie – katalizatorami całego życia społecznego.

Tylko w 2020 roku chińskie inwestycje realizowane w 138 krajach w ramach Inwestycji Pasa i Szlaku osiągnęły wartość około 47 mld dol. – i to pomimo pandemii COVID-19. Co ważne, wśród nich coraz wyraźniej przeważają inwestycje w energetykę.

* * *

Xi Jinping zapowiedział, że Chiny do 2060 roku zamierzają osiągnąć neutralność klimatyczną, tyle że wciąż to państwo nękają zanieczyszczenia, pogłębia się problem niedoboru wody, ponad 20 proc. gruntów w regionach uprawnych nie spełnia norm jakości. A wielkie, zazwyczaj silnie powiązane z partią firmy chcą i muszą zarabiać i rosnąć. Komunistyczna Partia Chin jest więc rozdarta między pragnieniem utrzymania wzrostu jako źródła legitymizacji władzy a koniecznością zadbania o środowisko.

A co, gdyby można było zacząć eksportować brudne inwestycje? Gdyby kolosy przemysłowe mogły wydobywać, produkować i inwestować gdzieś daleko od Chin? Za to bardzo, ale to bardzo blisko nas. Przecież Europa Środkowa wciąż jest taka głodna wszelkich inwestycji, nowych miejsc pracy i napływających miliardów.

OKRĄŻENI ZE WSZYSTKICH STRON, CZYLI JAK CHIŃCZYCY PRZEJMUJĄ NASZE DROGI, KOLEJE I PORTY

Najwyższą formą realizacji sztuki wojennej jest udaremnienie planów przeciwnika, niższą – rozbijanie jego sojuszy, jeszcze niższą – atakowanie jego armii, a najniższą – szturmowanie ufortyfikowanych miast¹.

Sto trzydzieści lat temu belgijska Compagnie Internationale des Wagons-Lits postanowiła rozszerzyć ofertę. Już miała nieźle rozbudowaną sieć połączeń kolejowych z zachodniej do południowo-wschodniej Europy, a nawet – z przesiadkami niezbędnymi, by sforsować Dunaj – wprost do Stambułu. Liczba pasażerów jednak rosła, podobnie jak zainteresowanie pociągiem nazwanym Orient Express. Belgowie otworzyli więc nowe połączenie: trzy razy w tygodniu pociąg z Paryża przez Strasburg, Monachium i Wiedeń docierał do stolicy Węgier, gdzie dostał nową odnogę: obok już znanego kierunku na Bukareszt i Stambuł pojawiła się możliwość jazdy do Belgradu.

W latach 30. XX wieku pokonanie ponad 300 km między Budapesztem i Belgradem zajmowało pociągom niemal cały boży dzień. Wyjazd o 6.40, przyjazd po 19 – był to jeden z najdłuższych etapów na linii Londyn–Ateny. II wojna przerwała funkcjonowanie połączenia, ale po jej zakończeniu Jugosławia chętnie przystała na to, by pociągi wciąż kursowały. Do początku lat 60. faktycznie jeździły. Już nie tak luksusowe, ale wciąż dające pojęcie o stylu starej Europy.

Kiedy w 1981 roku Grace Glueck, reporterka „The New York Times”, wybrała się pociągiem z Budapesztu do Belgradu (wtedy już nazywanym Pannonia Express), poczuła jedynie ziąb w nieogrzewanych wagonach pierwszej klasy, a właściwie, jak to ironicznie ujęła, powiew „Paranoia Express”². Była zaskoczona swobodnym podejściem do rozkładu jazdy (pociąg wyjechał z Budapesztu z półtoragodzinnym opóźnieniem), karaluchami w wagonach i wreszcie tym, że oprócz niej i jej towarzyszki podróży nikt nie był w najmniejszym stopniu tym stanem rzeczy zdziwiony.

To, co dla Glueck było szokiem, dla każdego, kto urodził się w Europie Środkowej w drugiej połowie XX wieku, stanowiło przez dekady normalne doświadczenie. Ale faktem jest, że nawet dziś trasa Belgrad–Budapeszt jakby wciąż tkwiła w jugosłowiańskich czasach.

Końcówka lipca jest w Serbii diabelnie gorąca. Powietrze stoi w miejscu, nawet klimatyzacja w belgradzkich kawiarniach nie daje wytchnienia. Serbowie swoim zwyczajem wszędzie palą papierosy, więc już lepiej się gotować w ogródkach nad rozpuszczalną kawą z mlekiem i lodem. „Może pociągiem do Budapesztu pojechać? Będzie klimatyzacja, przyjemniej niż w samochodzie, 300 km to pewnie zajmie góra trzy godziny” – zagaduję Natalię Żabę, reporterkę, która dekadę przemieszkała na Bałkanach. Patrzy się na mnie, jakbym postradała rozum. „Tu mamy powrót do przeszłości i podróz, która trwa bite osiem godzin, a na klimatyzację też bym nie liczyła. Nikt, kto nie musi, pociągami na tej trasie nie jeździ” – podkreśla.

Próbuję tej trasy dopiero po kilku miesiącach, gdy pogoda jest łagodniejsza. Tym razem w odwrotnym kierunku, z Budapesztu. Z pięknego dworca Keleti (czyli Wschodniego), który w latach 80. XIX wieku, był jednym z najnowocześniejszych na świecie, na południe odchodzi ledwie kilka składów dziennie i nie ma problemu, by kupić bilet w ostatniej chwili. Licząca 163 km podróz do granicy z Serbią zabiera ponad trzy godziny. Prędkość ogranicza jednotorowa trasa, na której trzeba co rusz zjeżdżać na przydrożne stacje, by przepuścić pociągi jadące w drugą stronę albo składy towarowe, których bieg wydaje się ważniejszy.

Nic więc dziwnego, że zarówno premier Węgier Viktor Orbán, jak i prezydent Serbii Aleksandar Vučić co rusz zapowiadali: trzeba tę linię zmodernizować.

Dwudziestego piątego listopada 2015 roku w pociągu jadącym – dla odmiany – z prędkością blisko 400 km/h, z Suzhou do Szanghaju, spotkali się premier Chin Li Keqiang, Vučić i Orbán. Zdjęcia pokazują ich w szampańskich nastrojach: właśnie podpisali umowę o wspólnej inwestycji w budowę szybkiego połączenia między Budapesztem a Belgradem.

Wszyscy trzej podkreślali, że otwiera się nowa wielka szansa na połączenie obu stolic godne XXI wieku, a przy okazji Węgry i Serbia skorzystają z włączenia się w chińską Inicjatywę Pasa i Szlaku.

Koszt inwestycji oszacowano na 4 mld euro. Oficjalnie po to, by rozkręcić ruch pasażerski, ale wszyscy wiedzą, że najważniejsza w projekcie jest stacja w Szabadszállás, zapełniona kontenerami z Chin. Bo też tu leży powód zainteresowania Chin: potrzeba szybkiego i wydajnego połączenia kolejowego dla towarów z chińskiego portu w greckim Pireusie do Europy Środkowej, a dalej – na zachód kontynentu.

Marzenia o Nowym Jedwabnym Szlaku

„Kiedy Pas i Szlak dociera do Europy, czerwone wino Europy jest dostarczane pod drzwi pół miesiąca wcześniej. Kontenery z Pireusu są wysyłane znacznie szybciej. Strefa Ekonomiczna Kanału Sueskiego zwiększa lokalny PKB. Chiński wiatr wieje przez pustynię. *Whoo, Yi Dai Yi Lu, Pas i Szlak!*”

Zespół złożony z kilku dwudziestoparolatków wyśpiewuje te wersy w rytm lekko funkowej muzyki, w tle tańczą młode Chinki, jadą szybkie pociągi, robotnicy budują drogi, a dziewczęcy chór w czerwonych mundurkach dośpiewuje: „Wzajemna korzyść, wspólna odpowiedzialność i wspólny los”.

Ten niby spontanicznie nakręcony teledysk³ w 2017 roku był jednym z elementów wielkiej kampanii reklamującej Pas i Szlak, czyli oczko w głowie

przewodniczącego Xi Jinpinga. Chodzi o połączenie komunikacyjne Azji z Afryką i Europą, usprawniające handel i komunikację lądem (kolejami i drogami) oraz morzem, a także towarzyszące temu powiązania cyfrowe i energetyczne. Był to jeden z pierwszych projektów ogłoszonych przez Xi, gdy objął władzę. Od początku Chiny lubią o nim mówić jako o „chińskim planie Marshalla” dla wszystkich, którzy włączą się w ten „wielki pas transportowy oplatający świat”.

Kiedy więc w 2017 roku odbywało się w Pekinie spotkanie głów 30 państw, które przystąpiły do projektu Nowego Jedwabnego Szlaku, władze Chin zrobiły wszystko, by tę inicjatywę godnie rozreklamować. W tym celu nagrano między innymi teledysk w klimacie radzieckiego *Zawsze niech będzie słońce*. Dzieci z całego świata śpiewają w nim: „Obietnicą jest wspólny dobrobyt. Przełamujemy bariery, tworzymy historię. Świat, o którym marzymy, zaczyna się od ciebie i ode mnie. Przyszłość nadchodzi teraz. Pas i Szlak pokażą nam jak. Podzielimy się teraz dobrocią”.

Ten PR nie był specjalnie potrzebny, żeby skusić chętnych. „Jesteśmy państwem, na które władze chińskie zaczynają zwracać uwagę”⁴ – zachwycała się po szczycie w Pekinie ówczesna premier Beata Szydło i nie była odosobniona. Wizja zbudowania sprawnego kanału dystrybucji chińskich towarów rozpaliała polityków i przedsiębiorców, chociaż w 2017 roku to był ledwie załączek idei, którą chiński przywódca oficjalnie zaprezentował w 2013 roku, w wystąpieniach w Kazachstanie i Indonezji. Nakreślił ogólny zamysł zakrojonych na olbrzymią skalę inwestycji (szacunki mówią o ok. 1 bln dol.) zwiększających przepustowość arterii komunikacyjnych między Państwem Środka a regionem Zatoki Perskiej, Europą oraz Afryką.

Xi Jinping pięknie opowiadał, że szlak „pochodzi z Chin, ale należy do świata” i jest uniwersalną receptą na niedomagania globalizacji, wojny, terroryzm, fale migracji, niepewność gospodarczą. W ustach chińskich dygnitarzy chodzi o misterną konstrukcję szlaków transportowych, inwestycji, przejęć infrastrukturalnych. Udział w tej operacji zaproponowano początkowo 64 państwom, a z czasem ofertę rozszerzono na 71 krajów Azji, Europy i Afryki.

Szlak ma docelowo łączyć obszary zamieszkałe przez około 60 proc. populacji planety, wytwarzające 30 proc. globalnego PKB.

Duży stopień ogólności założeń projektu pasował Chinom i wszelkim zainteresowanym państwom, bo można było swobodnie żonglować zapowiedziami i planami inwestycji. Wygodnie było choćby czarnogórskiemu rządowi Milo Djukanovicia uzasadniać Pasem i Szlakiem ogromną pożyczkę zaciągniętą na budowę autostrady przez ten górzysty kraj. Wtedy nawet polski projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego w Baranowie był przez ówczesnego wicepremiera Mateusza Morawieckiego i szefa dyplomacji Witolda Waszczykowskiego poruszany w rozmowach z Chińczykami, a pełnomocnik rządu ds. tej inwestycji wręcz oświadczył w Pekinie, że CPK idealnie się wpisuje w Inicjatywę Pasa i Szlaku.

Litewski port w Kłajpedzie, szykując się do rozbudowy i unowocześnienia, również oficjalnie ogłosił, że „rozważana jest także możliwość stworzenia centrum przeładunkowego transportów kolejowych w obu kierunkach dla towarów przewożonych pomiędzy Chinami a Europą”.

Połączenie Belgrad–Budapeszt też z miejsca stało się elementem wielkiego planu, wielką szansą na rozwój dzięki Chinom.

Eksperti z branży transportowej mogą sobie pokazywać wyliczenia, ale wszystko to lepiej wygląda na papierze, niż faktycznie ma szansę doprowadzić do wielkich wzrostów handlowych. Gdy w styczniu 2017 roku do Londynu przybył pociąg towarowy, który przejechał przez Kazachstan, Rosję, Białoruś i Polskę, czyli przebył 12 tys. km, wyczyn początkowo budził podziw. W 34 wagonach przywieziono towar za 5 mln dol. – i dokonano tego w czasie dwa razy krótszym niż statkiem, o połowę taniej niż samolotem. Ale zachwyty przygasły, gdy zaczęto dokładniej liczyć i się okazało, że jednak można było sobie darować wysyłanie pociągu, spowalnianego różnym rozstawem szyn w poszczególnych krajach, bo cały niepsujący się towar mógł przecież jednak popłynąć wolniejszym, ale tańszym transportem morskim. „Nowy Jedwabny Szlak to tylko akcja PR” – mówił w rozmowie z „Financial Times”⁵ Charles Parton, były unijny dyplomata pracujący

w Chinach. „To bardziej produkt skrojony na potrzeby chińskiej polityki wewnętrznej z pewnymi geostrategicznymi konsekwencjami niż przemyślany projekt o wielkich korzyściach dla świata”.

Ale kto by chciał słuchać gderliwych sceptyków, gdy stary terminal przeładunkowy w Małaszewiczach przy granicy z Białorusią zaczęto nagle nazywać „chińską bramą do Europy”, a Polskę przedstawiać jako nowy hub transportowy⁶. Małaszewicze, które swój najlepszy czas przeżywały w latach 70., gdy przechodziło przez ten terminal aż 12 mln ton różnego rodzaju materiałów rocznie, miałyby wrócić do swojej świetności? Ta wizja robiła wrażenie.

„Nowy Jedwabny Szlak na początku nie był nastawiony na tworzenie jakiejś spójnej siatki transportowej. Chińczycy rzucili się do realizacji projektów, często od lat planowanych i odkładanych przez lokalne władze. Celem było budowanie wizerunku Chin jako mocarstwa z globalnymi ambicjami, co nabrało szczególnej wagi, gdy USA coraz mocniej zaczęły je ograniczać polityką celną. Ale przede wszystkim głównym celem był eksport inwestycji infrastrukturalnych, stworzenie dla chińskich wielkich przedsiębiorstw budowlanych nowych rynków, zleceń, impulsów rozwojowych” – przekonuje Jakub Jakóbowski, ekspert z Ośrodka Studiów Wschodnich. „Przebieg tych inwestycji na Bałkanach pokazuje jasno, że nie było w tym głębszego zamysłu. Wszystko jest punktowe, nie spina się w żadną całość”.

Przy projektowaniu hubu transportowego w Małaszewiczach decydujące znaczenie miała wcześniejsza chińska inwestycja w port w Pireusie. Uznano, że zyski z niej mogą być większe, gdy powstanie połączenie drogowe i kolejowe tego portu przez Serbię na Węgry. „Ale do dziś nie ma w nim wszystkich elementów. W ogóle nie zadbano o kolej przez Macedonię, w Czarnogórze budują autostradę znikąd donikąd, na Węgrzech prace idą bardzo powoli. Tylko w Serbii Chińczycy budują na serio” – podkreśla Jakóbowski.

Mimo to region zaczął snuć mnóstwo geopolitycznych fantazji, które opierały się w wielkim skrócie na przekonaniu, że lądowy szlak da Chinom alternatywę wobec kłopotliwych mórz i dlatego jest dla nich strategicznym priorytetem, co

w efekcie sprawia, że cała Europa Środkowa też staje się dla Pekinu niezwykle ważna.

Obecnie kolejowy ruch towarowy z Dalekiego Wschodu do Europy odbywa się głównie przez Polskę, przepływa przez nią około 70 proc. przewozów i przeładunków. Możliwości infrastrukturalne i operacyjne się jednak wyczerpują, na przykład terminal w Małaszewiczach już się praktycznie zapchał i dlatego PKP szykuje się do jego rozbudowy. Koszt: 3,2 mld zł plus ograniczenia w działaniu do 2027 roku. PKP liczy, że może Komisja Europejska dorzuci się do tego projektu, ale nie zdradza, kiedy te nakłady miałyby szansę się zwrócić. „Wszystko to już dziś pęka w szwach, w całej Eurazji infrastruktura wyczerpała swoją przepustowość, a i tak obsługuje ledwie 0,5 proc. wartości chińskiego globalnego handlu. To absolutnie nie ma tak strategicznego znaczenia dla Chin, jak często roimy sobie w Polsce. I nie jest tak, że to się dzieje dzięki chińskim pieniądзом i infrastrukturze. Wręcz przeciwnie, przecież oni przyszli do nas w momencie, gdy Europa Środkowa dokonała już w tej dziedzinie potężnego skoku, w ogromnej mierze dzięki środkom unijnym” – mówi Jakóbowski.

A jednak i tak wyobraźnię rozpalają kolejne publikowane w mediach społecznościowych mapki, pokazujące, jak duża panuje konkurencja między poszczególnymi państwami i trasami w obrębie samej Europy o te transporty i pieniądze z Chin. Jest przecież Korytarz Północny, przez Kaliningrad i porty bałtyckie, jest Korytarz Południowy, czyli linia szerokotorowa przez Ukrainę i Polskę. Są warianty omijające Polskę, na przykład przez Węgry.

Jakub Doński-Lesiuk też zamieścił sporo takich map w swojej książce *Nowy Jedwabny Szlak*, tyle że żadna z nich nie epatuje efektownymi cyframi. Spośród wyróżnionych przez tego ekonomistę z Uniwersytetu Łódzkiego dziewięciu głównych korytarzy kolejowych łączących Europę z Azją cztery prowadzą dalej do Chin. Żaden nie posiada potencjału decydującego. Analityk konkluduje: to fantazje i marzenia, a nie realne scenariusze nakręcają polityków zafascynowanych Pasem i Szlakiem⁷.

Co nie znaczy, że z tych fantazji nic nie wynika.

Bóg, szczęście, Orbán i Chiny

Na Węgrzech prace nad linią kolejową do Belgradu miały się rozpocząć już w 2015 roku, aby pierwsze szybkie pociągi mogły nią pojechać dwa lata później. Prędko się jednak okazało, że nie ma szansy na utrzymanie takiego tempa. Potem mówiono o roku 2020, o 2023, a po siedmiu latach od podpisania umowy władze obu państw zarzekają się, że 2025 rok to już data ostateczna.

Wiosną 2020 roku rząd Orbána podpisał z Pekinem umowę na pożyczkę w wysokości 1,9 mld dol. Pieniądze, które obiecał Exim Bank of China, mają pokryć 85 proc. kosztów prac, pozostałe 256 mln dol. wyłoży Budapeszt. Dla porównania: w latach 2004–2018 na inwestycje kolejowe na całych Bałkanach Zachodnich wydano łącznie 2 mld dol.

Niemal natychmiast na polecenie Orbána kontrakt z Pekinem został jednak objęty tajemnicą państwową. Węgierski parlament kontrolowany przez Fidesz, partię Orbána, po prostu utajnił szczegóły umowy do 2030 roku. Oficjalnie, bo tego domagała się strona chińska. Ale tak naprawdę było to na rękę Orbánowi – i jako premierowi państwa należącego do Unii Europejskiej, które nie chce się już tłumaczyć przed Komisją Europejską z „nietransparentnej inwestycji”, a więc przykrywa ją klauzulą tajności, i jako osobie prywatnej – z powodów biznesowo-towarzyskich.

Sándor Léderer z organizacji pozarządowej K-Monitor, która od 2014 roku kontroluje działania państwa, kiedy go pytam, czy może jest w tej tajności metoda (w końcu skuteczność inwestycji czasem tłumaczy takie zabiegi), odpowiada: „Ach, bo ty pewnie myślisz, że ta kolej to ma być dla pasażerów... No tak, rząd robi wiele, żeby tak tę inwestycję przedstawić. Ale nie, to nie będzie szybka kolej pasażerska, która poprawi życie ludziom. W planach jest tylko nowa nitka kolejowa przeznaczona dla cargo, dla przewoźników towarowych. Tak, za tak ogromne pieniądze powstanie pojedyncza trakcja kolejowa, bez żadnej ingerencji w obecną, mocno już zniszczoną i przestarzałą sieć”. Léderer tłumaczy, że właśnie ujawnienie i wytłumaczenie wszystkich szczegółów tej inwestycji sprawia, że

pomysł okazuje się nie tyle planem na modernizację kraju, ile raczej sposobem na umocnienie pozycji Orbána. „Połączenie towarowe jest na rękę mniej Węgrom, a bardziej Chinom. To im przecież przyda się lepszy transport z portu w Pireusie. A Orbánowi da to po prostu silniejszą kartę przetargową do dalszych rozmów z Pekinem” – tłumaczy węgierski ekspert i doradca: „Kilka minut spacerem od naszego biura znajduje się ambasada Chin. Przejdź się po tej okolicy i zobacz, jakie tam są jeszcze siedziby”. Faktycznie w tej pięknej willowej dzielnicy, przy ulicy Benczúr 18, znajduje się ambasada Chin, jakieś 200 metrów dalej pod numerem 32 mieści się równie elegancka siedziba CREC, czyli China Railway Group Limited. Kolejne 300 metrów dalej znajdują skromniejsze już europejskie przedstawicielstwo miasta Qinhuangdao, które jest ważnym węzłem transportowym (w tym kolejowym), bo to tam w 2003 roku z pompą otwarto początkową stację kolei szybkiej prędkości. Nawet ten natłok siedzib chińskich przedstawicielstw mówi wyraźnie: inwestycja w kolej na Węgrzech to poważna sprawa.

W 2019 roku, gdy Budapeszt i Belgrad jeszcze twierdziły, że ich kolej będzie gotowa w 2023 roku, główny przetarg na budowę wygrało konsorcjum CREC. W tym konsorcjum połowę udziałów ma RM International, spółka zależna od lokalnego giganta Opus Global. A drugą – wspierane przez Pekin China Tiejiju Engineering & Construction i CREC.

Im dalej postępowały prace nad ekspresem Belgard–Budapeszt, tym jaśniejsze się stawało, dlaczego Orbánowi aż tak bardzo zależy na tej inwestycji. Do budowy na Węgrzech powołano specjalną spółkę Kínai-Magyar Vasúti. MÁV, czyli państwowe koleje węgierskie, mają w niej 15 proc. udziałów, pozostałe należą do dwóch wspomnianych chińskich konsorcjów. Z kolejnych przetargów ogłaszanych przez tę spółkę zaczął się wyłaniać jasny obraz faktycznych beneficjentów inwestycji. W centrum tej maszyny stoi Lőrinc Mészáros, człowiek symbolizujący oligarchiczny układ wokół Orbána. W 2019 roku magazyn „Forbes” oszacował jego majątek na 1 mld dol. Na najnowszej węgierskiej liście „Forbesa” zajmuje już pierwszą pozycję, z majątkiem wycenianym na blisko 1,4 mld dol.

Mészáros jest przyjacielem Orbána z jego rodzinnej miejscowości. W 1990 roku otworzył małą firmę zajmującą się instalowaniem przyłączy gazowych. Orbán, gdy założył szkółkę piłkarską Ferenc Puskas Football Academy, wyznaczył Mészárosa na jej prezesa. Ale złote lata Mészárosa nadeszły, gdy w 2010 roku Orbán zdobył na Węgrzech władzę. Nagle jego firma Opus Global – dzięki kolejnym rządowym kontraktom – wyrosła na potentata na rynku budowlanym.

Nawet drobniejsze zlecenia trafiają tam, gdzie powinny. W przetargu ze stycznia 2022 roku na pełną modernizację króciutkiego odcinka Ferencváros–Soroksár (niecałe 7 km), którą wyceniono na 173 mln dol., kontrakt dostały dwie firmy: V-Híd Építő Zrt. i China Railway Magyarország. Jak podał serwis hvg.hu⁸, obie są spółkami zależnymi jednego z właścicieli Kínai-Magyar Vasúti, a ten już wskazał, że podwykonawcą będzie firma Mészárosa, tyle że formalnie należąca do Jánosa, jego młodszego brata.

Węgierscy dziennikarze śledczy i analitycy alarmują, że państwo zapożyczyło się na potężne kwoty w chińskim banku, by następnie oferować realizację zleceń albo chińskim firmom, albo przedsiębiorstwom należącym do rodziny przyjaciela Orbána. „Tradycyjne kalkulacje kosztów i korzyści w tym wypadku nie działają” – mówił w Euronews⁹ Viktor Friedmann, specjalista ds. Chin z Budapest Metropolitan University. I dodawał, że inwestycja ewidentnie służy budowaniu tzw. systemu kapitalizmu politycznego – przekierowującego strumień państwowych pieniędzy do oligarchów i firm, które formalnie są prywatne, ale w rzeczywistości w pełni zależą od Orbána i Fideszu.

Umowa kredytowa oraz studium wykonalności zostały utajnione, więc nie wiadomo nawet, jak ani kiedy ta inwestycja ma się zwrócić. Pojawiły się już jednak szacunki, że jej amortyzacja przy takich nakładach zajmie 130 lat. „Niektórzy eksperci wyliczają to wręcz na kilka wieków. Tyle według nich ma zająć uzyskanie zysków z oclenia na Węgrzech przybywających do Pireusu towarów, które w Grecji nie będą poddawane kontroli celnej, tylko z automatu trafią do pociągów, a więc to Budapeszt będzie docelowym punktem dostawy i tu ma być

odprowadzany podatek. Tyle że według analityków te zyski są tak mizerne, że cała inwestycja zacznie się zwracać za 1–2 tys. lat. Może i brzmi to fantastycznie, jak podkrecona publicystyka, ale przy braku transparentności tego projektu, braku jednoznacznych wyliczeń zysków, na jakie liczy rząd, i ich rozłożenia w czasie bardziej ufam tu ekspertom i ich analizom niż Orbánowi” – dodaje Léderer. „Jedynie wnioski, jakie wyciągamy z tej inwestycji, dotyczą sprawności, z jaką Orbán wykorzystuje związki z Chinami, i jego dalszej gotowości do uzależniania się od nich, byleby zyskać silne lokalne oparcie i fundusze do wspierania własnego zaplecza politycznego”.

Wszelkie znaki wskazują, że budowa kolei do Belgradu zyski da głównie Mészárosowi, i to tak duże, że do swoich już słynnych słów, że sukces zawdzięcza „Bogu, szczęściu i Orbánowi”, będzie mógł jeszcze dopisać: „oraz Chinom”.

Gdyńkong, czyli po co Chinom Bałtyk

W 2022 roku mija 100 lat od przyjęcia przez Sejm RP ustawy „o budowie portu w Gdyni”. Okrągłe urodziny głównego polskiego portu wojennego, aktualnie będącego istotną częścią systemu wschodniej flanki NATO, obchodzone są jednak w cieniu mocnej lobbingowej walki o przyszłość nadmorskiego miasta.

W połowie 2022 roku po wielu miesiącach analiz miał się rozstrzygnąć przetarg na operatora Bałtyckiego Terminalu Kontenerowego (BCT). Chodzi o 30-letnią dzierżawę terenu o powierzchni 66 ha. Obszar niby niewielki, ale o wielkim znaczeniu.

Do przetargu przystąpiły latem 2021 roku dwie firmy: dotychczasowy operator terminalu, czyli filipińsko-amerykańskie ICTSI, oraz chiński Hutchinson Ports. Chińczycy nie są tu wcale nowi, od 17 lat działają na 20 ha i półkilometrowym pasie nabrzeża w Gdyńskim Terminalu Kontenerowym (GTC), przejętym od banku za długi jednej ze spółek Stoczni Gdynia. Na tym terenie Hutchinson Ports, poza

kontrolą zarządu portu, uruchomił przeładunki kontenerowe, a następnie wynajął dodatkowy teren i obecnie operuje na około 30 ha.

Jeśli ta chińska spółka dostała w dzierżawę BCT, stanie się praktycznie monopolistą. Każdy, kto będzie chciał przewieźć ładunek przez Gdynię, będzie musiał z nimi współpracować. A ta współpraca, gdy się przyjrzeć przeszłości właścicieli spółki CK Hutchinson, może prowadzić ścieżką wiodącą niemalże wprost do władz w Pekinie. Firma jest rodzinnym biznesem Li Ka-shinga – największego potentata z Hongkongu. Spółką matką zarządza jego syn Victor Li Tzar-kuoi, który w 1996 roku padł ofiarą powiązanego z chińską mafią i ówczesnie dobrze znanego gangstera „Big Spendera”, czyli Cheunga Tze-keunga. Victor Li miał wtedy 32 lata i już widać było, że pójdzie w ślady ojca, kiedy został porwany w drodze z pracy do domu. Li Ka-shing zapłacił okup w wysokości 1,038 mld dol. hongkońskich (dziś równowartość ponad 600 mln złotych) bezpośrednio Cheungowi, gdy ten przybył do jego domu. Młodego mężczyznę zwolniono już następnego dnia¹⁰.

Ale potentat nigdy nie zgłosił sprawy policji w Hongkongu, który wtedy jeszcze pozostawał w jurysdykcji brytyjskiej. Zamiast tego porwaniem i ściganiem Cheunga Tze-keunga zajęły się władze kontynentalnych Chin – i to tak skutecznie, że w 1998 roku „Big Spendera” skazano na karę śmierci, co w Hongkongu nie byłoby możliwe. Od tamtej pory choć Hutchinson pozostaje firmą prywatną, nadal spłaca ogromny dług wdzięczności wobec władz w Pekinie, a wraz z przejmowaniem Hongkongu umacnia się jej zależność wobec partii komunistycznej.

Nic więc dziwnego, że na apetyty chińskich firm – nawet prywatnych – na Zachodzie patrzy się z narastającymi obawami. Wróćmy jednak nad polskie morze, gdzie po miesiącach lobbingowego przeciągania liny doszło do trzęsienia ziemi. Niespodziewanie w czerwcu 2022 roku dokumenty konkursowe złożyło tylko... filipińsko-amerykańskie ICTSI. Wiele wskazuje na to, że medialne nagłośniecie apetytów chińskiego koncernu CK Hutchinson spowodowało, że musiał obejść się smakiem. Sprawą za bardzo zainteresowały się służby Polski i NATO.

Chiny w 2019 roku ogłosiły, że są gotowe na duże inwestycje w innym bałtyckim porcie, w Kłajpedzie. Ale w zamian chciały nabyć kontrolny pakiet w spółce zarządzającej portem. Wilno jednak stanowczo zablokowało ten pomysł.

„Transport morski wciąż ma dla Chin kluczowe znaczenie. Pekin konsekwentnie dąży do zwiększenia roli własnego tonażu w obsłudze handlu zagranicznego. Już na początku XXI wieku chińskie przedsiębiorstwa żeglugowe, kierując się dyrektywami płynącymi od najwyższych czynników państwowych, rozpoczęły rozbudowę tego potencjału. Przecież całe wejście do Europy Środkowej zaczęło się *de facto* od inwestycji w Pireus” – opowiada Jakóbowski. COSCO (China Ocean Shipping Company), największy chiński przewoźnik państwowy, ale też operator portowy, kupuje pierwsze udziały w Pireusie w 2009 roku, a trzy miesiące później odbywają się już pierwsze spotkania w Budapeszcie i w Warszawie na temat Inicjatywy Pasa i Szlaku.

Od tamtej pory COSCO tak urosło, że zajmuje czwarte miejsce w rankingu największych przewoźników kontenerowych świata. Uwzględniając możliwości wszystkich firm chińskich lub będących chińską współwłasnością (w tym oficjalnie zarejestrowanych w Hongkongu, prowadzącym odrębny od chińskiego rejestr i posiadającym własną banderę), armatorzy z Państwa Środka są odpowiedzialni za obsługę około 18 proc. światowych przewozów kontenerowych.

COSCO mimo kolejnych sankcji nakładanych na Rosję i tak nadal obsługuje nieprzerwanie rosyjskie porty i przewozi rosyjskie towary. Robi to także w Pireusie, co więcej – właśnie ze względu na weto Grecji unijne sankcje za atak na Ukrainę są łżejsze, niż zamierzano (dotyczą rosyjskich bander, ale nie własności rosyjskiej pod innymi banderami).

Sokołem na wschód

„Budowa serbsko-węgierskiej kolei to budowa serbsko-chińskiej przyjaźni” – takie hasło, wypisane czerwonymi literami na białym tle (oczywiście po serbsku i po

chińsku), widnieje tuż przy stacji Novi Beograd. To tutaj postawiono jedyny dotychczas przystanek na wybudowanym kawałku trasy prowadzącej do Nowego Sadu.

I to przez tę pełną przyjaźni stację przejeżdżali pod koniec marca specjalnym pociągiem Soko (czyli Sokół) Orbán i Vučić, machając do... całkowicie pustych peronów. Ale Vučić i tak ma co świętować: udało się ukończyć pierwszy etap inwestycji. Serbia musiała w tym celu nie tylko wspomóc się chińską pożyczką w wysokości 943 mln dol., ale też zaangażować w to Moskwę, od której w 2019 roku pożyczyła kolejne 800 mln dol. Co więcej, inwestycja na odcinku Stara Pazova–Novy Sad została wykonana przez spółkę córkę Kolei Rosyjskich – RŽD International, odcinek między Belgradem a Starą Pazową budowały chińskie spółki China Railway International oraz China Communications & Construction Co.

Orbánowi i Vučićowi te inwestycje zwróciły się już po kilku dniach od wspólnej podróży: obaj tego samego dnia ponownie zdobyli w wyborach w swoich krajach większość i obaj podziękowali swoim „tradycyjnym przyjaciołom” oraz zapowiedzieli kontynuację kursu.

Jak konkluduje czeski senator Marek Hilšer: „Kilka lat temu słuchołem jednego z tybetańskich polityków, który opowiadał, że pierwszą inwestycją Chin w Tybecie były drogi. I Tybet się z tego cieszył. Do czasu, gdy zdano sobie sprawę, że drogi przydają się także do inwazji”.

* * *

Największą zaletą i zarazem największą bolączką Europy Środkowej jest jej położenie. Między Zachodem i Wschodem, jako przedmurze, jako szlak transportowy, a także jako pole przewijających się z jednej części kontynentu na drugi wojen. Gdy jednak druga największa gospodarka świata obiecuje powstanie Nowego Jedwabnego Szlaku, którego ważna część ma przebiegać przez środek Europy, to wstyd by było na tym położeniu nie skorzystać. Nawet jeżeli oznacza to

zaciągnięcie wielkich pożyczek – najlepiej oczywiście w Chinach – podporządkowywanie swoich portów czy kolei cudzym interesom, a nawet zgodę na to, by cała infrastruktura była częścią pozostającej poza jakąkolwiek lokalną kontrolą gospodarczo-politycznej układanki.

ZAMIAST EPILOGU. ROZMOWA Z PROFESOREM CLIVE'EM HAMILTONEM

Gdy pojawił się pomysł na tę książkę, planowałam konstrukcję złożoną z 17 + 1 rozdziałów. Tak jak jeszcze dwa lata temu wyglądał układ Europa Środkowa + Chiny. Siedemnaście opowieści o różnych obliczach wpływów Chin w naszym regionie oraz dodatek, wyjaśniający, co Chiny sądzą o tym kawałku świata i jakie mają wobec niego plany.

Tymczasem jednak projekt 17 + 1 ewoluował. Oficjalnie zrezygnowała z niego Litwa. O krok od podobnej decyzji są Estonia, Łotwa, a być może i Czechy. Za to na Węgrzech i w Serbii kolejne wyborcze wygrane Viktora Orbána oraz Aleksandara Vučića wzmocniły obrany przez te państwa kurs na Chiny.

Bardzo wyraźnie zmienił się też układ światowych sił. *Decoupling*, czyli oddzielanie Chin od Zachodu, widoczne już za kadencji prezydenta USA Donalda Trumpa, po jego przegranej przed dwoma laty tylko się wzmogło. Joe Biden może nieco ciszej niż jego poprzednik, ale coraz bardziej zdecydowanie zaczął wskazywać na Chiny jako na głównego konkurenta Stanów Zjednoczonych i wyzwanie dla ich polityki. Co więcej, atak Rosji na Ukrainę, który pociągnął za sobą zmasowane embarga i ucieczki firm z państwa agresora, wywołał niebezpieczne wrażenie, że nie ma odwrotu od powtórki z zimnej wojny, z nową – tym razem także cyfrową (bo opartą na technologicznym odcięciu) – żelazną kurtyną. Jednocześnie rodzi się pytanie: po której stronie tej kurtyny będą Chiny?

W ciągu zaledwie dwóch ostatnich lat, które zaczęły się wybuchem globalnej pandemii, a kończą wybuchem wojny w Europie, pada coraz więcej pytań o odpowiedzialność i intencje Chin. I nie powinny być one jedynie domeną polityków. To są pytania do nas, wyborców i konsumentów – tu i teraz.

Dla matki i drobnej przedsiębiorczyni z robotniczego miasteczka w Serbii, dla klientów AliExpress z Polski, dla internetowych biznesmenów zastanawiających się, czy swoje aplikacje przygotować pod system operacyjny Harmony od Huawei, dla rolników, którzy chcieliby do Państwa Środka eksportować jabłka. Bo nasze indywidualne decyzje, projekty, a nawet sposób życia nagle stały się elementem rozgrywki na globalnej szachownicy, przy czym zasady gry zmieniają się z dnia na dzień.

Pisząc tę książkę, bardzo nie chciałam Chinami straszyć: ani wyolbrzymiać ich wpływów, ani zrzucić odpowiedzialności za wszelkie problemy świata na ich politykę i ambicje. Znacznie ciekawsze i ważniejsze wydaje mi się po prostu zrozumienie sposobu, w jaki one patrzą na świat, i wyciągnięcie z tego wniosków.

W końcu przecież, jak pisał wprowadzający nas do kolejnych rozdziałów tej książki Sun Tzu: „Kto zna wroga i zna siebie, nie będzie zagrożony choćby i w stu starciach. Kto nie zna wroga, ale zna siebie, czasem odniesie zwycięstwo, a innym razem zostanie pokonany. Kto nie zna ani wroga, ani siebie, nieuchronnie ponosi klęskę za klęską w każdej walce”¹.

Dziś nie wystarczy już znać siebie i własnego kawałka świata. Dlatego właśnie ta książka nie jest tylko o Polsce i Europie Środkowej – przywoływane są w niej historie, przykłady i nawiązania z zupełnie innych kontynentów. Bo nie da się zobaczyć całego pejzażu aktywności Chin bez odpowiednio szerokiej perspektywy.

Tak właśnie widzi to Clive Hamilton, profesor etyki na australijskim Uniwersytecie Charlesa Sturta, który po latach zajmowania się problemami współczesnej demokracji i konsumpcjonizmu kilka lat temu zaczął się bliżej przyglądać wpływom Chin na jego ojczyznę – Australię.

„Nagle się okazało, że spora część problemów, takich jak niechęć kolejnych rządów do transparentności i kontroli ich działań czy brak faktycznej walki z katastrofą klimatyczną, gdzieś w tle ma coraz wyraźniejszy czynnik o nazwie «związki z Chinami»” – opowiada mi Hamilton, tłumacząc, dlaczego napisał książkę *Silent Invasion* [Cicha inwazja]². „A potem, podczas prac nad *Hidden*

Hand [Ukryta ręka]³, zacząłem lokalizować na całym świecie te same wzorce działania Komunistycznej Partii Chin” – dodaje australijski badacz.

Z jego prac wyłania się obraz tysięcy chińskich agentów wpływu działających na różnych szczeblach australijskiej polityki, nauki, biznesu, organizacji społecznych, a nawet życia religijnego. Z jego spostrzeżeń wynika, że dla swoich celów strategicznych Pekin jest zdolny pozyskiwać opinię publiczną w państwach Zachodu, jednocześnie zachowując ją w nieświadomości roli odgrywanej w grze zaprojektowanej w Chinach. Zdaniem Hamiltona Australia – obok Nowej Zelandii – stała się dla kierowanych imperialnymi ambicjami Chin najważniejszym poligonem doświadczalnym, gdzie się testuje metody i rozwiązania szykowane dla całego Zachodu.

Inny poligon rozwija się od lat w Afryce. Nowy kolonializm opanował już niemal cały kontynent, i to bez bezpośredniego politycznego czy wojskowego zaangażowania. „Inwestycji jest coraz więcej, skupują nasze fabryki czy porty i dają nowe miejsca pracy. Ale tak naprawdę to już chyba straciliśmy kontrolę nad skalą rozwoju chińskich interesów w Afryce” – mówił mi Muda Yusuf, dyrektor generalny Izby Handlu i Przemysłu w nigeryjskim Lagosie, dosłownie w ostatnich dniach przed wybuchem globalnej pandemii COVID-19.

Od tamtej pory Chiny jeszcze bardziej otwarcie zaczęły działać w Afryce, także poprzez nowe technologie, służące też skuteczniejszej inwigilacji i kontroli. W Nigerii w 2021 roku rząd właśnie od Chin zakupił technologie przeznaczone do ograniczania wolności w internecie, wzorowane na Great Firewall, czyli słynnym już cyfrowym murze chińskim.

Modele wypracowane w Afryce coraz odważniej wprowadza się w życie w Ameryce Południowej. Nawet kraje sprzyjające Stanom Zjednoczonym, takie jak Ekwador, jeśli potrzebują inwestycji, pieniędzy i umów handlowych, czują się zmuszone skorzystać z ofert Pekinu i w efekcie w 2021 roku to Chiny stały się największym partnerem handlowym Ameryki Łacińskiej.

Na tym tle aktywność Chin w Europie Środkowej wygląda po prostu jak część większej globalnej operacji. Właśnie tak widzi to profesor Clive Hamilton, którego

wnioski stanowią dobrą puentę dla niniejszej książki.

* * *

Jak działają Chiny? Czy mają jakiś specyficzny *modus operandi*, różny niż dyplomacja i służby z innych państw? A może postawiły sobie po prostu znacznie bardziej ambitny cel: zdobyć pozycję globalnego mocarstwa numer jeden, i to jeszcze przed połową tego wieku?

Clive Hamilton: Oczywiście najłatwiej im budować sieci wpływu tam, gdzie już funkcjonuje znacząca chińska diaspora, jak właśnie w mojej ojczystej Australii. Wtedy chiński Zjednoczony Front⁴ ma łatwiejszy start we wszelkiego rodzaju działaniach, od lobbingu po szpiegostwo.

Ale dziś właściwie już jest jasne, że Komunistyczna Partia Chin swoje zagraniczne operacje wpływu i zakłócania prowadzi wszędzie. I robi to według szczegółowego, modyfikowanego na bieżąco podręcznika zawierającego zestaw metod, strategii i sposobów postępowania. Co ważne: metody te są coraz lepiej dostosowane do specyfiki poszczególnych narodów i sytuacji danych państw. Pierwsze, co wyraźnie widać: KPCh stara się mapować struktury władzy w danym państwie.

Na przykład w Wielkiej Brytanii, co szczegółowo opisywaliśmy z Mareike Ohlberg w książce *Hidden Hand* [Ukryta ręka], celnie namierzono tę koncentrację władzy w londyńskim City, w finansowym sercu całego państwa. To tam działa Klub Grupy 48, czyli wpływowa organizacja od lat lobbująca na rzecz rozwijania współpracy biznesowej z Chinami. To nie jest nowy twór. On sobie spokojnie funkcjonuje od połowy lat 50., gdy Pekin odwiedziło 48 brytyjskich przedsiębiorców chcących „normalizacji” stosunków z ChRL. Było to po wojnie koreańskiej, a Chiny były objęte embargiem handlowym. Potem przez lata powoli rozbudowywała wpływy, aż wreszcie w orbicie organizacji znalazło się ponad 500 wysoko postawionych osób, w tym były premier Tony Blair, były unijny komisarz Peter Mandelson i były szkocki premier Alex Salmond. Włożono bardzo dużo

wysiłku w pielęgnowanie przyjaźni z tymi elitami, licząc, że – gdy tylko przyjdzie odpowiedni moment – bardzo się przydadzą.

Z kolei w Niemczech dostrzeżono, jak kluczowy dla gospodarki i dla polityki całego państwa jest przemysł samochodowy. W efekcie to na nim skoncentrowały się wysiłki Pekinu. Jak widzimy, z ogromnymi sukcesami, bo bez chińskiego rynku niemiecka motoryzacja nie ma już szansy na samodzielne utrzymanie swojej pozycji i stanu posiadania. Co więcej, istnieje ogromna sieć osobistych relacji między najważniejszymi menedżerami z Niemiec a chińskimi politykami i biznesmenami. Gdy już o tym wiemy, pozwala nam to zrozumieć, dlaczego Niemcy powstrzymują Europę przed silniejszą reakcją na chińskie ambicje i wpływy.

To takie już klasyczne maoistowskie *yi shang bi zheng*, czyli wykorzystanie gospodarki, biznesu do nacisków na władzę.

I to świetnie działa w kolejnych państwach. Podobnie jest w przypadku Polski, Czech, Węgier i każdego innego kraju, które wchodzi w orbitę zainteresowania Pekinu. Partia komunistyczna zaczyna od analizy, kto podejmuje decyzje, ale równolegle sprawdza też, jakie ma słabe strony, gdzie jest jego miękkie podbrzusze. Czasem to będzie właśnie lokalnie ważna gałąź przemysłu. Czasem grupa ekspertów, która ma nieproporcjonalnie duży wpływ na sposób postrzegania Chin w rządzie lub w mediach.

Gdy już wiedzą, gdzie warto celować, zaczynają pracę nad tymi ekspertami, aby ich przekonać do punktu widzenia KPCh. W efekcie obserwujemy działalność wielu analityków, sinologów, którzy owszem, są ekspertami od Chin, ale jednocześnie albo wyraźnie sympatyzują z chińskim rządem, albo nie chcą w żaden sposób swoją nadmierną krytyką narażać swoich możliwości badawczych. Tak, Pekin ma rozbudowaną strategię, ale elastycznie dostosowuje ją do każdego narodu, rynku i okoliczności.

Europę Środkową w pewnym momencie na Zachodzie nazywano „koniem trojańskim” Chin, bo chińskim firmom dosyć łatwo było oczarować, zachęcić do współpracy, przekonać, że relacje z Chinami to zawsze sytuacja typu *win-win*. Teraz jednak pod wpływem skandali związanych z agresywnymi działaniami Chin – niewątpliwie to także efekt lobbingu Stanów Zjednoczonych skoncentrowanego na pokazywaniu zagrożeń płynących z Chin – zaczęło się powolne odsuwanie od Pekinu. A kiedy Australia odkryła, że te wpływy przekroczyły czerwoną linię?

Australia wprawdzie leży na antypodach Europy, ale istnieją między tymi obszarami spore zbieżności. Choć chińskie wpływy narastały od dawna, to potrzebne były konkretne wydarzenia i zawzięci dziennikarze, którzy dobrze rozumieli Chiny i ich sposób działania, by nagłośnić skalę problemu. Media od kilku lat coraz więcej pisały o operacjach wpływu KPCh w Australii. Przełomowa okazała się jednak w 2016 roku historia senatora z Partii Pracy Sama Dastyariego. Dastyari poparł kontrowersyjną ekspansję Chin na Morzu Południowochińskim, co stało w sprzeczności z programem jego partii i było sporym zaskoczeniem. Zagadka rozwiązała się, gdy wyszło na jaw, że miał bliskie relacje z potentatem branży nieruchomości Huangiem Xiangmo, który opłacał mu nawet podróże do Chin. A Xiangmo, jak wskazały dziennikarskie śledztwa, jest bezpośrednio powiązany z organizacjami Zjednoczonego Frontu. To był potężny skandal, który nie tylko doprowadził do kontroli funduszy płynących do polityków z zagranicy, lecz także zwrócił uwagę Australijczyków na to, jak silne wpływy w ośrodkach władzy w kraju zdobyły Chiny.

Sprawa Dastyariego była tylko wierzchołkiem góry lodowej. Udało się znaleźć dowody, że jeszcze kilku bardzo bogatych Chińczyków, lub obywateli Australii chińskiego pochodzenia, w podobny sposób przekazywało duże darowizny na rzecz obu naszych głównych partii politycznych. Na pierwszy rzut oka wydawały się bezinteresowne, ale im bliżej się im przyglądałem, tym bardziej widoczne były związki z chińską partią komunistyczną. To stanowiło impuls do pracy nad książką

Silent Invasion. Ostatecznie okazało się, że około 40 czołowych polityków, w tym dwóch byłych premierów, było w taki czy inny sposób wspieranych przez Chiny.

Gdy na początku 2018 roku książka się – po poważnych perturbacjach (pierwotny wydawca wycofał się, przestraszony tym, że Chiny mogą się odegrać na jego interesach) – w końcu ukazała, dyskusja o chińskich wpływach w Australii była już bardzo gorąca.

Ale chwileczkę: wydawca przestraszył się tematu Chin? Przecież chyba nie mają one wpływu na rynek książki w Australii?

Niestety mogą mieć. To było prestiżowe wydawnictwo, które opublikowało kilka moich poprzednich książek. Nagle, tuż przed wysłaniem książki do druku, wycofało się. Szef wydawnictwa wytłumaczył mi, że obawiają się trzech scenariuszy. Pierwszy to pozew o zniesławienie wytoczony przez wspomnianego Huanga Xiangmo, który mógłby firmę pozwać *de facto* w imieniu KPCh, i nawet wygrana w sądzie kosztowałaby wydawcę sporo. Drugim powodem była obawa przed cyberatakami. A trzeci był najbardziej pragmatyczny: większość wydawców w Australii drukuje ogromną część nakładów swoich książek w Chinach.

Chiny posiadają najnowszą technologię poligraficzną, ich usługi są około 30 proc. tańsze niż drukarni na Zachodzie. Wydawcy więc coraz częściej się boją, że zostaną odcięci od drukowania swoich książek w Chinach po korzystnych stawkach pozwalających utrzymać się na rynku. To niepokojące – przecież akurat wydawnictwa na liberalnym Zachodzie powinny na pierwszym miejscu stawiać na wolność słowa, prawda? Byłem jeszcze wtedy taki naiwny...

Ale ostatecznie *Cicha inwazja* jednak się ukazała.

Tak, bo udało mi się znaleźć innego australijskiego wydawcę, działającego na znacznie skromniejszą skalę. Co więcej, książka – choć przecież traktująca o Australii – została przetłumaczona na japoński i sprzedawała się tam w ponad 60 tys. egzemplarzy.

Zapewne dlatego, że mechanizmy, które opisuje, są wszędzie podobne. Łatwo w tej opowieści o Australii odkryć analogie do Polski i całej Europy Środkowej.

Technika i optyka KPCh, sposób myślenia Chin są wszędzie takie same. Ta „ukryta ręka” sięga coraz dalej i głębiej. Japończycy i Koreańczycy już to bardzo dobrze zrozumieli, reszta świata dopiero odkrywa.

Ale czy to wciąż jest „cicha inwazja” i „ukryta ręka”?

I tak, i nie. Skala agresywnej „wilczej dyplomacji”, którą już oficjalnie uaktywnił Pekin, pokazuje, że nie chcą dłużej być cicho. Wręcz przeciwnie, przeszli do ofensywy. Tyle że przy okazji sami sobie wyrządzili wiele szkód, ponieważ zwrócili uwagę świata na to, co zamierzają. Tymczasem wciąż przemilczane są techniki wykorzystywane do realizacji interesów Pekinu za pośrednictwem chińskiej diaspory, chińskich firm – nawet niby prywatnych – oraz lokalnych elit politycznych i akademickich.

Tu wciąż dużo się ukrywa za kulisami. Widać na całym świecie, że środowiska naukowe, rzesze studentów z Chin oraz nowe technologiczne biznesy są bardzo narażone na infiltrację ze strony chińskich władz. Pekin prowadzi podwójną strategię: w dyplomacji jest coraz bardziej wyemancypowany i roszczeniowy, ale równolegle kontynuuje program cichej rozbudowy sieci wpływów, gdzie tylko może i gdzie tylko znajdzie podatny grunt.

Da się to zaklasyfikować jako *soft power*? Eksperci w Europie twierdzą, że Chiny nie potrafią skutecznie kreować miękkich wpływów, nie są wystarczająco elastyczne, za bardzo wszystko jest u nich podporządkowane politycznym nakazom, a społeczeństwa Zachodu to od razu wyłapują.

Zamiast „miękkiej siły” obserwuję coś, co można nazwać „tanią siłą”. To na przykład sposób, w jaki promuje się tradycyjną chińską medycynę i przedstawia ją jako alternatywę dla tej konwencjonalnej, naukowej. To przecież nie jest tylko egzotyczna moda, to także sposób na obniżanie zaufania wobec nauki, wobec

dokonań w dużej mierze zachodnich. A tym samym delikatnie promuje się życzliwość wobec chińskiej tradycji, której emanacją ma być obecna ideologia Pekinu.

Nawiasem mówiąc, Chiny może nie mają własnej *soft power*, ale wykonały kawał skutecznej roboty w celu osłabiania miękkiej siły Zachodu, a szczególnie Stanów Zjednoczonych. Widać to zwłaszcza po ich silnym wpływie na globalny rynek filmowy, w tym Hollywood. Przecież nie jest już tajemnicą, że filmy czy aktorzy, którzy są krytyczni wobec Chin, są blokowani i wykluczani. Chiny wyraźnie i wcale niedelikatnie dają do zrozumienia, że albo Hollywood będzie grzeczne, albo straci ich rynek.

Szczególnym problemem są uczelnie. Nie mam tu nawet na myśli wpływów Instytutów Konfucjusza, bo te są nazbyt otwarcie powiązane z partią. W Australii uniwersytety przez lata twierdziły, że nie ma problemu, bo przecież ich naukowcy są niezależni i nikt nie mógłby na nich wpłynąć. Jak w ogóle ktokolwiek śmiałyby coś takiego zasugerować? Ale mamy liczne przykłady z całego świata, że tę niezależność można złamać – bez podstępów, po prostu oferując lepsze warunki badań.

Kluczem okazuje się nasza naiwność. Badacze jeżdżą do Chin na sponsorowane wycieczki, zgadzają się na finansowanie swoich badań przez chińskie firmy, są chętni na wydawanie książek w Chinach, zawierają współprace z chińskimi uczelniami, choć nie do końca są w stanie skontrolować, z kim faktycznie kooperują. A potem autocenzurują publikacje, bo nie chcą denerwować mecenasów, narażać swoich wiz czy grantów. Z badania, jakie przeprowadzono w 2018 roku, wynika, że dwie trzecie spośród 500 naukowców przyznało się do takiego autocenzurowania swoich prac. Niektórzy tak się zachwycili sukcesami gospodarczymi Chin, że po prostu stali się ukradkiem zwolennikami polityki ich partii. W Australii trzeba było lat ciężkiej pracy, by ujawnić te problemy na uczelniach, które przecież kształtowały umysły kolejnych pokoleń i elit. To jest ogromna sieć subtelnygo wpływu na całe społeczeństwa. Wpływu, na który elity są wciąż ślepe.

Uczelnie brytyjskie i amerykańskie mocno uzależniły się od zastrzyków gotówki idących za chińskimi studentami lub grantami na badania. Kolejne przykłady widać w Europie Środkowej.

Uczelnie robią wiele, by to bagatelizować, tłumacząc, że to jest po prostu świetna okazja na wzmocnienie nauki i dlatego by z niej nie miały skorzystać.

To jest właśnie najskuteczniejszy mechanizm: przekonywanie, że Chinom zależy, żeby każdy mógł się poczuć stroną w układzie typu *win-win*. A jak z tym wygrywaniem jest, widzimy po uzależnieniu Afryki, po aferach szpiegowskich, po korupcji przy inwestycjach.

Czeska sinolożka Olga Lomová powiedziała mi, że była wręcz zawstydzona tym, jak małe pieniądze wystarczyły, by Chiny uzyskały wpływy na najstarszym uniwersytecie w Europie Środkowej.

Kluczem jest sprytne wykorzystanie psychologii. Chiny przez dekady doskonaliły mechanizmy wpływania na ludzi. Najwyraźniej widać to w sferze biznesowej, gdzie panuje przekonanie, że skoro zarabia się pieniądze, to na pewno chodzi tylko o interesy. Tyle że w rzeczywistości ludzie biznesu korzystający osobiście z tej współpracy po jakimś czasie w ramach mechanizmu obronnego zaczynają wierzyć propagandzie KPCh, wierzyć, że to, co jest w interesie Chin, jest w interesie Australii, Polski, Europy... Ludzie mają niezwykłą zdolność do oszukiwania samych siebie, a KPCh wie, jak to wykorzystać.

No dobrze, ale jednak dziś Chiny, mimo tych wszystkich ambicji, mierzą się z potężnymi wewnętrznymi problemami. Ponad dwa lata drakońskiej polityki „zero covid” wciąż nie przynoszą sukcesu, chińskie szczepionki okazują się nieskuteczne, nabrzmiewa poważny kryzys demograficzny, władza się centralizuje kosztem swobody chińskich firm technologicznych. Jak to możliwe, że przy tylu wyzwaniach Chiny mają jeszcze siły i środki na tak zaawansowane działania międzynarodowe?

Mogą sobie na to pozwolić, ponieważ są teraz drugą co do wielkości gospodarką na świecie, i do tego zdecydowanie największą gospodarką produkcyjną. Jeśli chodzi o wymianę towarów, każdy jest w dużym lub bardzo dużym stopniu uzależniony od Chin. Oznacza to również, że Pekin może przeznaczyć ogromne pieniądze na swoje zagraniczne operacje wpływu. A muszą to robić właśnie dlatego, że mają swoje własne spore problemy, więc potrzebują pewnego rodzaju ucieczki do przodu.

Największe społeczeństwo świata kurczy się i, jak wyliczają demografowie, do 2050 roku Chińczyków będzie mniej o nawet 365 mln. Zapaść demograficzna wywołuje silną potrzebę ekspansji gospodarczej, politycznej i być może militarnej, co pokazuje coraz bardziej agresywna retoryka dotycząca Tajwanu. Przecież w 2049 roku, na stulecie komunistycznych Chin, mają się one stać największą gospodarką świata, największym globalnym mocarstwem.

To ten plan pozwala na kumulację działań i uzasadnia tak duże inwestycje i wysiłki wkładane w kształtowanie światowego ładu. Ten ład ma być powrotem do sytuacji, w której Państwo Środka odzyska status centrum cywilizacyjnego. Ponownie stanie w środku układu sił, tym razem globalnego, dzięki czemu będzie najważniejsze i najbardziej wpływowe.

Zresztą czymże są te drobne problemy w perspektywie kilku tysięcy lat historii Chin i czymże są w zderzeniu z wiekiem upokorzeń, z jakiego właśnie partia komunistyczna naród wyprowadziła. Umiejętności, technologie, zasoby, sieci kontaktów – wszystko to mają już na najwyższym poziomie. O ile nie nastąpi naprawdę potężne załamanie gospodarcze lub zmiany w strukturze władzy w Chinach, nie wyobrażam sobie, by w najbliższym czasie złagodziły one swoje masowe operacje wpływów zagranicznych.

Ale to może doprowadzić do ostrzejszej reakcji reszty świata i kompletnie zmienić zasady globalnej gospodarki.

Wiele wskazuje, że taki scenariusz jest naprawdę możliwy. To już się przecież dzieje, bo kolejne państwa, kolejne rynki zaczynają się odłączać lub są odłączane. Widzimy, że to możliwe na przykładzie embarg nakładanych na Rosję. Ale także

w politykach państw, które ograniczają swoje kontakty z Chinami pod wpływem tego, jak zostały przez nie potraktowane. I Australia była tu właściwie prekursorem. Gdy rząd nie uległ politycznym żądaniom Pekinu i został za to ukarany wysokimi cłami, w świat poszedł jasny komunikat: Chiny chcą globalizacji tylko i wyłącznie wtedy, gdy jest to globalizacja na ich warunkach.

Obecna polityka małej Litwy obrazuje sytuację, w której to Chiny dokonują „odłączenia” każdego, kto nie zgadza się na ich zasady. Mogą sobie na to pozwolić w przypadku Litwy, ale z USA jeszcze tak nie postąpią. Nic więc dziwnego, że kolejne państwa, ale i firmy ze Stanów Zjednoczonych, z Kanady, z Azji już głośno mówią o tym, jak zabójcze może być zbytne uzależnienie się od Chin. Myślę, że w obszarze zaawansowanych technologii to na rynku mikroczipów pojawi się najsilniejszy *decoupling*, ponieważ idea uzależnienia od chińskiej technologii jest naprawdę przerażająca. Pekin wykorzystałby taką zależność bezlitośnie, aby zmusić inne państwa do wielu ustępstw. Na szczęście wciąż najbardziej zaawansowane mikroczipy na świecie są produkowane na Tajwanie, a nie w Chinach.

Coraz więcej rządów i korporacji wie, że muszą dywersyfikować swoje działania i budować strategie ograniczania zależności od Pekinu. Tyle że kluczowa jest zmiana świadomości i postaw społecznych. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie odkryłem, zajmując się tym tematem, była łatwość, z jaką Pekin pozyskuje ludzi i z jaką ludzie pozwalają sobie manipulować. To, jak tanio można przekupić polityków, jak bez większych trudności można wykorzystać arogancję naukowców.

Jak pisał Sun Tzu: „jeśli nieprzyjaciel otwiera drzwi, musisz wbiec do środka”.

Najwyższa pora, byśmy się nauczyli przymykać te drzwi w odpowiednim momencie.

PRZYPISY

Wstęp

1 Nick Miller, 'Why are they giving us the money?' *Behind China's plans to 'rescue' a decrepit rail link*, „The Sunday Morning Herald”, 20.07.2018, <https://www.smh.com.au/world/europe/why-are-they-giving-us-the-money-behind-china-s-plans-to-rescue-a-decrepit-rail-link-20180606-p4zjwk.html> (dostęp: 21.05.2022).

2 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 26.

3 Milan Kundera, *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*, tłum. M.L., „Zeszyty Literackie” 1984, nr 5, s. 16.

4 Juan Pablo Cardenal, Heriberto Araújo, *Podbój świata po chińsku*, tłum. Ewa Korycińska-Dzius, Katowice 2012; *ciż, Nieuchronny podbój świata po chińsku*, tłum. Ewa Korycińska-Dzius, Katowice 2016.

5 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 38.

Rozdział 1

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 80.

2 Matt Shenan, *The Transpacific Experiment: How China and California Collaborate and Compete for our Future*, Berkeley 2019, s. 67. (Fragmenty tekstów nieopublikowanych w polskim przekładzie podajemy w tłumaczeniu własnym autorki – przyp. red.).

3 Yun Wen, *The Huawei Model: The Rise of China's Technology Giant*, Urbana 2020, s. 30.

4 Tamże, s. 32.

5 Tamże, s. 39.

6 Tamże, s. 68.

7 Tamże, s. 96.

8 Treść przemówienia za tłumaczeniem BBC, <https://www.bbc.com/news/world-asia-china-20338586> (dostęp: 21.05.2022).

9 Bogdan Góralczyk, *Wielki renesans. Chińska transformacja i jej konsekwencje*, Warszawa 2018, s. 356.

10 Henry Kissinger, *O Chinach*, tłum. Magdalena Komorowska, Wołowiec 2018, s. 489.

11 Tamże, s. 402.

12 Sylwia Czubkowska, *W Chinach zarznięli kurczaka, żeby przestraszyć mały. Big techy dostały sygnał, kto tu rządzi*, Spider'sWeb+, 8.02.2021, <https://spidersweb.pl/plus/2021/02/jakc-ma-chiny-parta-komunistyczna-bigtech-cyfrowe-korporacje-regulacje> (dostęp: 21.05.2022).

13 *Własnymi słowami. Rozmowy z Renem*, Warszawa 2019, s. 355.

14 Robert Zieliński, *Służby specjalne sprawdzają chiński prezent dla polskiego MSW*, „Dziennik Gazeta Prawna”, 23.09.2011, <https://wiadomosci.dziennik.pl/wydarzenia/artykuly/357630,abw-sprawdza-chinski-prezent-dla-polskiego-msw.html> (dostęp: 21.05.2022).

15 David Leppard, *China bugs and burglars British business executives*, „Times”, 4.02.2010, <https://www.thetimes.co.uk/article/china-bugs-and-burgles-british-business-exectuives-g8kgrd75hxn> (dostęp: 21.05.2022).

16 Andreea Brînză, *How Cernavodă made Romania a key geopolitical battleground in Europe*, CHOICE, 26.10.2020, <https://chinaobservers.eu/how-cernavoda-made-romania-a-key-us-china-geopolitical-battleground-in-europe/> (dostęp: 21.05.2022).

17 Projekt ustawy o zmianie ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa oraz niektórych innych ustaw z dnia 15 marca 2022 r., dostępny pod adresem: <https://legislacja.rcl.gov.pl/projekt/12337950> (dostęp: 21.05.2022).

18 Sylwester Ruszkiewicz, *Zakazą TikToka w Polsce? Rząd w tajemnicy pracuje nad specjalnym prawem*, Wirtualna Polska, 29.07.2020. <https://wiadomosci.wp.pl/zakaza-tiktoka-w-polsce-rzad-w-tajemnicy-pracuje-nad-specjalnym-prawem-6536983201871489a> (dostęp: 1.06.2022).

19 Marcin Dobski, *TikTok na celowniku Ministerstwa Cyfryzacji. Aplikacja będzie zakazana? Ujawniamy dokumenty*, „Wprost”, 10.08.2020. <https://www.wprost.pl/tylko-u-nas/10351698/polska-kontra-tiktok-rzad-zakaze-uzywania-aplikacji-przed-wizyta-mike-pompeo-w-warszawie.html> (dostęp: 1.06.2022).

20 *Prawne i ekonomiczne skutki ograniczenia konkurencji wśród dostawców sprzętu sieciowego 5G w Polsce*, Dentons, luty 2021, https://fs.siteor.com/gsmonline/article_attachments/attachments/245946/original/Rapoty_Audytyel.pdf?1612186149 (dostęp: 21.05.2022).

21 Holger Roonemaa, Michael Weiss, *Top NATO scientist with security clearance busted spying for China*, 19.03.2021, <https://www.thedaily-beast.com/top-nato-scientist-with-security-clearance-busted-spying-for-china> (dostęp: 21.05.2022).

22 Mitch Prothero, *European spies are alarmed after a scientist with top security clearance was caught working for China, sources say*, „Insider”, 19.03.2021, <https://www.businessinsider.com/european-spies-worry-china-spying-program-growing-infiltrating-institutions-2021-3?IR=T> (dostęp: 21.05.2022).

Rozdział 2

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 59.

2 <https://fortune.com/40-under-40/2016/ye-jianming/> (dostęp: 21.05.2022).

3 Jeni Marsh, *The rise and fall of a Belt and Road billionaire*, CNN, 2018, <https://edition.cnn.com/interactive/2018/12/asia/patrick-ho-yejianming-cefc-trial-intl/> (dostęp: 21.05.2022).

4 Bo Zihyue, *Who Are China's 'Princelings'?*, „The Diplomat”, 24.11.2015, <https://thediplomat.com/2015/11/who-are-chinas-princelings/> (dostęp: 21.05.2022).

5 Alexander Bowe, *China's overseas united front work: Background and implications for the United States*, United States-China Economic and Security Review Commission, 24.08.2018, s. 9, https://www.uscc.gov/sites/default/files/Research/China%27s%20Overseas%20United%20Front%20Work%20Background%20and%20Implications%20for%20US_final_0.pdf (dostęp: 21.05.2022).

6 Ji Tianqin, Han Wei, *In depth: Investigation casts shadow on Rosneft's China investor CEFC*, Caixin, 1.03.2018, <https://www.caixinglobal.com/2018-03-01/investigation-casts-shadow-on-rising-oil-star-101215272.html> (dostęp: 21.05.2022).

7 Eric Ng, Xie Yu, *China detains CEFC's founder Ye Jianming, wiping out US\$153 million in value off stocks*, „South China Morning Post”, 1.03.2018, <https://www.scmp.com/business/companies/article/2135238/china-detain-cefc-founder-ye-jianming-stocks> (dostęp: 21.05.2022).

8 Sinopsis, Jichang Lulu, *My name is Wu. James Wu*, Sinopsis, 19.06.2018, <https://sinopsis.cz/en/my-name-is-wu-james-wu/> (dostęp: 21.05.2022).

9 Matej Šimalčík, *Oligarchs and party folks: Chinese corrosive capital in Slovakia and Czechia*, 2021, <https://ceias.eu/wp-content/uploads/2021/07/Oligarchs-and-Party-Folks.pdf> (dostęp: 21.05.2022).

10 Maciej Nowicki, *Europa jest jak koń, który próbuje jechać we wszystkie strony naraz*, „Newsweek”, 27.04.2019, <https://www.newsweek.pl/swiat/europa-nie-wie-co-zrobic-mowi-filozof-iwan-krastew/kt9z81m> (dostęp: 21.05.2022).

11 Panyi Szabolcs, *Hungary's government is quietly neck-deep in the U.S.-Huawei war*, Direkt36, 1.11.2019, <https://www.direkt36.hu/en/csendben-csinalja-de-mar-nyakig-benne-van-a-magyar-kormany-a-huawei-haboruban/> (dostęp: 21.05.2022).

12 Holger Ronemaa, Delfi, *Huawei's backdoor in Estonia: Ex-ministers hired for last minute lobby efforts*, Re:Balitica, 16.02.2020, <https://en.rebaltica.lv/2020/02/huaweis-backdoor-in-estonia-ex-ministers-hired-for-last-minute-lobby-efforts/> (dostęp: 21.05.2022).

13 Marko Pomerants, *Huawei has asked me to explain how Estonia works. Powershouse Communication*, 17.02.2020, <https://powerhouse.ee/articles/marko-pomerants-huawei-has-asked-me-to-explain-how-estonia-works> (dostęp: 21.05.2022).

14 Ivana Karásková, *Chinese disinformation and propaganda efforts in Europe* (podcast), MERCIS, 3.12.2021, <https://merics.org/en/podcast/chinese-disinformation-and-propaganda-efforts->

europe-ivana-karaskova (dostup: 21.05.2022).

15 Lukáš Valášek, Jan Horak, *Home Credit of wealthiest Czech Petr Kellner has paid for a campaign promoting China*, 11.12.2019, <https://zpravy.aktualne.cz/domaci/home-credit-ppf-petr-kellner-campaign-china/r~265579361bf511ea926e0cc47ab5f122/> (dostup: 21.05.2022).

16 *Expert na Čínu Vít Vojta kroutí hlavou: To, co předvádí Evropský parlament*, Parlamentnilisty.cz, 7.08.2021, <https://www.parlamentnilisty.cz/arena/monitor/Expert-na-Cinu-Vit-Vojta-krouti-hlavou-To-co-predvadi-Evropsky-parlament-672982> (dostup: 21.05.2022).

17 Juris Paiders, *Ķīnas Tautas Republikas vēstnieks Latvijā intervijā NRA: Grūtībās atklājas patiesa draudzība*, nra.tv, 10.02.2020, <https://nra.lv/latvija/304391-kinas-tautas-republikas-vestnieks-latvija-intervijanra-grutibas-atklajas-patiesa-draudziba.htm> (dostup: 21.05.2022).

18 Juris Paiders, *Ķīnas Tautas Republikas vēstnieks Latvijā: Honkongas jautājumi ir Ķīnas iekšējās lietas*, nra.lf, 9.06.2020, https://neatkariga.nra.lv/intervijas/316556-kinas-tautas-republikas-vestnieks-latvija-honkongas-jautajumi-ir-kinas-ieksejas-lietas?utm_campaign=nralvLinks&utm_content=redirect&utm_medium=site&utm_source=nra.lv (dostup: 21.05.2022).

19 Zintis Znotins, *Chinese disinformation begins filling Latvian media space*, eurasiareview.com, 19.06.2020, <https://www.eurasiareview.com/19062020-chinese-disinformation-begins-filling-latvian-media-space-oped/> (dostup: 21.05.2022).

20 Michał Yang, „Stabilność” relacji Chiny–UE lekarstwem na „niestabilność” świata, „Dziennik Trybuna”, 2.04.2022, <https://trybuna.info/swiat/stabilnosc-relacji-chiny-ue-lekarstwem-na-niestabilnosc-swiata/> (dostup: 21.05.2022).

21 Lilli Bayer, Paola Tamma, *Demise of Hungary’s media exposes Brussels’ weakness*, Politico, 3.08.2020, <https://www.politico.eu/article/brussels-looks-on-powerless-at-hungarian-media-demise-viktor-orban/> (dostup: 21.05.2022).

22 Ivana Karásková, Alicja Bachulska, Tamás Matura, Matej Šimalčík, *Careful or careless? Debating Chinese investment and 5G technology in Central Europe*, Praha 2021, s. 50, https://mapinfluence.eu/wp-content/uploads/2021/06/Mapinfluence_policy-paper_careful-or-careless_A4_web_09-1.pdf (dostup: 21.05.2022).

23 Radek Bartoníček, *Žádný zisk z toho nemám, fyzicky mě to zničilo, říká Tvrdík o nákupu pomůcek v Číně*, Aktualne.cz, 11.05.2020, <https://zpravy.aktualne.cz/domaci/jaroslav-tvrdik-k-nakupum-v-cine-zadny-zisk-jsem-nemel-fyzic/r~0b9c539c904611eab0f60cc47ab5f122/> (dostup: 21.05.2022).

24 Martin Zíta, *Tvrdík o čínských dodávkách pro ministerstvo vnitra: Nic jsem za to nedostal, klidně půjdu na detektor lži*, iRozhlas, 7.04.2020, https://www.irozhlas.cz/zpravy-domov/jaroslav-tvrdik-cina-ministerstvo-vnitra-jan-hamacek-respiratory_2005070706_zit (dostup: 21.05.2022).

25 <https://www.youtube.com/watch?v=YuCa18PKcqQ> (dostup: 21.05.2022).

26 https://www.youtube.com/watch?v=05IRAUtCk_A (dostup: 1.06.2022).

27 [https://orka2.sejm.gov.pl/INT9.nsf/klucz/ATTC9BK3P/\\$FILE/i28147-o1_1.pdf](https://orka2.sejm.gov.pl/INT9.nsf/klucz/ATTC9BK3P/$FILE/i28147-o1_1.pdf) (dostęp: 21.05.2022).

28 Leszek Ślęzyk, *Chiny według Leszka Ślęzyka. Państwo Środka oczami biznesmena robiącego interesy w Chinach od ponad 25 lat*, Warszawa 2021, s. 226–227.

29 Dominika Maciejasz, *Kondycja dolara, interesy w Europie. Na czym zależy Amerykanom, kiedy mówią o roli Chin w wojnie w Ukrainie?*, Wyborcza.pl, 17.03.2022, <https://wyborcza.biz/biznes/7,177151,28231505,kondycja-dolara-interesy-w-europie-na-czym-zalezy-amerykanom.html> (dostęp: 21.05.2022).

30 Grzegorz W. Kołodko, *Czy Chiny zbawią świat?*, Warszawa 2018, s. 185.

31 Tamże, s. 179.

Rozdział 3

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 54.

2 Justyna Szczudlik, *Rola „dyplomacji pand” w polityce zagranicznej ChRL*, „Biuletyn PISM”, 11.09.2017, https://www.pism.pl/publikacje/Rola__dyplomacji_pand__w_polityce_zagranicznej_ChRL (dostęp: 23.05.2022).

3 Juan Pablo Cardenal, Heriberto Araújo, *Podbój świata po chińsku*, tłum. Ewa Korycińska-Dzius, Katowice 2012, s. 262–263.

4 Joanna Chiu, *China Unbound*, London 2021, s. 201.

5 Michał Lubina, *Pokraczne wejście smoka. Chiny i format 1+16/17*, Ośrodek Myśli Politycznej, <https://usa-ue.pl/teksty-i-komentarze/teksty/pokraczne-wejscie-smoka-chiny-i-format-116-17/> (dostęp: 23.05.2022).

6 Dominik Mierzejewski, Bartosz Kowalski, *Beyond the borders: Utopia, uniqueness, and soft-power*, [w:] *China’s Selective Identities State, Ideology and Culture*, Singapore 2019, s. 189.

7 Michał Lubina, *Pokraczne wejście smoka*, dz. cyt. (dostęp: 23.05.2022).

8 *Polskie warzywa i owoce przetrwały rosyjskie tsunami. Teraz jedzą je Chińczycy*, Money.pl, 30.11.2017. Tekst partnerski z Bank BGŻ BNP Paribas, <https://www.money.pl/gospodarka/wiadomosci/artykul/polskie-warzywa-i-owoce-przetrwaly-rosyjskie,108,0,2391660.html> (dostęp: 23.05.2022).

9 *Chiński smok nie zje polskiego jabłka*, Sad24.pl, 10.12.2021, <https://www.sad24.pl/aktualnosci/chinski-smok-nie-zje-polskiego-jablka/> (dostęp: 23.05.2022).

10 <https://www.youtube.com/watch?v=gE5Py2iQxzg> (dostęp: 23.05.2022).

11 Emilian Kavalski, *The end of China’s romance with Central and Eastern Europe*, „Global Media and China” 2021, vol. 6, s. 77–99, <https://journals.sagepub.com/doi/pdf/10.1177/2059436421994442> (dostęp: 23.05.2022).

12 Chiński koń trojański w Europie? Grecja!, „Forbes”, 9.02.2012, <https://www.forbes.pl/wiadomosci/chinski-kon-trojanski-w-europie-grecja/erqm93l> (dostęp: 23.05.2022).

13 Andreea Brînză, *How China's 17 + 1 became a zombie mechanism*, „The Diplomat”, 10.02.2021, <https://thediplomat.com/2021/02/how-chinas-17-1-became-a-zombie-mechanism/> (dostęp: 23.05.2022).

14 Zhuan Ti, *New technologies to make urban living more convenient and efficient*, „China Daily”, 15.05.2017, <https://www.chinadailyhk.com/articles/107/40/133/1494839868645.html> (dostęp: 23.05.2022).

15 He Wei, *Sofia smart city project gets Chinese funding*, „China Daily”, 28.03.2019, <https://www.chinadailyhk.com/articles/32/152/152/1553746912970.html> (dostęp: 23.05.2022).

16 Bartosz Kowalski, *China's mask diplomacy in Europe: Seeking foreign gratitude and domestic stability*, „Journal of Current Chinese Affairs”, 2021, vol. 50, s. 215, <https://journals.sagepub.com/doi/pdf/10.1177/18681026211007147> (dostęp: 23.05.2022).

17 Jacek Harłukowicz, *Maseczki, które przyleciały antonowem z Chin, nadają się na śmietnik. Amerykanie nie dopuścili ich do obrotu*, „Gazeta Wyborcza”, 30.04.2020, <https://wroclaw.wyborcza.pl/wroclaw/7,35771,25909025,maseczki-ktore-przylecialy-antonowem-nadaja-sie-na-smietnik.html> (dostęp: 23.05.2022).

18 Jelena Gledić i wsp., *Serbian public opinion on China in the age of COVID-19. An unyielding alliance?*, Central European Institute of Asian Studies, 2020, <https://ceias.eu/wp-content/uploads/2021/01/SRB-poll-report.pdf> (dostęp: 23.05.2022).

19 François Godement, *Czego chcą Chiny?*, tłum. Katarzyna Sarek, Warszawa 2016, s. 160–161.

20 Marcin Przychodniak, *Retorsje i prorosyjska retoryka – reakcja ChRL na zmianę polityki Litwy*, „Biuletyn PISM” 2021, nr 191, <https://www.pism.pl/publikacje/retorsje-i-prorosyjska-retoryka-reakcja-chrl-na-zmiane-polityki-litwy> (dostęp: 23.05.2022).

21 Lily Kuo, *With beer, rum and chocolate, Taiwan rallies behind Lithuania in spat with China*, „The Washington Post”, 6.01.2022, <https://www.washingtonpost.com/world/2022/01/06/taiwan-china-lithuania-beer-chocolate/> (dostęp: 23.05.2022).

Rozdział 4

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 46.

2 Matej Šimalčík, *Slovak universities have a China problem... and they don't even know it*, CHOICE, 15.03.2021, <https://chinaobservers.eu/slovak-universities-have-a-china-problem-and-they-dont-even-know-it/> (dostęp: 21.05.2022).

3 Lukáš Valášek, Jan Horák, *Konference, které pořádá rektor UK Zima, platila skrytě statisíci čínská ambasáda*, Aktualne.cz, 25.10.2019, <https://zpravy.aktualne.cz/domaci/konferenci-uk-platila->

cina-stredisko-bezpecnostni-politiky/r~79c2b80ef4b311e9858fac1f6b220ee8/ (dostęp: 21.05.2022).

4 *Software i hardware společností Huawei a ZTE je bezpečnostní hrozbou*, NÚKIB, 17.12.2018, <https://nukib.cz/cs/infoservis/aktuality/1303-software-i-hardware-spolecnosti-huawei-a-zte-je-bezpecnostni-hrozbou/> (dostęp: 21.05.2022).

5 <https://unitracker.aspi.org.au/> (dostęp: 21.05.2022).

6 Alex Joske, *Picking Flowers, Making Honey*, ASPI, 30.10.2018, <https://www.aspi.org.au/report/picking-flowers-making-honey> (dostęp: 21.05.2022).

7 Opinia nr 5 Komisji Obrony Narodowej dla Komisji Finansów Publicznych w sprawie projektu ustawy budżetowej na rok 2021 (druk nr 640) w zakresie działania Komisji uchwalona na posiedzeniu w dniu 26 października 2020 r., [https://orka.sejm.gov.pl/opinie9.nsf/nazwa/obn_o5/\\$file/obn_o5.pdf](https://orka.sejm.gov.pl/opinie9.nsf/nazwa/obn_o5/$file/obn_o5.pdf) (dostęp: 21.05.2022).

8 Nadine Wojcik, *Germany: How does it deal with Chinese censorship?*, Deutsche Welle, 2021, <https://www.dw.com/en/germany-how-does-it-deal-with-chinese-censorship/a-59653971> (dostęp: 21.05.2022).

9 Perry Link, *China: The Anaconda in the Chandelier*, The New York Book Review, 11.04.2002, <https://www.nybooks.com/articles/2002/04/11/china-the-anaconda-in-the-chandelier/> (dostęp: 21.05.2022).

10 Matt Dathan, Billy Kenber, *Hundreds of UK academics investigated over weapons links to China*, 8.02.2021, <https://www.thetimes.co.uk/article/hundreds-of-uk-academics-investigated-over-weapons-links-to-china-bpcks76bv> (dostęp: 21.05.2022).

11 Cao Chen, *Hungarian helps to bridge gap between continents*, „China Daily”, 22.07.2018, http://www.chinadaily.com.cn/kindle/2018-07/22/content_36622498.htm (dostęp: 21.05.2022).

12 Panyi Szabolcs, *Orbán's government tried to hide sensitive information on €1.5B Chinese university project*, Direkt36, 24.09.2021, <https://www.direkt36.hu/en/a-legkinosabb-informaciokat-takarta-ki-a-fudan-iratokbol-a-kormany/> (dostęp: 21.05.2022).

13 Clive Hamilton, Mareike Ohlberg, *Hidden Hand. How the Chinese Communist Party is Reshaping the World*, London 2021, s. 235.

14 Profil Krisztiny Baranyi na Facebooku: <https://www.facebook.com/baranyikrisztinakepviselo/posts/479059446921759> (dostęp: 21.05.2022).

15 Kai Strittmatter, *Chiny 5.0. Jak powstaje cyfrowa dyktatura*, tłum. Agnieszka Gadzała, Warszawa 2020, s. 360.

16 Vladimir Shopov, *Let a thousand contacts bloom: How China competes for influence in Bulgaria*, ECFR, 10.03.2022, <https://ecfr.eu/publication/let-a-thousand-contacts-bloom-how-china-competes-for-influence-in-bulgaria/> (dostęp: 21.05.2022).

17 Clive Hamilton, Mareike Ohlberg, *Hidden Hand...*, dz. cyt., s. 231.

18 Lukáš Kosno, *ZTE vybuduje na Slovensku vedecko-výskumné a servisné centrum*, Živé.sk, 2015, <https://zive.aktuality.sk/clanok/110342/zte-vybuduje-na-slovensku-vedecko-vyskumne-a-servisne-centrum/> (dostęp: 20.05.2022).

19 Matt Datham, Charlie Parker, *Oxford renames 120-year-old Wykeham professorship for Tencent, Chinese software company*, „The Times”, 9.02.2021, <https://www.thetimes.co.uk/article/student-watchdog-vows-to-tackle-national-security-threat-from-university-links-to-china-c7jjzgks9> (dostęp: 20.05.2022).

20 *China's access to European universities: Preventing abuse of academic freedoms*, CEIAS, 15.03.2021, <https://ceias.eu/chinas-access-to-european-universities/> (dostęp: 20.05.2022).

21 Jake Ryan, *Chinese telecoms giant Huawei has been helping Vladimir Putin's efforts to stabilise Russia's internet network after cyber attacks, reports reveal*, „Daily Mail”, 7.03.2022, <https://www.dailymail.co.uk/news/article-10583207/Chinese-telecoms-giant-Huawei-helping-Putins-efforts-stabilise-Russias-internet.html> (dostęp: 20.05.2022).

22 Informację tę przyniósł raport amerykańskiej firmy analitycznej IMPV, *Huawei / Megvii Uyghur Alarms*, 8.12.2020 (<https://ipvm.com/reports/huawei-megvii-uygur> dostęp 27.07.2022). Rok później głośnym echem odbił się artykuł z wewnętrzną prezentacją Huawei o tym, jak pracują nad systemem nadzoru. Eva Dou, *Documents link Huawei to China's surveillance programs*, „Washington Post”, 14.12.2022. (<https://www.washingtonpost.com/world/2021/12/14/huawei-surveillance-china/> dostęp 27.07.2022)

Rozdział 5

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 68.

2 Jung Chang, Jon Halliday, *Mao. Nieznana historia*, przeł. Piotr Amsterdamski, Warszawa 2007, s. 513.

3 Yinmei Wan, *Expansion of Chinese Higher Education Since 1998: Its Causes and Outcomes*, „Asia Pacific Education Review” 2006, vol. 7, s. 24.

4 *More Chinese study abroad in 2018*, MOE, 29.03.2019, https://en.moe.gov.cn/news/media_highlights/201904/t20190401_376249.html (dostęp: 20.05.2022).

5 Nicola Wolcoock, *Number of Chinese students set to soar at UK universities*, „The Times”, 16.03. 2022, <https://www.thetimes.co.uk/article/number-of-chinese-students-set-to-soar-at-uk-universities-mbshdlrhh> (dostęp: 21.05.2022).

6 Radosław Pyffel, *Czy studenci z Chin uratują polskie uczelnie wyższe?*, „Na Temat”, 19.03.2014, <https://natemat.pl/blogi/radoslawpyffel/95601,czy-studenci-z-chin-uratuja-polskie-uczelnie-wyzsze> (dostęp: 21.05.2022).

7 NIK o kształceniu cudzoziemców na polskich uczelniach, NIK, 9.03.2021, <https://www.nik.gov.pl/aktualnosci/cudzoziemcy-na-polskich-uczelniach.html> (dostęp: 21.05.2022).

8 Nie Chcemy Takiej AWFIS, wpis z 3.12.2019, <https://www.facebook.com/niechcemytakiejawfis/> (dostęp: 20.05.2022).

9 Xinhua, *In Athens, Chinese students revel in all things Greek*, „China Daily”, 1.03.2018, <http://www.chinadaily.com.cn/a/201801/03/WS5a4c1b02a31008cf16da4bcc.html> (dostęp: 20.05.2022).

10 Nicolas Pongratz, *More than 33,000 foreign students in Hungary*, „Budapest Business Journal”, 11.03.2020, <https://bbj.hu/economy/statistics/analysis/more-than-33-000-foreign-students-in-hungary> (dostęp: 20.05.2022).

11 Kate Taylor, Jennifer Medina, Chris Buckley, Alexandra Stevenson, *Admissions Scandal: When 'Hard Work' (Plus \$6.5 Million) Helps Get You Into Stanford*, „The New York Times”, 2.05.2019, <https://www.nytimes.com/2019/05/02/us/yusi-molly-zhao-china-stanford.html> (dostęp: 20.05.2022).

12 Anna Dobiegała, „Chińska pralnia” w AWFIS. Protestujący lądują na bruku, „Gazeta Wyborcza”, 11.07.2019, <https://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/7,35612,24981291,ciag-dalszy-historii-z-chinska-pralnia-na-awfis-w-gdansk.html> (dostęp: 21.05.2022).

13 Karolína Kašparová, *Didi Kirsten Tatlow: Čínské studenty v cizině zneužívá komunistická strana. Musíme otevřít oči*, Sinopsis, 25.12.2019, <https://sinopsis.cz/didi-tatlowova-cinske-studenty-v-cizine-zneuziva-komunisticka-strana-musime-otevrit-oci/> (dostęp: 21.05.2022).

14 Vicky Xiuzhong Xu, *Chinese nationalism jostles with academic freedom in Australia*, „New York Times”, 15.11.2017, <https://www.nytimes.com/2017/11/15/world/australia/china-students-censorship.html> (dostęp: 20.05.2022).

Rozdział 6

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 44.

2 Song Gao, *Jestem pod wrażeniem polskiego biznesu, którego jesteście częścią*, „Kurier Kolejowy”, 4.08.2020, <https://kurier-kolejowy.pl/aktualnosci/36736/song-gao---jestem-pod-wrazeniem-polskiego-biznesu--ktorego-jestesmy-czescia.html> (dostęp: 20.05.2022).

3 <https://rejestr.io/krs/882186/jd-property-poland-operating> (dostęp: 20.05.2022).

4 Jakub Wątor, *Gdy majfrend wysła replikę. AliExpress, czyli ekscytująca podróż w nieznaną*, „Gazeta Wyborcza”, 23.03.2018, <https://wyborcza.biz/biznes/7,177150,23176115,gdy-majfrend-wysyla-replike-aliexpress-czyli-ekscytujaca-podroz.html> (dostęp: 20.05.2022).

5 *Describes what a company needs to know to take advantage of e-commerce in the local market and covers prominent B2B websites*, ITA, 1.10.2021, <https://www.trade.gov/country-commercial-guides/romania-ecommerce> (dostęp: 20.05.2022).

6 Jakub Čížek, *Nejčastější nákupy Čechů v zahraničních e-shopech: čínské cetky objednané přes mobilní aplikace*, „Connect”, 22.12.2020, <https://connect.zive.cz/clanky/nejcastejsi-nakupy-cechu-v>

zahranicnich-e-shopech-cinske-cetky-objednane-pres-mobilni-aplikace/sc-320-a-207589/default.aspx (dostęp: 20.05.2022).

7 Luka w podatku VAT: mimo że luka cały czas się zmniejsza, w 2019 r. państwa UE straciły 134 mld euro dochodów z podatku VAT, Komisja Europejska, 2.12.2021, https://ec.europa.eu/commission/presscorner/detail/pl/IP_21_6466 (dostęp: 20.05.2022).

8 Przesyłki spoza UE poza kontrolą, NIK, 26.11.2020, <https://www.nik.gov.pl/aktualnosci/przesylki-spoza-ue-pozza-kontrola.html> (dostęp: 20.05.2022).

9 Sylwia Czubkowska, *Brygady Tygrysa kontra AliExpress. Czy Polsce uda się zrobić porządek z chińskimi przesyłkami?*, Spider'sWeb+, 9.04.2021, <https://spidersweb.pl/plus/2021/04/aliexpress-poczta-vat-paczki-chiny-brygady-tygrysa> (dostęp: 20.05.2022).

10 Lukas Miknevičius, *Raudonus Kinijos šviesoforus Lietuvos verslas randa būdą apvažiuoti*, Delfi.lt, 13.21.2021, <https://www.delfi.lt/visikeliai/siuntos-kelias/raudonus-kinijos-sviesoforus-lietuvos-verslas-randa-budu-apvaziuoti.d?id=88938221> (dostęp: 20.05.2022).

11 Rebecca A. Fannin, *Tech Titans of China: How China's Tech Sector Is Challenging the World by Innovating Faster, Working Harder, and Going Global*, Boston–London 2019, s. 28.

12 Tamże, s. 36.

13 Łukasz Sarek, *Współpraca Poczty Polskiej z China Post*, „Biuletyn Ośrodka Badań Azji. Centrum Badań nad Bezpieczeństwem Akademii Sztuki Wojennej” 2019, nr 32, s. 9, https://www.wojsko-polskie.pl/aszwoj/u/d9/4b/d94b8382-0926-4870-a07b-3d7e1a6c9228/2019-10-11_biuletyn_osrodka_badan_azji.pdf (dostęp: 20.05.2022).

14 Rebecca A. Fannin, *Tech Titans of China...*, dz. cyt., s. 37.

15 Bogdan Góralczyk, *Wielki renesans. Chińska transformacja i jej konsekwencje*, Warszawa 2018, s. 412.

16 Jack Ma on Alibaba's relationship with the Chinese government, CBS News, 23.01.2015. <https://www.cbsnews.com/video/jack-ma-on-alibabas-relationship-with-the-chinese-government/> (dostęp: 1.06.2022).

17 Duncan Clark, *Alibaba. Jak Jack Ma stworzył chiński Amazon*, tłum. Krzysztof Krzyżanowski, Gliwice 2021, s. 276.

18 Nieopublikowana analiza Polskiego Towarzystwa Gospodarczego, 2021 r.

19 Leszek Szymowski, *Chińska mafia mogła stać za pożarem w Wólce Kosowskiej*, „Polska The Times”, 27.08.2009, <https://warszawa.naszemiasto.pl/chinska-mafia-mogla-stac-za-pozarem-w-wolce-kosowskiej/ar/c1-9505> (dostęp: 20.05.2022).

20 To dane z odpowiedzi, jakiej udzieliła podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów i zastępca szefa KAS Anna Chałupa na zapytanie poselskie nr 5136 w sprawie pakietu VAT e-commerce. Posłowie Krystian Kamiński, Michał Urbaniak, Krzysztof Tuduj, Grzegorz Braun oraz Artur Dziambor pytali m.in. o to, jaka jest wartość podatku VAT zapłaconego Polsce przez platformy AliExpress, Shopee, JD.com i Shopify. Z odpowiedzi z 12 czerwca 2022 r. okazało się, że „nie jest

zarejestrowana żadna firma posługująca się (...) nazwami tj.: AliExpress, Shopee, JD.com oraz Shopify”. Za to Shopee dokonuje opłat jako e SHPL Sp. z o.o.

Rozdział 7

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 44.

2 <https://www.strategyanalytics.com/strategy-analytics/strategy-analytics-analysts/analyst-bio/boris-metodiev> (dostęp: 20.05.2022).

3 <https://kam.lt/en/things-your-smartphone-does-without-your-awareness-investigation-into-three-china-made-5g-devices/> (dostęp: 20.05.2022).

4 Andrius Sytas, *Lithuania says throw away Chinese phones due to censorship concerns*, Reuters, 21.09.2021, <https://www.reuters.com/business/media-telecom/lithuania-says-throw-away-chinese-phones-due-censorship-concerns-2021-09-21/> (dostęp: 11.07.2022)

5 M.in. Canalys za drugi kwartał 2021 r.

6 David Rowan, *Xiaomi's \$45bn formula for success (and no, it's not 'copy Apple')*, „Wired”, 3.03.2016, <https://www.wired.co.uk/article/xiaomi-lei-jun-internet-thinking> (dostęp: 23.05.2022).

7 Kai Fu-Lee, *Inteligencja sztuczna, rewolucja prawdziwa. Chiny, USA i przyszłość świata*, tłum. Maciej Więckowski, Warszawa 2019, s. 157.

8 Sylwia Czubkowska, *Rusza polski proces o chińskie szpiegostwo. Po 2,5 roku przesłuchań najmocniejsza historia to ta... o ziemniaczkach*, Spider'sWeb+, 31.05.2021, <https://spidersweb.pl/plus/2021/05/szpiegostwo-proces-huawei-5g-menager-oficer-abw-chiny> (dostęp: 23.05.2022).

9 *Germany's probe into Chinese cellphones over security will end in vain: experts*, „Global Times”, 26.09.2021, <https://www.globaltimes.cn/page/202109/1235146.shtml> (dostęp: 20.05.2022).

Rozdział 8

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 44.

2 Misha Glenny, *McMafia. Zbrodnia nie zna granic*, tłum. Maria Jaszczurowska, Warszawa 2009.

3 Samir Kajosevic, *Company linked to DPS profits from Montenegro Highway contract*, Balkan Insight, 14.10.2021, <https://balkaninsight.com/2020/10/14/company-linked-to-dps-profits-from-montenegro-highway-contract/> (dostęp: 21.05.2022).

4 *Citizens do not have the right to know in what way their money is spent. Highway project under the veil of secret*, Podgorica 2018, http://www.mans.co.me/en/wp-content/uploads/2019/02/Studija_SPI_autoput_ENG.pdf (dostęp: 21.05.2022).

5 Rob Schmitz, *How a Chinese-built highway drove Montenegro deep into debt*, NPR, 29.06.2021, <https://www.npr.org/2021/06/28/1010832606/road-deal-with-china-is-blamed-for-catapulting->

montenegro-into-historic-debt?t=1648928689990 (dostęp: 21.05.2022).

6 Stephen Dzedzic, *China's 'payday loans' attacked by Arthur B Culvahouse Jr, new US diplomat to Australia*, ABC.au, 13.03.2019, <https://www.abc.net.au/news/2019-03-13/china-accused-payday-loans-pacific-us-ambassador-australia/10896280> (dostęp: 21.05.2022).

7 Cary Huang, *Seized assets much more than case against disgraced rail boss Liu Zhijun*, „South China Morning Post”, 11.06.2013, <https://www.scmp.com/news/china/article/1258136/seized-assets-much-more-case-against-disgraced-rail-boss-liu-zhijun> (dostęp: 21.05.2022).

8 Za: Michał Potocki, *COVEC potraktował Polskę jak kraj Trzeciego Świata*, „Dziennik Gazeta Prawna”, 27.07.2011, <https://biznes.gazetaprawna.pl/artykuly/534124,covec-potraktowal-polske-jak-kraj-trzeciego-swiata.html,komentarze-popularne,1> (dostęp: 21.05.2022).

9 Nino Dżikija, Zbigniew Parafianowicz, *Jak COVEC chciał podbić świat, czyli długa historia budowlanych wpadek*, „Dziennik Gazeta Prawna”, 8.06.2011, <https://forsal.pl/artykuly/521372,jak-covec-chcial-podbic-swiat-czyli-dluga-historia-budowlanych-wpadek.html> (dostęp: 21.05.2022).

10 Juan Pablo Cardenal, Heriberto Araújo, *Podbój świata po chińsku*, tłum. Ewa Korycińska-Dzius, Katowice 2012, s. 7.

11 Tamże.

12 <https://www.youtube.com/watch?v=O6teY9fvhA8&t=3s> (dostęp: 21.05.2022).

13 Luka Ivan Jukic, After Pelješac, *China and Croatia eye a new bridge project*, CHOICE, 20.09.2021, <https://chinaobservers.eu/after-peljesac-china-and-croatia-eye-a-new-bridge-project/> (dostęp: 21.05.2022).

14 Raport roczny Välisluureamet, <https://www.valisluureamet.ee/doc/raport/2021-en.pdf> (dostęp: 20.05.2022).

15 *Estonia “set to reject” Chinese-backed plan to build tunnel to Helsinki*, GCR, 31.07.2020, <https://www.globalconstructionreview.com/estonia-set-reject-chinese-backed-plan-build-tunnel/> (dostęp: 20.05.2022).

Rozdział 9

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 15.

2 *Chinese movie star Jackie Chan mulls making film in Hungary*, agencja Xinhua, 25.04.2017, http://www.xinhuanet.com/english/2017-04/25/c_136232918.htm (dostęp: 22.05.2020).

3 Euny Hong, *Cool po koreańsku. Narodziny fenomenu*, tłum. Jowita Maksymowicz-Hamann, Małgorzata Suwińska, Warszawa 2020.

4 Matt Alt, *Czysty wymysł. Jak japońska popkultura podbiła świat*, tłum. Dariusz Latoś, Kraków 2021, s. 19.

5 Dominik Mierzejewski, Bartosz Kowalski, *Beyond the borders. Utopia, uniqueness, and soft-power*, [w:] *China's Selective Identities State, Ideology and Culture*, Singapore 2019, s. 182–183.

6 Vladimir Shopov, *Let a thousand contacts bloom. How China competes for influence in Bulgaria*, ECFR, 10.03.2022, <https://ecfr.eu/publication/let-a-thousand-contacts-bloom-how-china-competes-for-influence-in-bulgaria/> (dostęp: 21.05.2022).

7 Eben Novy-Williams, *NBA China woes threaten billions of dollars, decades' work*, „Bloomberg”, 7.10.2019, <https://www.bloomberg.com/news/articles/2019-10-07/nba-china-crisis-threatens-billions-of-dollars-decades-of-work> (dostęp: 1.06.2022).

8 Mieszko Rajewicz, *Dyplomacja stadionowa Chin w Afryce*, Instytut Nowej Europy, 17.09.2021, <https://ine.org.pl/dyplomacja-stadionowa-chin-w-afryce/> (dostęp: 1.06.2022).

9 Jake Ryan, *Chinese telecoms giant Huawei has been helping Vladimir Putin's efforts to stabilise Russia's internet network after cyber attacks, reports reveal*, „Daily Mail”, 7.03.2022, <https://www.dailymail.co.uk/news/article-10583207/Chinese-telecoms-giant-Huawei-helping-Putins-efforts-stabilise-Russias-internet.html> (dostęp: 23.05.2022).

10 Rebecca A. Fannin, *Tech titans of China. How China's Tech Sector is challenging the world by innovating faster, working harder, and going global*, Boston–London 2019, s. 50.

11 Alex Cadier i in., *WarTok: TikTok is feeding war disinformation to new users within minutes – even if they don't search for Ukraine-related content*, „NewsGuard”, 3.2022, <https://www.newsguardtech.com/misinformation-monitor/march-2022/> (dostęp: 23.05.2022).

12 Gary King, Jennifer Pan, Margaret E. Roberts, *How the Chinese government fabricates social media posts for strategic distraction, not engaged*, 9.04.2017, <https://gking.harvard.edu/files/gking/files/50c.pdf?m=1463587807> (dostęp: 1.06.2022).

13 Piotr Śledź, *Ostry cień mgły. Antyzachodnia dezinformacja ze strony Chin i Rosji w związku z pandemią COVID-19*, „Rocznik Strategiczny” 2020/21, s. 393, https://wnpism.uw.edu.pl/wp-content/uploads/2021/07/Sledz_Ostry_cien_mgly.pdf (dostęp: 23.05.2022).

14 Ivana Karásková, *Chinese disinformation and propaganda efforts in Europe* (podcast), MERCIS, 3.12.2021, <https://merics.org/en/podcast/chinese-disinformation-and-propaganda-efforts-europe-ivana-karaskova> (dostęp: 21.05.2022).

15 Kai Strittmatter, *Chiny 5.0. Jak powstaje cyfrowa dyktatura*, tłum. Agnieszka Gadzała, Warszawa 2020, s. 370–379.

16 Amanda Seitz, Eric Tucker, Mike Catalini, *How China's TikTok, Facebook influencers push propaganda*, Associated Press, 30.03.2022, <https://apnews.com/article/russia-ukraine-eileen-gu-winter-olympics-technology-business-12de242ee53092693c0711b932c1da5c> (dostęp: 23.05.2022).

17 *China's balancing act on the Ukraine war*, EUvsDiSiNFO, 4.04.2022, <https://euvsdisinfo.eu/chinas-balancing-act-on-the-ukraine-war/> (dostęp: 23.05.2022).

18 Ivana Karásková i in., *Backing Russia on Ukraine: China's Messaging in Central and Eastern Europe*, China Observers in Central and Eastern Europe (CHOICE), Praha 2022.

Rozdział 10

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 92.

2 <https://hiljade.kamera.rs/en/home/> (dostęp: 23.05.2022).

3 *Huawei knows everything about cameras in Belgrade – and they are glad to share!*, Share Foundation, 29.03.2019, <https://www.sharefoundation.info/en/huawei-knows-everything-about-cameras-in-belgrade-and-they-are-glad-to-share/> (dostęp: 23.05.2022).

4 Sasa Dragojlo, *Serbia's Personal Data Commissioner: Huawei cameras a 'dangerous' decision*, Balkan Insight, 28.12.2012, <https://balkaninsight.com/2021/12/28/serbias-personal-data-commissioner-huawei-cameras-a-dangerous-decision/> (dostęp: 23.05.2022).

5 Shoshana Zuboff, *Wiek kapitalizmu inwigilacji. Walka o przyszłość ludzkości na nowej granicy władzy*, przekład Alicja Unterschuetz, Poznań 2020, s. 537.

6 Steven Feldstein, *The global expansion of AI surveillance*, Carnegie, 17.09.2019, <https://carnegieendowment.org/2019/09/17/global-expansion-of-ai-surveillance-pub-79847> (dostęp: 23.05.2022).

7 Liza Lin, Josh Shin, *U.S. Tech companies prop up China's vast surveillance network*, „The Wall Street Journal”, 26.12.2019, <https://www.wsj.com/articles/u-s-tech-companies-prop-up-chinas-vast-surveillance-network-11574786846> (dostęp: 23.05.2022).

8 Jessica Batke, Mareike Ohlberg, *State of surveillance. Government documents reveal new evidence on China's efforts to monitor its people*, China File, 30.10.2020, <https://www.chinafile.com/state-surveillance-china> (dostęp: 23.05.2022).

9 IDC, *Worldwide Video Surveillance Camera Market Shares, 2019: Leverage Shifting Away from China*, <https://www.marketresearch.com/IDCv2477/Worldwide-Video-Surveillance-Camera-Shares-13232552/> (dostęp: 23.05.2022).

10 *Patenting Uyghur tracking – Huawei, Megvii, more*, IPVM, 12.01.2021, <https://ipvm.com/reports/patents-uyghur> (dostęp: 23.05.2022).

11 Oktawia Kromer, *Chińskie kamery na willi prezydenta Dudy*. „Ryzyko inwigilacji ze strony Pekinu”, „Gazeta Wyborcza”, 3.06.2021, <https://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/7,54420,27138460,chinskie-ka-mery-na-willi-prezydenta-dudy-posel-zlozyl-interpelacje.html> (dostęp: 23.05.2022).

12 *National cybersecurity status report 2020*, Ministry of National Defence of The Republic of Lithuania, https://www.nksc.lt/doc/en/NKSC_2020_EN.pdf (dostęp: 23.05.2022).

13 Odpowiedź na interpelację poselską podpisana przez sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji Macieja Wąsika, <https://studiabas.sejm.gov.pl/Sejm9.nsf/InterpelacjaTresc.xsp?key=C72H5U> (dostęp: 23.05.2022).

14 Liv Klingert, *China's cameras face fresh scrutiny in Europe*, Politico, 6.10.2021, <https://www.politico.eu/article/hikvision-china-surveillance-chinese-tech-europe/> (dostęp: 23.05.2022).

15 *Termoscanarea inteligentă: cum funcționează și ce poate detecta*, Start-up.ro, 17.06.2020, <https://start-up.ro/termoscanarea-inteligenta-cum-functioneaza-si-ce-poate-detecta/> (dostęp: 23.05.2022).

16 Laurens Cerulus, *Meet the Huawei of airport security*, Politico, 11.02.2020, <https://www.politico.eu/article/beijing-scanners-europe-nuctech/> (dostęp: 1.06.2022).

17 Daniel Michaels, Drew Hinshaw, *Chinese companies win billions in European Taxpayer-funded contracts*, „The Wall Street Journal”, 17.12.2020, <https://www.wsj.com/articles/chinese-companies-win-billions-in-european-taxpayer-funded-contracts-11608222716> (dostęp: 23.05.2022).

18 Laurens Cerulus, *Meet the Huawei of airport security*, dz. cyt.

19 <https://ted.europa.eu/TED/browse/browseByMap.do> (dostęp: 23.05.2022).

20 *Nuctech rozwija się w Kobyłce*, „Więści Podwarszawskie”, 3.10.2018, <https://wiesci.com.pl/2018/10/nuctech-rozwija-sie-w-kobylce/> (dostęp: 23.05.2022).

21 Małgorzata Grzegorzczak, *Nuctech zadomowił się w Kobyłce*, „Puls Biznesu”, 14.12.2021, <https://www.pb.pl/nuctech-zadomowil-sie-w-kobylce-1136180> (dostęp: 23.05.2022).

Rozdział 11

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 15.

2 Dina Đorđević, *Chinese investor in Court for Pollution in Bor*, CINS, 24.02.2020, <https://www.cins.rs/en/chinese-investor-in-court-for-pollution-in-bor/> (dostęp: 23.05.2022).

3 Z danych Global Energy Monitor oraz Centre for Research on Energy and Clean Air wynika, że w 2020 roku w Chinach uruchomiono 38,4 GW nowych elektrowni węglowych. W reszcie świata w tym czasie otwarto 11,9 GW mocy. <https://globalenergymonitor.org/wp-content/uploads/2021/02/China-Dominates-2020-Coal-Development.pdf> (dostęp: 11.07.2022).

4 Yanzhong Huang, *Toxic Politics China's Environmental Health Crisis and Its Challenge to the Chinese State*, Cambridge 2020.

5 Ruslan Szoszyn, *Oddolny bunt przeciwko chińskim inwestycjom*, „Rzeczpospolita”, 23.03.2021, <https://www.rp.pl/swiat/art8637491-oddolny-bunt-przeciw-chińskim-inwestycjom> (dostęp: 23.05.2022).

6 *HBIS builds a model project for the Belt and Road Initiative in Serbia*, Seetao, 23.06.2021, <https://www.seetao.com/details/91046.html> (dostęp: 23.05.2022).

7 Tamże.

8 Mirela Petkova, *The environmental impact of Chinese projects in the Western Balkans*, Praha 2021, https://chinaobservers.eu/wp-content/uploads/2021/09/CHOICE_policy-paper_Environmental-Impact.pdf (dostęp: 23.05.2022).

9 *Guotai Huarong inwestuje w elektromobilność*, https://www.paih.gov.pl/20180530/guotaihuarong_inwestuje_w_elektromobilnosc (dostęp: 23.05.2022).

11.07.2022).

10 Piotr Bera, *Mieszkańcy Godzikowic nie chcą u siebie fabryki elektrolitu. Zamierzają protestować przeciwko jej budowie*, „Gazeta Wyborcza”, 29.06.2019, <https://wroclaw.wyborcza.pl/wroclaw/7,35771,24945696,mieszkancy-nie-chca-fabryki-elektrolitu-w-godzikowicach-zablokuja.html> (dostęp: 23.05.2022).

11 Małgorzata Grzegorzczak, *Capchem ruszy w przyszłym roku*, „Puls Biznesu”, 24.06.2021, <https://www.pb.pl/capchem-ruszy-w-przyszlym-roku-1120484> (dostęp: 23.05.2022).

12 Tamże.

13 Mike Holland, Nurka Pranjic, *Health impacts of coal fired generation in Tuzla*, Center for Ecology and Energy, 11.2013, <https://ekologija.ba/wp-content/uploads/2017/06/Health-Impacts-of-Coal-Fired-Power-Generation-in-Tuzla.pdf> (dostęp: 23.05.2022).

14 Iskra Pavlova, *China Gezhouba to start building unit at Bosnia's Tuzla TPP in August – report*, Seenews, 30.07.2020, <https://seenews.com/news/china-gezhouba-to-start-building-unit-at-bosnias-tuzla-tpp-in-august-report-708371> (dostęp: 23.05.2022).

15 Filip Lukić, *Semafor za kvalitet vazduha u Smederevu, ljudi kažu – šta dišemo, dobro smo živi*, N1info, 12.05.2021, <https://rs.n1info.com/zdravlje/semafor-za-kvalitet-vazduha-u-smederevu-ljudi-kazu-sta-disemo-dobro-smo-zivi/> (dostęp: 23.05.2022).

Rozdział 12

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 24.

2 Grace Glueck, *Budapest to Belgrade the hard way*, „The New York Times”, 8.02.1981, <https://www.nytimes.com/1981/02/08/travel/budapest-to-belgrade-the-hard-way.html> (dostęp: 23.05.2022).

3 <https://www.youtube.com/watch?v=98RNh7rwyf8> (dostęp: 23.05.2022).

4 Przemysław Ciszak, *Polska poważnym partnerem Chin? Jesteśmy furtką, nie bramą, a skuteczniejszą są Węgrzy i Czesi*, Money.pl, 17.05.2017, <https://www.money.pl/gospodarka/wiadomosci/artykul/jedwabny-szlak-chiny-polska-brama-do-eu,103,0,2318439.html> (dostęp: 11.07.2022).

5 *China encircles the world with One Belt, One Road strategy*, „Financial Times”, 3.05.2017, <https://www.ft.com/content/0714074a-0334-11e7-aa5b-6bb07f5c8e12?mhq5j=e1> (dostęp: 23.05.2022).

6 *Małaszewicze bramą do Europy*, „Puls Biznesu”, 9.09.2018, <https://www.pb.pl/malaszewicze-brama-do-europy-939425> (dostęp: 23.05.2022).

7 Jakub Doński-Lesiuk, *Nowy Jedwabny Szlak. Transport kolejowy w obsłudze logistycznej*, Warszawa 2018, s. 85–108.

8 Vallal Kozacs, *Több mint 53 milliárdba kerül a Budapest–Belgrád vasútvonal újabb szakaszának felújítása*, Mészáros Lőrinc többszörösen örülhet, Hvg.hu, 14.01.2022, <https://hvg.hu/kkv/>

20220114_Tobb_mint_53_milliardba_kerul_a_BudapestBelgrad_vasutvonal_ujabb_szakaszanak_felujitasa_Meszaros_Lorinc_negyszeresen_orulhet_de_az_occse_is_jol_jart (dostęp: 23.05.2022).

9 Kester Eddy, *Will the €4bn Belgrade-Budapest rail upgrade be a benefit or burden?*, Euronews, 6.10.2020, <https://www.euronews.com/my-europe/2020/10/06/will-the-4bn-belgrade-budapest-rail-upgrade-be-a-benefit-or-burden> (dostęp: 23.05.2022).

10 Mimi Lau, *Kidnapper of Li Ka-shing's son rang tycoon to ask where he should invest HK\$1billion ransom*, „South China Morning Post”, 29.11.2013, <https://www.scmp.com/news/hong-kong/article/1368203/kidnapper-asked-me-financial-advice-says-tycoon-li-ka-shing> (dostęp: 23.05.2022).

Zamiast epilogu

1 Sun Tzu, Sun Pin, *Sztuka wojny*, tłum. Dariusz Bakalarz, Gliwice 2021, s. 26.

2 Clive Hamilton, *Silent Invasion: China Influence in Australia*, Richmond 2018.

3 Clive Hamilton, Mareike Ohlberg, *Hidden Hand: Exposing How the Chinese Communist Party Is Reshaping the World*, London 2020.

4 Zjednoczony Front to strategia polityczna Komunistycznej Partii Chin obejmująca sieci grup i kluczowych osób, na które Partia ma wpływ lub które kontroluje w imię wykorzystywania do realizacji własnych interesów. Działa zarówno w Chinach, obejmując uznane partie polityczne i instytucje, takie jak Chińska Rada Promocji Handlu Międzynarodowego czy Chińska Federacja Chińczyków Powracających, jak i za granicą – poprzez oficjalne i nieoficjalne instytucje będące pod parasolem partii.

Copyright © by Sylwia Czubkowska

Projekt okładki i stron tytułowych
Rafał Rola

Fotografie na okładce
© Oleksii Topolianskyi / Unsplash
© 順平 黃 / Unsplash

Redaktorka inicjująca
Milena Rachid Chehab

Redaktorka prowadząca
Agnieszka Rzonca

Redakcja
Łukasz Grzymisławski

Adiustacja
Magdalena Matyja-Pietrzyk

Korekta
Małgorzata Kuśnierz
Anastazja Oleśkiewicz

ISBN 978-83-240-9257-4

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2022

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Karol Ossowski